

# **ALISTAIR MACLEAN**

## **THE GUNS OF NAVARONE**

**THE CLASSIC WORLD WAR II THRILLER FROM THE ACCLAIMED  
MASTER OF ACTION AND SUSPENSE**





**MACLEAN ALISTAIR**

**Dziala Nawarony**

# ALISTAIR MACLEAN

Tom

## Całość w tomach

Polski Związek Niewidomych Zakład Wydawnictw i Nagrań Warszawa 1989

Przełożył Adam Kaska

Tłoczono w nakładzie 20 egz. pismem punktowym dla niewidomych w Drukarni PZN, Warszawa, ul. Konwiktorska 9 Pap. kart. 140 g kl. III\_Bą1 Całość- nakładu 100 egz. Przedruk z wydawnictwa „Iskry”, Warszawa 1989

Pisał A. Galbarski, Korekty dokonały: J. Andrzejewska i U. Maksimowicz Rozdział pierwszy Preludium: niedziela Godz. #),#jj-#)\*#jj Zapałka zgrzytnęła hałaśliwie po zardzewiałej blaszanej ścianie baraku, zasyczała, a potem bryznęła iskrzącym płomieniem. Zarówno ostry dźwięk, jak i nagła jasność były jednakowo niesamowite w nocnej ciszy. Oczy Mallory’ego mechanicznie towarzyszyły osłoniętemu dłońmi migotliwemu płomykowi w jego drodze do papierosa wystającego spod przystrzyżonych wąsów pułkownika, dostrzegły, jak płomień zatrzymał się o parę cali od twarzy, zauważyły również jej nagłą nieruchomość i pustkę w oczach człowieka zatopionego w nasłuchiowaniu. Potem zapałka zgasła i upadła na piasek lotniska.

–Słyszę ich – powiedział cicho pułkownik. – Nadlatują. Za pięć minut tu będą. Nie ma dziś wiatru, przylecą na Numer Drugi. Chodźmy, spotkamy się z nimi w sztabie. Urwał, popatrzył zagadkowo na Mallory’ego, zdawało się, że się uśmiecha. Ale ciemność oszukiwała, bo nie było wesołości w jego głosie.

–Pohamuj swą niecierpliwość, młody człowieku. Już niedługo. Niezbyt się nam udało dzisiejszej nocy. Boję się, że otrzymasz odpowiedź na wszystkie pytania, i to aż za szybko. Odwrócił się raptownie i skierował ku przysadzistym budynkom, które majaczyły niewyraźnie na tle bladej ciemności nad równą linią horyzontu. Mallory wzruszył ramionami i poszedł za trzecim członkiem grupy, barczystym, krępy męczyzną, który wyraźnie kołysał się przy chodzeniu. Mallory zastanawiał się kwaśno, jak długo Jensen ćwiczył, by osiągnąć ten marynarski efekt. Oczywiście trzydzieści lat na morzu – bo tyle Jensen miał za sobą – wystarczą aż nadto, żeby człowiek kołysał się na równej drodze. Ale nie to było ważne. Dla odnoszącego wspaniałe sukcesy szefa wydziału operacyjnego Ekspozytury Operacji Dywersyjnych w Kairze, kapitana Jamesa Jensena, oficera Marynarki Królewskiej, kawalera D.S.O,\* intryga, podstęp, zmienianie wyglądu i przebieranie się za kogoś były chlebem powszednim. Jako agitator wśród lewentyńskich dokerów zyskał sobie nie

pozbawiony domieszki lęku respekt robotników portowych od Aleksandretty do Aleksandrii, jako jeździec na wielbłądzie bluźnierczo wyprzedzał wszystkich beduińskich współzawodników. Nie było też żebraka, który by w bardziej dramatyczny sposób pokazywał rany na bazarach i targowiskach Wschodu. Jednak owej nocy występował jako przeciętny oficer marynarki. Ubrany był na biało, od czapki aż do płóciennych butów, światło gwiazd połyskiwało delikatnie na złotych haftach naramienników. Distinguished Service Order – wysokie brytyjskie odznaczenie. Kroki obu mężczyzn skrzypiały unisono po ubitym piasku; gdy weszli na betonowy pas startowy, zadźwięczały ostro. Sylwetka spieszącego się pułkownika już prawie zniknęła z pola widzenia. Mallory głęboko wciągnął powietrze i gwałtownie zwrócił się ku Jensenowi.

–Niech mi pan powie, sir, o co tu właściwie chodzi? Po co ten cały bałagan i tajemniczość? I dlaczego ja jestem w to wmieszany? Przecież zaledwie wczoraj ściągnięto mnie z Krety, kazano się stamtąd wynieść w ciągu ośmiu godzin. Powiedzieli mi, że dostanę miesięczny urlop. A co się dzieje?

–No? – mruknął Jensen. – Właśnie, co się dzieje?

–Nici z urlopu – powiedział gorzko Mallory. – Nie mogłem przespać nawet jednej nocy. Wysiadywałem tylko w sztabie E.O.D. i odpowiadałem na idiotyczne pytania na temat wspinaczki w południowych Alpach. Potem wyciągają mnie z łóżka o północy i mówią, że mam się spotkać z panem. Tymczasem zjawia się jakiś zwariowany Szkot, który wodzi mnie godzinami po tej pieprzonej pustyni, śpiewa pijackie piosenki i zadaje mi setki jeszcze głębszych, kretyńskich pytań!

–Zawsze uważałem, że w roli Szkota jestem najlepszy – oznajmił gładko Jensen. – Ja osobiście świetnie się bawiłem na naszej wycieczce.

–W roli Szko... – Mallory urwał, bo przypomniało mu się wszystko, co powiedział starszemu wąsatemu Szkotowi, kapitanowi, który prowadził wóz sztabowy. – Ja... ja bardzo przepraszam, sir. Nigdy by mi nie przyszło do głowy...

–Oczywiście, że nie – przerwał Jensen. – Nikt tego od pana nie oczekiwał. Po prostu chcieliśmy ustalić, czy pan się nada do tej roboty. Ja osobiście jestem pewny, że tak, a resztą wiedziałem już, zanim ściągnęliśmy pana z Krety. Natomiast nie mam pojęcia, skąd panu przyszła do głowy sprawa urlopu. Zdrowy rozsądek E.O.D. często już kwestionowano, ale nawet my nie wysyłamy hydroplanu po to tylko, by umożliwić młodszym oficerom marnowanie przez miesiąc energii w burdelach Kairu – zakończył sucho.

–Nadal nie wiem...

–Cierpliwości, chłopaczk, cierpliwości – jak już powiedział przed chwilą nasz

szanowny pułkownik. Czas nie ma kresu. Czekać i być cierpliwym to dopiero rozumieć Wschód.

–Ale cztery godziny snu na trzy doby nie pomogą w tym – rzekł Mallory z naciskiem. – A tylko tyle spałem... O, już lądują... Obaj mężczyźni machinalnie przymknęli oczy, gdy uderzył w nie ostry blask światła pasa startowego – ognista droga rozcinająca ciemność. Nie upłynęła minuta, gdy opuścił się pierwszy bombowiec, przekołował ciężko, niezgrabnie i zatrzymał się tuż koło nich. Szara farba kamuflażu na kadłubie i statecznikach była posiekana przez kule i odłamki granatów, jedna lotka w strzępach, lewy silnik nieczynny i skąpany w benzynie. Szyby kabiny strzaskane i podziurawione w kilku miejscach. Przez dłuższy czas Jensen wpatrywał się w dziury i szczyrby na uszkodzonej maszynie, potem potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

–Cztery godziny snu, kapitanie Mallory – powiedział spokojnie. – Cztery godziny... To pan jest szczęściarz, że pan spał aż tyle. Sala oddziału operacyjnego, ostro oświetlona dwiema potężnymi, nie osłoniętymi żarówkami, była nieprzytulna i duszna. Na urządzenie wnętrza składało się kilka zużytych map ściennych i planów, dwadzieścia rozklekotanych krzeseł i nie politurowany sosnowy stół. Przy stole, między Jensenem i Mallorym, siedział pułkownik. Drzwi otworzyły się gwałtownie i weszła pierwsza załoga mrużąc oczy, nie przyzwyczajone do ostrego światła. Prowadził ją ciemnowłosy, krępy pilot. W lewym ręku trzymał hełmofon i skafander, furażerkę zsunął na tył głowy. Na obydwu ramionach miał wypisane białymi literami „Australia”. Nachmurzony, nie mówiąc słowa, usiadł bez pozwolenia, wyciągnął papierosy i potarł zapałkę o blat stołu. Mallory zerknął ukradkiem na pułkownika. Pułkownik wyglądał na zrezygnowanego. Nawet w jego głosie brzmiała rezygnacja.

–Panowie, to jest dowódca eskadry Torrance. Major Torrance

–dodał niepotrzebnie – jest Australijczykiem. Mallory odniósł wrażenie, że pułkownik próbuje w ten sposób wytłumaczyć niektóre sprawy, samego majora Torrance'a, między innymi.

–Prowadził dzisiaj atak na Nawaronę – mówił pułkownik. – Bill, ci panowie, kapitan Jensen z Marynarki Królewskiej i kapitan Mallory z Grupy Pustynnej Dalekiego Zasięgu, są szczególnie zainteresowani Nawaroną. Jak tam dziś poszło? Nawarona! To dlatego tu dzisiaj jestem – pomyślał

Mallory. – Nawarona. Znam ją dobrze, a raczej wiele o niej słyszałem. Jak każdy, kto służył kiedykolwiek we wschodnim rejonie Morza Śródziemnego. Nawarona – ponura, nieprzenikniona, żelazna forteca u wybrzeży Turcji, zaciekle broniona, jak przypuszczano, przez mieszany garnizon niemiecko-włoski, jedna z nielicznych wysp archipelagu egejskiego, na której alianci nie mogli postawić stopy, a tym bardziej odzyskać jej w żadnej fazie wojny... Uświadomił sobie, że Torrance mówi z tłumioną wściekłością, cedząc słowa.

–Cholernie ciężko, sir. Zupełny klops. Samobójstwo. – Urwał nagle i zaciskając usta popatrzył ponuro na dym unoszący się z papierosa. – Ale chętnie wrócilibyśmy tam znowu – podjął.

–Ja i moi chłopcy. Jeszcze raz. Rozmawialiśmy o tym w powrotnej drodze. – Mallory dosłyszał z głębi pomruk głosów, pomruk aprobaty. – I wzięlibyśmy ze sobą tego kretyna, który to wymyślił, żeby go spuścić nad Nawaroną z wysokości dziesięciu tysięcy stóp bez spadochronu.

–Aż tak źle, Bill?

–Aż tak źle, sir. Nie mieliśmy żadnych szans. Po prostu żadnych. Po pierwsze, pogoda była przeciwko nam – a faceci ze służby meteorologicznej dali tak przedziwne informacje – jak zwykle.

–Zapowiedzieli dobrą pogodę?

–Tak jest. Dobrą pogodę. Tymczasem zachmurzenie nad celem było dziesięć na dziesięć – oświadczył z goryczą Torrance. – Musieliśmy zejść na półtora tysiąca. Zresztą – co za różnica. Powinniśmy lecieć jeszcze niżej, jakieś trzy tysiące stóp poniżej poziomu morza, a potem wyskoczyć: ten nawis skalny dokładnie zamyka cel. Równie dobrze moglibyśmy rzucić deszcz ulotek, prosząc Niemców, żeby zagwoździli swoje cholerne działa... Oni połowę wszystkich dział pelot, jakie mają w południowej Europie, skoncentrowali w tym wąskim pięćdziesięciostopniowym wektorze – na jednej drodze, którą można dostać się do celu albo w jego pobliże. Russa i Conroya natychmiast obramowali ogniem przy podejściu do portu... Nie mieli żadnych szans.

–Wiem, wiem. – Pułkownik ciężko skinął głową. – Słyszeliśmy. Odbiór radiowy był dobry... A Mcilveen wodował na północ od Aleksandrii?

–Tak. Ale wszystko będzie dobrze. Jego grat trzymał się jeszcze na wodzie, kiedy przelatywaliśmy, duży gumowy ponton był wypuszczony, a morze gładkie jak staw. Wszystko będzie dobrze – powtórzył Torrance. Pułkownik znowu skinął głową, a Jensen dotknął rękawą jego munduru. – Czy mogę zamienić parę słów z dowódcą eskadry?

–Oczywiście, kapitanie. Nie potrzebuje pan o to pytać.

–Dziękuję. – Jensen popatrzył na krzepkiego Australijczyka i uśmiechnął się lekko. – Tylko jedno małe pytanie: Pan nie marzy o powtórzeniu tej akcji?

–A wie pan, rzeczywiście, że nie marzę – warknął Torrance.

–Dlaczego?

**–Dlatego, że nie mam ochoty na samobójstwo. Dlatego, że nie mam ochoty poświęcać dobrych chłopaków bez potrzeby. Że nie jestem Bogiem i nie potrafię robić cudów. W głosie Torrance.a brzmiało przekonanie i zdecydowanie nie dopuszczające dyskusji.**

**–Powiada pan, że to niemożliwe? – nalegał Jensen. – To bardzo ważne.**

**–Na moje życie. I na życie tych wszystkich chłopaków – Torrance wskazał kciukiem ponad swym ramieniem. – To niemożliwe, sir. Przynajmniej niemożliwe dla nas. – Zmęczonym ruchem przesunął ręką po twarzy. – Może tylko hydroplan, dornier, z taką nową sterowaną przez radio bombą latającą mógłby coś zrobić i wyjść z tego cało. Nie wiem. Wiem natomiast, że jeśli chodzi o nas, to tyle, co się wybrać z motyką na słońce. Nie – dodał z goryczą. – Chyba że napchacie moskita dynamitem i każecie jednemu z nas z szybkością czterystu mil znurkować w charakterze żywej torpedy do wylotu jaskini z działami. W ten sposób zawsze jest jakaś szansa.**

**–Dziękuję, kapitanie... I wam wszystkim. – Jensen wstał. – Wiem, że zrobiliście wszystko, co w waszej mocy, że nikt nie dokonałby więcej. Bardzo przepraszam... Panie pułkowniku?**

**–Dziękuję wam, panowie – pułkownik dał znak siedzącemu z tyłu oficerowi wywiadu, by zajął jego miejsce, i przez boczne drzwi wyszedł wraz z dwoma towarzyszami do swego gabinetu.**

**–Więc właśnie tak to wygląda.**

**–Odkorkował butelkę taliskera i wyciągnął szklaneczki. – Musi pan to uznać za finał, Jensen. Eskadra Billa Torrance.a jest najstarszą, najbardziej doświadczoną eskadrą, jaka nam pozostała w Afryce. Bombardowała pola naftowe w Ploesti. To są nasze orły. Jeśli ktokolwiek mógłby wykonać dzisiejsze zadanie, to tylko Bill Torrance, a skoro on mówi, że to niemożliwe, proszę mi wierzyć, kapitanie Jensen, że nie da się tego zrobić.**

**–Tak – Jensen popatrzył ze smutkiem na bursztynowy płyn w szklance. – Tak. Teraz wiem. Właściwie wiedziałem już przedtem, ale nie miałem pewności, a nie mogłem sobie pozwolić na omyłkę... Straszna szkoda, że kilkunastu ludzi przypłaciło to życiem... Teraz pozostało nam tylko jedno wyjście.**

**–Tylko jedno – powtórzył jak echo pułkownik. Podniósł szklankę. – Za powodzenie Cheros!**

**–Za powodzenie Cheros! – zawtórował Jensen. Miał ponurą twarz.**

**–Panowie – wtrącił Mallory. – Zgubiłem się całkowicie. Czy ktoś mógłby mi powiedzieć...**



–Cheros – przerwał Jensen. – To nasze hasło wywoławcze, młody człowieku. Cały świat jest teatrem, chłopcze, a właśnie teraz wchodzisz na scenę w naszej komedyjce. – W uśmiechu Jensena nie było wesołości. – Przykro mi, że opuściłeś pierwsze dwa akty, ale nie przejmuj się tym zbytnio. To nie jest trudna rola; zostaniesz gwiazdorem, czy chcesz czy nie. Tak to wygląda. Cheros, akt 3, scena 1. Wchodzi kapitan Keith Mallory. Przez pierwsze dziesięć minut żaden z nich się nie odezwał. Jensen prowadził wielkiego sztabowego humbera z tą samą pewnością i niedbałym mistrzostwem, jakie charakteryzowało wszystko, cokolwiek robił. Mallory pochylał się nad trzymaną na kolanach mapą. Była to sporządzona w dużej skali mapa admiralicji, przedstawiająca południowy rejon Morza Egejskiego. Oświetlała ją osłonięta żarówka na tablicy rozdzielczej. Studiował rejon Sporadów i północnego Dodekanezu, grubo obwiedziony czerwonym ołówkiem. Wreszcie wyprostował się, wstrząsnął nim dreszcz. Nawet w Egipcie noce pod koniec listopada bywają chłodne. Spojrzał na Jensena.

–Chyba już wszystko wiem, sir.

–Dobrze! – Jensen patrzył prosto przed siebie na wijącą się szarą wstęgę drogi, która biegła przez ciemność pustyni. Smugi światła reflektorów unosiły się i opadały, stale, hipnotycznie, w takt podrygiwania resorów na wyboistej szosie. – Dobrze – powtórzył. – Teraz niech pan jeszcze raz rzuci okiem na mapę i wyobrazi sobie, że stoi pan w miasteczku Nawarona – to jest przy tej prawie kolistej zatoce w północnej części wyspy. Proszę mi powiedzieć, co pan stamtąd będzie widział? Mallory uśmiechnął się.

–Nie potrzebuję jeszcze raz rzucać okiem, sir. Mniej więcej cztery mile na wschód zobaczę wybrzeże Turcji. Wygina się ku północy i zachodowi i tworzy przylądek prawie dokładnie na północ od Nawarony. Jest to bardzo ostry przylądek, bo linia brzegowa wyskakuje niemal prostopadle na zachód. Następnie, około szesnastu mil na północ od tego przylądka – to jest przylądek Demirci, prawda?

–i właściwie na jednej linii z nim zobaczę wyspę Cheros. Dalej, sześć mil na zachód, znajduje się wyspa Maidos, pierwsza z grupy Leradów. Rozciągają się one w kierunku północno\_zachodnim, prawdopodobnie na jakieś pięćdziesiąt mil.

–Sześćdziesiąt. – Jensen skinął głową. – Masz oko, chłopcze. Nie brak ci odwagi i doświadczenia, nie przeżyłbyś na Krecie półtora roku, gdyby było inaczej. Poza tym posiadasz jeszcze kilka umiejętności, o których potem wspomnę. – Urwał i potrząsnął głową. – Pozostaje mi tylko nadzieja, że masz szczęście, i to dużo szczęścia. Bóg mi świadkiem, że będziesz go potrzebował. Mallory czekał, co nastąpi dalej, lecz Jensen pogrążył się w jakichś swoich rozmyślaniach. Minęły trzy minuty, może pięć, i słychać było tylko świst opon i przytłumiony pomruk jakiejś potężnej maszyny. Nagle Jensen poruszył się i odezwał znowu, spokojnie, nie odwracając oczu od drogi.

–Mamy sobotę, nie, raczej jest już niedziela rano. Na wyspie Cheros znajduje się tysiąc dwustu ludzi, tysiąc dwustu brytyjskich żołnierzy, którzy do następnej soboty będą zabici, ranni albo w niewoli. Większość z nich będzie zabita.

–Po raz pierwszy spojrzał na Mallory.ego i uśmiechnął się krótkim, krzywym uśmiechem. – Jak pan się czuje mając życie tysiąca ludzi w swoim ręku, kapitanie Mallory? Przez kilka długich sekund Mallory wpatrywał się w niewzruszoną twarz obok siebie, a potem odwrócił oczy. Spojrzał na mapę. Tysiąc dwustu ludzi czekających na śmierć. Cheros i Nawarona, Cheros i Nawarona. Co to był za wierszyk, piosenka, której się nauczył przed laty w wyżynnej wsi wśród owczych pastwisk niedaleko Queenstown? Chimborazo – właśnie to. „Chimborazo i Cotopaxi, skradłyście serce moje”. Cheros i Nawarona mają podobne brzmienie, ten sam nieokreślony urok, ten sam czar romantyzmu, który człowieka ogarnia i pozostaje w nim na zawsze. Cheros i... prawie gniewnie potrząsnął głową, próbował się skoncentrować. Kawałki łamigłówek zaczynały się składać, chociaż powoli. Jensen przerwał milczenie.

–Jeśli pan pamięta, osiemnaście miesięcy temu, po upadku Grecji, Niemcy zajęli prawie wszystkie wyspy z grupy Sporadów. Włosi oczywiście mieli już większą część Dodekanezu. Stopniowo zaczęliśmy tworzyć przyczółki na tych wyspach, przy czym w pierwszym rzucie znajdowali się zwykle wasi ludzie z Sił Pustynnych Dalekiego Zasięgu oraz Służby Specjalnej Marynarki Wojennej.

Do września odzyskaliśmy prawie wszystkie większe wyspy z wyjątkiem Nawarony – był to diabelnie trudny orzech do zgryzienia, więc ją ominęliśmy, a na okolicznych wyspach umieściliśmy parę załóg w sile batalionu. – Błysnął zębami w uśmiechu. – Wtedy czatował pan w swojej jaskini gdzieś w Białych Górach, ale wie pan chyba, jak Niemcy zareagowali?

–Gwałtownie? Jensen skinął głową.

–Właśnie. Bardzo gwałtownie. Nie można nie docenić politycznego znaczenia Turcji w tej części świata – zawsze była potencjalnym partnerem państw osi albo aliantów. Większość tych wysp znajduje się w odległości zaledwie kilku mil od tureckiego brzegu. Problem prestiżu, problem odbudowy zaufania do Niemiec był palący.

–Tak?

–Więc zebrali wszystko: spadochrony, piechotę powietrzną, brygady strzelców alpejskich, hordy stukasów – mówiono mi, że ogołocili na tę okazję front włoski z bombowców nurkujących. W każdym razie rzucili wszystko na szalę. W kilka tygodni straciliśmy ponad dziesięć tysięcy ludzi i wszystkie odzyskane wyspy z wyjątkiem Cheros.

**–A teraz przyszła kolej na Cheros?**

**–Tak. – Jensen wysunął dwa papierosy, siedział w milczeniu, aż Mallory je zapalił i wyrzucił zapałkę przez okno, w bladą poświatę Morza Śródziemnego, która rozciągała się na północy za nadbrzeżną szosą. – Tak. Cheros idzie pod młot. Ale ocalenie jej nie jest w naszej mocy. Niemcy mają absolutną przewagę w powietrzu nad Morzem Egejskim...**

**–Ale... skąd pan ma taką pewność, że nastąpi to w tym tygodniu?**

**Jensen westchnął.**

**–Chłopcze, Gracja roi się od alianckich agentów. W samym tylko rejonie Aten i Pireusu mamy ich ponad dwustu...**

**–Dwustu! – przerwał z niedowierzaniem Mallory. – Pan twierdzi...**

**–Twierdzę – uśmiechnął się szyderczo Jensen. – Bagatelka w porównaniu z kohortami szpiegów, które cyrkulują swobodnie u naszych szlachetnych gospodarzy w Kairze i Aleksandrii. – Nagle znowu spowaźniał. – Tak czy inaczej, nasza informacja jest ścisła. Cała armada wypłynie w czwartek o świcie z Pireusu i będzie przesłuchiwała Cyklady, zatrzymując się w nocy przy wyspach. – Uśmiechnął się. – Intrygująca sytuacja, nie sądzi pan? Nie ośmielimy się wyruszyć na Morze Egejskie w dzień, bo bomby zmiotą nas z powierzchni wody. Niemcy nie ośmielą się wypłynąć w nocy. Stada naszych niszczycieli, ścigaczy i kanonierek wyruszają na Morze Egejskie wieczorem; niszczyciele przed świtem wracają na południe, mniejsze okręty zazwyczaj kryją się w wąskich zatoczkach wysp. Ale nie możemy powstrzymać Niemców. Będą tam w sobotę albo w niedzielę – i zsynchronizują lądowanie z pierwszymi oddziałami powietrznymi. Dziesiątki junkersów 52 czekają pod Atenami; Cheros nie utrzyma się nawet dwa dni. Nikt nie potrafiłby słuchać spokojnego głosu Jensena z jego nienormalną wprost rzeczowością, i nie wierzyć w to, co mówi. Mallory wierzył. Prawie minutę wpatrywał się w przestwór morza i feerię gwiazd połyskujących na jego ciemnej, spokojnej powierzchni. Nagle obrócił się do Jensena.**

**–Ale flota, sir! Ewakuacja. Z pewnością flota...**

**–Flota – przerwał ciężko**

**Jensen – nie da rady. Flota jest chora i zmęczona wschodnim Morzem Śródziemnym i Egejskim, chora i zmęczona nadstawianiem obolałego od dawna karku, po którym stale obrywa – i to na próżno. Dwa pancerniki mamy uszkodzone, osiem krążowników wypadło z akcji – w tym cztery zatopione. Straciliśmy ponad dziesięć niszczycieli... Nie potrafiłbym nawet wymienić liczby mniejszych okrętów, które straciliśmy. I za co? Powiedziałbym ci – za nic! Nasze naczelne dowództwo**

może bawić się z Niemcami w kotka i myszkę dokoła raf i w czarnego luda. Kolosalny ubaw dla wszystkich zainteresowanych – z wyjątkiem, oczywiście, dwóch czy trzech tysięcy marynarzy, którzy utonęli podczas tej zabawy, i dziesięciu tysięcy Anglików, Nowozelandczyków, Australijczyków i Hindusów, którzy cierpieli i zginęli na tych samych wyspach – i to nie wiedząc dlaczego. Dłonie Jensena zacisnęły się na kierownicy, ściągnięte usta świadczyły o rozgoryczeniu. Mallory był zaskoczony, niemal wstrząśnięty gwałtownością i głębią uczucia: to mu zupełnie nie pasowało do sylwetki Jensena... A może właśnie tak, może Jensen wiedział naprawdę bardzo wiele o tym, co działo się wewnątrz...

–Pan powiedział, że tysiąc dwustu ludzi? – zapytał spokojnie Mallory. – Pan mówił, że na Cheros jest tysiąc dwustu ludzi? Jensen rzucił mu szybkie spojrzenie i znowu odwrócił głowę.

–Tak. Tysiąc dwustu ludzi. – Westchnął. – Masz rację, chłopcze. Oczywiście, nie możemy ich tam zostawić. Flota robi wszystko, co jest w jej mocy. Dwa czy trzy niszczyciele więcej

–przepraszam, chłopcze, znowu do tego wracam... A teraz słuchaj, i to słuchaj uważnie. Ewakuację musielibyśmy przeprowadzać w nocy. Nie ma nawet cienia możliwości dokonania jej w dzień, kiedy dwieście lub trzysta stukasów tylko czeka na cień niszczyciela Marynarki Królewskiej. A musiałby to być niszczyciel – transportowce i statki handlowe są za powolne. I prawdopodobnie nie mogłyby iść północną trasą ponad północnym skrajem Leradów

–nie zdążyłyby wrócić przed świtem w bezpieczne miejsce. Taki rejs trwałby zbyt wiele godzin.

–Ale przecież Lerady tworzą dość długi łańcuch wysp – zaprotestował Mallory. – Czy niszczyciele nie mogłyby przejść między wyspami?

–Między dwiema z nich? Niemożliwe. – Jensen potrząsnął głową. – Zaminowane jak cholera. Wszystkie przejścia. Nawet czółnem nie przepłyniesz.

–A cieśnina między Maidos i Nawaroną? Też pewnie zapchana minami?

–Nie. Czysta. Za głęboka woda. Na takiej głębokiej wodzie nie sposób stawiać min.

–A więc tę drogę pewnie chcecie wybrać, prawda, sir? Myślę o pasie wód terytorialnych Turcji po drugiej stronie, a my...

–Przeszlibyśmy przez terytorialne wody Turcji jutro, i to w jasny dzień, gdyby to coś dało – dopowiedział obojętnie Jensen. – Turcy o tym wiedzą i Niemcy tak samo. Lecz w obecnej sytuacji musimy wybrać kanał zachodni. Kanał jest prostszy, droga krótsza i nie grożą żadne niepotrzebne komplikacje międzynarodowe.

**–W obecnej sytuacji?**

**–Chodzi o działa Nawarony. – Jensen urwał i milczał przez dłuższy czas, a potem powtórzył te słowa, powoli, bezbarwnie, jak się powtarza imię odwiecznego wroga. – Działa Nawarony. To one załatwiają sprawę. Pokrywają północne wejścia do obu kanałów. Moglibyśmy dzisiaj zabrać tych tysiąc dwustu ludzi z Cheros, gdyby nam się udało uciszyć działa Nawarony. Mallory siedział w milczeniu. Teraz trafia wreszcie w samo sedno – pomyślał.**

**–To nie są zwykłe działa – podjął Jensen spokojnie. – Nasi eksperci marynarki określają je jako mniej więcej dziewięciocalówki. Osobiście uważam je raczej za odmianę 210\_milimetrowych dział burzących, których Niemcy używają we Włoszech. Nasi żołnierze na froncie włoskim nienawidzą tych dział i boją się ich bardziej niż czegokolwiek na świecie. Straszliwa broń – pocisk bardzo stabilny w locie i piekielnie celny. W każdym bądź razie – ciągnął ponuro – jakiegokolwiek są, wystarczyły, by w ciągu pięciu minut wykończyć „Sybaris”. Mallory skinął głową.**

**–„Sybaris”? Słyszałem, zdaje się...**

**–To był duży krążownik, który wysłaliśmy mniej więcej cztery miesiące temu, aby pogadał ze szkopami. Myśleliśmy, że to prosta formalność, zwykłe ćwiczenie taktyczne. „Sybaris” wyleciał w powietrze. Tylko siedemnastu ludzi ocalało.**

**–Boże! – Mallory był wstrząśnięty. – Nie wiedziałem...**

**–Dwa miesiące temu zmontowaliśmy na szeroką skalę atak amfibii na Nawaronę. – Jensen nawet nie słyszał, że mu przerwano. – Komandosi, komandosi Marynarki Królewskiej i Specjalna Służba Marynarki Jellicoe.a. Szanse prawie żadne, wiedzieliśmy zresztą o tym... Wybrzeże Nawarony stanowi lita skała. Ale to byli wybrani ludzie, prawdopodobnie najlepsze dziś oddziały szturmowe na świecie. – Jensen milczał dłuższą chwilę, a potem kontynuował bardzo spokojnie: – Rozbili ich na miazgę. Wytlukli prawie do ostatniego człowieka. Wreszcie, dwa razy w ciągu dwóch ostatnich dni – wiedzieliśmy o tych przygotowaniach do ataku na Cheros – wysłaliśmy dywersantów na spadochronach. Ludzi ze Specjalnej Służby Marynarki. – Bezradnie wzruszył ramionami. – Po prostu przepadli.**

**–Przepadli.**

**–Właśnie, przepadli. Aż wreszcie dzisiejszej nocy – ostatni zryw i... ma pan... – Jensen zaśmiał się krótko, ponuro. – W tym baraku dowództwa zachowywałem się bardzo spokojnie, prawda? To ja jestem tym „kretynem”, którego Torrance i jego chłopcy chcieliby zrzucić na Nawaronę. Nie mam im tego za złe. Ale musiałem to zrobić, po prostu musiałem. Wiedziałem, że to beznadziejne, ale musiałem. Wielki humber zaczął zwalniać, sunąc cicho między rozwalającymi się ruderami i budami**

**zachodnich przedmieść Aleksandrii. Niebo zaczęło nabierać już szarości przedświt.**

**–Nie sądzę, żebym wiele zdziałał na spadochronie – powiedział z powątpiewaniem Mallory. – Mówiąc szczerze, nigdy nawet nie widziałem spadochronu z bliska.**

**–Proszę się nie martwić – powiedział krótko Jensen. – Nie będzie go pan potrzebował. Dostanie się pan do Nawarony trudniejszą drogą. Mallory czekał na dalszy ciąg, ale Jensen zamilkł wymijając wielkie wyboje, którymi szosa była teraz usiana. Po pewnym czasie Mallory zapytał:**

**–Dlaczego właśnie ja, kapitanie Jensen? Uśmiech Jensena był ledwie widoczny w szarzejącej ciemności. Skręcił gwałtownie, by wyminąć ogromną dziurę w jezdni, i wyprostował znowu.**

**–Boisz się?**

**–Pewnie, że się boję. Proszę się nie obrazić, sir, ale w ten sposób wystraszyłby pan każdego... Ale nie o to mi chodzi.**

**–Wiem, że nie o to. To tylko mój ciężki dowcip... Dlaczego pan? Specjalne kwalifikacje, chłopcze. Mówisz po grecku jak Grek. Mówisz po niemiecku jak Niemiec. Doświadczony sabotażysta, pierwszej klasy organizator i całych osiemnaście miesięcy w Białych Górach na Krecie – dostatecznie przekonujący dowód twoich zdolności do przetrwania na terytorium obsadzonym przez nieprzyjaciela. – Jensen zachichotał. – Byłbyś zdziwiony, gdybyś wiedział, jak kompletne jest twoje dossier, które mamy!**

**–Nie, nie byłbym zdziwiony – stwierdził Mallory z pewnym naciskiem. – Ale – dodał – znam przynajmniej trzech innych oficerów o takich samych kwalifikacjach.**

**–Owszem, są inni – zgodził się Jensen. – Ale nie ma innych Keithów Mallorych. Keith Mallory**

**–powtórzył retorycznie. – Któż nie słyszał o Mallorym w owych błogich dniach przed wojną? Najświetniejszy alpinista, najwybitniejszy wspinacz, jakiego dotychczas wydała Nowa Zelandia, a Nowozelandczycy znają się na wspinaczce. Człowiek\_mucha, który trafi wszędzie, który wejdzie na prostopadłą skałę i pokona najfantastyczniejsze przepaści. Całe południowe wybrzeże Nawarony – mówił Jensen żartobliwym tonem – to jedna olbrzymia, fantastyczna przepaść. Nie ma miejsca na postawienie nogi czy położenie ręki.**

**–Rozumiem – mruknął Mallory.**

**–Rozumiem, oczywiście. „Do Nawarony trudniejszą drogą”. Tak właśnie pan powiedział.**

–Tak jest – potwierdził Jensen. – Pan i pańska grupa: jeden plus czterech. Szkółka alpinistyczna Mallory.ego. Sami wybrani. Każdy ze swoją specjalnością. Spotka się pan z nimi jutro, a raczej dziś po południu. Przez następne dziesięć minut jechali w milczeniu, od portu skręcili w lewo i podskakując na potężnych kocich łbach Rue Soeurs okrążyli plac Mohammeda Alego, wyminęli giełdę i skręcili w prawo na Sherif Pasha. Mallory patrzył na mężczyznę przy kierownicy. Teraz, gdy zaczęło się rozwidniać, już dość wyraźnie widział jego twarz.

–Dokąd jedziemy, sir?

–Spotkać się z jedynym na Bliskim Wschodzie człowiekiem, który może panu pomóc. Jest to pan Eugene Vlachos z Nawarony.

–Jest pan dzielnym człowiekiem, kapitanie Mallory.

–Eugene Vlachos kręcił nerwowo ostre końce swoich czarnych wąsów. – Powiedziałbym: dzielnym i głupim, ale sądzę, że nie można nazwać człowieka głupim, jeśli tylko wykonuje otrzymane rozkazy. – Podniósł oczy znad wielkiego szkicu leżącego przed nim na stole i spojrzał na nieruchomą twarz Jensena.

–Czy nie ma innego sposobu, kapitanie? – spytał. Jensen pokręcił głową.

–Były. Wszystkie wypróbowaliśmy, sir. Wszystkie zawiodły. Ten jest ostatni.

–A więc musi tam iść?

–Na Cheros jest ponad tysiąc ludzi. Vlachos skłonił głowę w pełnym zrozumienia milczeniu, a potem uśmiechnął się lekko do Mallory.ego.

–Mówi do mnie „sir”. Jestem biednym Grekiem, hotelarzem, a kapitan Jensen z Marynarki Królewskiej mówi do mnie „sir”. Staremu człowiekowi przyjemnie to słyszeć. Urwał, popatrzył z zadumą w przestrzeń, jego wyblakłe oczy i zmęczoną, pokrytą zmarszczkami twarz rozjaśniły wspomnienia.

–Stary człowiek ze mnie, kapitanie Mallory, stary już człowiek, biedny i smutny. Ale nie zawsze tak było, nie zawsze. Kiedyś byłem mężczyzną w sile wieku, bogatym i zadowolonym z życia. Byłem właścicielem prześlicznej posiadłości, sto mil kwadratowych najpiękniejszego kawałka ziemi, jaki Bóg stworzył ku radości ludzkich oczu. A jak kochałem tę swoją ziemię! Roześmiał się i przeciągnął dłonią po siwiejącej, gęstej czuprynie.

–Tak, przynajmniej tak to wygląda w oczach właściciela. „Prześliczna posiadłość” – mówię. „Ta cholerna skała” – powiedział podobno kapitan Jensen. – Uśmiechnął się widząc nagle zakłopotanie Jensena. – Ale obaj mamy na myśli to samo: Nawaronę. Mallory, zaintrygowany, zerknął na Jensena. Jensen kiwnął głową.

**–Od wielu pokoleń Nawarona należy do rodziny Vlachosów. Półtora roku temu musieliśmy w wielkim pośpiechu ewakuować monsieur Vlachosa. Niemcy nie byli szczególnie spragnieni tego rodzaju współpracy, jaką mógłby im zaoferować.**

**–Robili to wszystko, jak pan powiada, na łeb, na szyję – potwierdził Vlachos. – Zarezerwowali dla mnie i dla moich synów bardzo specjalne pomieszczenia – w lochach Nawarony... Ale dość już o mojej rodzinie. Chciałbym, aby pan wiedział, młody człowieku, że spędziłem czterdzieści lat na Nawaronie i prawie cztery dni – wskazał na stół – nad tą mapą. Moim informacjom i tej mapie może pan całkowicie wierzyć. Wiele rzeczy się zmieniło, niewątpliwie, lecz niektóre nigdy się nie zmieniają. Góry, zatoki, przełęcze, jaskinie, drogi, domy i przede wszystkim sama forteca. Nie zmieniły się od stuleci, kapitanie Mallory.**

**–Rozumiem, sir. – Mallory starannie złożył mapę i schował ją do kieszeni munduru. – Ta mapa daje nam niejaki możliwości. Bardzo panu dziękuję.**

**–Bóg mi świadkiem, że mizerne to możliwości. – Vlachos przez chwilę bębnił palcami po stole, potem podniósł wzrok na Mallory'ego. – Kapitan Jensen twierdzi, że większość z was mówi płynnie po grecku, że będziecie przebrani za greckich chłopów i będziecie mieli fałszywe papiery. To dobrze. Macie działać... jak to się mówi? – na własną rękę i samodzielnie. Urwał, po czym podjął bardzo poważnie:**

**–Proszę was, nie próbujcie korzystać z pomocy ludności Nawarony. Musicie tego unikać za wszelką cenę. Niemcy są bezwzględni. Wiem o tym. Jeśli ktoś wam pomoże, a to się wykryje, nie tylko go zamordują, ale także wymordują całą jego wioskę: Mężczyzn, kobiety i dzieci. Zdarzało się to już przedtem. I będzie się zdarzało w przyszłości.**

**–Bywało tak i na Krecie – przyświadczył Mallory. – Sam widziałem.**

**–Właśnie – skinął głową Vlachos. – A ludzie z Nawarony nie mają ani smykałki, ani doświadczenia w działaniach partyzanckich. Nie mieli okazji... Rządy niemieckie są szczególnie srogie na naszej wyspie.**

**–Obiecuję, że nie będę nikogo wciągał... – zaczął Mallory. Vlachos podniósł dłoń.**

**–Chwileczkę. Jeśli znajdziecie się w opałach, naprawdę w opałach, istnieje dwóch ludzi, do których możecie się zwrócić. Pod pierwszym platanem na rynku w Margaricie – jest to wieś przy wylocie wąwozu, około trzech mil na południe od twierdzy – znajdziecie człowieka nazwiskiem Louki. Wiele lat był administratorem naszego majątku. Louki już dawniej wyświadczył pewne usługi Brytyjczykom – kapitan Jensen może potwierdzić**

**–i może mu pan zawierzyć. Ma przyjaciela, niejakiego Panayisa, on także zasłużył się w przeszłości.**



**–Dziękuję, sir. Będę pamiętał. Louki i Panayis, Margaritha, pierwszy platan na rynku.**

**–Ale odrzuci pan wszelką inną pomoc, kapitanie? – dopytywał się lękliwie Vlachos. – Louki i Panayis... tylko ci dwaj – prosił.**

**–Daję na to słowo, sir. Poza tym im mniej osób, tym bezpieczniej, zarówno dla nas, jak i dla pana ludzi. Mallory był zaskoczony naleganiem starego.**

**–Mam nadzieję, mam nadzieję... – westchnął Vlachos. Mallory wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie.**

**–Nie ma się pan czym martwić, sir. Nigdy nas nie zobaczą – powiedział poufnym tonem. – Nikt nas nie zobaczy i my nikogo nie zobaczymy. Zależy nam tylko na jednym – na działach.**

**–Właśnie, działa, te okropne działa. – Vlachos pokiwał głową.**

**–Ale powiedzmy, że...**

**–Wszystko będzie w porządku – spokojnie powtórzył Mallory. – Nikomu nie zrobimy krzywdy, a przynajmniej żadnemu z waszych wyspiarzy.**

**–Niech was Bóg prowadzi – szepnął stary. – Niech was Bóg prowadzi. Żałuję, że nie mogę iść z wami. Rozdział drugi Niedziela w nocy Godz. #/19#00\_#/02#00**

**–Może kawy, sir? Mallory poruszył się, stęknął; usiłował wydobyć się z głębin przepastnego snu. Zdrętwiał cały na obramowanym metalem składanym krzeselku i zirytowany zastanawiał się, kiedy dowództwo wojsk lotniczych zacznie dawać wyściółkę do tych diabelskich urządzeń. Wreszcie obudził się na dobre, a jego zmęczone oczy odruchowo skoncentrowały się na świecącej tarczy ręcznego zegarka. Siódma. Tak, siódma – spał dwie godziny zaledwie. Dlaczego nie dali mu spać dłużej?**

**–Kawy, sir? Młody strzelec pokładowy nadal cierpliwie stał obok, odwrócona przykrywka skrzynki amunicyjnej służyła mu jako taca, na której umieścił filiżanki.**

**–Przepraszam, chłopcze, przepraszam. – Mallory z trudem wyprostował się na siedzeniu, sięgnął po filiżankę parującego płynu i powąchał z zadowoleniem.**

**–Dziękuję. Wiesz, że to pachnie zupełnie jak prawdziwa kawa.**

**–Bo to jest prawdziwa kawa, sir. – Młody strzelec uśmiechnął się z dumą. – Mamy maszynkę do kawy w kabinie pilota.**

–Mają maszynkę do kawy... – Mallory pokręcił głową ze zdumieniem. – O bogowie, oto udręki służby w Królewskich Siłach Lotniczych! Rozparł się i zaczął siorbać kawę, sapiąc z ukontentowaniem. Po chwili zerwał się na równe nogi, a gorąca kawa opryskała mu odsłonięte kolana, gdy rzucił się do okna. Spojrzał na strzelca i z niedowierzaniem wskazał na górski krajobraz przesuwający się z wolna pod nimi.

–Co się tu, u diabła, dzieje? Przecież mieliśmy przybyć na miejsce nie wcześniej niż dwie godziny po zapadnięciu ciemności, a teraz jest zaledwie zachód! Czyżby pilot...?

–To jest Cypr, sir. – Strzelec wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Na horyzoncie może pan właśnie zobaczyć górę Troodos. Prawie zawsze lecąc do Castelrosso robimy wielką pętlę na Cypr. Chodzi o to, żeby uniknąć obserwacji, sir. W ten sposób z daleka omijamy Rodos.

–On mówi, że dla uniknięcia obserwacji! – Głos o mocnym zaatlantyckim akcencie dobiegł ze składanego siedzenia po przeciwnej stronie przejścia. Ten, co się odezwał, leżał bezwładnie – nie ma innego określenia na taką pozycję – w swoim krześle, kościste kolana wystawały o parę cali ponad poziom podbródka. – Mój Boże! Dla uniknięcia obserwacji! – powtórzył z ironią. – Robią pętlę na Cyptr. Odplywamy statkiem dwadzieścia mil od Aleksandrii, żeby nas nikt nie widział, jak odlatujemy samolotem. A potem co? – Z trudnością uniósł się na siedzeniu, wyjrzał przez okno i opadł znowu, widocznie wyczerpany tym wysiłkiem. – A potem co? Potem pakują nas do starego pudła wymalowanego najbielszym w świecie lakierem, widocznym dla ślepego w promieniu stu mil, szczególnie teraz, gdy robi się ciemno.

–Biały kolor chroni przed gorącem – powiedział młody strzelec tonem obrony.

–Gorąco mnie nie martwi, synu. – W głosie zabrzmiało zmęczenie i smutek. – Ja lubię gorąco. Natomiast bardzo nie lubię tych paskudnych pocisków i kul, które mogą przewentylować człowieka w zupełnie nieodpowiednich miejscach. Osunął się na siedzeniu jeszcze o jakiś cal, zamknął ze zmęczenia oczy i zdawało się, że w tej samej chwili zasnął. Młody strzelec pokręcił głową z podziwem i uśmiechnął się do Mallory.ego:

–Cholernie zmartwiony, prawda, sir? Mallory zaśmiał się. Patrzył, jak chłopak znika w kabinie pilota. Popijał kawę powoli i spoglądał na śpiącą postać po drugiej stronie. Zupełny spokój tego człowieka był wspaniały: kapral Dusty Miller ze Stanów Zjednoczonych, a ostatnio z Sił Pustynnych Dalekiego Zasięgu, należał do ludzi, których dobrze jest mieć przy sobie. Zerknął na pozostałych i z zadowoleniem skinął głową. Wszystko to są ludzie, których dobrze jest mieć przy sobie. Osiemnaście miesięcy spędzonych na Krecie wyrobiło w nim niezawodną umiejętność oceny zdolności człowieka do przetrwania w tej szczególnego rodzaju wojnie, w której sam tyle czasu brał udział. Ta czwórka miała duże szanse przetrwania. Przyznawał, że

kapitan Jensen sprawił mu zaszczyt wybierając tych właśnie ludzi. Nie znał jeszcze ich wszystkich – to znaczy nie znał ich osobiście. Ale dokładnie zapoznał się u Jensena z obszernym dossier każdego z nich. Mówiąc oględnie – wzbudzali zaufanie. Czy też może Stevensa należałoby opatrzyć małym znakiem zapytania? – zastanawiał się Mallory zerkając na młodego chłopca o jasnych włosach, który z zaciekawieniem spoglądał pod połyskujące bielą skrzydło sunderlanda. Porucznik Andy Stevens z Marynarki Królewskiej został wybrany do tej akcji z trzech powodów: miał prowadzić statek, którym popłyną do Nawarony, był alpinistą pierwszej klasy i miał na swoim koncie kilka znakomitych osiągnięć w tej dziedzinie. Zaś jako absolwent klasycznego wydziału na uniwersytecie był prawie fanatycznym filohelenistą, władał biegle zarówno starożytną jak i współczesną greką i przed wojną spędził dwukrotnie długie wakacje jako przewodnik turystów w Atenach. Ale jest młody, absurdalnie młody – myślał Mallory patrząc na niego – a młodość bywa niebezpieczna. Zbyt często w tej wyspiarskiej partyzantce okazywała się fatalna. Entuzjazm, ogień, zapał młodości nie wystarczały, a często stawały się nawet przeszkodą. Ta wojna nie oznaczała fanfar i ryczących maszyn, i wspaniałych czynów na polu chwały; ta wojna oznaczała przede wszystkim cierpliwość, wytrwałość i stałość, podstęp, przebiegłość i chytryść, a cechy te rzadko towarzyszą młodości... Ale Stevens wyglądał na to, że potrafi uczyć się szybko. Mallory zerknął znowu ukradkiem na Millera. Dusty Miller – zdecydował – nauczył się tych rzeczy już bardzo dawno temu. Dusty Miller na białym rumaku z trąbką przy ustach... nie

–jego wyobraźnia po prostu nie mogła akceptować tak niestosownego obrazu. Miller nie wyglądał jak sir Lancelot. Wyglądał po prostu, jakby tu był od dawna i nie miał żadnych złudzeń. Kapral Miller w rzeczywistości istniał dokładnie od czterdziestu lat. Urodzony w Kalifornii, z pochodzenia w trzech czwartych Irlandczyk, a w jednej czwartej kontynentalny Europejczyk, miał na pewno więcej przygód w poprzedniej ćwierci stulecia, niż większość ludzi przeżywa w ciągu dziesięciu pokoleń. Górnik w kopalni srebra w stanie Nevada, budowniczy tuneli w Kanadzie, gasił pożary szybów naftowych na całym świecie. Gdy Hitler zaatakował Polskę, znalazł się w Arabii Saudyjskiej. Jedna z babek Millera gdzieś na przełomie stulecia mieszkała w Warszawie, co wystarczyło, by poczuł się osobiście obrażony i by zawrzała w nim jego irlandzka krew. Pierwszym dostępnym samolotem dotarł do Wielkiej Brytanii, a tam wkręcił się do lotnictwa, gdzie, ku swemu niesmakowi, ze względu na wiek, został relegowany do tylnej gondoli welingtona. Pierwszy lot bojowy Millera był jednocześnie ostatnim. W dziesięć minut po starciu z lotniska Menidi koło Aten pewnej styczniowej nocy roku 1941 defekt silnika spowodował niesławne, jakkolwiek dobrze amortyzowane lądowanie na ryżowym polu w pewnej odległości na północny zachód od miasta. Zimę spędził pieniąc się z wściekłości w jakiejś garkuchni w Menidi. W początkach kwietnia nie mówiąc nikomu zrezygnował z latania i zaczął się przedzierać na północ ku frontowi i granicy albańskiej, gdzie spotkał Niemców zdążających na południe. Miller opowiadał potem, że dotarł do Nauplion wyprzedzając o dwie przecznice najbliższą dywizję pancerną, był

ewakuowany na transportowcu „Slamat”, zatopiony, uratowany przez niszczyciela „Wryneck”, zatopiony znowu i wreszcie przybył do Aleksandrii na starożytnym greckim kutrze. Nie pozostało mu nic, poza twardym zdecydowaniem, aby już nigdy nie wdawać się w awantury w powietrzu czy na morzu. W kilka miesięcy później działał już w Oddziałach Szturmowych Dalekiego Zasięgu na tyłach wojsk nieprzyjacielskich w Libii.

Mallory rozmyślał leniwie, że Miller jest zupełnym przeciwieństwem porucznika Stevensa. Stevens, młody, świeży, pełen entuzjazmu, ubrany bez zarzutu, i Miller – chudy, wysoki, muskularny, niezwykle twardy i odznaczający się niemalże patologiczną awersją do wszelkiego rodzaju porządku i połysku. Przewisko „Dusty” (ang. – kurz) pasowało do niego idealnie. Rzadko zdarza się większy kontrast niż stanowili ci dwaj. Ponadto, w przeciwieństwie do Stevensa, Miller nigdy w życiu nie wspiął się na szczyt żadnej góry, a jedyne greckie słowa, jakie znał, są bezwzględnie opuszczane w słownikach. Jednak oba te fakty nie miały znaczenia. Millera wybrano z jednego tylko powodu: był geniuszem w zakresie materiałów wybuchowych, pewnym i chłodnym w działaniu, precyzyjnym i groźnym. Służba wywiadowcza Środkowego Wschodu w Kairze uważała go za najlepszego sabotażystę w południowej Europie. Za Millerem siedział Casey Brown. Niski, ciemnowłosy i barczysty, podoficer marynarki wojennej, telegrafista Brown pochodził z Clydeside. W czasach pokojowych był instalatorem i kontrolerem w słynnej stoczni jachtowej w Fareloch. Fakt, że był urodzonym mechanikiem, tak był oczywisty, iż flota wojenna go przegapiła i wepchnęła Browna do łączności. Pech Browna był szczęściem Mallory'ego. Browna wyznaczono na mechanika kutra, który miał ich przewieźć do Nawarony, i powierzono mu obowiązek utrzymywania radiowego kontaktu z bazą. Otrzymał również dalsze rekomendacje jako pierwszorzędnny partyzant: weteran Służby Specjalnej Marynarki Wojennej, dwukrotnie odznaczony za swe wyczyny na Morzu Egejskim i przy brzegach

Libii. Piąty i ostatni członek grupy siedział za Mallorym. Mallory nie potrzebował się odwracać, by na niego spojrzeć. Już go znał, znał go lepiej niż kogokolwiek na świecie, lepiej nawet niż swoją matkę. Andrea, który był jego adiutantem przez te osiemnaście nie kończących się miesięcy na Krecie, Andrea o potężnej postaci, dudniącym śmiechu i tragicznej przeszłości. Mieszkał z nim i ukrywał się przed pościgiem niemieckich patroli i samolotów w jaskiniach, skalnych schroniskach i opuszczonych szałasach pasterskich; Andrea stał się jego sobowtórem; gdy patrzył na Andree, to tak, jakby patrzył w lustro, ażeby sobie przypomnieć, jak wygląda. Nie było wątpliwości, dlaczego wybrano Andree. Nie znalazł się tutaj z tego powodu, że był Grekiem z głęboką znajomością języka wyspiarzy, ich myśli i obyczajów, ani nawet dlatego, że tak doskonale się rozumieł z Mallorym – jakkolwiek obie te sprawy wzięto pod uwagę. Wybrano go wyłącznie dla ochrony i bezpieczeństwa, jakie potrafił zapewnić. Nieskończenie cierpliwy, spokojny i odważny, nieprawdopodobnie szybki mimo swej tuszy, potrafił się skradać jak kot, a potem przejść do

**błyskawicznej akcji. Andrea był doskonałą maszyną do walki. Był ich polisą ubezpieczeniową na wypadek niepowodzenia. Mallory odwrócił się i wyrztał znowu przez okno, a potem z zadowoleniem skinął głową. Jensen nie mógłby wybrać lepszego zespołu, gdyby nawet przetrząsnął cały front śródziemnomorski. Nagle Mallory.emu przyszło do głowy, że Jensen najprawdopodobniej właśnie to zrobił. Millera i Browna odwołano do Aleksandrii prawie miesiąc temu. Mniej więcej w tym samym czasie przybyło na pokład jego krążownika w Malcie wezwanie dla Stevensa. A gdyby dynamo do ładowania akumulatorów nie spadło do wąwozu w Białych Górach i gdyby zmęczony goniec z najbliższego posterunku nasłuchu nie musiał iść cały tydzień, by przebyć pięćdziesiąt mil zasypanego śniegiem i patrolowanego przez nieprzyjaciela górskiego terenu, i gdyby odszukanie ich nie zajęło dalszych pięciu dni, Mallory i Andrea znaleźliby się w Aleksandrii o dwa tygodnie wcześniej. Opinia Mallory.ego o Jensenie, i tak wysoka, jeszcze się podniosła. Jako człowiek przewidujący i planujący wszystko dokładnie, Jensen musiał porobić wszystkie przygotowania do akcji jeszcze przed pierwszym z dwóch nieudanych lądowań spadochronowych na Nawaronie. Była godzina ósma i prawie zupełnie ciemno w samolocie, gdy Mallory wstał i poszedł do kabiny pilota. Kapitan, spowity dymem, pił kawę. Drugi pilot niedbale skinął dłonią na powitanie i zademonstrował swe znużenie rozciągającym się pod nimi krajobrazem.**

**–Dobry wieczór – Mallory uśmiechnął się. – Czy mogę wejść?**

**–Jest pan zawsze miłym gościem – zapewnił pilot. – Nie ma co pytać.**

**–Myślałem, że jesteście zajęci... – Mallory urwał obserwując znowu scenę zupełnej beczynności. – Ale kto prowadzi ten samolot? – zapytał.**

**–George. Pilot automatyczny.**

**–Pilot wskazał filiżanką w stronę czarnej, pękatej skrzynki, której zarysy były ledwie widoczne w mroku. – Bardzo pracowity facet i robi o wiele mniej idiotycznych omyłek niż ten leń, który jakoby ma dyżur... Chciał pan coś od nas, kapitanie?**

**–Tak. Jakie macie instrukcje na dzisiaj?**

**–Tylko wysadzić was w Castelrosso, jak już będzie dobrze ciemno. – Pilot urwał i powiedział szczerze: – Zupełnie tego nie rozumiem. Taka wielka maszyna na pięciu tylko ludzi i głupie paręset funtów ekwipunku. I to właśnie do Castelrosso. I jeszcze po zapadnięciu ciemności. Ostatni hydroplan, który tam wodował w ciemności, woduje do tej pory. Przeszkoda podwodna czy coś takiego, nie wiem. Dwóch ludzi ocalało.**

**–Wiem. Słyszałem. Bardzo mi przykro, ale również mam rozkazy. A jeśli chodzi o resztę, to zapomnijcie o wszystkim. Mówię serio: zapomnijcie. Wbijcie w głowy**

swojej załodze, że im nie wolno nic mówić. Po prostu żaden z nich nigdy nas nie widział. Pilot skinął głową.

–Już nam grozili sądem wojennym – powiedział. – Myślałby kto, że tu się toczą jakieś zacięte walki.

–Toczą się... Zostawimy ze dwie walizki. Wychodzimy na brzeg w innych ubraniach. Ktoś odbierze nasze stare rzeczy, jak wrócicie.

–Rozumiem. Życzę szczęścia, kapitanie. Mniejsza o urzędowe tajemnice, mam wrażenie, że szczęście bardziej wam się przyda.

–Jeśli tak, to zróbcie dobry początek. – Mallory wyszczerzył zęby w uśmiechu. – I wysadźcie nas w całości.

–Może pan być pewny – oświadczył pilot z przekonaniem.

–Niech się pan nie boi. Ja też siedzę w tym cholernym pudle. Łoskot wielkich silników sunderlanda rozbrzmiewał jeszcze w ich uszach, gdy mała, pękata motorówka terkocząc wynurzyła się z ciemności i przybiła do błyszczącego kadłuba hydroplanu. Nie tracono czasu, nie wypowiedano zbędnych słów: w ciągu minuty pięciu mężczyzn wraz z ekwipunkiem załadowało się do łodzi, a w następnej minucie motorówka ocierała się już o szorstkie kamienie nabrzeża Marynarki Wojennej w Castelrosso. Dwie cumy poleciały w ciemność, zostały schwytane i szybko zamocowane przez doświadczonych rąk. W połowie łodzi zardzewiała żelazna drabinka, wcięta głęboko w kamień, wyciągała się wysoko ku usianej gwiazdami ciemności. Gdy Mallory wspiał się na górę, z mroku wystąpiła jakaś postać.

–Kapitan Mallory?

–Tak.

–Kapitan Briggs z Armii Lądowej. Niech pana ludzie tu poczekają. Pułkownik chciałby się z panem zobaczyć. – Nosowy głos, bardzo stanowczy i afektowany, daleki był od serdeczności. Mallory poruszył się z irytacją, jednak nie powiedział nic. Głos Briggsa brzmiał tak, jakby owemu oficerowi spieszyło się już do łóżka albo do dżinu, a spóźniona wizyta uniemożliwiała mu jedno albo drugie, albo to i tamto jednocześnie. Wojna jest piekłem. Wrócili za dziesięć minut, za nimi szła trzecia osoba. Mallory popatrzył na swoich ludzi stojących na krawędzi nabrzeża – rozróżniał ich – a potem znowu rozejrzał się dokoła.

–Gdzie poszedł Miller? – zapytał.

–Tutaj jestem, komendancie – Miller stęknął, oderwał grzbiet od dużego drewnianego pachołka do cum i wstał ospale. – Tylko odpoczywam, komendancie.

**Odzyskuję siły po trudach nerwowej podróży.**

**–Kiedy już wreszcie skończycie – oznajmił kwaśno Briggs – tu obecny Matthews odprowadzi was na kwaterę. Matthews, będziecie do dyspozycji kapitana. Rozkaz pułkownika... – Ton Briggsa nie pozostawiał wątpliwości, że uważa ten rozkaz za wierutną bzdurę. – I proszę nie zapominać, kapitanie: dwie godziny. Tak powiedział pułkownik.**

**–Wiem, wiem – powtórzył Mallory ze zmęczeniem. – Byłem tam, kiedy to powiedział. Do mnie to mówił. Pamięta pan? Dobra, chłopcy, idziemy, jeśli jesteście gotowi.**

**–A nasz sprzęt? – wtrącił Stevens.**

**–Zostawcie go na miejscu. Prowadź, Matthews. Matthews wskazywał drogę przez nabrzeże i nie kończące się kondygnacje stromych, zużytych schodów, a oni szli za nim rzędem, gumowe zelówki stąpały bezszelestnie po kamieniu. Matthews zrobił zwrot na samym szczycie, zszedł wąskim, krętym zaułkiem do jakiegoś przedsionka, wspiął się na skrzypiące drewniane schody i otworzył pierwsze drzwi w korytarzu.**

**–To tutaj, sir. Będę czekał za drzwiami.**

**–Lepiej czekajcie na dole – poradził Mallory. – Bez obrazy, Matthews, ale im mniej będziecie wiedzieli, tym lepiej dla was. Wszedł do pokoju ostatni, zamykając za sobą drzwi. Pomieszczenie było małe i ciemne, z ciężkimi zasłonami w oknach. Stół i sześć krzeseł zajmowały większą część przestrzeni. W kącie stało łóżko, którego sprężyny skrzypnęły, gdy kapral Miller wyciągnął się wygodnie, splatając dłonie pod głową.**

**–Proszę, powiedział z zadowoleniem. – Pokój w hotelu. Zupełnie jak w ojczyźnie. Co prawda nieco goły. – Nagle jakaś myśl przyszła mu do głowy: – A wy, gdzie będziecie spali?**

**–Nie będziemy – oznajmił krótko Mallory. – Ani wy również. Wyruszamy za niecałe dwie godziny. – Miller jęknął. – Dalej, żołnierzu – nalegał Mallory bezlitośnie. – Wstawajcie. Miller jęknął znowu, przerzucił nogi za krawędź łóżka i popatrzył z zaniepokojeniem na Andreę. Potężny Grek metodycznie badał pokój, wyciągając szuflady, odwracając obrazy, zaglądając za zasłony i pod łóżko.**

**–Co on robi? – spytał Miller.**

**–Szuka kurzu?**

**–Jak zwykle bada, czy nie ma podsłuchu – wyjaśnił krótko Mallory. – Dzięki temu Andrea i ja dotychczas żyjemy. Sięgnął do kieszeni ciemnego marynarskiego munduru bez odznak, wyciągnął plan i mapę.**

–Siadajcie do stołu. Wiem, że przez ostatnie dwa tygodnie pękaliście z ciekawości zadając sobie setki pytań. Teraz otrzymacie na nie odpowiedź. Mam nadzieję, że będziecie zadowoleni... Pozwolicie, że wam przedstawię wyspę Nawaronę. Była dokładnie jedenasta na zegarku Mallory.ego, gdy wreszcie odsunął się od stołu, złożył mapę i plan. Popatrzył zagadkowo na cztery zamysłone twarze.

–A więc, panowie, to byłoby wszystko. Przemiała sytuacja, co?

–Uśmiechnął się sztucznie. – Gdyby to był film, powinienem teraz spytać: „Są jakieś pytania?” Ale pominiemy to, ponieważ i tak nie byłoby odpowiedzi. Wiecie teraz akurat tyle co ja.

–Ćwierć mili samej skały, czterysta stóp wysokości, a on to nazywa jedyną luką w umocnieniach. – Miller ponuro pochylił głowę nad puszką z tytoniem, doświadczoną dłonią zwinął długiego, cienkiego papierosa. – Zupełne szaleństwo, szefie. I to ja mam tam iść, ja, który nie potrafię wejść na głupią drabinę, żeby nie zlecieć. – Wydmuchiwał w powietrze chmury gryzącego dymu.

–Samobójstwo. Tego słowa właśnie mi brakowało. Samobójstwo. Stawiam jeden dolar do tysiąca, że nie podejmiemy bliżej niż na pięć mil do tych cholernych armat.

–Jeden przeciwko tysiącowi, he? – Mallory patrzył na niego przez długi czas, zanim zaczął mówić dalej. – Powiedz mi, Miller, jakie szanse dajesz wobec tego chłopcom na Cheros?

–Tak. – Miller ciężko skinął głową. – Tak. Chłopcy na Cheros. Zapomniałem o nich. Myślałem tylko o sobie i o tej cholernej skale. – Popatrzył z nadzieją na potężny tors Andrei. – Albo może Andrea mnie podsadzi. W każdym razie jest na to dość wielki. Andrea nie odpowiedział. Oczy miał do połowy przymknięte, jakby myślami był o tysiąc mil stąd.

–Zwiążemy was za ręce i nogi i będziemy ciągnąć pod górę na linie – powiedział Stevens. – Wybierzemy mocną linę – dodał beztrzesko. Słowa i ton były dość żartobliwe, lecz przeczyło im przygnębienie na twarzy. Poza Mallorym tylko Stevens doceniał wręcz niewiarygodne techniczne trudności nocnej wspinaczki na nieznaną litą skałę. Popatrzył z powątpiewaniem na Mallory.ego. – Idąc samotnie, sir, albo...

–Przepraszam na chwilę. – Andrea posunął się naprzód na krześle i zaczął mówić swym dudniącym głosem, szybko, wyraźnie, płynną kolokwialną idiomatyczną angielszczyzną, której się nauczył podczas długiego współżycia z Mallorym. Skrobał coś szybko na kawałku papieru. – Mam plan wejścia na tę skałę. Tu jest diagram. Czy kapitan myśli, że to będzie możliwe? Podał papier Mallory.emu. Mallory spojrzął, przeczytał, zrozumiał wszystko w jednej chwili. Na papierze nie było diagramu. Tylko dwa słowa dużym drukiem: „Rozmawiajcie dalej”.



–Rozumiem – powiedział z namysłem. – Bardzo dobre, Andrea. To daje zupełnie inne możliwości. – Odwrócił kartkę tak, żeby wszyscy mogli przeczytać słowa. Andrea wstał i jak kot skradał się ku drzwiom.

–Genialne, prawda, kapralu Miller? – ciągnął Mallory tonem spokojnej rozmowy. – Pomoże rozwiązać mnóstwo trudności.

–Tak. – Wyraz twarzy Millera nie zmienił się ani troszkę, nadal mrużył oczy w obronie przed dymem z papierosa przyklejonego do warg. – Przyznaję, że to mogłoby rozwiązać problem, Andrea, i nawet mnie doprowadzić cało. – Roześmiał się swobodnie, przykręcając w skupieniu dziwaczną rurę na lufie swego pistoletu, który w magiczny sposób pojawił się w jego lewej ręce. – Ale nie rozumiem tej śmiesznej kreski i kropki nad... Wszystko trwało dosłownie dwie sekundy. Ze zwodniczą swobodą i nonszalancją Andrea jedną ręką otworzył drzwi, drugą zaś sięgnął i przez szczelinę wciągnął dziko miotającą się postać, którą postawił na podłodze, i zamknął drzwi – wszystko jednym płynnym ruchem. Przez moment podsłuchujący – czarniawy Lewantyńczyk o trójkątnej twarzy, w źle leżącej białej koszuli i granatowych spodniach, stał osłupiały bez ruchu, mrugając gwałtownie nie przyzwyczajonymi do światła oczyma. A potem sięgnął za koszulę.

–Uważaj! – krzyknął ostro Miller, unosząc pistolet, lecz Mallory chwycił go za rękę.

–Patrz! – powiedział miękko. Ludzie przy stole ujrzeli tylko błysk niebieskiej stali, gdy ręka z nożem konwulsyjnie podskoczyła do tyłu, a potem ze złowieszczą szybkością opadała na dół. I wtedy, w sposób niewiarygodny, ręka i nóż zatrzymały się w powietrzu – połyskujące ostrze zaledwie o dwa cale od piersi Andrei. Rozległ się wrzask bólu i trzeszczenie kości w przegubie, gdy Andrea zacisnęła swój chwyt. Potem Grek wziął nóż delikatnie, z pełną wyrzutem troskliwością ojca ocalającego lekkomyślne dziecko przed nieodpowiedzialnym postępkami. Nóż zmienił kierunek, jego szpic znalazł się przy gardle Lewantyńczyka; Andrea zaś uśmiechał się dobrodusznie, patrząc w ciemne, przerażone oczy. Miller wydał z siebie dźwięk pośredni między westchnieniem a gwizdnięciem.

–Ładnie – mruknął. – Andrea chyba nie pierwszy raz robi coś takiego.

–Chyba – powtórzył Mallory. – Daj no tu bliżej ten okaz, Andrea. Andrea podprowadził swego więźnia i umieścił go w kręgu światła. Był to ponury, chudy mężczyzna o twarzy łasicy, czarne oczy miał otępiałe z bólu i strachu. Lewą ręką trzymał się za nadwerżony przegub.

–Jak długo ten facet stał pod drzwiami? Jak sądzisz, Andrea? – spytał Mallory. Andrea przesunął swą masywną dłoń po bujnej, czarnej, kędzierzawej czyprynie, gęsto poprządkanej siwizną na skroniach.

–Nie jestem pewny, kapitanie. Zdawało mi się, że słyszę jakiś szmer mniej więcej dziesięć minut temu, ale pomyślałem, że to złudzenie. Przed minutą usłyszałem znowu to samo. Boję się, że...

–Dziesięć minut, he? – Mallory skinął głową z namysłem i spojrzał na jeńca. – Jak się nazywasz? – zapytał ostro. – Co tu robisz? Nie było odpowiedzi. Tylko ponure spojrzenie i ponura cisza

–cisza przerwana okrzykiem bólu, gdy Andrea uderzył go w głowę.

–Kapitan cię pyta – powiedział Andrea z wyrzutem. Uderzył go po raz drugi, tym razem mocniej. – Odpowiedz kapitanowi. Obcy wybuchnął potokiem gwałtownych, nerwowych słów, gestykulując dziko rękami. Słowa były niezrozumiałe. Andrea westchnął i przerwał ten potok w prosty sposób: ścisnął żylaste gardło lewą dłonią. Mallory spojrzał na Andreę pytająco. Olbrzym pokręcił głową.

–Sądzę, że to kurdystański albo armeński, kapitanie. Nie rozumiem tego.

–Tym bardziej ja – przyznał Mallory. – Mówisz po angielsku?

–spytał nagle. Czarne, przepelnione nienawiścią oczy patrzyły na niego w milczeniu. Andrea stuknął go znowu.

–Mówisz po angielsku? – nalegał Mallory.

–Aangielskuu? Aangielskuu? – Ramiona i dłonie jeńca uniosły się w starym jak świat geście niezrozumienia. – Ka aangielskuu.

–On mówi, że nie umie po angielsku – odezwał się Miller.

–Może nie umie, a może i umie

–stwierdził obojętnie Mallory.

–Wiemy tylko, że podsłuchiwał, i nie możemy przejść nad tym do porządku dziennego. Chodzi o życie zbyt wielu ludzi. – Głos mu nagle stwardniał, oczy stały się zacięte i bezlitosne. – Andrea!

–Słucham, kapitanie?

–Masz nóż. Załatw go szybko. W plecy, między łopatki.

Stevens krzyknął ze zgrozą i zerwał się na równe nogi przewracając z trzaskiem krzesło.

–Na miłość boską, pan nie może... Urwał i patrzył ze zdumieniem na jeńca, który jak

wyrzucony z katapulty przeleciał przez cały pokój i zatrzymał się w przeciwnym rogu, zasłaniając się ramieniem. Na jego twarzy malował się obłądny strach. Stevens powoli odwrócił głowę; ujrzał triumfujący uśmiezek Andrei i porozumiewawcze spojrzenie Browna i Millera. Nagle poczuł się jak zupełny głupiec. Rzecz charakterystyczna

–Miller odezwał się pierwszy.

–Nooo, nooo i co widzimy? Może on jednak mówi po angielsku!

–Może mówi – przytaknął Mallory. – Nikt nie spędza dziesięciu minut z uchem przyklejonym do dziurki od klucza, jeśli nie rozumie ani słowa z rozmowy... Brown, zawołaj Matthews. Wartownik ukazał się w drzwiach w parę sekund później.

–Sprowadź tu kapitana Briggsa, dobrze, Matthews? – rzekł Mallory. – I to natychmiast. Żołnierz zawahał się.

–Kapitan Briggs poszedł spać, sir. Wydał surowy rozkaz, żeby go nie niepokoić.

–Serce mi krwawi na myśl o kapitanie Briggsie i jego przerwanych snach – powiedział ironicznie Mallory. – Więcej się on wyspał w ciągu ubiegłego dnia niż ja przez ostatni tydzień. – Rzucił okiem na zegarek, a jego grube brwi ściągnęły się w jedną linię nad zmęczonymi piwnymi oczyma. – Nie mamy czasu do stracenia. Sprowadź go tutaj natychmiast. Zrozumiano? Natychmiast! Matthews zsalutował i pospieszył wykonać polecenie. Miller odchrząknął i klasnął językiem.

–Wszystkie hotele są takie same. Co się w nich dzieje... nie uwierzylibyście własnym oczom. Pamiętam, kiedyś byłem na zjeździe w Cincinnati... Mallory ze zmęczeniem potrzęsął głową.

–Pleciecie bzdury, kapralu. To jest teren wojskowy, kwatery oficerów. Miller miał ochotę coś odpowiedzieć, ale zmienił zamiar. Amerykanin doskonale znał się na ludziach. Wiedział, że są tacy, z których można pożartować, i tacy, z których nie można. Miller spokojnie oceniał, że wyprawa, jakkolwiek ważna, jest prawie beznadziejna

–w jego mniemaniu samobójcza. Zaczynał jednak pojmować, dlaczego na jej dowódcę wybrano tego żylastego, opalonego Nowozelandczyka. Przez następne pięć minut siedzieli w milczeniu. Kiedy drzwi się otworzyły, podnieśli wzrok. Kapitan Briggs był bez czapki, a w miejscu krawata i kołnierzyka miał biały jedwabny szalik. Jego biel kontrastowała dziwnie ze szkarłatną czerwienią grubego karku i twarzy. Mallory zauważył to po raz pierwszy w gabinecie pułkownika – przypuszczał, że to skutek wysokiego ciśnienia i zbyt urozmaiconego trybu życia. Teraz szczególnie wyraziste plamy czerwieni i purpury były prawdopodobnie spowodowane niewłaściwie skierowanym oburzeniem. Błysk w cholerycznych oczach, które

wyglądały jak połyskujące jasnoniebieskie plamki w morzu szkarłatu, wystarczająco potwierdzał to przypuszczenie.

–Tego już za wiele, kapitanie Mallory! – Głos był piskliwy z gniewu, bardziej nosowy niż zwykle. – Nie jestem chłopcem na posyłki. Mam cholernie ciężki dzień i...

–Niech pan sobie to zachowa do swojej biografii – powiedział krótko Mallory – i rzuci okiem na tego bohatera w kącie. Twarz Briggsa stała się jeszcze czerwiejsza. Wszedł do pokoju zaciskając z wściekłością pięść i stanął na widok skurczonej rozczochranej postaci w rogu.

–Wielki Boże! – wykrzyknął. – Mikołaj!

–Pan go zna. – To było stwierdzenie faktu, a nie pytanie.

–Pewnie, że znam! – warknął Briggs. – Każdy go zna. To nasz chłopak z pralni.

–Wasz chłopak z pralni! Czy jego obowiązki obejmują szpiclowanie w nocy po korytarzach i podsłuchiwanie pod drzwiami?

–Co pan ma na myśli?

–To, co mówię. – Mallory był bardzo cierpliwy. – Schwytaliśmy go na podsłuchiwaniu pod drzwiami.

–Mikołaja? Nie wierzę w to!

–Niech pan uważa! – warknął Miller. – Niech pan nie będzie taki pochopny w zarzucaniu komuś kłamstwa. Wszyscy go widzieliśmy. Briggs, zafascynowany, patrzył na czarną muszkę pistoletu chwiejącą się niedbale w jego pobliżu, przełknął i szybko odwrócił oczy.

–No więc co, jeśli słuchał? – Zmusił się do uśmiechu. – Mikołaj nie mówi ani słowa po angielsku.

–Może nie mówi – zgodził się sucho Mallory. – Ale rozumie wystarczająco. – Podniósł rękę.

–Nie mam ochoty dyskutować przez całą noc i na pewno nie mam na to czasu. Pan będzie łaskaw osadzić tego człowieka w areszcie, w pojedynczej celi, tak żeby nie mógł się z nikim kontaktować przynajmniej przez najbliższy tydzień. To zasadnicza sprawa. Czy jest szpiegiem, czy jest tylko taki diabelnie wścibski, wie stanowczo za dużo. Potem róbcie z nim, co chcecie. Moja rada to wywalić go z Castelrosso.

–Pana rada, rzeczywiście! – Na twarz Briggsa powróciła czerwień, a wraz z nią

odwaga. – Kim pan, do cholery, jest, żeby dawać mi rozkazy, kapitanie Mallory? – Na słowie „kapitanie” położył szczególny nacisk.

–Proszę o to jak o grzeczność

–powiedział Mallory zmęczonym tonem. – Nie mogę panu więcej wytłumaczyć, ale jest to ogromnie ważne. Życie setek ludzi...

–Życie setek ludzi! – ironizował Briggs. – Melodramatyczne bzdury i nonsens! – Uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Proponuję, żeby pan to z kolei zachował do swojej biografii z kryminalnego romansu, kapitanie Mallory. Mallory wstał, obszedł stół dokoła i zatrzymał się na pół kroku przed Briggsem. Jego piwne oczy były spokojne i bardzo chłodne.

–Mógłbym porozmawiać z pana dowódcą. Ale jestem zmęczony dyskusjami. Albo zróbi pan dokładnie to, co mówię, albo pójdę prosto do sztabu Marynarki Wojennej i przekażę radiogram do Kairu. A jeśli to zrobię – ciągnął – przysięgam, że znajdzie się pan na najbliższym statku do Anglii, i to na pokładzie dla szeregowych. Ostatnie słowa zdawały się rozbrzmiewać echem w małym pomieszczeniu nieskończenie długo. Zapanowała grobowa cisza. A potem napięcie minęło równie nagle, jak się pojawiło. Twarz Briggsa, teraz dziwnie nakrapiana białymi i czerwonymi plamkami, zrobiła się nagle obwisła, żalosna w porażce.

–Dobra – powiedział. – Po co te głupie pogróżki... jeśli to dla was takie ważne... – Próba ocalenia resztek godności była dramatyczna w swym prymitywizmie. – Matthews, zawołaj wartę. Ścigacz torpedowy, którego potężne maszyny pracowały tylko na pół mocy, chwiał się i kiwał monotennie, torując sobie drogę wśród fal wzbudzanych przez wiatr zachodnio\_północno\_zachodni. Po raz setny tej nocy Mallory zerknął na zegarek.

–Mamy spóźnienie? – zapytał Stevens. Mallory skinął głową.

–Mieliśmy przenieść się na tę łajbę prosto z sunderlanda, tymczasem coś się tam pokręciło. Brown chrząknął.

–Założyłbym się, że był defekt maszyny. – jego akcent z Clydeside był bardzo wyraźny.

–Tak, to prawda. – Mallory spojrzał zdziwiony. – Skąd wiecie?

–Zawsze to samo z tymi diabelnymi silnikami ścigaczy torpedowych – mruknął Brown. – Kapryśne jak gwiazdy filmowe. Przez pewien czas w maleńkiej, zacienionej kabinie panowała cisza, przerywana niekiedy brzękiem szklanki. Marynarka wojenna demonstrowała swą tradycyjną gościnność.

–Jeśli mamy spóźnienie – zauważył wreszcie Miller – dlaczego nie idziemy z całą szybkością? Słyszałem, że te łajby robią czterdzieści do pięćdziesięciu węzłów.

–Musicie być bardzo zielony

–powiedział nietaktownie Stevens. – Widać nigdy nie byliście na ścigaczu płynącym z pełną szybkością przy dużej fali. Miller milczał przez jakiś czas. Wyraźnie starał się odwrócić myśli od swych kłopotów.

–Kapitanie? – powiedział.

–Tak? O co chodzi? – odezwał się sennie Mallory. Wyciągnął się na wąskiej koi, trzymając w ręku prawie pustą szklankę.

–Co prawda to nie mój interes, wiem o tym, komendancie, ale... czy wykonałby pan swą pogroźkę wobec kapitana Briggsa? Mallory roześmiał się.

–To rzeczywiście nie wasz interes, ale cóż... nie, kapralu, nie wykonałbym. Nie wykonałbym, bobym nie mógł. Nie mam tyle władzy... A nawet nie wiem, czy w Castelrosso jest radiotelefon.

–Tak. Wie pan, że tak mi się zdawało. – Kapral Miller potarł pokryty szczecina policzek. – A gdyby on się zorientował, że to bluff, co by pan zrobił, komendancie?

–Zastrzeliłbym Mikołaja – powiedział Mallory spokojnie. – Gdyby pułkownik mnie zawiódł, nie miałbym innego wyjścia.

–Tak przypuszczałem. I naprawdę wiem, że pan by to zrobił. Po raz pierwszy zaczynam wierzyć, że mamy jakąś szansę... Ale wolałbym, żeby pan zastrzelił jego i tego małego lorda Fauntleroya. Nie podobał mi się wyraz twarzy Briggsa, kiedy pan wyszedł z pokoju. „Podły”, to nie jest właściwe słowo. On mógłby pana wtedy zabić. Zdeptał pan jego pychę, a dla takiego bałwana nic innego na świecie nie istnieje. Mallory nie odpowiedział. Zdążył już twardo zasnąć, pusta szklanka wypadła mu z ręki. Nawet upiorny łoskot wielkich silników rozwijających pełną szybkość, gdy weszli na spokojną wodę kanału rodyjskiego, nie mógł go wyrwać z bezdennej przepaści snu. Rozdział trzeci Poniedziałek Godz. #/07#00\_#/17#00

–Drogi przyjacielu, przez pana czuję się straszliwie zakłopotany. – Oficer z niechęcią klapnął się wytworną packą na muchy po odzianej w nieskazitelne spodnie nodze i pogardliwie wskazał błyszczącym noskiem buta na starożytny kuter o szerokich rejach i dwóch masztach, przycumowany rufą do jeszcze starszego i bardziej spróchniałego mola, na którym stali. – Dosłownie się wstydzę. Zapewniam pana, że klienci firmy „Rutlege i S\_ka”, przyzwyczajeni są tylko do towaru najwyższej jakości. Mallory uśmiechnął się. Major Rutlege wyrażał się jak absolwent najlepszej uczelni, wąsy miał wyszczotkowane co do milimetra, jego drelichowy mundur

odznaczał się wręcz olśniewającą wojskową elegancją. Major tak wspaniale nie pasował do dzikiego uroku krajobrazu nagich kamiennych ścian, obrzeżających krętą zatoczkę, że jego obecność tutaj wydawała się nieodzowna. Absolutna pewność siebie i majestatyczna obojętność oficera były tak przemożne, że jeśli już, to właśnie zatoka wydawała się nieco nie na miejscu.

–Istotnie, ta łajba wygląda, jakby widziała lepsze dni – przyznał Mallory. – Niemniej jednak, sir, właśnie o coś takiego nam chodzi.

–Nie rozumiem. Naprawdę nie rozumiem. – Zirytowanym, lecz właściwie wymierzonym ruchem major strącił niewinnie przelatującą muchę. – W ciągu minionych ośmiu czy dziewięciu miesięcy zaopatrywałem kolegów we wszystko: kutry, barki, jachty, łodzie rybackie, dosłownie wszystko – ale nikt dotychczas nie zapotrzebował najstarszego, najbardziej zmurszałego grata, jakiego mogłem wynaleźć. A wynalezienie go nie było wcale łatwe, niech mi pan wierzy. – Na twarzy majora pojawiła się udręka. – Panowie, których znam, zazwyczaj nie zajmują się dostawami takiego szmelcu.

–Jacy panowie? – zapytał Mallory z zaciekawieniem.

–Och, ci na wyspach, wie pan.

–Rutlege wskazał niezbyt wyraźnie ku północy i zachodowi.

–Ale... przecież tam jest nieprzyjaciel...

–Tutaj też jest. Koledzy muszą gdzieś mieć kwaterę główną

–wyjaśniał cierpliwie Rutlege. Nagle jego twarz rozpromieniła się. – Zaraz... Mam coś akurat dla pana. Jeśli dobrze rozumiem, Kair zażądał jednostki pływającej, która by uszła obserwacji i kontroli. A co byście powiedzieli na niemiecki ścigacz torpedowy w idealnym stanie, którym się opiekuje tylko jeden troskliwy właściciel? Dziesięć tysięcy z dostawą. Trzydzieści sześć godzin. Mój kolega w Bodrum...

–Bodrum...?! – powtórzył Mallory. – Bodrum? Przecież to w Turcji, prawda?

–W Turcji? No tak, obecnie chyba tak – przyznał Rutlege. – Człowiek musi gdzieś w końcu znaleźć źródło zaopatrzenia, wie pan – dodał tonem wyjaśnienia.

–Dziękuję za dobre chęci – uśmiechnął się Mallory – ale ten kuter właśnie nam odpowiada. A ponadto nie możemy czekać.

–Na waszą odpowiedzialność! – Rutlege podniósł ramiona w uznaniu swej porażki. – Dam panu ze dwóch ludzi, żeby załadowali wasze rzeczy na pokład.

**–Raczej zrobimy to sami, sir. Mamy... hm, bardzo specjalny ładunek.**

**–Słucznie – przyznał major. – O nic nie pytam. Mówią o mnie nawet: „Rutlege, który o nic nie pyta”. Szybko wyruszacie? Mallory spojrzał na zegarek.**

**–Za pół godziny.**

**–Jak się zapatrujecie na jajka na bekonie i kawę za dziesięć minut?**

**–Dziękuję bardzo – Mallory uśmiechnął się z zadowoleniem. – To przyjmujemy z przyjemnością. Odwrócił się i wolno poszedł do końca nabrzeża. Oddychał głęboko, smakując rześkie, nasycone korzennym zapachem powietrze egejskiego poranka. Słony zapach morza, oszałamiająco słodka woń kapryfolium, ostry zapach mięty mieszały się w jeden odurzający, nieokreślony, niezapomniany aromat. Po drugiej stronie strome stoki, połyskliwie zielone od sosen, włoskich orzechów i ostrokrzewów, rozciągały się daleko do wrzosowych pastwisk w górze, skąd, niesiony lekko pachnącym wiatrem, dolatywał odległy melodyjny dźwięk dzwonek pasących się kóz – upojna nostalgiczna muzyka, prawdziwy symbol leniwego spokoju, którego Morze Egejskie już nie znało. Prawie nieświadomie Mallory przyśpieszył kroku. Jego ludzie nadal siedzieli w tym samym miejscu, w którym ścigacz torpedowy wysadził ich tuż przed świtem. Miller swoim zwyczajem wyciągnął się jak długi, osłaniając się czapką przed złotymi poziomymi promieniami wschodzącego słońca.**

**–Bardzo mi przykro, że wam przeszkadzam, ale wyruszamy za pół godziny. Śniadanie za dziesięć minut. Załadujcie rzeczy na pokład. Może rzucicie okiem na maszynę? – zwrócił się do Browna. Brown wstał i bez entuzjazmu popatrzył na zagracony kuter, z którego łuszczyła się farba.**

**–Racja, sir. Ale jeśli silnik wygląda podobnie jak ten cholerny wrak... Pokiwał głową z proroczym smutkiem i zręcznie przeskoczył krawędź mola. Mallory i Andrea poszli w jego ślady, przerzucając ekwipunek, który podawali im dwaj pozostali członkowie załogi. Najpierw załadowali worek starych ubrań, potem jedzenie, prymus i paliwo, ciężkie buty, haki, młotki, czekany i szpule liny z drutem w środku, potrzebne do wspinaczki, następnie – ostrożnie – aparat odbiorczo\_nadawczy, dynamo, zaopatrzone w staromodną rękojeść tłokową. Później poszła broń: dwa schmeissery, dwa breny, jeden mauzer i jeden colt, dalej skrzynka, zawierająca niesamowitą, lecz starannie wybraną kolekcję latarek i lusterek, dwa komplety dowodów osobistych i – rzecz niewiarygodna – butelki „hocku”, wina mozelskiego, „ouzo” i „restimy”. Wreszcie z przesadną ostrożnością umieścili w dziobówce dwie drewniane skrzynki: jedną zieloną, średniej wielkości i okutą mosiądzem, drugą mniejszą, czarną. Zielona zawierała materiał wybuchowy o wielkiej mocy – tnt, amatol i parę standardowych lasek dynamitu wraz z granatami, sponkami i bawełną strzelniczą w płóciennych pojemnikach. W jednym rogu skrzynki był woreczek z karborundem, drugi z**



**mielonym szkłem i opieczętowana puszka z potasem – te trzy ostatnie artykuły załączono na wypadek, gdyby Dusty Miller znalazł okazję wykorzystania swych niezwykłych talentów sabotażysty. Czarna skrzynka zawierała tylko detonatory, uderzeniowe i elektryczne, i zapalniki ze spłonkami tak czułymi, że mogły wybuchnąć od muśnięcia spadającego pióra. Właśnie załadowano ostatnią skrzynkę, gdy Casey Brown pojawił się nad lukiem maszynowni. Powoli zbadał główny maszt wyrastający nad jego głową i równie powoli odwrócił się, by spojrzeć na maszt przedni. Jego twarz nie miała żadnego wyrazu, gdy patrzył na Mallory.ego.**

**–Czy mamy żagle do tych kołków, sir?**

**–Chyba tak. A dlaczego?**

**–Głowę daję, że będą nam potrzebne – powiedział gorzko Brown. – Kazał mi pan zajrzeć do maszynowni. To nie jest maszynownia. To składnica złomu. A największy i najbardziej zardzewiały kawał złomu jest przytwierdzony do wału napędowego. I jak pan uważa, co to jest? Stary dwucylindrowy kelvin, zbudowany gdzieś w mojej parafii, jakieś trzydzieści lat temu. – Brown pokiwał głową ze zgryzotą, jego twarz była tak strapiona, jak może być strapiona twarz mechanika z Clydeside mówiącego źle o ukochanej maszynie. – I już od lat się sypie. Cały luk zarzucony jest różnymi odłamkami i częściami. Widziałem wraki w Gallowgate, ale to były cuda w porównaniu z tym.**

**–Major Rutlege mówił, że wczoraj to było jednak na chodzie – oznajmił łagodnie Mallory. – Tak czy inaczej, wysiadajcie na brzeg. Śniadanie. Przypomnijcie mi, żeby po drodze zabrać parę ciężkich kamieni, dobrze?**

**–Kamieni!? – Miller patrzył na niego ze zgrozą. – Na pokład takie rzeczy? Mallory potwierdził z uśmiechem.**

**–Ale ten diabelny grat już i tak tonie – zaprotestował Miller. – Po co jeszcze kamienie?**

**–Poczekajcie, to zobaczycie. W trzy godziny później Miller zobaczył. Kuter terkotał, płynąc wciąż ku północy po szklistym, bezwietrznym morzu, niecałą milę od brzegu Turcji, gdy kapral z żalem skończył zwijanie swego marynarskiego munduru w ciasny tobołek i melancholijnie wyrzucił go za burtę. Obciążony wielkim kamieniem mundur zniknął w jednej chwili.**

**Miller z irytacją obejrzał się w lusterku opartym o ścianę sterówki. Poza mocno fioletową szarfą, związaną wokół jego szczupłej talii, i fantastycznie haftowaną kamizelką, której dawna świetność litościwie zbladła, był ubrany całkowicie na czarno. Czarne sznurowane buty, czarne bufiaste spodnie, czarna koszula i czarna kurtka; nawet jego płowe włosy zostały ufarbowane na ten sam kolor. Wzdrygnął się**

**i odwrócił.**

**–Dzięki Bogu, że nasze chłopaki nas nie widzą! – powiedział z naciskiem. Popatrzył krytycznie na kolegów, z małymi odmianami ubranych tak samo jak on. – No, może to mimo wszystko nie wygląda tak źle... Ale po co ta maskarada, komendancie?**

**–Mówiono mi, że dwa razy byliście za niemieckimi liniami**

**–raz jako chłop, a raz jako mechanik. – Mallory wyrzucił za burtę swój obciążony mundur. – A teraz widzicie, co nosi na sobie elegancki Nawaronecznyk.**

**–Ale chodzi mi o to podwójne przebieranie. Raz w samolocie, a drugi raz tutaj.**

**–Ach, rozumiem. Khaki i białe mundury marynarki w Aleksandrii, granatowe uniformy w Castelrosso, a teraz greckie stroje? W Aleksandrii mogli być i na pewno byli szpicle, podobnie w Castelrosso i na wyspie majora Rutlege'a. Przebieraliśmy się specjalnie z kutra do samolotu, ścigacza i greckiego kutra. Zacieraliśmy za sobą ślady, kapralu. Musimy zachować ostrożność. Miller skinął głową, spojrzawszy na worek z ubraniami u swoich stóp, w zdumieniu zmarszczył czoło i wyciągnął biały strój. Podniósł do góry obszerną białą pelerynę.**

**–A tego pewnie będziemy używać przechodząc przez miejscowe cmentarze. – W jego głosie brzmiała ironia. – Przebierzemy się za duchy.**

**–Kamufaż – wyjaśnił krótko Mallory. – To są peleryny maskujące na śnieg.**

**–Co?**

**–Na śnieg. Taki biały puch. Na Nawaronie są dość wysokie góry i możliwe, że będziemy musieli na nie wchodzić. A więc odpowiednie stroje maskujące. Miller wyglądał jak nieprzytomny. Bez słowa wyciągnął się na pokładzie, podłożył ręce pod głowę i zamknął oczy. Mallory uśmiechnął się do Andrei.**

**–Oto obraz człowieka maksymalnie wykorzystującego światło słoneczne, zanim pograży się w pustkowiach Arktyki... Niezła myśl. Może ty się również prześpisz. Będę trzymał wachtę przez dwie godziny. Pięć godzin kuter utrzymywał się na kursie równoległym do tureckiego brzegu, nieco na północny zachód, i rzadko dalej niż dwie mile od lądu. Świeży i rozgrzany w ciągle życzliwym listopadowym słońcu, Mallory siedział między burtami tępego dziobu i bez przerwy obserwował niebo i morze. Andrea i Miller spali na śródokręciu, a Casey Brown nadal odmawiał wyjścia z maszynowni. Od czasu do czasu – i to rzadko – wychodził, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, ale przerwy między jego wyjściami ciągle się przedłużały. Miał coraz więcej roboty ze starym silnikiem kelvina: musiał regulować fatalny dopływ paliwa, ustalać dopływ powietrza – Brown, mechanik z krwi i kości, był nieszczęśliwy przy tej maszynie. Odczuwał ponadto zawroty głowy i ból, ponieważ wąskie**

pomieszczenie nie miało prawie wcale wentylacji. Sam jeden w sterówce, porucznik Andy Stevens patrzył, jak wolno przesuwa się turecki brzeg. Podobnie jak Mallory, obserwował stale, ale nie w tak systematyczny sposób. Patrzył to na brzeg, to na mapę. Z mapy przenosił wzrok na wyspy leżące na kursie, wyspy, których pozycja i wzajemny stosunek zmieniały się stale i zwodniczo, wyspy wyłaniające się stopniowo z morza i coraz lepiej widoczne w niebieskawej mgiełce. Potem spoglądał znów na stary kompas alkoholowy, który chwiał się prawie bez przerwy na zardzewiałym kardanie, i z powrotem ku brzegowi. Od czasu do czasu zerkał na niego albo przesuwał szybko wzrokiem po linii horyzontu. Wciąż jednak omijał oczyma jeden przedmiot: popękane, popstrzone przez muchy lusterko, wiszące w sterówce. Zupełnie jakby lusterko i jego oczy były dwoma przeciwnymi biegunami magnetycznymi. Nie mógł się zdobyć, żeby w nie spojrzeć. Bolały go ramiona. Dwukrotnie zmieniano go przy sterze, ale nic nie pomogło, kostki szczupłych, opalonych rąk białą jak kość słoniowa na zużytych kole. Wielokrotnie próbował odpocząć, złagodzić napięcie w mięśniach ramion, ale zawsze, jakby obdarzone własną świadomością, dłonie zaciskały się znowu. W suchych spieczonych ustach miał dziwny smak, kwaśny i słony, i obojętne, ile razy przełykał lub popijał z rozgrzanego w słońcu stojącego obok dzbana, suchość i niesmak pozostawały. Nie miał nad nimi władzy, podobnie jak nad tą zaciskającą się w jego wnętrzościach kulą, tuż nad splotem słonecznym, albo dziwaczny, nie dającym się opanować drżeniem, które od czasu do czasu odczuwał w prawej nodze. Porucznik Andy Stevens bał się. Nigdy dotychczas nie brał udziału w takiej akcji, ale nie to było ważne. Nie po raz pierwszy się bał. Bał się przez całe swoje życie, odkąd sięgał pamięcią. A sięgał daleko, aż do przedszkola. Pamiętał, jak go ojciec, głośny swego czasu badacz i alpinista Cedric Stevens, dosłownie wrzucił do basenu, twierdząc, że to jedyny sposób, żeby nauczyć się pływać. Pamiętał, jak walczył, jak się szamotał, dążąc do brzegu basenu, ogarnięty grozą i zrozpaczony, z nosem i ustami pełnymi wody, żołądkiem zaciśniętym w tym nieokreślonym, przerażającym bólu, który miał później tak dobrze poznać; jak ojciec i dwaj starsi bracia, silni, radośni, pozbawieni nerwów jak sam ojciec, otarłszy łzy śmiechu wrzucili go znowu do wody... Ojciec i bracia... Przez wszystkie szkolne lata było tak samo. To oni zamienili jego życie w koszmar. Twardzi, serdeczni ludzie, stworzeni do spartańskiego życia, uprawiali kult sportu i sprawności fizycznej, nie mogąc zrozumieć, jak można nie gustować w skokach z pięciometrowej trampoliny, bać się przesadzić na koniu zaryglowaną bramę, wspinać się po urwiskach górskich albo żeglować łodzią podczas sztormu. Zmuszali go do robienia rzeczy, których najczęściej nie mógł zrobić – nie z okrucieństwa zresztą, po prostu z nieświadomości. A więc do zwykłego fizycznego strachu, który normalnie odczuwał, dochodził lęk przed niepowodzeniem, przed nieuniknionym szyderstwem. Jako chłopak wrażliwy, ponad wszystko bał się śmiechłości, zaczął się bać wszystkiego, co mogłoby wywołać kpiny. Wreszcie doszedł już do tego, że bał się samego strachu, mając więc lat siedemnaście podjął desperacką próbę przezwyciężenia tego uczucia – biorąc się do alpinizmu. Osiągnął wreszcie w tej dziedzinie takie sukcesy i zyskał taką reputację, że ojciec i bracia

zaczęli traktować go z szacunkiem. Ale strach go nie opuścił – przeciwnie, wzrósł nawet w nowych warunkach. Bywało, że na szczególnie trudnych wspinaczkach Andy o mało nie spadł, bezsilny w szponach bezsensownego lęku. Ale Andy próbował skutecznie, jak dotychczas, ukrywać swoją słabość. Tak jak teraz. Usiłował stłumić, zataić swój strach. Bał się, że zawiedzie, że nie dorośnie do pokładanych w nim nadziei. Bał się, że się będzie bał, że wszyscy zobaczą, jak on się boi...

Wzruszający, niewiarygodny błękit Morza Egejskiego, miękkie, mgliste sylwetki Gór Anatolijskich na tle wyblakłego granatu; chwytająca za serce magiczna mieszanka szafiru, fioletu, purpury i indyga na skąpanych w słońcu wyspach, które przesuwały się leniwie, teraz prawie tuż za burtą; opalizujące zmarszczki na wodzie poruszanej delikatną pachnącą bryzą z południowego wschodu; tchnąca spokojem scena na pokładzie, budzące ufność stukanie starego silnika kelvina... Wszystko było spokojem, ciszą, zadowoleniem, ciepłem i lenistwem; uczucie lęku wydawało się niemożliwe. Świat i wojna były bardzo odległe owego popołudnia. A może jednak wojna nie była tak odległa. Od czasu do czasu przypominała o sobie. Dwa razy niemiecki hydroplan arado krążył im wścibsko nad głowami, a savoia i fiat, lecące razem, zmieniły kurs, znurkowały, by na nich spojrzeć, i odleciały, wyraźnie zadowolone. Były to włoskie samoloty, prawdopodobnie z bazy na Rodos, i prawie na pewno pilotowane przez Niemców, którzy okrążyli swych dotychczasowych sprzymierzeńców i zamknęli ich w obozach po kapitulacji rządu włoskiego. Rankiem, w odległości pół mili, wyminęli duży kuter – płynął pod niemiecką banderą i połyskiwał karabinami maszynowymi i działkiem na dziobie; wczesnym popołudniem niemiecki ścigacz z rykiem motorów przeleciał tak blisko, że ich kuter zaczął się fatalnie kołysać na fali. Mallory i Andrea wymachiwali zaciśniętymi pięściami, klęli głośno i soczyście pod adresem uśmiechających się na pokładzie marynarzy. Ale nie było próby napastowania czy zatrzymania ich: ani Brytyjczycy, ani Niemcy nigdy nie wahali się pogwałcić neutralności tureckich wód terytorialnych, ale przez dziwną donkiszoterię milczącego dżentelmeńskiego porozumienia mijające się okręty i samoloty z reguły wstrzymywały się od działań zaczepnych. Zupełnie jak u przedstawicieli wojujących stron w neutralnej stolicy, ich zachowanie wahało się między nieskazitelną, lodową grzecznością a ostentacyjnym niedostrzeganiem obecności przeciwnika. Tak więc wyglądały – niewinne na razie – spotkania z okrętami i samolotami nieprzyjaciela. Inne sygnały, że to nie pokój, lecz tylko iluzja, efemeryczna i krucha, miały poważniejszy charakter. Powoli obracały się minutowe wskazówki zegarków, a każde tyknięcie przybliżało grupę Mallory.ego do owej wielkiej skalnej ściany, odległej zaledwie o osiem godzin podróży, na którą w jakiś sposób należało się wdrapać. Prawie dokładnie przed dziobem, nie dalej niż w odległości pięćdziesięciu mil, widzieli już teraz ponure, postrzępione wierzchołki Nawarony, wznoszące się nad migotliwym horyzontem i sięgające ciemnym masywem w szafirowe niebo, samotne i odległe, i dziwnie groźne. O drugiej trzydzieści po południu silnik stanął. Nie było ostrzegawczego pokaszliwania czy krztuszenia się albo tępych stuknięć. W jednej chwili regularne, spokojne dudnienie, a już w następnej – nieoczekiwana cisza, dręcząca i złowieszcza. Mallory pierwszy

**dobiegł do maszynowni.**

**–Co się stało, Brown? – W jego głosie brzmiał lęk. – Maszyna wysiadła?**

**–Niezupełnie, sir. – Brown, pochylony nad silnikiem, mówił stłumionym głosem. – Po prostu wyłączyłem ją. – Wyprostował się, z wysiłkiem precyzyjnie się przez właz, usiadł na pokładzie, zwiesiwszy nogi i głęboko wciągał świeże powietrze. Pod opalenizną był bardzo blady.**

**–Mallory przypatrzył mu się uważnie.**

**–Wyglądacie, jakbyście przeżyli chwilę panicznego strachu.**

**–To nie to. – Brown potrząsnął głową. – Przez ostatnie dwie czy trzy godziny zatruwałem się powoli w tej paskudnej dziurze. Dopiero teraz to sobie uświadamiam. – Otarł ręką czoło i stęknął. – Jakby mi miało rozsadzić głowę. Tlenek węgla nie należy do zdrowych rzeczy.**

**–Nieszczelna rura wydechowa?**

**–Tak jest. Ale teraz to coś więcej niż pęknięcie. – Wskazał na silnik. – Widzi pan tę stojącą rurę, na której jest osadzona duża żelazna kula nad silnikiem? To chłodnica. Ta rura jest cienka jak papier, musiała już godzinami przeciekać nad kołnierzem dennym. Przed minutą wyrwało cholernie wielką dziurę. Iskry, dym i płomień na sześć cali. Musiałem natychmiast wyłączyć to draństwo. Mallory ze zrozumieniem skinął głową.**

**–A teraz co? Możecie zreperować?**

**–Niemożliwe, sir. Należałoby to przylutować albo przyspawać. Ale jest zapasowa rura w tym złomie. Zardzewiała jak diabli i rozkalibrowana jak ta tutaj... Spróbuję, sir.**

**–Ja mu pomogę – pośpieszył na ochotnika Miller.**

**–Dziękuję, kapralu. Brown, jak długo to może potrwać?**

**–Bóg jeden wie, sir. Dwie godziny, może cztery. Większość muter i wkrętów jest całkiem zablokowana rdzą. Będę musiał je obcinać albo odpiłowywać, a potem szukać innych. Mallory nic nie powiedział. Odwrócił się ciężko i stanął przy Stevensie, który wyszedł ze sterówki, a teraz pochylał się nad skrytką na żagle. Spojrzał na Malloryego pytającym wzrokiem. Mallory skinął głową.**

**–Wyjmij i wciągnij. Brown mówi, że może cztery godziny. Andrea i ja pomożemy w miarę swoich umiejętności szczurów lądowych. W dwie godziny później (maszyna była jeszcze nieczynna) znaleźli się dość daleko od wód terytorialnych, trzymając**

**kurs na Wyspę w odległości ośmiu mil na Wnw. Wiatr, ciepły teraz i dokuczliwy, zmienił kierunek i dał od wschodu; niebo pociemniało, rozległy się grzmoty. Ponieważ nie mieli wszystkich żagli, nie mogli lawirować. Mallory postanowił skierować statek ku wyspie – możliwość ukrycia się była tam większa niż na otwartym morzu. Ze strachem spoglądał na zegarek, patrząc jednocześnie smętnie na uciekający do tyłu bezpieczny turecki brzeg. Nagle zeszywniał, popatrzył uważnie na ciemną linię na morzu – tam, gdzie na wschodzie ziemia stykała się z niebem.**

**–Andrea! Widzisz?**

**–Widzę, kapitanie. – Andrea stał u jego boku. – Kuter. Trzy mile. Płynie prosto na nas – dodał cicho.**

**–Płynie prosto na nas – potwierdził Mallory. – Zawołaj Millera i Browna. Niech tu przyjdą. Mallory nie tracił czasu.**

**–Zostaniemy zatrzymani i poddani badaniu – powiedział szybko. – O ile się nie mylę, jest to ten sam duży kuter, który nas mijał dziś rano. Bóg wie, jak to się stało, ale Niemcy otrzymali jakąś wiadomość i będą podejrzliwi jak diabli. Nie należy się spodziewać żadnych względów. Będą uzbrojeni po zęby i będą rozrabiali. Żadne półśrodki nie wchodzi w rachubę. Chciałbym, żebyśmy to sobie jasno uświadomili. Albo oni pójdą na dno, albo my. Z takim ładunkiem na pokładzie nie możemy ocaleć przy inspekcji. A przecież – dodał – nie zamierzamy wyrzucić tego ładunku za burtę. Pośpiesznie wyłuszczył swoje plany. Stevens, wychylając się z okienka sterówki, poczuł mdlący ból w żołądku, poczuł, jak krew ucieka mu z twarzy. Cieszył się, że ściana sterówki zasłania go prawie całego; dawne drżenie w nodze pojawiło się znowu. Nawet głos miał drżący.**

**–Ale... sir, sir...**

**–O co chodzi, Stevens? – Nawet w tak gorączkowym pośpiechu Mallory urwał na widok bladej, ściągniętej twarzy i zbielejących paznokci zaciśniętych na ramie okienka rąk.**

**–Pan tego nie może zrobić, sir! – Głos był zduszony. Przez chwilę Stevens bezdźwięcznie poruszał ustami, a potem ciągnął dalej: – To masakra, sir... to po prostu morderstwo!**

**–Zamknij się, dzieciaku! – warknął Miller.**

**–A to co znowu, kapralu! – krzyknął ostro Mallory. Przez długą chwilę patrzył na Amerykanina, później zwrócił się do Stevensa, oczy miał chłodne.**

**–Poruczniku, cała zasada prowadzenia skutecznej wojny polega na tym, żeby postawić nieprzyjaciela w niekorzystnej sytuacji, żeby nie dać mu równych szans.**

**Albo my ich zabijemy, albo oni zabiją nas. Albo oni pójdą na dno, albo my – a wraz z nami tysiąc ludzi na Cheros. To takie proste, poruczniku. To już nawet nie kwestia sumienia. Przez kilka sekund Stevens spoglądał na Mallory.ego w zupełnej ciszy. Uświadomił sobie niejasno, że wszyscy na niego patrzą. W tej chwili nienawidził Mallory.ego, mógłby go zabić. Nienawidził go, ponieważ... nagle uświadomił sobie, że nienawidzi go jedynie za bezlitosną logikę tego, co powiedział. Zerknął na swoje zaciśnięte dłonie... Mallory, bożyszczce wszystkich młodych alpinistów, którego fantastyczne akcje były sensacją światowej prasy w latach 1938 i 1939; Mallory, którego w sposób najbardziej okrutny dwukrotnie opuściło szczęście, gdy Rommel zaskoczył go w pustyni; Mallory, który trzykrotnie odmawiał przyjęcia awansu, ażeby pozostać ze swymi ukochanymi Kreteńczykami, otaczającymi go niemal bałwochwalczą czcią... Myśli te chaotycznie przelatywały mu przez głowę. Powoli podniósł oczy, spojrzął na szczupłą, opaloną twarz, zmysłowe, jakby rzeźbione usta, gęste czarne brwi, proste jak kreska nad piwnymi oczyma, które potrafiły być tak chłodne lub tak pełne współczucia. I nagle zawstydził się, wiedział, że nie jest w stanie ani zrozumieć, ani osądzić kapitana Mallory.ego.**

**–Bardzo przepraszam. – Uśmiechnął się z wysiłkiem. – Bredzę, jakby to kapral Miller powiedział. – Zerknął na kuter zbliżający się z południowego wschodu. Znowu poczuł mdłący strach, ale głos miał już dość pewny. – Nie zawiedzie się pan na mnie, sir.**

**–Dobrze. Nie miałem nigdy co do tego wątpliwości. – Teraz Mallory z kolei się uśmiechnął, spojrzął na Millera i Browna. – Przygotujcie wszystko i połóżcie na odpowiednich miejscach. Spokojnie, swobodnie, tylko dobrze schowajcie. Z pewnością będą nas obserwować przez lornety. Odwrócił się i poszedł na dziób statku, Andrea za nim.**

**–Byłeś bardzo surowy dla tego młodego człowieka. – W tonie Andrei nie było krytyki ani wyrzutu, po prostu stwierdzenie faktu.**

**–Wiem. – Mallory wzruszył ramionami. – Nie lubię tego... Ale musiałem tak zrobić.**

**–Ja też myślę, że musiałeś – powiedział wolno Andrea. – Tak, to było konieczne. Ale okrutne... Sądzisz, że użyją działa na dziobie, żeby nas zatrzymać?**

**–Mogą... Nie wróciliby do nas, gdyby nie byli pewni, że coś tu nie gra. Ale strzał ostrzegawczy przed dziobem... Zazwyczaj nie bawią się w takie rzeczy. – Mallory uśmiechnął się. – Czas, żebyśmy zajęli stanowiska. Pamiętaj, czekaj na mnie. Bez trudu usłyszysz mój sygnał – zakończył sucho. Wysokie, spienione odkosy zmieniły się w nieduże zmarszczki na wodzie, ciężki diesel ścichł do pomruku, gdy kuter niemiecki prześlizgiwał się w odległości zaledwie sześciu stóp od ich burty. Mallory siedział na skrzynce na dziobie, pracowicie przyszywając guzik do starej kurtki, leżącej na pokładzie. Z tego miejsca widział sześciu ludzi w mundurach niemieckiej marynarki wojennej – jeden przycupnął za spandauem z taśmą nabożową,**

ustawionym na trójnogu, tuż za działkiem, trzej dalsi zgromadzili się na śródkręciu. Każdy z nich – jak stwierdził Mallory – zbrojny w pistolet maszynowy Schmeissera. Dowódca, młody porucznik o chłodnej twarzy, z żelaznym krzyżem na mundurze, wyglądał ze sterówki, a w luku maszynowni również tkwiła ciekawa głowa. Ze swego miejsca Mallory nie widział rufy

–wydęty na niepewnym wietrze żagiel zasłaniał mu widok, ale wnosząc z muszki karabinu maszynowego, która drapieźnie myszkowała tylko po przedniej części ich kutra, miał prawie pewność, że drugi cekaemista z tyłu robi coś podobnego. Młody porucznik o ostrej twarzy – prawdziwy wychowanek Hitlerjugend, pomyślał Mallory – wychylił się ze sterówki i przyłożył zwinięte dłonie do ust.

–Spuścić żagle! – krzyknął. Mallory zdrętwiał, zamarł w bezruchu. Igła wbiła mu się w dłoń, ale nawet tego nie zauważył. Porucznik odezwał się po angielsku! Stevens jest tak młody, tak niedoświadczony. Złapie się na to – pomyślał Mallory z nagłą pewnością, musi się na to złapać. Ale Stevens nie dał się złapać. Otworzył drzwiczki, wychylił się, przyłożył dłoń do oczu i gapił się tępo w niebo, z otwartymi szeroko ustami. Tak doskonale udawał człowieka, który nie pojmuje kompletnie nic, że wyglądał prawie jak karykatura. Mallory uściskałby go. Nie tylko zresztą dzięki swemu zachowaniu, ale także dzięki czarnemu zniszczonemu ubraniu i włosom ufarbowanym na czarno jak u Millera, Stevens przypominał do złudzenia flegmatycznego, nieufnego rybaka z wysp.

–Ech?! – ryknął.

–Spuścić żagle! Wchodzimy na pokład! Znowu po angielsku – pomyślał Mallory. – Uparty facet. Stevens tępo wytrzeszczał oczy na Niemca i bezradnie spojrział na Andreę i Mallory.ego: na ich twarzach malował się równie przekonujący brak zrozumienia. Rozpaczliwie wzruszył raminami.

–Przepraszam, nie rozumiem po niemiecku! – krzyknął. – Nie możecie mówić w moim języku? – Greka Stevensa była doskonała, płynna i idiomatyczna. Co prawda była to greka z Attyki, a nie z wysp, lecz Mallory był pewny, że porucznik nie spostrzeże różnicy. Rzeczywiście nie spostrzegł. Potrząsnął głową bezradnie, a potem zawołał łamanym greckim językiem:

–Natychmiast zatrzymajcie statek! Wchodzimy na pokład!

–Zatrzymać statek! – Oburzenie było tak naturalne, a towarzyszący mu potok wściekłych przekleństw tak autentyczny, że nawet porucznik się zdumiał. – A dlaczego mam zatrzymać statek dla was, was... was...

–Macie dziesięć sekund – przerwał porucznik. Znowu odzyskał równowagę, był chłodny, precyzyjny. – Potem będziemy strzelać. Stevens zrobił gest człowieka,



który uznaje swą porażkę, i zwrócił się do Andrei i Mallory.ego.

–Nasi zdobywcy przemówili – powiedział gorzko. – Ściągnijcie żagle. Szybko zlurowali fały z kołków u nasady masztu. Mallory ściągnął kliwer, zebrał żagiel w ramiona i przycupnął na pokładzie tuż koło skrzyni na ryby. Wiedział, że śledzi go tuzin wrogich oczu. Żagiel i stara kurtka przykrywały mu kolana, łokcie oparł na udach, a dłonie zwisały mu między kolanami. Wyglądał jak obraz rozpacz. Lugier, obciążony bomem, opadł błyskawicznie. Andrea przestąpił przez niego, zrobił kilka niepewnych kroków ku rufie, a potem stanął. Przytłumiony łoskot diesla przybrał na sile, jeden obrót koła sterowego... i już niemiecki kuter ocierał się o ich burtę. Szybko, lecz ostrożnie, by nie znaleźć się na linii ognia obu karabinów maszynowych (drugi był już teraz widoczny na rufie), trzech ludzi uzbrojonych w Schmeissery wskoczyło na pokład. Jeden z nich pobiegł natychmiast do przodu, zrobił w tył zwrot koła przedniego masztu, a lufa jego pistoletu maszynowego opisała lekki łuk, obejmując całą załogę. Całą, poza Mallorym, który pozostawał pod kontrolą cekaemisty na dziobie. Mallory bezstronnie podziwiał precyzję i szybkość tej akcji, współdziałanie świadczące o dużej rutynie. Podniósł głowę i rozejrzył się dokoła z flegmatyczną chłopską obojętnością. Casey Brown przycupnął na pokładzie przed maszynownią, reperując duży kulisty tłumik na pokrywie luku. Dusty Miller, o dwa kroki dalej, ze zmarszczonym w skupieniu czołem, pracowicie wycinał kawałek metalu z małej blaszanej puszk. Nożyce trzymał w lewej ręce, choć Mallory wiedział, że Miller nie jest mańkutem. Ani Stevens, ani Andrea nie poruszyli się. Niemiec stał nadal koło przedniego masztu, nie mrugnawszy nawet okiem. Dwaj pozostali szli z wolna ku rufie, właśnie wyminęli Andreę, szli swobodnie i pewnie, jak ludzie spokojni, że wszystko mają w ręku, tak że nawet myśl o jakimkolwiek niebezpieczeństwie jest dla nich śmieszna. Starannie, chłodno i precyzyjnie, z minimalnej odległości, przez fałdy kurtki i żagla, Mallory strzelił, trafiając niemieckiego cekaemistę w samo serce, obrócił terkoczącego nadal brena i zobaczył, że marynarz przy maszcie zwija się i umiera, z piersią rozerwaną przez ekrazytówki z karabinu maszynowego. Ale trafiony stał jeszcze na nogach, jeszcze nie zdążył runąć na pokład, gdy zdarzyły się cztery rzeczy naraz. Casey Brown trzymał już od pewnego czasu dłoń na zaopatrzonym w tłumik pistolecie Millera, który leżał ukryty pod częściami silnika. Teraz dla wszelkiej pewności cztery razy nacisnął spust; cekaemista z rufy pochylił się zmęczonym ruchem nad swym trójnogiem, pozbawione życia palce zacisnęły się na bezpieczniku. Miller zgniótł nożycami trzysekundowy zapalnik chemiczny i wturlał blaszaną puszkę do nieprzyjacielskiej maszynowni. Stevens z rozmachem cisnął granat trzonkowy do sterówki, zaś Andrea, wyciągnawszy swe wielkie ramiona, szybkie i precyzyjne jak dwa walczące węże, z olbrzymią siłą stuknął głowami dwóch niemieckich marynarzy. A potem wszyscy padli na pokład, bo niemiecki kuter wybuchnął grzmotem, płomieniem, dymem i odłamkami. Stopniowo echa zamilkły i pozostało tylko jękliwe szczenie karabinu maszynowego, który próżno strzelał w niebo, aż wreszcie taśma się zacięła i Morze Egejskie pozostało ciche jak zwykle. Powoli, z trudem, oszołomiony tylko wstrząsem i ogłuszającą bliskością podwójnej eksplozji, Mallory

podniósł się z pokładu i chwiejnie stanął na nogach. Jego pierwszą świadomą reakcją było zdumienie, graniczące z niedowierzaniem: niszcząca siła granatu i dwóch kostek tnt przeszła wszelkie oczekiwania. Niemiecki kuter tonął szybko. Spreparowana przez Millera bomba niewątpliwie wyrwała dno pod maszynownią. Śródokręcie stało w płomieniach. Przez jedną straszną chwilę Mallory miał przeraźliwą wizję wzbijających się w niebo czarnych słupów dymu i nieprzyjacielskich samolotów rozpoznawczych. Ale tylko przez chwilę: wyschnięte i nasmołowane belki i deski paliły się prawie bez dymu, a ogarnięty ogniem, łamiący się pokład pochylił się ostro na prawo. Kuter powinien zatonać w ciągu paru sekund. Mallory przeniósł wzrok na zdruzgotany szkielet sterówki – zaparło mu dech na widok niemieckiego porucznika wbitego na szczątki koła sterowego: upiorna, wstrząsająca karykatura tego, co niedawno było człowiekiem, a co w tej chwili nie miało nawet głowy. Do świadomości Mallory'ego dotarł gwałtowny i konwulsyjny odgłos wymiotów pochodzący ze sterówki. Wiedział, że Stevens musiał to również zobaczyć. Z głębi tonącego kutra doszedł stłumiony huk pękających zbiorników z paliwem; z maszynowni wybuchnęła czarna chmura przetykanego płomieniami oleistego dymu. Kuter wyprostował się prawie cudem, gdy burty były już niemal całkowicie zalane, po czym sycząca woda zakryła pokład i pełzające po nim płomienie. Kuter poszedł na dno, smukłe maszty osunęły się prostopadle w dół i zniknęły w kipieli piany i tłustych bąbli. Morze znowu było spokojne i gładkie, jakby ta scena nigdy nie istniała; po migotliwej powierzchni pływało leniwie parę zwęglonych desek i odwrócony hełm. Świadomym wysiłkiem woli

Mallory odwrócił się z wolna, żeby spojrzeć na swój statek i swoich ludzi. Brown i Miller wpatrywali się zafascynowani w to miejsce, gdzie przed chwilą był nieprzyjacielski kuter. Stevens stał w drzwiach sterówki, był cały i zdrow, ale twarz miał jak popiół. Podczas akcji przeszedł samego siebie, jednak ta masakra i widok zwłok porucznika wstrząsnęły nim mocno. Andrea, krwawiąc z rany na policzku, spoglądał na dwóch Niemców leżących u jego stóp. Na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia. Przez długą chwilę Mallory patrzył na niego ze zrozumieniem.

–Nie żyją? – zapytał spokojnie. Andrea skinął głową.

–Tak – powiedział ciężko. – Za mocno ich uderzyłem. Mallory odwrócił się. Pomyślał, że ze wszystkich ludzi, których znał, Andrea ma najwięcej powodów do nienawiści i zabijania wrogów. I zrobił to rzeczywiście, z bezwzględnością i sprawnością, wstrząsającą przez swą obojętność i dokładność wykonania. Ale rzadko zabijał bez żalu, bez najbardziej gorzkiego potępienia samego siebie, wiedząc, że życie bliźniego do niego nie należy. Prosty, dobry człowiek, człowiek\_zabójca z łagodnym sercem, zawsze odczuwał niepokój sumienia. Ponad wszystko jednak cechowała go uczciwość myśli, która wynikała z jego wrodzonej prostoty. Andrea nigdy nie zabijał z zemsty, nienawiści, nacjonalizmu ani żadnych innych „izmów”, które wszelkiego rodzaju łotrom służą do usprawiedliwienia rzezi milionów ludzi, zbyt młodych i zbyt niedoświadczonych, by zrozumieć daremność tego wszystkiego. Andrea zabijał tylko

po to, by lepsi ludzie mogli żyć.

–Czy ktoś jeszcze odniósł rany? – Mallory świadomie nadał swemu głosowi dziarskie, beztroskie brzmienie. – Nikt? Dobrze! Ruszamy w drogę, możliwie jak najprędzej. Im dalej i szybciej pozostawimy to miejsce za sobą, tym lepiej dla nas. – Popatrzył na zegarek. – Prawie czwarta... czas na nawiązanie łączności z Kairem. Brown, zostaw na parę minut tę swoją składnicę złomu. Spróbuj ich złapać. – Popatrzył na niebo na wschodzie, sine teraz i groźne. – Chyba warto posłuchać prognozy pogody. Rzeczywiście było warto, choć odbiór był bardzo zły. Brown przypisywał zakłócenia ciemnym burzowym chmurom, stale nadpełzającym od strony rufy i zajmującym teraz prawie pół nieba. Wystarczający jednak, by usłyszeć informację, która ich zmroziła. Natychmiast zaczęli dokonywać kłopotliwych obliczeń. Malutki głośnik odzywał się i milkł wśród trzasków i pisków.

–Rabarbar wzywa Stokrotkę. Rabarbar wzywa Stokrotkę. – Były to kodowe określenia Kairu i Mallory.ego. – Jak mnie słyszycie? Brown przekazał potwierdzenie. Spiker krzyczał znowu.

–Stokrotka! Tu Rabarbar! Tu Rabarbar! Uwaga! X minus jeden. Powtarzam: X minus jeden. – Mallory głęboko wciągnął powietrze. X – sobotni ranek – oznaczał przypuszczalną datę niemieckiego ataku na Cheros. Musiano ją przyspieszyć o jeden dzień, Jensen nie należał do ludzi, którzy mówią, nie mając pewności. Piątek rano... A więc ponad trzy dni.

–Powiedz im, że zrozumieliśmy: X minus jeden – powiedział spokojnie Mallory.

–Prognoza pogody. Wschodnia Anglia – kontynuował bezosobowy głos, Mallory wiedział, że chodzi o północne Sporady. – Dziś wieczorem spodziewane silne burze z obfitymi deszczami. Widoczność słaba. Temperatura spada i będzie spadała dalej w ciągu najbliższych czterech godzin. Wiatry wschodnie i południowo\_wschodnie, o sile sześciu stopni, miejscami do ośmiu, słabnące jutro z rana. Mallory odwrócił się, pochylił pod wydętym żaglem i wolno poszedł na rufę. Co za sytuacja

–myślał. – Co za diabelny bałagan. Zostały tylko trzy dni, maszyna wysiadła, a nadciąga bardzo silny sztorm. Z nadzieją przypomniał sobie niepochlebną opinię majora Torrance.a o meteorologach, ale nadzieja zgasła szybko. Na pewno się nie mylą. Stromy wał burzowych chmur wznosił się wysoko, zatrwajając, był już teraz prawie dokładnie nad ich głowami.

–Wygląda dość kiepsko, co? – Powolny nosowy głos odezwał się tuż za nim. Było coś, co napęniało ufnością, w tym odmierzonym głosie, w splewiałym błękitnie oczu, otoczonych pajęczą siatką zmarszczek.

–Rzeczywiście niedobrze – przyznał Mallory.

**–Co to jest siła wiatru sześć do ośmiu stopni, komendancie?**

**–Skala wiatru – wyjaśnił Mallory. – Jeśli znajdujecie się na statku tej wielkości co nasz i jesteście zmęczeni życiem, wtedy osiem stopni wystarczy, w sam raz.**

**–Wiedziałem o tym – powiedział Miller żałośnie. – Powinienem był wiedzieć. I to ja, który przysiągłem, że nigdy w życiu nie wsiądę na żaden przeklęty statek!... Zastanowił się nad czymś, przerzucił nogi przez luk maszynowni i wskazał kciukiem na najbliższą wyspę, w odległości jakichś trzech mil.**

**–To też nie wygląda zachęcająco – powiedział.**

**–Stąd nie – zgodził się Mallory. – Ale mapa pokazuje zatoczkę wąską i zagiętą pod kątem prostym. Powstrzymuje fale i wiatr.**

**–Są tam ludzie?**

**–Prawdopodobnie.**

**–Niemcy?**

**–Prawdopodobnie. Miller ze zgrozą pokiwał głową i poszedł pomagać Brownowi. Czterdzieści minut później, w półmroku zapadającego wieczoru i dziwnie zimnego ulewnego deszczu, lejącego się prostopadle z chmur, kotwica kutra opadła na dno między dwiema zielonymi ścianami podmokłego, ociekającego wilgocią lasu, wrogiego w swej milczącej obojętności.**

**Rozdział czwarty Poniedziałek wieczór Godz. #/17#00\_#/23#30**

**–Świetnie! – mówił z goryczą Mallory. – Wspaniale! „Pani pozwoli do mego salonu”, powiedział pajak do muchy. – Klął dosadnie, z obrzydzeniem unosząc brzeg brezentu przykrywającego przedni luk. Patrzył przez rzedniejącą zasłonę deszczu i przyglądał się długo kamiennej ścianie, która załamywała się ukośnie, odcinając zatoczkę od morza. Z widocznością nie było teraz żadnych kłopotów: gwałtowna ulewa przeszła w lekki kapuśniaczek, a postrzępione wiatrem szare i białe chmury przesuwwały się tuż za olbrzymim czarnym cumulonimbusem nad odległy horyzont. Daleko na zachodzie, w jasnej wstędze błękitu, płomiennoczerwone słońce balansowało na krawędzi morza. Z ocienionej zatoki było niewidoczne, ale zdradzała je charakterystyczna złota poświata. Te same złote promienie oświetlały starą, zrujnowaną wieżę strażniczą na samym cyplu skały, sto stóp nad rzeką, i polerowały drobnoziarnisty biały marmur paryjski, powlekając go delikatnym różem. Błyskały na gładkiej stali groźnych luf niemieckich karabinów maszynowych, wyglądających z wąskich strzelnic w masywnych murach, oświetlały połamany krzyż swastyki na fladze, która sphywała sztywno z masztu nad parapetem. Potężna nawet w ruinie, niedostępna, władcza i wyniosła, wieża panowała całkowicie nad obu wodnymi wejściami, zarówno od**

morza, jak i od rzeki, nad wąskim, krętym kanałem, między zakotwiczonym kutrem a podnóżem skały. Powoli, prawie z rezygnacją, Mallory odwrócił się i delikatnie opuścił brezent. Na jego twarzy malowało się strapienie, gdy zwracał się do Andrei i Stevensa – ledwie widocznych cieni w półmroku kabiny.

–Świetnie! – powtórzył. – Prawdziwy geniusz ten Mallory. Prawdopodobnie, cholera, jedyna zatoczka w promieniu stu mil – i na stu wyspach – z posterunkiem niemieckim. Ale ja, oczywiście, muszę wybrać to miejsce. Daj mi jeszcze zerknąć na mapę, Stevens. Stevens podał mapę i patrzył, jak Mallory studiuje ją w bladym świetle przesączającym się pod brezent. Oparty o gródź, głęboko zaciągnął się papierosem. Dawny mdlący strach odezwał się znowu, silny jak zwykle. Spoglądał na potężną postać Andrei i czuł nieuzasadnioną niechęć do niego za to, że kilka minut temu wykrył posterunek. Na pewno mają tam działo – myślał tępo – powinni mieć działo, inaczej nie mogliby kontrolować zatoki. Mocno ścisnął sobie udo tuż nad kolanem, ale drżenie było zbyt głęboko, żeby dało się opanować. Błogosławił litościwy mrok w kabinie. Gdy się odezwał, jego głos był zupełnie opanowany.

–Traci pan czas, sir, wpatrując się w tę mapę i robiąc wyrzuty samemu sobie. Jest to jedyne nadające się do zakotwiczenia miejsce w promieniu wielu mil, a przy takim wietrze nie mogliśmy płynąć gdzie indziej.

–Właśnie. O to chodzi. – Mallory złożył i oddał mapę. – Nie mogliśmy płynąć gdzie indziej. Nie mieliśmy innego wyjścia. Podczas sztormu ten port musi być bardzo uczęszczany, Niemcy na pewno już dawno to wykryli. Dlatego powinienem wiedzieć, że zastaniemy tu ich posterunek. Wszystko jedno, szkoda czasu na gadanie. – Podniósł głos: – Sierżancie!

–Tak jest! – stłumiony głos

Browna dolatywał słabo z głębi maszynowni.

–Jak leci?

–Nie najgorzej. Już składam. Mallory z ulgą skinął głową.

–Ile to potrwa? – zawołał. – Godzinę?

–Najwyżej.

–Godzinę. – Mallory znowu wyjrzał spod brezentu, zerknął na Andreę i Stevensa. – Nie najgorzej. Za godzinę odpływamy. Będzie na tyle ciemno, że zyskamy pewną osłonę przed naszymi przyjaciółmi z góry, ale nie za ciemno, żeby manewrować w tym przeklętym wodnym korkociągu.

–Myśli pan, że będą próbowali nas zatrzymać? – Głos Stevensa był zbyt rzeczowy,

**zbyt obojętny. Czuł, że Mallory to zauważy.**

**–Mało prawdopodobne, że ustawią się na brzegu i zaczną wznosić okrzyki pożegnalne na naszą cześć – powiedział sucho Mallory. – Jak myślisz, Andrea, ilu ich tam jest na górze?**

**–Widziałem dwóch – odparł Andrea z namysłem. – Prawdopodobnie siedzi ich tam ze trzech albo czterech. Mały posterunek. Niemcy nie mają zwyczaju marnować ludzi na takie dziury.**

**–Chyba masz rację – zgodził się Mallory. – Większość z nich stoi garnizonom we wsi, jakieś siedem mil na zachód, sądząc z mapy. Nie przypuszczam, żeby... Urwał nagle i znieruchomiał. Rozległo się wołanie, głośnie, kategoryczne. Przeklinając samego siebie za swą niedbałość, przez którą nie wystawił posterunku – tego rodzaju beztroskę przypłaciłby życiem na Krecie – Mallory odsunął brezent i wygramolił się na pokład. Nie miał broni, tylko opróżnioną do połowy butelkę mozelskiego wina w lewej ręce. Należało to do planu, przygotowanego, zanim jeszcze opuścili Aleksandrię.**

**Butelkę wyciągnął z szafki umieszczonej u podstawy wąziutkiego trapu. Przekonująco potknął się na pokładzie i chwycił za poręcz wypadając niemal za burtę. Bezczelnie wytrzeszczał oczy na stojącą na brzegu w odległości niecałych dziesięciu jardów postać. Mallory uświadomił sobie, że niewystawienie posterunku nic nie zaszkodziło, bowiem żołnierz miał pistolet maszynowy przerzucony przez plecy. Prowokacyjnie podniósł butelkę z winem do ust i pociągnął spory łyk, zanim zniżył się do rozmowy z nim. Mallory widział wzrastający gniew w szczupłej, opalonej twarzy młodego Niemca. Zignorował to. Powoli, nonszalanckim gestem otarł usta wystrzępionym rękawem swej czarnej kurtki, jeszcze wolniej zmierzył wzrokiem żołnierza od stóp do głów, cynicznie i pogardliwie.**

**–No? – spytał zaczepnie śpiewną gwarą z wysp. – Czego chcesz, u diabła? Nawet w pogłębiającej się ciemności widział, jak zbiegały zaciśnięte na kolbie pistoletu maszynowego knykcie dłoni Niemca i przez chwilę myślał, że posunął się za daleko. Wiedział, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo – wszelkie hałasy w maszynowni ustały, ręka Millera była jak zwykle blisko pistoletu z tłumikiem – ale nie chciał strzelaniny. Przynajmniej nie teraz. W wieży strażniczej znajdowały się dwa spandauy z obsługą. Z prawie widocznym wysiłkiem młody żołnierz odzyskał panowanie nad sobą. Nie trzeba było szczególnie bujnej wyobraźni, by dostrzec wzbierający gniew, pierwsze objawy wahania i zdziwienia. Mallory spodziewał się takiej reakcji. Grecy – nawet na pół pijani – nie odzywali się do swych panów w ten sposób, jeśli nie mieli do tego podstaw.**

**–Co to za statek? – Greka Niemca była mozolna i łamana, ale zrozumiała. – Dokąd płyniecie? Mallory znowu przechylił butelkę i cmoknął głośnie, z zadowoleniem.**

Wyciągnął butelkę na całą długość ręki i przyglądał się jej z pełnym sympatii respektem.

–Wy, Niemcy, przynajmniej macie jedno dobre – zwierzał się głośno. – Umiecie robić dobre wino. Założyłbym się, że tobie nie wolno tego skosztować, co? A w tym sikaczu, który robią na półwyspie, jest tyle żywicy, że można by go używać na podpałkę.

–Myślał przez chwilę. – Pewnie, jeśli się zna odpowiednich ludzi na wyspach, mogą dostarczyć trochę „ouzo”. Ale niektórzy z nas potrafią wykombinować „ouzo”, najlepszy „hock” i najlepsze mozelskie. Żołnierz skrzywił się z niesmakiem. Jak wszyscy niemal żołnierze, pogardzał zdrajcami, nawet jeśli byli po jego stronie; w Grecji zresztą spotykało się ich bardzo niewiele.

–Zadałem wam pytanie – powiedział chłodno. – Co to za statek i jaki port przeznaczenia?

–Kuter „Aigion” – oznajmił wyniośle Mallory. – Bez ładunku. Idziemy na Samos. Wedle rozkazu

–dodał znaczącym tonem.

–Czyjego rozkazu? – zapytał żołnierz. Jego pewność siebie Mallory ocenił chytrze jako powierzchowną. Mimo wszystko zrobił wrażenie na Niemcu.

–Pana komendanta na Vathy... Generała Graebela – powiedział miękko Mallory. – Słyszałeś o panu generale, co? – Znalazł się na pewnym gruncie i wiedział o tym dobrze. Reputacja Graebela, zarówno jako dowódcy spadochroniarzy, jak i niezwykłego służbisty, sięgała daleko poza te wyspy. Nawet w półmroku Mallory mógłby przysiąc, że Niemiec trochę zbladł. Ale pozostało mu jeszcze dość energii.

–Macie papiery? Dokumenty? Mallory westchnął, spojrział przez ramię.

–Andrea! – ryknął.

–Czego chcesz? – Wielka postać Andrei pojawiła się w luku. Słyszał każde słowo, zrozumiał wskazówkę Malloryego: nowo otwarta butelka wina kryła się prawie cała w jego olbrzymiej dłoni, ale minę miał nadal niezwykle kwaśną. – Nie widzisz, że jestem zajęty? – powiedział niechętnie. Zatrzymał się na widok Niemca i zmarszczył czoło, zły. – A czego chce ten pętał?

–Nasze paszporty i dokumenty od Herr generała. Są tam na dole. Andrea zniknął, pomrukując. Potem wyrzucili na brzeg cumę, pociągnęli statek przeciwko powolnemu prądowi i podali papiery. Dokumenty te – komplet zupełnie różny od tego, którym w nagłym wypadku mieli się legitymować na Nawaronie – okazały się jak najbardziej

zadowolające. Mallory byłby zdziwiony, gdyby wzbudziły jakiegokolwiek wątpliwości. Przygotowanie fałszywych dokumentów, aż do faksymile podpisu generała Graebela włącznie, było drobiazgiem dla biura Jensena w Kairze. Żołnierz złożył papiery i oddał je z powrotem, mruknąwszy „dziękuję”. Jak Mallory stwierdził, Niemiec był jeszcze dzieckiem, nie miał więcej niż dziewiętnaście lat. Zdradzał to jego wygląd. Przyjemny chłopak o szczerzej twarzy – zupełnie inny typ niż ci młodzi fanatycy z dywizji pancerniej SS. I taki chudy. Główną reakcją Mallory.ego była ulga; nie miałyby sumienia zabijać takiego chłopca. Ale chciał wyciągnąć od niego jak najwięcej wiadomości. Dał znak Stevensowi, żeby podał prawie pustą skrzynkę z winem mozelskim. Pomyślał sobie, że Jensen jest bardzo mądrym człowiekiem: przewidział dosłownie wszystko... Mallory zrobił gest w stronę wieży strażniczej.

–Ilu was tam jest? – zapytał. Chłopak od razu zrobił się podejrzliwy. Twarz mu znieruchomiała, pojawił się na niej wyraz nieufności.

–Dlaczego chcecie to wiedzieć? – zapytał. Mallory stęknął, rozpaczliwie podniósł rękę do góry i ze stropioną miną zwrócił się do Andrei.

–Widzisz, co to znaczy być jednym z nich? – powiedział tonem skargi. – Nie wierz nikomu. Każdego uważaj za takiego oszusta jak... – Urwał gwałtownie i znowu zwrócił się do żołnierza. – Chodzi o to, że nie chcemy mieć tych samych kłopotów za każdym razem, kiedy tu zawiniemy – wyjaśnił. – Wracamy z Samos za dwa dni i mamy jeszcze jedną skrzynkę mozelskiego do wykończenia. Generał Graebel dba o dobre zaopatrzenie swych, hm... specjalnych wysłanników... Przy takiej robocie na słońcu człowiek ma pragnienie. No, dobra, dostaniecie po butelce na głowę. Ile butelek? Budząca ufność wzmianka, że jeszcze tu wrócą, budzące ufność wspomnienie nazwiska Graebela, prawdopodobnie atrakcyjność propozycji i myśl o reakcji kolegów, gdy im powie, że ją odrzucił, przeważyły szalę, przyciszyły skrupuły i podejrzenia Niemca.

–Jest nas tylko trzech – oznajmił mrukliwie.

–A więc trzy – zawołał wesoło Mallory. – Następnym razem, jak będziemy wracali, damy wam „hocku”. – Podniósł butelkę. – „Prosit!” – krzyknął jak wyspiarz, dumny z tego, że może popisać się swą niemczyzną. A potem jeszcze bardziej dumnie:

–„Auf Wiedersehen!” Chłopak mruknął coś w odpowiedzi. Stał chwilę, wahając się, nieco zawstydzony, potem odwrócił się nagle i odszedł powoli wzdłuż brzegu, ściskając butelki wina.

–Tak! – oznajmił z namysłem Mallory. – Jest ich tylko trzech. To powinno ułatwić sprawę...

–Doskonała robota, sir! – przerwał mu Stevens. Jego głos brzmiał ciepło, na twarzy



malowało się uwielbienie. – Wspaniała gra, u diabła!

–Wspaniała gra! – przedrzeźniał Miller. – Długie, chude ciało wydzwignął nad zrębicę luku.

–Jak Boga kocham! Nie rozumiem ani jednego słowa, ale ręczę swoim majątkiem, że to zasługuje na Oskara. To było wstrząsające, komendancie.

–Dziękuję wam wszystkim razem i każdemu z osobna – mruknął Mallory. – Boję się tylko, że gratulacje są nieco przedwcześnie. – Uderzył ich nagły chłód w jego głosie, wszyscy zwrócili oczy w kierunku wyciągniętego palca Mallory.ego, zanim jeszcze zaczął mówić dalej. – Spójrzcie

–powiedział spokojnie. Młody żołnierz zatrzymał się nagle w odległości jakichś dwustu jardów, wyraźnie zaskoczony spojrzał w las po lewej stronie, a potem wszedł między drzewa. Zobaczyli tam drugiego żołnierza. Mówił coś z podnieceniem i gestykulował pokazując w kierunku ich statku. Zniknęli obaj w mroku lasu.

–To nam zepsuło wszystko! – oznajmił miękko Mallory. Odwrócił się. – Wystarczy. Wracajcie na swoje miejsca. Wyglądałoby podejrzanie, gdybyśmy w ogóle zignorowali ten incydent, ale o wiele bardziej podejrzanie byłoby, gdybyśmy zwracali na niego zbyt wielką uwagę. Nie możemy robić wrażenia, że odbywamy konferencję. Miller z Brownem wśliznęli się do maszynowni, a Stevens wrócił do dziobówki, Mallory i Andrea, z butelkami w rękę, pozostali na pokładzie. Deszcz ustał teraz zupełnie, ale wiatr regularnie przybierał na sile, zaczynał już zginać czuby najwyższych sosen. Na razie skalna ściana zapewniała im prawie całkowitą osłonę. Mallory nie chciał myśleć, jak teraz wygląda morze. A na morze musieli wypłynąć – o ile karabiny maszynowe im pozwolą – i na tym polegał kłopot.

–Co się stało? Jak pan myśli, sir? – z mroku kabiny doleciał głos Stevensa.

–Przecież to oczywiste – Mallory mówił dość głośno, by wszyscy mogli słyszeć. – Otrzymali wiadomość. Nie pytajcie mnie, jak. Już po raz drugi powtarza się coś podobnego, a ich podejrzania przybiorą na sile przez brak meldunku od kutra, który wysłano, by nas skontrolować. Była na nim antena radiowa, pamiętacie?

–Ale dlaczego zrobili się nagle tak cholernie podejrzliwi?

–zapytał Miller. – Nie widzę żadnego uzasadnienia, komendancie.

–Muszą być w kontakcie radiowym ze swoim dowództwem. Albo mają łączność telefoniczną... najprawdopodobniej telefoniczną. Właśnie podano im wiadomość. Konsternacja powszechna.

–Więc może przyślą tu całą armię, żeby się z nami rozprawiła – mruknął Miller

pośępnie. Mallory zdecydowanie potrząsnął głową. Myślał szybko i czuł się dziwnie pewny, miał zaufanie do siebie.

–Nie, to niemożliwe. Siedem mil w linii prostej. Dziesięć, może dwanaście mil po kamienistych górskich drózkach i leśnych przesiekach, a do tego w zupełnej ciemności. Nawet nie będą próbowali – skinął butelką w kierunku wieży strażniczej. – Dzisiaj mają swoją wielką noc. Więc w każdej chwili możemy się spodziewać otwarcia ognia? – w głosie Stevensa znowu brzmiała ta nienormalna rzeczowość. Mallory po raz drugi pokręcił głową.

–Tego nie zrobią. Jestem pewny. Mimo wszelkich podejrzeń i nawet przekonania, że to my jesteśmy tym złym wilkiem, bez wątpienia wstrząśnie nimi wiadomość, iż mamy papiery i dokumenty podpisane przez samego generała Graebela. Będą się bali, że otworzenie do nas ognia mogłoby ich zaprowadzić przed pluton egzekucyjny. Nam wydaje się to nieprawdopodobne, ale zrozumcie ich. No więc połączą się z dowództwem, ale przecież komendant na takiej małej wyspie nie będzie likwidował gromadki facetów, którzy mogą się okazać specjalnymi wysłannikami samego generała. No więc co? Zakodowuje meldunek i przesyła drogą radiową do Vathy na Samos, a potem denerwuje się, póki nie przyjdzie wiadomość, że Graebel nigdy o nas nie słyssał, i dlatego, u diabła, nas nie wystrzelali do nogi. – Mallory spojrział na świecąca tarczę zegarka. – Zostało nam jeszcze przynajmniej pół godziny.

–A tymczasem siądziemy sobie z kawałkiem papieru i ołówka i spisujemy każdy swoją ostatnią wolę – Miller zachmurzył się. – Nic nam to nie da, komendancie. Musimy coś zrobić. Mallory wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Nie martwcie się, kapralu, mamy zamiar coś zrobić. Urządźmy sobie przyjemną malutką popijawę, właśnie tu, na pokładzie. Ostatnie słowa pieśni – straszliwie zniekształconej greckiej wersji „Lilly Marlene”, ich trzeciej pieśni w ciągu ostatnich pięciu minut – zamarły w wieczornym powietrzu. Mallory wątpił, czy cokolwiek więcej niż słabe echo śpiewu doleci pod wiatr do wieży strażniczej, ale rytmiczne tupanie nogami i wymachiwanie butelkami świadczyły aż nadto wymownie o pijackim rozbawieniu i tylko ktoś całkowicie ślepy i głuchy mógłby tego nie dostrzec. Mallory uśmiechnął się do siebie na myśl o kompletnym ogłupieniu i niepewności Niemców. W taki sposób nie zachowują się szpiedzy nieprzyjaciela, a szczególnie szpiedzy, którzy wiedzą, że wzbudzili podejrzzenia i powinni jak najszybciej uciekać. Mallory podniósł butelkę do ust, trzymał ją przez parę sekund, a potem postawił, znowu nie skosztowawszy wina. Spojrział na trzech ludzi, którzy kucnęli przy nim na rufie: na Millera, Stevensa i Browna. Andrei z nimi nie było, ale nie potrzebował odwracać głowy, by go znaleźć. Wiedział, że Andrea siedzi skupiony pod osłoną sterówki, ma na sobie wodoszczelny worek z granatami i pistolet przyczepiony do pleców.

–Dobra! – powiedział sucho Mallory. – Wy też macie teraz szanse na Oscara. Wszystko musi wyglądać jak najbardziej przekonująco. Pochylił się, wbił palec w

**pierś Millera i wrzasnął na niego dziko. Miller również wrzasnął. Przez chwilę siedzieli gestykulując gniewnie i stwarzając wszelkie pozory gwałtownej kłótni. Potem Miller zerwał się na nogi, zatoczył po pijacku i groźnie pochylony nad Mallorym zaciskał gotowe do uderzenia pięści. Zrobił parę kroków do tyłu, gdy Mallory wstawał niedołącznie, i za chwilę tłukli się dziko, wymierzając sobie pozornie potężne ciosy. Potem sierpowy Amerykanina trafił Mallory.ego, który się zatoczył i gruchnął w sterówkę.**

**–W porządku, Andrea – mówił Mallory spokojnie, nie oglądając się. – Już pora. Pięć sekund. Powodzenia. – Wstał, ujął butelkę za szyjkę i rzucił się na Millera, podnosząc ramię z butelką i zadając straszliwy cios. Miller uchylił się, kopnął złośliwie Mallory.ego, który zaryczał z bólu uderzywszy piszczelami o krawędź burty. Na tle połyskującej zatoki jego sylwetka odcinała się wyraźnie. Dziko zamachał ramionami, a potem ciężko plusnął w fale. Przez następne pół minuty – tyle mniej więcej czasu potrzebował Andrea, by przepłynąć pod wodą do następnego zakrętu w górze rzeki**

**–panowało straszliwe zamieszanie i wrzask. Mallory młócił wodę, próbując wciągnąć się na pokład, Miller chwycił bosak, by trzasnąć swego przeciwnika w głowę, inni, zerwawszy się, wymachiwali ramionami dokoła Millera, niby go powstrzymując. Wreszcie przewrócili go, przycisnęli do pokładu i pomogli ociekającemu wodą Mallory.emu przejść przez burtę. Chwilę później, wedle odwiecznego zwyczaju pijaków, obaj przeciwnicy podali sobie ręce i objąwszy się ramionami siedzieli na luku maszynowni, popijając w doskonałej zgodzie z tej samej nowo otwartej butelki wina.**

**–Bardzo ładnie zagrane – oświadczył Mallory z aprobatą. –**

**Doskonale. Znowu Oscar dla kaprala Millera. Dusty Miller nie odparł nic. Milcząc, przygnębiony, wpatrywał się w butelkę w swojej dłoni. Wreszcie poruszył się.**

**–Nie podoba mi się to, komendancie – mruknął z nieszczęśliwą miną. – Nie lubię takich sytuacji. Pan powinien mi pozwolić iść z Andreą. Ich jest tam trzech, czekają i są gotowi na wszystko. – Obrzucił Mallory.ego oskarżycielskim spojrzeniem. – Do diabła, komendancie, pan nam ciągle powtarza, jak ogromnie ważna jest ta akcja!**

**–Wiem – odparł Mallory spokojnie. – Dlatego właśnie was z nim nie posłałem. Dlatego nikt z nim nie poszedł. Bylibyśmy mu tylko ciężarem i przeszkodą. – Mallory potrząsnął głową. – Nie znasz Andrei, Dusty. Po raz pierwszy Mallory tak go nazwał. Miller odczuł ciepło tej nieoczekiwanej poufałości, w głębi duszy był zadowolony.**

**–Żaden z was go nie zna. Ale ja go znam. – Zrobił gest w stronę wieży, której mocny zarys odcinał się ostro na tle ciemniejącego nieba. – Wielki, gruby, dobroduszny facet, zawsze się śmieje i żartuje. – Mallory zrobił pauzę i powoli ciągnął dalej: – Teraz jest tam, przemyka się przez las jak kot, największy i najbardziej niebezpieczny**

**kot, jakiego kiedykolwiek widzieliście. Gdyby Niemcy stawiali opór – Andrea nigdy nie zabija niepotrzebnie – ale gdyby stawiali opór, to tak, jakby tych trzech biednych bubków siedziało na krześle elektrycznym, a ja bym naciskał przełącznik. Te słowa zrobiły wrażenie na Millerze, i to głębokie.**

**–Pan go znał dłuższy czas, komendancie, co? – Było to coś pośredniego między pytaniem a twierdzeniem.**

**–Tak, dłuższy. Andrea brał udział w wojnie albańskiej, służył w regularnej armii. Opowiadali mi, że Włosi mieli przed nim panicznego stracha – jego wypadki zwiadowcze przeciwko dywizji iulia, przeciwko wilkom Toskanii bardziej szkodziły włoskiemu morale na froncie niż cokolwiek innego. Słyszałem o nim wiele opowieści – nie od niego samego – wszystkie nieprawdopodobne. Ale wszystkie prawdziwe. Spotkałem go dopiero potem, kiedy próbowaliśmy utrzymać przesmyk serbski. Byłem wtedy bardzo młodym oficerem łącznikowym w brygadzie nowozelandzkiej. Andrea – tu zrobił zamierzoną pauzę dla większego efektu – Andrea był podpułkownikiem dziewiętnastej zmotoryzowanej dywizji greckiej.**

**–Czym?! – wykrzyknął Miller ze zdumieniem. Stevens i Brown również nie mogli uwierzyć.**

**–Słyszeliście. Podpułkownikiem. Można by rzec, że sporo góruje nade mną rangą.**

**–Uśmiechnął się zagadkowo. – To stawia Andreę w nieco innym świetle, prawda? Milcząco skinęli głowami, żaden się nie odezwał. Andrea, wesoły kolega, dobroduszny, prymitywny żartowniś – oficerem sztabowym! Ta wiadomość była zbyt zaskakująca, by ją można przyswoić i pojąć natychmiast. Ale stopniowo zaczęła nabierać sensu. Wyjaśniała wiele spraw związanych z Andreą: jego spokój, pewność siebie, bezbłędną trafność jego błyskawicznych reakcji, a przede wszystkim bezgraniczną wiarę, jaką pokładał w nim Mallory, i respekt, jaki okazywał dla zdania Andrei podczas ich częstych wspólnych narad. Teraz już bez zdziwienia Miller przypomniał sobie, że nigdy dotychczas nie słyszał, aby Mallory wydawał Andrei bezpośredni rozkaz. A Mallory nigdy nie wahał się podkreślić swego stopnie wojskowego, gdy było to potrzebne.**

**–Po Serbii – podjął Mallory – panowało niemałe zamieszanie. Andrea usłyszał, że Trikkala, małe miasteczko, gdzie mieszkała jego żona z córkami, zostało zrównane z ziemią przez stukasy i heinkle. Dotarł tam, ale nie miał już nic do roboty. Bomba z opóźnionym zapłonem upadła w ogrodzie przed jego domem i nie pozostały nawet gruzy. Mallory przerwał, zapalił papierosa. Poprzez dym wpatrywał się w zanikające kontury wieży.**

**–Jedyną osobą, którą odnalazł, był jego szwagier, George. George służył z nami na Krecie i nadal tam pozostał. Od niego usłyszał po raz pierwszy o okrucieństwach w**

Tracji i Macedonii – a tam mieszkali jego rodzice. Obaj ubrali się więc w niemieckie mundury – możecie sobie wyobrazić, jak Andrea je zdobył – porwali niemiecką ciężarówkę wojskową i dostali się do Protosami. – Papieros w ręku Mallory.ego podskoczył nagle i koziołkując poleciał w bok. Miller zdziwił się nieco: przecież uczucia albo raczej ich okazywanie było zupełnie obce twardemu Nowozelandczykowi. Ale Mallory kontynuował zupełnie spokojnie.

–Przybyli tego wieczora, kiedy rozegrała się haniebna masakra. George opowiadał mi, jak Andrea stał tam, ubrany w swój niemiecki mundur, i śmiał się patrząc, jak grupa dziewięciu czy dziesięciu żołnierzy związuje ludzi parami i rzuca ich do rzeki. W pierwszej parze był jego ojciec i macocha, oboje nieżywi.

–Boże miłosierny! – Nawet Millera opuściła jego zwykła obojętność. – Przecież to po prostu niemożliwe...

–Nic nie wiecie – przerwał niecierpliwie Mallory. – Setki

Greków w Macedonii zginęło w ten sposób... Zresztą zazwyczaj byli żywi, kiedy ich wrzucano. Jeśli nie wiecie, jak Grecy nienawidzą okupantów, nie wiecie nawet, co to jest nienawiść... Andrea – dowiedziawszy się, którzy to żołnierze zabili wcześniej, tego samego popołudnia, jego rodziców

–rozdzielił pomiędzy nich parę butelek wina; byli dość głupi, by nie robić z tego tajemnicy. O zmierzchu poszedł za nimi do starego baraku z falistej blachy, gdzie zatrzymali się na noc. Miał przy sobie tylko nóż. Przy wejściu postawili wartownika. Andrea skręcił mu kark, wszedł do środka i rozbił naftową lampę. George nie wie, co się działo, poza tym, że Andrea dostał szau. Wyszedł za dwie minuty zupełnie przemoczony, ociekając krwią od stóp do głów. George opowiada, że kiedy odchodzili, z baraku nie dochodził żaden dźwięk, nawet stęknienie. Znowu zrobił pauzę. Tym razem nikt mu nie przerwał, nikt się nie odezwał. Stevens zadrzał, obciążając swą złachmanioną kurtkę, jak gdyby nagle zrobiło się chłodno. Mallory zapalił nowego papierosa, uśmiechnął się nieznacznie do Millera i wskazał głową wieżę.

–Rozumiecie, co miałem na myśli mówiąc, że bylibyśmy tylko ciężarem dla Andrei tam na górze?

–Tak. Chyba tak, rozumiem – przyznał Miller. – Nie miałem pojęcia, nie miałem pojęcia... Ale nie wszystkich, komendancie! Nie mógł zabić tyłu!

–Owszem, zabił – przerwał Mallory nie podnosząc głosu. – Potem sformował własny oddział i zamienił życie w piekło okupacyjnym oddziałom w Tracji. Pewnego razu prawie cała dywizja ściagała go przez Rodopy. Wreszcie został zdradzony i schwytany. Jego, George.a i czterech innych załadowano na statek do Stavros –

miano go przewieźć na proces do Salonik. Obezwładnił strażników – Andrei udało się oswobodzić w nocy z więzów – i skierował statek do Turcji. Turcy próbowali go internować. Równie dobrze mogliby internować trzęsienie ziemi. Przybył do Palestyny, próbował wstąpić do batalionu greckich komandosów, jaki formowano na Środkowym Wschodzie, głównie spośród weteranów kampanii albańskiej – Mallory zaśmiał się niewesoło. – Aresztowano go jako dezertera. W końcu został zwolniony, tylko że nie było dla niego miejsca w nowej armii greckiej. Ale w biurze Jensena słyszeli o nim i wiedzieli, że jest człowiekiem wprost stworzonym do działań dywersyjnych... Tak więc znaleźliśmy się razem na Krecie. Minęło pięć, może dziesięć minut i nikt nie przerywał ciszy. Od czasu do czasu, na wypadek gdyby ich ktoś obserwował, udawali, że piją, ale teraz nawet ostatnie światła zgasły. Mallory wiedział, że z wyżyn strażniczej wieży widać ich tylko jako niewyraźne plamy, mgliste i pozbawione kształtu. Kuter zaczął się kołysać w przyboju otwartego morza. Wysokie, smukłe sosny, teraz czarne jak północne cyprysy i majaczące niewiarygodnie wysoko pod przysypanym gwiazdami i pokrytym strzępami chmur bladym niebem, zamykały ich ze wszystkich stron, uroczyste, czujne i groźne. Wiatr wygwizdywał posępne „requiem” w ich rozchwianych wierzchołkach. Zła noc, niesamowita i złowróżbna noc, brzemienna tym nieokreślonym przecuciem, które sięga do głębi duszy i porusza źródła pozbawionych nazwy lęków, mętnych i dokuczliwych wspomnień sprzed miliona lat, odwiecznych szczepowych przesądów ludzkości. Noc, która zmywa cienką tkankę cywilizacji, a drżącemu człowiekowi zdaje się, że ktoś stąpa po jego grobie. Nagle, w sposób zupełnie nieoczekiwany, czar prysnął, a wesoly okrzyk Andrei w jednej chwili postawił wszystkich na nogi. Usłyszeli jego dudniący śmiech, zdawało się, że nawet drzewa stoją skulone pod wpływem świadomości porażki. Nie czekając, aż podciągną rufę do brzegu, wskoczył do wody, osiągnął kuter paroma potężnymi zamachami ramion i łatwo wdrapał się na pokład. Uśmiechając się z wyżyn swego wzrostu, otrząsnął się jak kudłaty brytan i wyciągnął ręką po butelkę wina.

–Nie trzeba pytać, jak poszło, hę? – odezwał się Mallory z uśmiechem.

–Nie trzeba. To było zbyt łatwe. To tylko dzieciaki i w ogóle mnie nie zobaczyli. – Andrea pociągnął długi łyk z butelki i uśmiechnął się z prawdziwą rozkoszą. – Nawet ich nie stuknąłem – mówił dalej triumfująco. – No, może parę małych klapsów... Wszyscy patrzyli na was, wyglądając zza parapetów. Obezwładniłem ich, rozbroiłem i zamknąłem w piwnicy. I trochę pogiąłem cekaemy... Tylko troszeczkę. To już koniec – rozmyślał tępo Mallory. – To koniec wszystkiego: trudów, nadziei, obaw, miłości i uśmiechu. Nie unikniemy swego losu. Zginiemy i zginie tysiąc ludzi na Cheros. – Nieświadomie i niepotrzebnie uniósł dłoń, powoli otarł wargi ze słonej piany, pryskającej z rozdmuchiwanym wiatrem grzebieni fal, potem dłoń powędrowała wyżej, przysyłając przekrwione oczy, które wpatrywały się bez nadziei w burzliwą ciemność. Na chwilę otępienie ustąpiło i prawie nieznośna gorycz wypełniła serce. Wszystko stracone, wszystko z wyjątkiem dział Nawarony. One pozostaną, są

niezniszczalne. Niech je diabli, niech je diabli, niech je diabli! Mój Boże, jakie to wszystko daremne i niepotrzebne! Kuter konał; rozłaził się w szwach. Nieustanne miażdżące ciosy wiatru i morza dosłownie zabijały go, rozszarpały na kawałki. Raz po raz rufa zanurzała się poniżej pokrytych pianą burt, a dziób wariacko wyskakiwał w powietrze, aż ukazywała się ociekająca wodą stępka. A potem wszystko leciało pionowo w dół: huk i potężny wstrząs, gdy szeroki dziób walił między fale. Uderzeń tych nie mogły wytrzymać stare belki i deski, które trzaskały stopniowo. Sytuacja wyglądała dosyć kiepsko, gdy tuż po zapadnięciu ciemności wypłynęli z zatoczki i po straszliwie wzburzonym morzu przebijali się północnym kursem do Nawarony. Sterowanie niezgrabnym starym kutrem stało się niezwykle trudne; pod ciosami fali gwałtownie zeskakiwał z kursu w zupełnie nieoczekiwanych momentach, zataczając łuki dochodzące do 50 stopni. Ale przynajmniej trzymał się cało, gdy grzywacze przelewały się przez niego w regularnych odstępach, a wiatr ustalił się i wiał z południowego wschodu. Teraz sytuacja się zmieniła. Kilka desek zerwało się ze stewy, powstał silny przeciek przez dławik wału śruby i kuter czerpał wodę szybciej, niż stara ręczna pompa mogła ją wyssać. Ścigane wiatrem fale stały się cięższe, a przy tym nierówne i skołtunionie, i uderzały w kuter z coraz to innej strony. Siła wiatru zdwoiła się z przeraźliwą gwałtownością, wiatr szaleńczo zmieniał kierunek od południowego zachodu do południowego wschodu. I tylko wtedy, gdy wiał z południa, pchał ślepo niesterowny statek na żelazne rafy Nawarony, rafy, które czatowały, niewidoczne, gdzieś przed nimi w ogarniającej wszystko ciemności. Na chwilę Mallory wyprostował się, próbując zmniejszyć ból, szarpiący żelaznymi kleszczami mięśnie pleców. Już przeszło dwie godziny pochylał się i prostował, pochylał się i prostował, podnosząc tysiące wiader, które Dusty Miller bez końca podawał mu z ładowni. Bóg tylko mógł wiedzieć, jak się czuł Miller. Jakkolwiek by było, miał cięższą pracę od Mallory.ego, a ponadto cierpiał okrutnie, niemal bez przerwy, na morską chorobę. Wyglądał upiornie. Jego nieprzerwany wysiłek, żelazna wola, aby się opanować, sięgały poza granice zrozumienia. Mallory z podziwem potrząsnął głową: „Mój Boże, ale on jest twardy, ten jankes”. Zły, uświadomił sobie niejasno zupełną niewystarczalność tego określenia. Chwytny oddech spojrzał, jak inni dają sobie radę. Browna, oczywiście, nie mógł widzieć. Zgięty we dwoje w ciasnocie maszynowni, również chorował bez przerwy, cierpiąc na straszliwy ból głowy od oparów ropy naftowej i spalin, wydobywających się nadal z zapasowej rury wydechowej i nie mających żadnego ujścia z pozbawionej wentylacji kłitki. Jednak pochylony nad silnikiem ani razu nie opuścił swego posterunku od chwili, gdy wyszli z zatoczki. Pielęgnował zużytego starego kelvina z czułością i wspaniałą zręcznością człowieka wzrosłego w dawnych i dumnych tradycjach mechaniki. Silnik musi wreszcie stanąć, rozlecieć się gwałtownie, w mgnieniu oka. Ich dalsza droga, ich życie zależy wyłącznie od stałych obrotów śruby, od pracowitego pykania zardzewiałej, starej maszyny. To jest serce statku; gdy to serce przestanie bić, statek umrze również – okręci się burtą i zwali w oczekującą nań przepaść między grzbietami fal. Przed maszynownią, z rozkraczonymi nogami, oparty o narożną belkę połamanego szkieletu sterówki, Andrea pracował bez przerwy przy pompie, nie

podnosząc nawet głowy, obojętny na szaleńcze podskoki pokładu, obojętny na kłuszący wiatr i kłującą lodową pianę, która paraliżowała obnażone ramiona i przyklejała przemoczoną koszulę do zgarbionych potężnych barków. Ramiona bez przerwy, niezmordowanie, poruszały się w górę i w dół z regularnością tłoków cylindra. Robił to już prawie trzy godziny, a wyglądał tak, jakby to robił zawsze. Mallory, który rzucił mu pompę, zupełnie wyczerpany po niecałych dwudziestu minutach okrutnej mordęgi, zastanawiał się, czy wytrzymałość tego człowieka ma jakiegokolwiek granice. Zdumiewał go również Stevens. Przez cztery bezkresne godziny Andy Stevens walczył z kołem sterowym, które skakało i wyrywało mu się z rąk, jakby miało własne życie i własną wolę

–wolę wydarcia się z wyczerpanych dłoni i rozszarpania ich na kawałki. Spisywał się wspaniale, prowadząc niezgrabny statek. Mallory popatrzył na niego z bliska, ale piana złośliwie chlusnęła mu w oczy i oślepiła. Zdołał tylko dostrzec zacisnięte usta, bezsenne, zapadnięte oczy i małe plamki skóry, nienaturalnie blade na tle krwawej maski, która pokrywała prawie całą twarz, od nasady włosów po gardło. Niedawno skręcony potężny grzywacz runął nieoczekiwanie na ścianę sterówki i z szaleńczą siłą wgniótł okna. Stevens nie miał żadnej możliwości ucieczki. Rozcięcie nad prawą skronią było szczególnie przykre, poszarpane i głębokie. Krew nadal płynęła z postrzępionej rany i monotonicznie ściekała do wody, która chlapała i bulgotała na podłodze sterówki. Zupełnie wyczerpany, Mallory odwrócił się i sięgnął po kolejne wiadro wody. Cóż to za załoga – myślał. – Cóż to za zdumiewający zespół... szukał słów, by opisać tych ludzi, ale wiedział, że jest zbyt zmęczony. Zresztą nie miało to znaczenia, uświadamiał sobie, że i tak nie znajdzie właściwych słów. W ustach czuł niemal smak goryczy, tej goryczy, którą zaprawione były jego myśli. Boże, jakie to było straszne, jak okropnie niesprawiedliwe! Dlaczego tacy ludzie mają umierać? – zastanawiał się z wściekłością. – Dlaczego mają umierać tak niepotrzebnie? A może usprawiedliwienie śmierci jest w ogóle zbędne, nawet śmierci niesławnej, bez osiągnięcia celu? Czy można umierać za sprawy nieuchwytnie, za abstrakcję i ideał? Co osiągnęli męczennicy na stosie? Czy to znów ten stary slogan: „dulce et decorum est pro patria mori?” (Słodko i pięknie jest umierać za ojczyznę – łac.) Jeśli ktoś żyje właściwie, nie ma znaczenia, jak umiera. Nieświadomie zacisnął usta, myśląc z obrzydzeniem o słowach Jensena, który mówił o tym, jak dowództwo rozgrywa partię szachów. Teraz dostaną cios w sam środek szachownicy, parę pionków więcej poleci w przepaść. To nie ma znaczenia – jest ich jeszcze tysiące. Po raz pierwszy Mallory pomyślał o sobie. Nie z goryczą ani współczuciem czy żalem, że wszystko się skończyło. Myślał o sobie jedynie jako dowódcy tej grupy, o swej odpowiedzialności za sytuację. To moja wina – powtarzał – to wszystko moja wina. Ja ich tu przywiodłem, ja im rozkazywałem. Nawet jeśli coś w głębi duszy mówiło mu, że nie miał wyboru, że musiał tak postąpić, że gdyby pozostali w zatoce, zostaliby starci z powierzchni ziemi na długo przed świtem – tym bardziej wbrew rozsądkowi się oskarżał. Shackleton, ze wszystkich ludzi na świecie może jedyny Ernest Shackleton, potrafiłby im teraz pomóc. Ale nie Keith Mallory. Nic już nie mógł zrobić,



nic innego niż to, co robili inni, a oni właśnie czekali na koniec. Lecz on był dowódcą, powinien coś przedsięwziąć... Tylko że nic nie mógł. Na całym świecie bożym nie istnieje człowiek, który mógłby teraz coś poradzić. Poczucie winy, poczucie zupełnej nieprzydatności utrzymywało się w nim i pogłębiało przy każdym drgnieniu starych belek statku. Rzucił wiadro i chwycił się masztu, gdy ciężka fala przelewała się przez pokład. Piana wyglądała jak migotliwie fluoryzująca rtęć. Woda wirowała wokół jego nóg, nie dostrzegał jej, wbił oczy w ciemność. Ciemność – to było najgorsze zło. Stary kuter zataczał się i podskakiwał, potykał i zanurzał, ale był jakby nierealny, poruszał się w próżni. Nie widzieli nic – ani dokąd poszła ostatnia fala, ani skąd nadchodziła następna. Morze było niewidoczne i niesamowicie odległe, a jednocześnie przerażające w swej namacalnej bliskości. Mallory zajął do luku, ledwie dostrzegając niewyraźną białą plamę twarzy Millera; Miller połknął trochę morskiej wody i wymiotował gwałtownie słoną wodą i krwią. Mallory mimo woli zignorował to, cała jego uwaga skoncentrowała się gdzie indziej; usiłował skonkretyzować jakieś przelotne wrażenie, równie niepewne jak krótkie. Ta sprawa wydawała mu się rozpaczliwie pilna. Potem kolejna, jeszcze większa fala uderzyła o burtę i w tej samej chwili zrozumiał. Wiatr! Wiatr słabł z każdą sekundą. Splatając ramiona wokół masztu, gdy kolejny grzywacz usiłował go porwać, przypomniał sobie, jak często w górach, w ojczyźnie, stał na skraju przepaści, wiatr zaś, szukając drogi najmniejszego oporu, zmieniał kierunek i wiał po zboczu, zostawiając go w zakątku względnego spokoju. Było to dość powszechne zjawisko w górach. A te dwie niezwykle cętkowane fale – to ustępujący przybój! Znaczenie tych zjawisk spadło nań jak cios. Rafy! Jesteśmy na rafach Nawarony. Z ochryplym krzykiem ostrzeżenia, nie zważając na własne bezpieczeństwo, rzucił się na rufę i runął w skłębione wody na dnie maszynowni.

–Cała wstecz! – krzyknął. Biała plama, która była twarzą Browna, odwróciła się ku niemu.

–Na miłość boską, człowieku, cała wstecz! Płyniemy na rafy! Zerwał się na nogi, dwoma skokami osiągnął sterówkę, ręka macała nerwowo szukając rakiety.

–Rafy, Stevens! Wchodzimy prawie na rafy! Andrea... Miller nadal jest na dole! Zerknął na Stevensa, dostrzegł powolny, przytakujący ruch ściągniętej, zakrwawionej twarzy, spojrzał w tym samym kierunku co pozbawione wyrazu oczy porucznika, ujrzał białą fosforyzującą linię, nieregularną, lecz prawie ciągłą, nasilającą się i blednącą, gdy fale uderzały i cofały się od raf, nadal niewidocznych w ciemności. Nerwowymi ruchami załadował i wystrzelił rakiety. Rakietę poleciała sycząc i parskając, prawie poziomym lotem. Przez chwilę Mallory myślał, że zgasła, i zacisnął pięści w bezsilnej złości. Rakietę uderzyła jednak o skałę, spadła na wystającą kamienną półkę, jakieś dwanaście stóp nad wodą, i leżała tam dymiąc i płonąc w ulewnym deszczu i chmurach piany unoszącej się znad ryczących grzywaczy. Światło było słabe, lecz dostateczne. Skały znajdowały się w odległości jakichś pięćdziesięciu jardów, czarne i połyskujące wilgocią w migotliwym blasku rakiety,

która oświetlała krąg o promieniu mniejszym niż pięć jardów; skała poniżej występu zaś była pogrążona w zdradzieckiej ciemności. A prosto przed nimi, dwadzieścia, może piętnaście jardów od brzegu, rozciągała się długa rafa, poszczerbiona i ostra jak igła, której oba końce niknęły w ciemności.

–Dopłyniesz?! – ryknął do Stevensa.

–Bóg wie! Spróbuję! – Krzyknął coś jeszcze o jakimś przejściu, ale Mallory był już w połowie drogi do dziobówki. Jak zwykle w chwilach niebezpieczeństwa, jego wyobraźnia wybiegała naprzód z niezwykłą pewnością i jasnością myśli, z których potem nigdy nie zdawał sobie sprawy. Schwycił haki, młotek i przetykaną drutem linę i w ciągu kilku sekund był już z powrotem na pokładzie. Stał nieruchomo jak głaz, z nieznośnym napięciem obserwując wznoszącą się nad kutrem poszarpaną skałę, która sięgała prawie do połowy sterówki. Statek trzasnął o nią tak silnie, że Mallory upadł na kolana. Zatrzeszczały powyginane i spękane burty, a potem kuter pochylił się na bok i opadł bezwładnie, mimo że Stevens kręcił sterem i krzyczał o całą wstecz.

Mallory odetchnął głęboko, z ulgą – nieświadomie przez cały czas wstrzymywał oddech – a potem pospiesznie przerzucił zwój lin przez prawe ramię, za pas zatykając haki i młotek. Kuter niezdarnie kręcił się dokoła, podskakując i wibrując gwałtownie, gdy padał bokiem w bruzdy fal, fal krótszych i bardziej pionowych niż dotychczas, wzbudzonych podwójnym naciskiem wiatru i przyboju odbitego od skał. Morze i silnik nadal popychały kuter naprzód, a odległość od raf zmniejszała się z zastraszającą szybkością. To jedyna okazja – powtarzał Mallory. – Okazja, którą muszę wykorzystać. Lecz mały występ skalny, odległy i niedostępny, był ostatnią wyrafinowaną torturą losu, solą w śmiertelnej ranie. W głębi serca Mallory wiedział, że to w ogóle nie jest żadna okazja, tylko samobójczy krok. Wtedy Andrea wyrzucił za burtę ostatnie odbijacze – zużyte opony ciężarówek – i stanął przy nim ukazując zęby w uśmiechu, i nagle Mallory nie był już taki pewny.

–Na tę półkę? – Wielka, uspokajająca dłoń Andrei spoczęła na ramieniu Mallory.ego. Mallory skinął głową, ugiął kolana, wparł mocno stopy w rozhuśtany pokład.

–Skacz! – ryknął Andrea. Nie było już czasu. Kuter pochylił się burta, podrzucony na grzbiecie fali prawie do wysokości skał, a Mallory zrozumiał, że musi skoczyć teraz albo nigdy. Cofnął ramiona, jeszcze bardziej ugiął nogi w kolanach, a potem jednym konwulsyjnym szarpnięciem rzucił się w górę. Palce drapały mokrą skałę, a potem zacisnęły się na krawędzi półki. Przez moment wisiał na ramionach, niezdolny do żadnego ruchu. Jęknął, słysząc, jak przedni maszt uderza o kamienie i pęka, potem bez udziału woli rozluźnił palce i znalazł się prawie w połowie wysokości skały, pchnięty potężnie od dołu. Jednak nie był jeszcze na szczycie. Trzymał się jedynie na sprzączce pasa, która zaczepiła się o występ skały i pod wpływem ciężaru ciała podeszła teraz aż do mostka klatki piersiowej. Mallory nie wymachiwał rękami w

poszukiwaniu oparcia, nie miotał się całym ciałem, nie wierzgał nogami w powietrzu – wtedy niechybnie runąłby w dół. Nareszcie znowu znalazł się w swoim żywiole. Największy, wedle powszechnego mniemania, alpinista swoich czasów był jak stworzony do takich sytuacji. Powoli, metodycznie, obmacał skałę i prawie natychmiast odkrył małe pęknięcie idące w głąb. Byłoby lepiej, gdyby ta szczelina była równoległa do powierzchni i szersza od zapalki. Lecz Mallory.emu to wystarczyło. Niezwykle ostrożnie wyciągnął młotek i dwa haki zza pasa, wsadził jeden w szczelinę, by uzyskać minimalne oparcie, następny wetknął parę cali bliżej, oparł lewy przegub na pierwszym haku i trzymając drugi palcami tej samej ręki, wolną dłonią uniósł młotek. Piętnaście sekund później stał już na półce. Posuwając się szybko i pewnie jak kot po śliskiej, spadzistej skale, wbił hak jakieś trzy stopy nad półką, zawiązał na nim linę węzłem żeglarskim i nogą strącił w dół resztę liny. Wtedy

–ale dopiero wtedy – odwrócił się i spojrzał w dół. Nie upłynęła minuta od chwili, gdy kuter uderzył o rafę, ale widać było, jak się dosłownie rozpada. Maszty miał połamane, burty zgniecione. Co jakieś siedem czy osiem sekund potężny grzywacz podrzucał go i dosłownie walił nim o ścianę, opony ciężarówek tylko w minimalnym stopniu osłabiały uderzenia. Potężny cios strzaskał reling w drzazgi, podziurawił i pogniótł burty statku, połamał dębowe belki. A potem kuter cofnął się, ukazując żarłoczne fale, które wlewały się poprzez zerwane i połamane poszycie. Trzej ludzie stali przy szczątkach sterówki. Trzej ludzie: Mallory nagle uświadomił sobie, że Casey Brown tam nie ma, że silnik nadal działa, że jego łoskot wznosi się i opada w nieregularnych odstępach. Brown wciąż manewrował kutrem naprzód i w tył wzdłuż rafy, utrzymując go, ile to było w ludzkiej mocy, w tej samej pozycji. Wiedział, że ich życie zależy od Mallory.ego i od niego.

–Głupiec! – zaklął Mallory. – Zupełny wariat. Kuter cofnął się na ustępującej fali, znieruchomiał, a potem znowu potoczył się na rufę, przechylając się tak gwałtownie, że aż dach sterówki uderzył o skałę i wgiął się do środka. Cios był tak potężny, wstrząs tak gwałtowny, że Stevens stracił oparcie dla rąk i nóg i jak z katapulty wyleciał na kamienie, wznosząc ramiona, by zasłonić twarz. Przez chwilę wisiał jak przyszpilowany do ściany, potem spadł bezwładnie w morze. Zginałby wtedy pod mocarnymi uderzeniami fali, utopiłby się albo zostałby zmiażdżony przy następnym taranowym zderzeniu kutra ze skałą. Powinien był zginąć i zginałby, gdyby nie potężne ramię, które chwyciło go, wyciągnęło z wody jak przemoczoną kukłę z gałganów i podniosło na pokład.

–Szybciej, na miłość boską! – krzyknął rozpaczliwie Mallory. – Kuter za chwilę utonie! Lina! Włóżcie po linie! Spostrzegł, że Andrea i Miller mówią coś do siebie, widział, że potrzęsają i tłuką Stevensa, stawiają go na nogi. Stevens, oszołomiony, ale przytomny, wymiotował morską wodą. Andrea krzyczał mu coś do ucha i wpychał mu linę w ręce, a potem, gdy kuter znowu się nachylił, Stevens machinalnie zacisnął na niej dłoń. Andrea pchnął go straszliwie, Mallory wyciągnął rękę i Stevens w

mgnieniu oka znalazł się na półce. Siedział plecami do skały i trzymał się haka, nadal oszołomiony i drżący, lecz już bezpieczny.

–Miller, teraz ty! – krzyknął Mallory. – Szybko, człowieku, skacz! Miller spojrział na niego i Mallory mógłby przysiąc, że się uśmiechnął. Zamiast wziąć linę od Andrei, pobiegł do kabiny.

–Minutkę, komendancie! – ryknął. – Zapomniałem szczoteczki do zębów. Wrócił za chwilę, bez szczoteczki. Niósł dużą zieloną skrzynkę z materiałami wybuchowymi i zanim Mallory pojął, co się dzieje, pięćdziesięciofuntowa skrzynka poleciała łukiem w powietrzu, wyrzucona przez niezmordowanego Greka. Mallory machinalnie wyciągnął rękę i chwycił ją. Stracił równowagę, potknął się i poleciał naprzód, nadal ściskając skrzynkę. Zatrzymało go gwałtowne szarpnięcie. Stevens, uczepiony haka, był już na nogach i wolną ręką złapał Mallory.ego za pas. Trząśnięcie gwałtownie z zimna, wyczerpania, strachu i podniecenia. Ale, podobnie jak Mallory, był alpinistą i znalazł się w swoim żywiole. Ledwie Mallory zdążył się wyprostować, nadleciało radio w nieprzemakalnym pokrowcu. Schwycił je i położył.

–Zostawcie te cholerne graty!

–wrzasnął wściekły. – Skaczcie tu sami. Natychmiast! Dwa zwoje liny wylądowały na krawędzi obok niego, a następnie pierwszy plecak z ubraniami i jedzeniem. Uświadomił sobie, że Stevens usiłuje ułożyć ekwipunek w określonym porządku.

–Słyszycie?! – krzyknął Mallory. – Natychmiast chodźcie tutaj! Rozkazuję wam. Statek tonie, idioci! Kuter rzeczywiście tonął, coraz szybciej czerpiąc wodę, a Casey Brown opuścił już zalaną maszynownię. Ale statek był teraz o wiele bardziej stabilny, zataczał znacznie krótsze łuki, dzięki czemu zderzenia ze skałą straciły na gwałtowności. Mallory.emu zdawało się początkowo, że sztorm słabnie, a potem zrozumiał, że tony wody w ładowni kutra obniżyły środek jego ciężkości i działają jak przeciwwaga. Miller przyłożył dłoń do ucha. Nawet w mętym świetle gasnącej rakiety jego twarz odznaczała się niesamowitą zielonkawą bladością.

–Nie słyszę ani słowa, komendancie. Poza tym jeszcze nie tonie. – I Amerykanin znowu zniknął w kabinie na dzobie. Ponieważ cała piątka pracowała szaleńczo, w ciągu trzydziestu sekund reszta ekwipunku znalazła się na skale. Kuter zanurzył się rufą, tylny pomost zniknął pod wodą, woda wlewała się do luku maszynowni, gdy Brown wspiął się po linie; gdy Miller chwycił linę i ruszył za nim, była już zalana przednia nadbudówka, a gdy Andrea skoczył na skałę, jego nogi zawisły nad pustym obszarem morza. Kuter poszedł na dno, zniknął im z oczu i nawet jeden kawałek pływającego drewna, nawet pęcherzyk powietrza nie świadczył o tym, że coś tu przed chwilą było. Wąski występ skalny, który nie miał nawet trzech stóp w najszerszym miejscu, po obu stronach nikał w ciemności. Co gorsza, poza skrawkiem o powierzchni kilku stóp kwadratowych, gdzie Stevens ułożył sprzęt,

wybrzuszał się ostro, skała pod nogami była zwietrzała i śliska. Andrea i Miller musieli stać na piętach, przyciśnięci plecami do ściany, wpijając jak najmocniej palce w kamień, aby utrzymać równowagę. Nie trwało jednak nawet minuty, gdy Mallory wbił dalsze dwa haki jakieś dwadzieścia cali nad półką, w odległości dziesięciu stóp od siebie, i połączył je liną, która zabezpieczała ich wszystkich. Miller zmęczony osunął się i usiadł, z ulgą opierając pierś o bezpieczną poręcz liny. Pogrzebał w kieszeni kurtki, wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował wszystkich, nie zważając, że deszcz przemoczył je natychmiast. Sam ociekał wodą, oba kolana miał fatalnie potłuczone. Było mu straszliwie zimno, ulewny deszcz i woda z rozbijających się o głązy bałwanów przemoczyły go do nitki, ostra kamienna krawędź wpijała mu się okrutnie w uda, naciągnięta lina utrudniała oddech, twarz miał szarą jak popiół z wyczerpania długimi godzinami pracy i morską chorobą. Ale gdy się odezwał, w jego głosie zabrzmiała prawdziwa szczerłość.

–Mój Boże! – powiedział z uznaniem. – To było cudowne!

Rozdział piąty Poniedziałek w nocy Godz. #/01#00\_#/02#00 W półtorej godziny później Mallory, zaparty w skalnym kominie, wbił hak pod nogami, próbując dać odpoczynek obolałemu i wyczerpanemu ciału. Dwie minuty odpoczynku – mówił sobie. – Tylko dwie minuty, nim wejdzie Andrea. Lina drżała.

Poprzez wycie wiatru, który usiłował oderwać go od ściany, słyszał chrobotanie metalu, gdy Andrea szukał oparcia dla nóg. Urwisko o mało nie zmogło Mallory.ego. Dostał się tutaj za cenę pokaleczonych rąk, zupełnego wyczerpania, piekącego bólu w mięśniach ramion i zadyszki. Udręczone płuca wielkimi haustami chwytały powietrze. Świadomie usiłował nie myśleć o bólu, który przenikał ciało, o gwałtownej potrzebie odpoczynku; nasłuchiwał brzęczenia stali o kamienie, tym razem głośniejszego, słyszalnego wyraźnie nawet poprzez ryk wiatru... Chciał powiedzieć Andrei, żeby zachowywał się jak najciszej na ostatnim odcinku około dwudziestu stóp, dzielącym ich od wierzchołka. Do Mallory.ego i tak nikt nie mógłby mieć pretensji, że nie porusza się cicho. Nawet gdyby chciał, nie byłby w stanie robić hałasu, jedyną bowiem osłonę jego posiniaczonych i krwawiących stóp stanowiły podarte skarpetki. Ledwie przebył pierwsze sześć jardów, stwierdził, że jego górskie buty są bezużyteczne: pozbawiały go wszelkiego czucia, możliwości wynajdywania i wykorzystywania maleńkich szczelin, w których najwyżej palec mógł się zmieścić, a które stanowiły jedyne oparcie na gładkiej ścianie. Z wielkim trudem zdjął buty i przywiązał je sznurowadłami do pasa; zgubił je zresztą przy forsowaniu występu skalnego. Sama wspinaczka po pionowym, nieznanym urwisku była zmorą, okrutną męką wśród wichru, ulewy i ciemności, męką, która w końcu stępiła poczucie niebezpieczeństwa i przesłaniała samobójcze ryzyko nie kończącą się torturą zwisania na koniuszkach palców, wbijania setki haków, zakładania lin i pełzania cal po calu w ciemności. Takiej akcji nigdy dotychczas nie przeprowadzał i nie mógłby jej powtórzyć, bo była szaleństwem. Wymagała całej jego wielkiej zręczności, odwagi i siły, a nawet czegoś więcej. Nie wiedział, że takie rezerwy, takie nieograniczone

zasoby sił mogą się mieścić w nim czy w jakimkolwiek innym człowieku. Nie znał również źródła tej siły, która wyniosła go aż na to miejsce, już tak bliskie wierzchołka. Nie była to ambicja alpinisty, osobiste niebezpieczeństwo, duma z faktu, że prawdopodobnie jest jedynym człowiekiem w południowej Europie, który może dokonać tej wspinaczki, nawet nie pamięć o tym, że czas upływa i niebezpieczeństwo, w jakim się znajdowała załoga Cheros, jest coraz bliższe – żaden z tych czynników nie wchodził w rachubę. Mallory uświadamiał sobie, że przez ostatnie dwadzieścia minut, potrzebne do sforsowania ściany, którą miał teraz pod nogami, był pozbawiony wszelkich myśli i wszelkich uczuć, że wspinał się jak maszyna. Z ogromną siłą podciągając się na rękach i na linie, Andrea wywindował się ponad wypukłość zbocza, choć nogi zwisały mu w powietrzu. Był obwieszony zwojami liny i hakami, które, wystając ze wszystkich stron, nadawały mu wygląd korsykańskiego bandyty z operetki. Szybko dotarł do Mallory'ego, wklinował się w komin i otarł spocone czoło. Jak zwykle, uśmiechnął się szeroko. Mallory uśmiechnął się również. Andrea nie miał prawa znajdować się tutaj. To było miejsce Stevensa, ale Stevens nadal jeszcze cierpiał z powodu szoku; stracił wiele krwi, a poza tym potrzebny był pierwszorzędnny alpinista, który by zamykał pochód, związał za sobą linę i wyciągał haki, bo nie mogli zostawić po sobie żadnego śladu – przynajmniej Mallory tak mówił, a Stevens zgodził się z żalem, jakkolwiek jego twarz świadczyła wyraźnie, że czuje się urażony. Teraz Mallory wieszował sobie, że oparł się milczącej prośbie Stevensa, który bez wątpienia był świetnym alpinistą, ale owej nocy Mallory potrzebował po prostu ludzkiej drabiny. Niejednokrotnie podczas wspinaczki stał na plecach Andrei, na jego ramionach, dłoniach, a raz – przez dziesięć sekund – na głowie, i to jeszcze wtedy, gdy miał na nogach podkute gwoździami buty. I ani razu Andrea nie zaprotestował, nie potknął się ani nie ugiął choćby o cal. Ten człowiek był niezniszczalny, twardy i wytrzymały jak skała, na której stał. Od zmierzchu Andrea pracował bez przerwy, wykonał taką robotę, która by zabiła dwóch zwykłych ludzi. Patrząc na niego Mallory uświadamiał sobie prawie z uczuciem zawodu, że nawet w tej chwili Andrea nie wygląda na szczególnie zmęczonego. Mallory wskazał ujście komina, rysujące się niewyraźnym prostokątem na tle bledszego nieba. Pochylił się nad uchem Andrei.

–Dwadzieścia stóp, Andrea – szepnął. Nadal oddychał z trudem. – Nie będzie trudności, z boku jest szczelina, która chyba prowadzi do szczytu. Andrea z namysłem spojrział w górę i milcząco skinął głową.

–Lepiej zdejmij buty – ciągnął dalej Mallory. – Haki będziemy wciskali rękami, żeby nie robić hałasu.

–Nawet w taką noc jak dziś? Na takim urwisku? Kiedy wieje wiatr, pada deszcz, jest zimno i ciemno choć oko wykol? – W tonie Andrei nie było wątpliwości ani pytania, raczej zgoda, nie wypowiedziane potwierdzenie nie wypowiedzianej myśli. Przebywali z sobą tak długo i tak się dobrze rozumieli, że słowa najczęściej stawały się zbyteczne. Mallory skinął głową, poczekał, aż Andrea wciśnie hak, okręci na nim linę

**i zabezpieczy resztki wielkiego zwoju sznura, który ciągnął się w dół aż do półki, czterysta stóp niżej, gdzie czekała reszta grupy. Andrea zdjął buty i pas z hakami, przymocował je do sznura, sprawdził, czy jego komandoski nóż o podwójnym ostrzu łatwo wychodzi ze skórzanej pochwy, spojrzął na Mallory.ego i kiwnął głową. Pierwsze dziesięć stóp poszło łatwo. Zapierając się dłońmi i plecami o jedną ścianę komina, a nogami w skarpetkach o drugą, Mallory posuwał się w górę, póki szerszy rozstęp skał mu tego nie udaremnił. Opierając nogi o przeciwległą ścianę, wsadził hak tak wysoko, jak mógł dosięgnąć, chwycił się go obiema rękami, podciągnął nogi i palcami wymacał szczelinę. W dwie minuty później zaczepił się o zwietrzałą krawędź przepaści. Bezszelestnie i z niezwykłą ostrożnością usunął palcami ziemię, trawę i drobne kamyczki, aż wreszcie dłonie uchwyciły twardą skałę. Zgiął kolano, by znaleźć mocniejsze oparcie, a potem powoli, ostrożnie wysunął głowę ponad krawędź. Gdy tylko oczy znalazły się na równym poziomie z krawędzią, znieruchomiał, wpatrzył się w obcą ciemność, a jego cała istota, cała świadomość skoncentrowały się we wzroku i słuchu. Po raz pierwszy w czasie tej straszliwej wspinaczki, zupełnie nielogicznie, uświadomił sobie ostro niebezpieczeństwo i swą bezradność – klął samego siebie, że był tak głupi i że nie pożyczył od Millera pistoletu z tłumikiem. Ciemność poniżej wysokiej linii pagórków była tylko nieco słabsza od absolutnej. Kształty i kąty, wyżyny i doliny rozpląwały się w mglistym zarysie, kontury i zwiewne profile wynurzały się niechętnie z ciemności, ciemności nagle już mniej niewyraźnej i nieznośnej, lecz zaskakująco bliskiej w tym, co pokazywała, domagającej się rozpoznania. I nagle, to był niemal szok, Mallory przypomniał sobie: szczyt urwiska przed jego oczami był dokładnie taki sam, jak go narysował i opisał monsieur Vlachos – wąski, nagi skrawek gruntu, biegnący równoległe do rafy, potem rumowisko olbrzymich głazów i wreszcie strome, zasypane piargiem zbocza gór. Pierwsza próba i trafiliśmy – myślał uszczęśliwiony Mallory – ale co za próba! Najbardziej niebezpieczna nawigacja, a jednak niewiarygodne szczęście, po prostu trafili nosem w cel – szczytowy punkt najwyższych, najbardziej urwistych raf na Nawaronie – jedyne miejsce, gdzie Niemcy nigdy nie wystawiają posterunku, ponieważ wejście tędy jest niemożliwe! Mallory czuł ulgę, ogarnęło go uniesienie. Z radością wyprostował nogi, podciągnął się do połowy ponad krawędź. I nagle**

**–znieruchomiał, skamieniał jak ta twarda skała pod jego rękami, serce podskoczyło mu do gardła. Jeden z głazów drgnął. W odległości siedmiu, może ośmiu jardów jakiś cień powoli wyprostował się, oddzielił ukradkiem od otaczających go skał i ruszył ku skrajowi urwiska. A potem ten cień dał się już zidentyfikować; ponad wszelką wątpliwość: długie buty, długi płaszcz pod peleryną, przypominający garnek hełm – wszystko to było aż zbyt dobrze znane. Do diabła z Vlachosem! Do diabła z Jensenem! Do diabła z wszystkimi mędrkami, którzy siedzą w domu, bonzowie z wywiadu, którzy dają człowiekowi fałszywe informacje i wysyłają go na śmierć. W tej samej chwili Mallory przeklinał i siebie za swoją nieostrożność, albowiem cały czas się tego spodziewał. Przez pierwsze dwie lub trzy sekundy leżał odrętwiały, bez**

ruchu, jak sparaliżowany. Wartownik posunął się z pięć kroków naprzód; trzymał karabin w pogotowiu i przechylał na bok głowę nasłuchując przenikliwego wycia wiatru i głębokiego, odległego huku przyboju i usiłując zidentyfikować dźwięk, który wzbudził jego podejrzenia. Ale pierwszy wstrząs już minął i umysł Mallory.ego pracował znowu. Wyjście na szczyt urwiska byłoby samobójstwem: dziesięć do jednego, że wartownik usłyszy go i zastrzeli z miejsca. A gdyby wstał, to i tak nie miałyby broni ani siły po wyczerpującej wspinaczce, żeby walczyć z uzbrojonym i wypoczętym Niemcem. Musiałby zejść w dół, po drugiej stronie, powoli, cal po calu. Mallory wiedział, że w nocy, patrząc z boku, widzi się ostrzej niż patrząc na wprost: wartownik mógłby kątem oka dostrzec nagły ruch. A potem obróciłby głowę i – koniec. Nawet w takiej ciemności sylwetka na tle ostrej krawędzi urwiska byłaby doskonale widoczna. Stopniowo, kontrolując każdy ruch i tłumiąc oddech, Mallory osunął się w dół. Niemiec zbliżał się nadal, był jakieś pięć jardów na lewo, ale nie patrzył w jego stronę, tylko nasłuchiwał. Wreszcie Mallory skrył się całkiem w kominie. Koniuszkami palców trzymał się krawędzi, potężne ciało Andrei znajdowało się obok niego, usta tuż przy jego uchu.

–Co to? Jest ktoś na górze?

–Posterunek – szepnął Mallory w odpowiedzi. Ramiona zaczęły go boleć z wysiłku. – Coś usłyszał i szuka nas. Nagle odsunął się od Andrei i przycisnął płasko do ściany; wiedział, że Andrea robi to samo. Strumień światła, bolesny i oślepiający dla oczu przyzwyczajonych do ciemności, wyskoczył sponad krawędzi urwiska i wolno przesunął się w ich kierunku. Niemiec zapalił latarkę i metodycznie przeszukiwał skraj przepaści. Na podstawie kąta padania promieni Mallory ocenił, że wartownik idzie w odległości jakichś dwóch stóp od krawędzi. Wśród tak burzliwej, ciemnej nocy wolał nie dowierzać zbyt zmurszałem i zdradzieckiemu gruntowi na szczycie, a może jeszcze bardziej niż tego obawiał się, że niespodziewanie jakaś para rąk chwyci go za kostki nóg i gwałtownym szarpnięciem ciśnie na skały z wysokości czterystu stóp, tak że pozostanie tylko martwe, zmasakrowane ciało. Światło zbliżało się powoli, nieubłaganie. Nie ulegało wątpliwości, że dosięgnie ich nawet w tej rozpadlinie. Nagle Mallory zrozumiał: Niemiec nie tylko ma podejrzenia, on wie, że ktoś tu jest, i nie przestanie szukać, póki ich nie znajdzie. I nic nie mogli na to poradzić, po prostu nic... A potem głowa Andrei znowu zbliżyła się do głowy Mallory.ego.

–Kamień – szepnął Andrea. – Rzuć za niego. Najpierw ostrożnie, a potem spazmatycznie Mallory obmacywał wierzch urwiska prawą ręką. Ziemia, wszędzie ziemia – trawa i żwir – nic, czym można by rzucić. Wtedy Andrea podał mu jakiś przedmiot – ręka Mallory.ego zamknęła się na metalicznej gładzi haka. Nawet w owej chwili rozpaczliwego pośpiechu, gdy promień latarki znajdował się w odległości paru stóp, Mallory poczuł gwałtowną złość na siebie – miał przecież kilka haków, a zupełnie o nich zapomniał. Zamachnął się i cisnął hak w ciemność. Minęła jedna sekunda, potem druga, już myślał, że się nie udało, promień był tylko o kilka cali od



ramion Andrei, gdy metaliczny brzęk haka uderzającego o głaz doleciał jego uszu jak błogosławieństwo. Promień zamigotał, poleciał gdzieś w ciemność, potem zatoczył krąg muskając skały na lewo. I nagle wartownik rzucił się w tę stronę ślizgając się i potykając w pośpiechu; lufa karabinu błyszczała w świetle przyciśniętej do niego latarki. Nie przebiegł nawet dziesięciu jardów, gdy Andrea był już na wierzchu urwiska i jak wielki czarny kot bezszelestnie przemykał za osłoną najbliższego głazu. Zniknął za nim jak duch – jeszcze jeden cień wśród cieni. Wartownik oddalił się już o jakieś dwadzieścia jardów, promień latarki przeskakiwał trwożnie z kamienia na kamień. Wtem Andrea zastukał dwukrotnie trzonkiem noża w skałę. Wartownik odwrócił się raptownie, oświetlając linię głazów, a potem niezdarnie popędził z powrotem w to samo miejsce, powiewając groteskowo połami na wietrze. Wymachiwał latarką i Mallory w ułamku sekundy dostrzegł jego bladą, ściągniętą twarz o szeroko rozwartych oczach, wystraszoną – całkowite zaprzeczenie gladiatorskiej siły stalowego hełmu nad nią. Mallory pomyślał, że tylko Bóg jeden wie, co za dzikie i paniczne myśli kłębią się teraz w tej głowie. Hałasy na krawędzi urwiska, metaliczne dźwięki wśród głazów po jednej i po drugiej stronie, długie przerażające czuwanie na posterunku, bez towarzyszy, nad przepaścią, w ciemną, burzliwą noc, we wrogim kraju... – Nagle Mallory poczuł głębokie współczucie dla tego człowieka, człowieka takiego samego jak on, czyjegoś kochanego męża, brata czy syna, który, jak umie, wykonuje parszywą i niebezpieczną robotę, ponieważ mu to nakazano. Ogarnęło go współczucie z powodu jego osamotnienia, obaw i strachu – wiedział przecież, że ten człowiek, nim zdąży odetchnąć trzy razy, będzie trupem... Powoli, dokładnie oceniając czas i odległość, podniósł głowę.

–Ratunku! – krzyknął. – Pomóżcie! Spadam! Żołnierz utknął w pół kroku i obrócił się, niecałe cztery stopy od skały, za którą krył się Andrea. Przez sekundę światło jego latarki migotało gwałtownie dokoła, a potem padło na głowę Mallory.ego. Przez następną chwilę Niemiec stał jak skamieniały, potem karabin w jego prawej ręce podskoczył do góry, lewa dłoń sięgnęła ku lufie. I wtedy chrząknął nagle, sapnął... Mimo wycia wiatru odgłos trzonka noża Andrei uderzającego o żebra doszedł wyraźnie do uszu Mallory.ego. Mallory patrzył na zabitego i na nieruchomą twarz Andrei, który wytarł ostrze noża o płaszcz Niemca, wyprostował się powoli, westchnął i schował nóż do pochwy.

–Tak, mój drogi! – Andrea tylko w obecności innych używał regulaminowego tytułu „kapitanie”. – Właśnie dlatego nasz młody porucznik zamartwia się tam na dole.

–Właśnie dlatego – przyznał Mallory. – Wiedziałem, że tak będzie... albo prawie wiedziałem. Ty też. Zbyt wiele zbiegów okoliczności: niemiecki kuter patrolujący, kłopoty koło strażnicy, a teraz to. – Mallory klął, cicho i gorzko. – To będzie koniec kariery naszego przyjaciela, kapitana Briggsa z Castelrosso. Zwolnią go w ciągu miesiąca. Jensen się o to postara. Andrea skinął głową.

–Wypuścił Mikołaja? Tego, który podsłuchiwał?

–A kto inny wiedział, że mamy tu wylądować, i powiadomił o tym wszystkich na całej trasie? – Mallory urwał i chwycił Andreę za ramię. – Niemcy są poinformowani. Nawet jeśli wiedzą, że lądowanie tutaj w taką noc jest niepodobieństwem, to i tak na pewno rozrzucili z dziesięć posterunków na rafach.

–Mimowolnie zniżył głos. – Ale nie mogli zakładać, że jeden będzie walczył przeciwko pięciu. A więc...

–Sygnały – skończył za niego Andrea. – Muszą mieć jakiś sposób porozumiewania się. Może rakiety...

–Nie, to nie – zaprzeczył Mallory. – Zdradziliby w ten sposób swoje stanowiska. Na pewno telefon. Pamiętasz, jak na Krecie porozciągali druty telefoniczne na przestrzeni całych mil? Andrea przytaknął, podniósł latarkę zabitego, osłonił ją olbrzymią dłonią i zaczął szukać. Wrócił w niespełna minutę.

–Jest telefon – oznajmił. – Tam, pod skałami.

–Nic na to nie poradzimy – stwierdził Mallory. – Jeśli zadzwoni, będę musiał odpowiedzieć, bo przylecą tu galopem. Mam tylko nadzieję, że nie mają żadnych cholernych kryptonimów. To byłoby do nich podobne. Odwrócił się i zamilkł nagle.

–Ale ktoś tu przecież przyjdzie – zmiana, dowódca czaty albo ktoś w tym rodzaju. Być może wartownik miał składać meldunek co godzinę. Ktoś tu przyjdzie – i to niebawem. Mój Boże, Andrea, musimy się spieszyć!

–A ten biedak? – Andrea wskazał na skulony cień u swych stóp.

–W przepaść. – Mallory skrzywił się z niesmakiem. – Jemu nie robi to żadnej różnicy, a nie możemy zostawić śladu. Najprawdopodobniej pomyślą, że sam spadł – grunt tu na szczycie jest niepewny i zdradziecki jak lichy... Zobacz, czy nie ma przy sobie papierów: nigdy nie wiadomo, kiedy się mogą przydać.

–Ale buty przydadzą się jeszcze bardziej – Andrea wskazał obsypane piargiem zbocza. – W skarpetkach daleko nie zajdziesz. W pięć minut później Mallory pociągnął trzy razy za sznurek, który spadał w ciemności na dół. W odpowiedzi z dołu szarpnięto również trzy razy, a potem sznurek zniknął gwałtownie za krawędzią zbocza, pociągając za sobą długą, przeplataną drutem linę, którą Mallory rozwijał ze zwoju leżącego na szczycie. Jako pierwsza część ekwipunku przybyła skrzynka z materiałami wybuchowymi. Obciążona lina opadała pionowo z nawisu i chociaż skrzynka była zabezpieczona z każdej strony przywiązanymi plecakami i śpiworami, to jednak tłukła straszliwie o skałę za każdym zamachem poruszanego wiatrem wahadła. Ale nie było czasu na subtelności, na czekanie, aż wahnienia osłabną. Pewnie zakotwiczony na linie, przywiązanej do podstawy wielkiego głazu, Andrea wychylał się daleko ponad krawędź przepaści i ciągnął siedemdziesięciofuntowy

ciężar jak pstrąga. Nie minęły trzy minuty, gdy skrzynka z amunicją leżała już koło niego na skale; w chwilę później znalazło się tu również dynamo, broń długa i krótka, owinięta w dwa pozostałe śpiwory, i lekki dwustronny namiot, z jednej strony biały, z drugiej brązowo\_zielony dla kamuflażu. Po raz trzeci lina rozwinęła się wśród deszczu i ciemności, po raz trzeci niezłomny Andrea ciągnął ją w górę. Mallory stał z tyłu zwijając ją, gdy nagle usłyszał okrzyk Andrei. Dwoma szybkimi skokami znalazł się nad brzegiem przepaści. Dotknął dłonią ramienia olbrzymiego Greka.

–Co się stało, Andrea? Dlaczego przerwałeś? Zamilkł, bo spostrzegł, że Andrea trzyma linę tylko w palcach. Dwukrotnie podrzucił ją do góry i pozwolił jej opaść.

–Zleciało? – zapytał spokojnie Mallory. Andrea skinął głową bez słowa.

–Pękła? – w głosie Mallory.ego brzmiało niedowierzenie. – Lina z drutem?

–Nie sędzę. – Andrea szybko wyciągnął pozostałe czterdzieści stóp. Sznurek był nadal przytwierdzony do tego samego miejsca, około jednego sążnia od końca. Lina była nienaruszona.

–Ktoś zrobił węzeł. – Tylko przez chwilę w głosie olbrzyma brzmiało zmęczenie. – I nie zawiązał go zbyt dobrze. Mallory chciał coś powiedzieć i nagle instynktownie osłonił głowę ramieniem, gdy wielki rozwidlony język ognia błysnął między szczytem skał a niewidocznymi w górze chmurami. Mieli jeszcze zamknięte oczy i nozdrza pełne jadowitego, siarczystego swądu spalenizny, gdy pierwsza salwa grzmotów z tytaniczną wściekłością gruchnęła prawie tuż nad ich głowami – ogłuszająca artyleria, która sztychła z żalonych wysiłków człowieka, tym straszliwsza w zupełnej ciemności, jaka zapadła po oślepiającej błyskawicy. Stopniowo echo osłabło i zanikło wśród wąwozów w głębi wyspy.

–Mój Boże! – mruknął Mallory.

–Blisko. Musimy się spieszyć, Andrea. Na tej skale może się w każdej chwili zrobić jasno jak w mieście na placu... Jaki ładunek wciągałeś na ostatku? Właściwie nie potrzebował pytać, sam kazał podzielić całe wyposażenie na trzy oddzielne paczki. Nie, pamięć nie mogła go zawieść, ale był zbyt zmęczony, by przeciwstawiać się ukrytej konieczności, nieokreślonej nadziei, która kazała mu chwytać się nie istniejącej przysłowiowej słomki.

–Jedzenie – oznajmił uprzejmie Andrea. – Całe jedzenie, kocher, paliwo... i kompas. Przez chwilę Mallory stał bez ruchu. Jakiś głos, świadomość rozpaczliwej potrzeby pośpiechu, popędzała go bezlitośnie, inny głos wstrzymywał go wbrew rozsądkowi. Wynikało to z zimna i otępienia, których przyczynę stanowił nie tyle zacinający wicher i lodowaty deszcz, miało ono źródło w jego umyśle, w ponurych i bezlitosnych wyobrażeniach o daremnej wędrówce po tej surowej i wrogiej wyspie

bez żywności i ognia... Andrea położył mu swoją wielką dłoń na ramieniu i zaśmiał się miękko.

–Mniej do niesienia, mój drogi. Pomyśl, jak wdzięczny będzie nasz zmęczony przyjaciel, kapral Miller... To drobnostka.

–Tak – powiedział Mallory. – Oczywiście. To drobnostka. Odwrócił się gwałtownie, pociągnął za sznurek i patrzył, jak lina znika za krawędzią. Piętnaście minut później nad krawędzią skały ukazała się, w potokach deszczu, wśród zygzakowatych sztyletów błyskawic, umorusana twarz Caseya Browna. Grzmiało teraz prawie bez przerwy, ale w krótkich przerwach między piorunami głos Caseya z charakterystycznym akcentem rozbrzmiewał wyraźnie. Mówił bardzo dobitnie, dosadną angielszczyzną, do czego miał powody. Wspinał się na szczyt z pomocą dwóch lin: jednej rozpiętej od haka do haka i drugiej, przeznaczonej do transportu zaopatrzenia, którą ciągnął Andrea. Brown owinął się końcem tej liny wokół pasa i zawiązał ją na supeł; węzeł ten jednak okazał się czymś w rodzaju pętli, która przy energicznej pomocy Andrei o mało nie przecięła Browna na pół. Siedział jeszcze na skale, opierając zmęczoną głowę na kolanach, z radiem na plecach, gdy dwa pociągnięcia sznura zwiastowały, że Dusty Miller rozpoczął wspinaczkę. Minął znowu kwadrans, wlokące się bez końca piętnaście minut, gdy w przerwach między piorunami każdy najlżejszy dźwięk brzmiał jak kroki nieprzyjacielskiego patrolu, nim Miller zmaterializował się powoli w mroku, gdzieś w połowie wysokości komina. Wspinał się wytrwale i metodycznie, a potem zaczął badać szczyt urwiska, macając niepewnie dłońmi ziemię. Zdziwiony Mallory pochylił się i zajrzał w jego szczupłą twarz. Miller miał zaciśnięte powieki.

–Odpocznijcie, kapralu – poradził mu uprzejmie. – Jesteście na miejscu. Dusty Miller powoli otworzył oczy, zerknął na krawędź urwiska, zadrżał i szybko popęztał na czworakach za osłonę najbliższych gładów. Zaciekawiony Mallory poszedł za nim.

–Co za pomysł, żeby zamykać oczy na szczycie?

–Nie zamykałem – zaprotestował Miller. Mallory nie odpowiedział.

–Zamknąłem oczy na dole – wyjaśnił z irytacją Miller. – A otworzyłem na szczycie. Mallory spojrzał z niedowierzaniem.

–Co? Przez całą drogę?

–Tak jak panu mówiłem, komendancie, tam, w Castelrosso. Niech mnie powiesz, jeśli kiedykolwiek w życiu wejdziesz choćby na krawężnik chodnika. – Miller popatrzył na Andreę, wychylającego się daleko za krawędź urwiska, i zadrżał znowu. – Bracie! Żebyś ty wiedział, jak ja się bałem! Strach. – Groza. Panika. Zrób coś, czego się boisz, a strach zniknie. Zrób coś, czego się boisz, a strach zniknie. Raz, dwa, sto

razy Andy Stevens powtarzał sobie te słowa, zupełnie jak litanię. Kiedyś mówił mu psychiatra, a później czytał o tym wiele razy. Zrób coś, czego się boisz, a strach zniknie. Powiedzieli mu, że umysł człowieka ma ograniczoną pojemność. Naraz może pomieścić tylko jedną myśl, jeden impuls. Powiedz sobie, że jesteś dzielny, że zwalczasz strach, ten głupi, bezsensowny strach, który nie ma żadnych podstaw poza twoim własnym umysłem, a ponieważ umysł może zawierać w określonej jednostce czasu tylko jedną myśl i ponieważ myślenie i odczuwanie są jednym i tym samym, wtedy będziesz dzielny, naprawdę przewyciężysz strach, który zniknie jak cień w nocy. Więc Andy Stevens powtarzał sobie to w kółko, a cienie wciąż tylko wydłużały się i pogłębiały, zaś lodowate szpony strachu coraz bardziej zaciskały się w jego otępiałym, wyczerpanym umyśle, w jego skurczonym żołądku.

Żołądek... Ta zaciśnięta kula rozklekotanych, skurczonych z bólu nerwów pod splotem słonecznym. Nikt nigdy nie będzie wiedział, jak to było i jak się to odczuwa, poza tymi, których rozkojarzone nerwy pękają, którzy są bliscy kompletnego i ostatecznego załamania. Skurcze paniki, mdłości i osłabienia zaciskały gardło, docierały aż do wyczerpanego i nie odbierającego wrażeń mózgu, tylko chwilami odzyskującego świadomość i odrzucającego natarczywe żądanie przeciążonego systemu nerwowego, by zostawił to wszystko i rozwarł okaleczone palce, które tak mocno trzymają liny. To przecież takie proste. „Odpoczynek po ciężkim trudzie, port po burzliwej fali”. Czy tak brzmi ten sławny wiersz Spencera? Łkając głośno Stevens wyrwał kolejny hak i rzucił go w oczekującą trzysta stóp poniżej otchłan morza, przycisnął się do skały i rozpaczliwie, cal po calu, piął się w górę. Strach. Przez całe życie był u jego boku, był jego stałym towarzyszem, „alter ego” (łac. – drugie ja). U boku albo w bliskim zasięgu, gotów do natychmiastowego powrotu. Przyzwyczyił się do tego strachu, niekiedy prawie godził się z nim, ale cierpienia owej nocy przekraczały wszystko, co było dotychczas. Nigdy dotąd nie odczuwał czegoś podobnego, a nawet w tych chwilach grozy uświadamiał sobie niejasno, że strachu nie wywołała sama wspinaczka. Istotnie, skała była gładka i prawie pionowa, a błyskawice, lodowaty deszcz, ciemność i huczące grzmoty jak nocna zmora. Ale technicznie akcja wyglądała prosto: lina ciągnęła się aż do wierzchołka i nie miał nic do roboty, tylko posuwać się wzdłuż niej, wyciągając haki. Był chory, potłuczony i straszliwie zmęczony, głowa bolała go okropnie i stracił wiele krwi, ale właśnie bardzo często wśród ciemności, cierpienia i wyczerpania duch człowieka płonie najjaśniej. Andy Stevens bał się, bo stracił szacunek dla samego siebie. Dotychczas ten szacunek był zawsze jego kotwicą, przeciwwagą starego nieprzyjaciela; szacunek, jaki mieli dla niego inni, szacunek, jaki miał dla samego siebie. Lecz teraz – koniec, albowiem ziściły się dwie jego największe obawy: inni dowiedzieli się o jego strachu, zawiódł swoich kolegów. Zarówno w czasie walki z niemieckim kutrem, jak i wtedy, gdy zakotwiczyli pod strażnicą w zatoce, Stevens zdawał sobie sprawę, że Mallory i Andrea wiedzą. Nigdy dotychczas nie spotkał takich ludzi jak oni i przez cały czas uświadamiał sobie, że nigdy nie zdoła ukryć przed nimi swoich sekretów. Powinien przecież iść na urwisko z Mallorym, lecz Mallory znalazł jakiś wykręt i wziął

**Andree – wiedział, że on się boi. A dwa razy przedtem, w Castelrosso i wtedy, gdy niemiecki kuter skierował się na nich, o mało nie zawiódł swoich przyjaciół. I wreszcie teraz, nawalił straszliwie. Nie uznano go za zdolnego do torowania drogi wraz z Mallorym, bo rzeczywiście był niezdolny – on, doświadczony żeglarz, mógł popełnić taką omyłkę i źle zawiązać ostatni węzeł; stracił całą żywność i paliwo, które wpadły do morza, zaledwie dziesięć stóp od miejsca, gdzie stał na półce skalnej... I tysiąc ludzi na Cheros polega na takiej żalosnej ofierze... Chory i wyczerpany, zmęczony na duszy i ciele, jęcząc głośno w udręce strachu i pogardy dla samego siebie, Andy Stevens piął się na**

**ślepo w górę.**

Ostry, piskliwy dzwonek telefonu przeciął nagle ciemność. Mallory drgnął i zrobił pół obrotu, mimowolnie zaciskając dłonie. Znowu dzwonek, jego zgrzytliwy dźwięk rozbrzmiewał wyraźnie wśród basowego grzmotu burzy. A potem zadzwonił znowu i dźwięczał bez przerwy ze złowieszczym natręctwem. Mallory był już w połowie drogi do aparatu, gdy nagle zatrzymał się, odwrócił wolno i podszedł z powrotem do Andrei. Potężny Grek patrzył na niego ciekawie.

–Zmieniłeś zamiar? Mallory kiwnął głową, ale nie powiedział nic.

–Będą dzwoniли, aż otrzymają odpowiedź – mruknął Andrea. – A jak nie otrzymają, to przyjdą. Zjawią się tu szybko.

–Wiem, wiem – Mallory wruszył ramionami. – Musimy przygotować się na tę możliwość, a raczej konieczność. Istnieje tylko pytanie, ile czasu minie, zanim ktoś się zjawi. – Instynktownie zerknął w jedną i drugą stronę omiatanego wiatrem urwiska; Miller i Brown stali na posterunkach, każdy z innej strony, w odległości pięćdziesięciu jardów, zagubieni w ciemności. – To nie jest warte ryzyka. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej uświadamiam sobie, jak nikłe są szanse, żeby się to udało. Szwaby rygorystycznie przestrzegają regulaminu. Mają prawdopodobnie określony sposób telefonicznego meldowania się; albo wartownik ma podać swoje nazwisko, albo mogą mieć ustalone hasło... Poza tym mój głos mógłby mnie wydać. A przecież wartownika zlikwidowaliśmy bez śladu, cały ekwipunek mamy już na górze, no i wszyscy, poza Stevenssem, też już są. Innymi słowy, praktycznie wszystko jest załatwione. Wylądowaliśmy i nikt nie wie, że tu jesteśmy.

–Tak – przyznał Andrea. – Tak, masz rację... A Stevens będzie za dwie albo trzy minuty. Byłoby głupotą ryzykować wszystko, co zyskaliśmy. – Zrobił pauzę, po czym podjął spokojnie: – Ale oni zaraz tu przybiegną. – Dzwonek telefonu umilkł tak samo niespodziewanie, jak niespodziewanie się odezwał.

–Zaraz tu będą.

–Wiem. U licha, mam nadzieję, że Stevens... – Mallory obrócił się na pięcie i powiedział przez ramię: – Uważaj na niego, dobrze? Ostrzegę innych, że spodziewamy się gości. Mallory ruszył szybko po grani, trzymając się w pewnej odległości od krawędzi. Raczej kuśtykał, niż szedł – buty wartownika były na niego za małe i okrutnie ocierały mu palce. Świadomie nie chciał myśleć o tym, jak będą wyglądały jego nogi po paru godzinach marszu w takim terenie. Na razie jest czas na terażniejszość – myślał gorzko. – Nie ma co brać na siebie brzemienia przyszłości. Stał w miejscu, gdy coś twardego, metalicznego trąciło go w plecy.

–Forsa albo życie! – W przeciągłym nosowym głosie brzmiał humor. Po przeżyciach

na kutrze i przy wspinaczce twardy grunt był rajem dla Dusty.ego Millera.

–Pierwszorzędny dowcip – burknął Mallory. – Naprawdę świetny. – Z zaciekawieniem spojrzął na Millera.

–Amerykanin zdjął swą brezentową pelerynę, bo raptem przestało padać, a jego marynarka i haftowana kamizelka były jeszcze bardziej przemoczone niż spodnie. Wyglądało to nonsensownie, ale brakło czasu na pytania.

–Słyszeliście dzwonek telefonu? – zapytał Mallory.

–Co to było? Owszem, słyszałem.

–To telefon do wartownika. Prawdopodobnie nie złożył swego codziennego meldunku czy coś w tym rodzaju. Nie odpowiedzieliśmy na telefon. Teraz lada chwila tutaj przylecą, podejrzliwi jak diabli i bardzo zaniepokojeni. Może z waszej strony, a może od strony Browna. Z innego punktu nie mogą przyjść, jeśli nie chcą sobie połamać karku na tych kamieniach. – Mallory wskazał na rumowisko głazów. – Więc dobrze wytrzeszczaj oczy.

–Tak jest, komendancie. Ale bez strzelania?

–Bez strzelania. Tylko cofnij się szybko i cicho, jak tylko potrafisz, i powiadom nas. Zresztą tak czy inaczej, wracaj za pięć minut. Mallory pospiesznie cofnął się po swoich śladach. Andrea leżał na grani patrząc w przepaść. Odwrócił głowę, gdy Mallory się zbliżył.

–Słyszę go. Jest już pod nawisem.

–Dobrze. – Mallory nie zatrzymał się. – Powiedz mu, żeby się spieszył. Dziesięć jardów dalej Mallory stanął i wpatrzył się w ciemność. Ktoś biegł po grani, potykając się i ślizgając na luźnej, żwirowatej glebie.

–Brown? – zawołał z cicha Mallory.

–Tak jest, sir. To ja. – Brown zrównał się z nim, oddychając ciężko. Wskazał ręką w kierunku, z którego właśnie przybiegł. – Ktoś nadchodzi, i to szybko! Latarki błyskają przez cały czas. Musimy zwiewać.

–Ilu? – zapytał szybko Mallory.

–Przynajmniej czterech albo pięciu. – Brown dyszał nadal. – Może więcej, ale mają cztery czy pięć latarek. Sam ich pan może zobaczyć. – Znowu wskazał do tyłu i zamrugał oczyma w zdziwieniu. – Komiczne! Zniknęli. – Odwrócił się szybko do Mallory.ego. – Ale mógłbym przysiąc...



**–Nie martwcie się – powiedział ponuro Mallory. – Na pewno widzieliście. Spodziewałem się gości. Teraz podchodzą i nie ma innego wyboru... Jak daleko są?**

**–Sto jardów... W każdym razie nie dalej niż sto pięćdziesiąt.**

**–Idź i sprowadź Millera. Powiedz mu, żeby tu szybko wracał. Mallory pobiegł granią i ukląkł obok leżącego Andrei.**

**–Już idą, Andrea – powiedział szybko. – Z lewej strony. Jest ich przynajmniej pięciu, może więcej. Mamy najwyżej dwie minuty. Gdzie Stevens? Widzisz go?**

**–Widzę. – Andrea był wspaniale obojętny. – Właśnie wyminął nawis – reszta słów zginęła w nagłym i gwałtownym grzmocie, ale i tak nie była już ważna. Mallory widział teraz wspinającego się po linie Stevensa. Jego ruchy były dziwnie starcze i niedołężne, przekładał dłonie z paraliżującą powolnością. Znajdował się teraz w połowie drogi między nawisem a dnem komina.**

**–Mój Boże! – burknął Mallory.**

**–Co się z nim dzieje? W ten sposób będzie wlaził cały dzień... Opanował się, złożył ręce w trąbkę przy ustach. – Stevens! Stevens! – powiedział, ale nie było żadnego znaku, że Stevens usłyszał. Nadal wspinał się z tą samą nienaturalną rozważą, zupełnie jak robot nastawiony na wolne obroty.**

**–Niewiele mu się należy – oświadczył Andrea spokojnie. – Widzisz: nawet nie podnosi głowy. Kiedy alpinista nie patrzy w górę, jest skończony. – Poruszył się. – Zejdę po niego.**

**–Nie. – Mallory chwycił go za ramię. – Zostań tutaj. Nie mogę ryzykować was obu... Tak, co jest? Uświadomił sobie, że Brown się nad nim pochyla i sapie ciężko.**

**–Szybko, sir. Szybko, na miłość boską! – Powiedział tylko kilka słów, ale musiał dwa razy głęboko wciągnąć powietrze, żeby je wykrztusić. – Są tuż przy nas!**

**–Wracajcie za te głazy z Millerem – rozkazał Mallory. – Kryjcie nas... Stevens! Stevens!**

**–Ale znowu wiatr omiatający urwisko porwał jego słowa i uniósł w przestrzeń.**

**–Stevens! Na miłość boską, człowieku! Stevens! – Głos Malloryego był chrypliwy i zdesperowany, ale tym razem musiało coś dotrzeć do świadomości Stevensa, bowiem przestał się wspinać i podniósł głowę, przykładając dłoń do ucha.**

**–Nadchodzi paru Niemców! – zawołał Mallory poprzez zwinięte dłonie, na tyle głośno, na ile mógł sobie pozwolić w tych warunkach. – Zejdź do podstawy komina i**

zostań tam. Ale cicho. Zrozumieno? Stevens podniósł rękę i skinął nią powoli na znak zrozumienia, opuścił głowę i zaczął się znowu wspinać. Teraz robił to jeszcze wolniej i jeszcze bardziej niezdarnie.

–Myślisz, że rozumiał? – Andrea był zaniepokojony.

–Chyba tak. Nie wiem. – Mallory skamieniał i chwycił Andreę za ramię. Deszcz znowu zaczął padać, jednak już nie taki gęsty. W tej mżawce Mallory dostrzegł osłonięte światło latarki, obmacującej skały w odległości trzydziestu jardów z lewej strony. – Wyrzuć linę – szepnął. – Hak na dnie komina ją trzyma. Zwiewajmy stąd. Stopniowo, z największą ostrożnością, starając się nie naruszyć najdrobniejszego kamyka, Mallory i Andrea odpełzli cal po calu od krawędzi, odwrócili się i ruszyli na czworakach między głazy. Te kilka jardów wydawało się ogromną odległością, a nie mając nawet pistoletu w ręku, Mallory czuł się bezbronny. Wiedział, że jest to uczucie nieuzasadnione, bowiem pierwszy promień światła, który by ich dotknął, spowodowałby śmierć nie ich, lecz człowieka trzymającego latarkę. Mallory miał całkowite zaufanie do Browna i Millera... Nie na tym polegał problem. Problem polegał na tym, by ich nie wykryli. Dwukrotnie na przestrzeni tych nie kończących się kilku stóp promień światła sięgał ku nim – za drugim razem można było do niego dostać ręką

–i dwukrotnie, warując nieruchomo, przyciskali głowy do rozmięklej gliny, żeby nie zdradziła ich bladość twarzy. A potem jak się zdawało, niespodziewanie, znaleźli się wśród głazów i byli bezpieczni. W jednej chwili stanął koło nich Miller – ledwie widoczny cień na tle czerni skał.

–Mnóstwo czasu – syknął ironicznie. – Szkoda, że nie poczekaliście jeszcze z pół godziny. – Wskazał na lewo, gdzie w odległości jakichś dwudziestu jardów błyskały latarki i rozległ się wyraźny już teraz pomruk gardłowych głosów. – Lepiej cofnijmy się dalej. Szukają go między skałami.

–Jego albo telefonu – mruknął Mallory. – W każdym razie trzymajcie broń w pogotowiu. Weźcie ze sobą sprzęt... A gdyby spojrzeli w dół i zobaczyli Stevensa, musimy ryzykować. Nie ma czasu na ceregiele i do diabła z hałasem. Kroplcie z peemów. Andy Stevens słyszał to wszystko, ale nic nie rozumiał. Nie to, że się przestraszył, że był zbyt przerażony, aby zrozumieć – przestał się już bać. Strach rodzi się w mózgu, a mózg porucznika pod wpływem ostatecznego wyczerpania i nadludzkiego zmęczenia, które jak ołowiany ciężar przygniotło całe ciało, już nie funkcjonował. Nie poczuł nawet, jak pięćdziesiąt stóp poniżej uderzył głową o występ skalny, ostry złośliwy stożek, który aż do kości rozciął mu skroń. Siła Stevensa zniknęła wraz z upływającą krwią. Usłyszał Mallory.ego, usłyszał coś o kominie, do którego teraz dotarł, ale jego umysł nie potrafił zarejestrować znaczenia słów. Wiedział tylko, że się wspina i że należy się wspinać, póki nie dojdzie do szczytu. To wbił mu w głowę ojciec i bracia. Musisz dojść do szczytu. Przebył już połowę drogi,

odpoczywając na haku, umieszczonym w szczelinie przez Mallory.ego. Wbił palce w skałę, odchylił głowę i patrzył ku wylotowi komina. Dziesięć stóp, nie więcej. Nie odczuwał ani zaskoczenia, ani zadowolenia. Po prostu stwierdził, że tak jest i że musi tam dotrzeć. Słyszał głosy dolatujące wyraźnie z góry. Zdziwił się niejasno, że przyjaciele nie próbują mu pomóc, że zrzucili linę, z pomocą której te ostatnie kilka stóp byłyby takie łatwe, ale nie czuł rozgoryczenia ani w ogóle żadnej emocji: może chcą go wypróbować. To nie ma zresztą znaczenia – tak czy inaczej, wejść musi. Dotarł do szczytu. Ostrożnie, tak jak to robił przed nim Mallory, odsunął na bok ziemię i żwir, zahaczył palce o krawędź w tym samym miejscu co Mallory i podciągnął się w górę. Zobaczył migające latarki, usłyszał podniecone głosy i w jednej chwili podniosła się mglista kurtyna przesłaniająca jego mózg. Stevensa ogarnęła ostatnia fala strachu: poznał, że głosy są głosami wrogów i że wrogowie zniszczyli jego przyjaciół. Wiedział, że jest teraz sam, że zawiódł, że tak czy owak to już koniec i wszystko było daremne. A potem mgła spowiła go znowu i nie pozostało już nic, tylko pustka i daremność, przygniatające zmęczenie, rozpacz i ciało osuwające się z wolna po skale. Odgięły się zakrzywione palce, rozwierając się stopniowo, niechętnie, jak palce tonącego, rozluźniającego swój ostatni chwyt na kawałku drzewa. Teraz nie było już strachu, tylko wszechogarniająca obojętność, gdy ręce obsunęły się, a on spadł jak kamień, dwadzieścia stóp w dół, jakby szyjką od butelki, do samego podnóża komina. Z jego ust nie wydarł się okrzyk bólu, ponieważ wraz z bólem przyszła ciemność. Lecz wytężony słuch ludzi ukrytych za skałami na górze uchwycił tępe trzaśnięcie, gdy prawa noga Stevensa złamała się w dwóch miejscach, pękając jak spróchniała gałąź. Rozdział szósty Poniedziałek w nocy Godz.

#/02#00\_#/06#00 Niemiecki patrol potwierdził najgorsze obawy Mallory.ego: był sprawny, dobrze wyszkolony i bardzo dokładny. Przejawiał nawet wyobraźnię, przynajmniej jeśli chodzi o dowódcę – młodego i zdolnego sierżanta – a to było jeszcze bardziej niebezpieczne. Patrol składał się z czterech ludzi w wysokich butach, hełmach i pelerynach w zielone, szare i brązowe łaty. Najpierw odnaleźli telefon i przekazali meldunek do czaty głównej. Następnie młody sierżant posłał dwóch ludzi, żeby zbadali dalsze sto jardów wzdłuż urwiska, podczas gdy on sam i czwarty żołnierz prowadzili poszukiwania między głazami. Badania przeprowadzono powoli i starannie, lecz żaden z nich nie zapuszczał się daleko między skały. Dla Mallory.ego rozumowanie sierżanta było oczywiste i logiczne: jeśli wartownik usnął albo się rozchorował, było mało prawdopodobne, żeby odszedł daleko wśród tego rumowiska kamieni. Mallory i jego towarzysze pozostawali więc bezpieczni poza zasięgiem poszukiwań. Aż wreszcie nastąpiło to, czego się obawiał – zorganizowane, metodyczne przeszukiwanie grzbietu, co gorsza na początek samej krawędzi. Sierżant, podtrzymywany dla bezpieczeństwa przez trzech ludzi, którzy się wzięli pod ręce – przy czym ostatni trzymał go za pas – szedł powoli samym skrajem, oświetlając każdy cal silną latarką. Nagle zatrzymał się, krzyknął, z twarzą i latarką zaledwie o kilka cali od powierzchni gruntu. Nie ulegało wątpliwości, co zauważył – wgłębienie w miękkiej, kruszącej się glebie – ślad po linie, którą uwiązano wokół głazu i która przechodziła przez krawędź urwiska... Powoli, w milczeniu, Mallory i

jego trzech towarzysze podnieśli się na kolana i na nogi, opierając lufy pistoletów maszynowych na wierzchołkach głazów albo wtykając je między szczeliny w skałach. Żaden z nich nie wątpił, że Stevens leży bezradny na dnie komina, ciężko ranny albo martwy. Gdyby tylko jeden z niemieckich karabinów pochylił się w dół, choćby nawet od niechcienia, wszyscy czterej Niemcy musieliby paść trupem. Sierżant leżał teraz wyciągnięty jak długi, a dwóch żołnierzy trzymało go za nogi. Jego głowa i ramiona wystawały za krawędź skały, promień światła latarki posuwał się w dół komina. Przez dziesięć, może piętnaście sekund na szczycie nie rozległ się ani jeden dźwięk poza wysokim, przenikliwym wyciem wichru i szelestem deszczu o mizerną trawę. A potem sierżant odpełził w tył i wstał. Mallory gestem wskazał swym towarzyszom, aby znowu przykucnęli za kamieniem. Miękki bawarski głos sierżanta słychać było wyraźnie wśród wiatru.

–To Erich, na pewno Erich, biedak. – Współczucie i gniew dziwnie mieszały się w tym głosie. – Nieraz go przestrzegałem, żeby nie zbliżał się do krawędzi. Jest bardzo zdradliwa. – Instynktownie sierżant cofnął się dwa kroki i spojrzał znowu na bruzdę w miękkiej ziemi. – Ten ślad to od obcasa albo od kolby karabinu. Zresztą, mniejsza o to.

–Myśli pan, sierżancie, że on nie żyje? – zapytał młody chłopiec, najwyraźniej nerwowo, o nieszczęśliwej minie.

–Trudno powiedzieć... Zobacz sam. Niesłuchanie ostrożnie młody żołnierz położył się na skale i wyjrzał. Reszta rozmawiała urywanymi zdaniami. Mallory zwrócił się do Millera: złożył ręce w trąbkę i zaczął mu szeptać do ucha. Nie mógł dłużej ukrywać zdziwienia.

–Czy Stevens był w swoim czarnym ubraniu, kiedy się rozstaliście? – zapytał.

–Tak – szepnął Miller w odpowiedzi. – Tak, chyba był. – Milczał przez chwilę. – Nie, do diabła. Obaj włożyliśmy gumowe peleryny maskujące. Mallory skinął głową. Nieprzemakalne peleryny Niemców były prawie identyczne z ich pelerynami, a włosy wartownika, jak Mallory sobie przypominał, były kruczoczarne – tak jak farbowane włosy Stevensa.

Najprawdopodobniej sierżant widział z góry tylko skręconą postać w pelerynie i ciemne włosy. Jego omyłka była więcej niż zrozumiała – była oczywista. Młody żołnierz cofnął się od krawędzi i wstał ostrożnie.

–Ma pan rację, sierżancie. To Erich. – W głosie Niemca brzmiało zdenerwowanie. – Chyba żyje. Peleryna troszeczkę się porusza. Jestem pewny, że nie od wiatru. Mallory poczuł, jak ogromna dłoń Andrei ściska go za ramię, poczuł przyływ ulgi i radości. Więc Stevens żyje! Bogu dzięki! Ocalał jednak chłopca. Słyszał, jak Andrea szepcze tę nowinę innym, a potem uśmiechnął się do siebie, ironicznie zastanawiając

się nad swą radością. Jensen na pewno by nie pochwalił jego zadowolenia. Stevens odegrał już swoją rolę, doprowadził kuter do Nawarony i wspiął się na skałę, teraz będzie tylko ciężarem, kulą u nogi całej grupy, zmniejszy te żalosalne szanse sukcesu, jakie im pozostały. Dla wysokiego dowództwa uszkodzone pionki to tylko przeszkoda, opóźnienie w grze, oszpeccenie szachownicy. To bardzo nierozważne ze strony Stevensa, że się nie zabił, tak żeby mogli go pochować, gładko i bez śladu, w głębokich, żarłocznych wodach czyhających u podnóża rafy... Mallory zacisnął dłonie w ciemnościach. Przysięgł sobie, że chłopak będzie żył, że wróci do domu i do diabła z totalną wojną i jej nieludzkimi wymogami... To przecież dzieciak, wystraszony i załamany, a jednak najdzielniejszy z nich wszystkich. Młody sierżant wyrzucił z siebie serię rozkazów, jego głos brzmiał ostro i pewnie. Doktor, łupki, nosze, dźwig, liny, haki

–jego dobrze wszkolony i uporządkowany umysł nie pominął niczego. Mallory czekał w napięciu, zastanawiając się, ilu pozostanie na straży; musieliby ich zlikwidować, zdradzając w ten sposób swoją obecność. Zagaadnienie trudności szybkiego i bezgłośniego załatwienia się z nimi nawet nie przyszło mu do głowy – wystarczyło szepnąć słowo Andrei, a wartownicy nie mieliby więcej szans niż jagnię wobec wilka, a nawet mniej – jagnięta zawsze mogą uciekać i wzywać pomocy, zanim ciemność zamknie się nad nimi. Sierżant załatwił tę sprawę na ich korzyść. Doskonałe wyszkolenie, twarda bezwzględność, cechujące niemieckich podoficerów, dały Mallory'emu okazję, jakiej się spodziewał. Ledwie sierżant skończył wydawać rozkazy, młody żołnierz dotknął jego ramienia i wskazał za krawędź przepaści.

–A co będzie z biednym Erichem, sierżancie? – zapytał niepewnie. – Czy nie... Czy nie uważa pan, że jeden z nas powinien z nim zostać?

–A co byś robił, jakbyś z nim został? Trzymał go za rękę? – zapytał sierżant lodowatym tonem. – Jeśli poruszy się i spadnie, to spadnie – i koniec. Nic nie pomoże, nawet gdyby stu z nas stało tutaj i patrzyło na niego. Zjeżdżaj szybko i nie zapomnij o młotkach i kołkach do umocowania dźwigu. Trzej żołnierze odwrócili się bez słowa i odeszli szybko w kierunku wschodnim. Sierżant podszedł do telefonu, złożył krótki meldunek, a potem ruszył w przeciwną stronę – prawdopodobnie, żeby sprawdzić następny posterunek. Jeszcze go było widać, jak niewyraźną plamę w ciemności, gdy Mallory szepnął do Browna i Millera, żeby znowu zajęli swe stanowiska. Jeszcze słyszeli w oddali odmierzone, mocne kroki na kawałku

zwirowatego terenu, gdy lina poleciała w dół, wijąc się po skale, a Andrea i Mallory opuścili się po niej szybko, zanim jeszcze przestała drżeć. Stevens leżał zwinięty w kłębek; jego rozcięty i krwawiący policzek opierał się o ostrą jak brzytwa krawędź skały. Był ciągle nieprzytomny i oddychał chrapliwie przez otwarte usta. Prawą nogę od kolana miał wygiętą pod nieprawdopodobnym kątem do góry i na zewnątrz w stronę skały. Jak najdelikatniej, opierając się o obie ściany komina podtrzymywany przez Andreę, Mallory podniósł i wyprostował wykręconą nogę. Dwa razy Stevens

**jęknął z bólu, przenikającego nawet poprzez ciężkie omdlenie, ale Mallory nie miał wyboru: musiał zrobić to, co zamierzał, zaciskając zęby, aż zaboląły go szczęki. Powoli, z ogromną troskliwością, podwinął nogawkę spodni Stevensa i stęknął zamykając oczy pod wpływem grozy i mdłości, jakie go ogarnęły, gdy zobaczył biel strzaskanej kości goleniowej wystającej z czerwono opuchniętej rany.**

**–Skomplikowane złamanie, Andrea. – Delikatnie obmacywał zmasakrowaną nogę poniżej cholewki buta. Urwał gwałtownie, ponieważ noga ustąpiła pod dotknięciem. – Ach, Boże – mruknął. – Drugie złamanie, tuż ponad kostką. Chłopak jest w kiepskim stanie, Andrea.**

**–Istotnie. Nic nie możemy mu tutaj pomóc?**

**–Nic. Zupełnie nic. Musimy go najpierw wyciągnąć na górę. – Mallory wyprostował się, popatrzył nieprzytomnie na pionową ścianę komina. – Ale jak, na miłość boską...**

**–Ja go wyniosę. – W głosie Andrei nie było ani śladu desperackiej decyzji, ani świadomości prawie niewiarygodnego wysiłku, jakiego wymagało jej zrealizowanie. Było to po prostu wyrażenie zamiaru, głos człowieka, który nie wątpił w możliwość wykonania tego, co powiedział. – Jeśli tylko pomożesz mi go podnieść i przywiązać na plecach...**

**–Z tą jedną nogą, która wisi na kawałku skóry i naderwanym ścięgnię? – zaprotestował Mallory. – Stevensowi już się niewiele należy, umrze, jeśli to zrobimy.**

**–Umrze, jeśli tego nie zrobimy – mruknął Andrea. Mallory przez długą chwilę patrzył na Stevensa.**

**–Umrze, jeśli tego nie zrobimy – powtórzył zmęczonym głosem jak echo. – Tak, musimy to zrobić. Odepchnął się od ściany, osunął kilka stóp na linie i wcisnął stopę w szczelinę skały tuż pod ciałem Stevensa. Owinął się dwa razy liną wokół pasa i spojrzął do góry.**

**–Jesteś gotów, Andrea? – zapytał miękko.**

**–Gotów. – Andrea pochylił się, ujął Stevensa pod pachy i podniósł powoli; Mallory popychał go od dołu. Dwa czy trzy razy, zanim go podnieśli, chłopak wydał drżący jęk z głębi udręczonego gardła, aż Mallory zaciskał zęby. A potem zwisająca, skręcona noga znalazła się poza zasięgiem rąk Mallory.ego. Andrea trzymał chłopca w objęciach; chłostana wiatrem, podobna do krwawej maski twarz Stevensa chwiała się bezwładnie z tyłu z martwym patosem popsutej lalki. Kilka sekund później Mallory był już obok nich, sprawnie związując razem przeguby Stevensa. Klął cicho, zgrabiłymi rękami robiąc pętlę i zaciskając linę, klął cicho, gorzko, bez przerwy, jakkolwiek zupełnie sobie z tego nie zdawał sprawy; w jego świadomości była tylko ta martwa głowa, która opadała mu na ramię, rozcieńczona deszczem krew,**

**pokrywająca odwróconą do góry twarz, i włosy ponad rozciętą skronią, które robiły się ciemnoblonde, bo deszcz zmywał z nich farbę... Cholerna pasta do butów – myślał z wściekłością Mallory. – Jensen powinien o tym wiedzieć!... To przecież może kosztować życie ludzkie. A gdy uświadomił sobie, o czym myśli, zaklął znowu, jeszcze bardziej wściekły, tym razem już pod adresem swoim i swoich głupich myśli. Andrea miał wolne ręce – związane ramiona Stevensa jak pętla opasywały mu szyję, a całe ciało przywiązane było do pleców; wyjście na szczyt nie zajęło mu więcej niż trzydzieści sekund, zupełnie jakby sto sześćdziesiąt funtów na grzbiecie nie robiło mu żadnej różnicy i w niczym nie ograniczało ruchów. W każdym razie Mallory nie widział żadnej różnicy. Wytrzymałość tego człowieka była fantastyczna. Tylko jeden jedyny raz, gdy Andrea przelazł przez krawędź urwiska, złamana noga trąciła o skałę, a straszliwy ból przeniknął przez dobroczynne omdlenie i wyrwał krótki krzyk z ust Stevensa, zachrypiły dźwięk, tym straszliwszy wobec jego milczącej męki. A potem Andrea stał już prosto, Mallory za nim, przecinając szybko liny wiążące tych dwóch.**

**–Idź z nim prosto między skały, dobrze? – szepnął Mallory. – Czekaj nas na pierwszym płaskim miejscu, jakie znajdziesz. Andrea skinął głową, wpadniętymi oczami wpatrywał się w młodzieńca leżącego w jego ramionach, jakby nad czymś rozmyślał czy nasłuchiwał. Mallory podświadomie również wyteżył wzrok i zaczął się wsłuchiwać w przenikliwe pojękiwanie wiatru, ale nie słyszał nic, tylko potężniejące, to słabnące wycie, i czuł przeraźliwy chłód deszczu, teraz już zmieszanego ze śniegiem. Zadrżał, sam nie wiedząc dlaczego, zaczął znowu nasłuchiwać. Potem otrząsnął się gniewnie, zwrócił ku krawędzi urwiska i jął wyciągać linę. Miał ją już u swych stóp zwiniętą w niezgrabny, mokry krąg, gdy przypomniał sobie o haku, nadal tkwiącym u podstawy komina, i zwisających z niego stu stopach liny. Był zbyt zmęczony, zmarznięty i rozbity, żeby się złościć na samego siebie. Widok Stevensa i świadomość tego, co się stało, wstrząsnęły nim bardziej, niż sobie to uświadamiał. Niemal od niechcienia wyrzucił znowu linę za krawędź, opuścił się kominem w dół, rozwiązał tamtą linę i wyrzucił ją w ciemność. W niecałe dziesięć minut później, z mokrymi zwojami sznura na ramieniu, prowadził Millera i Browna wśród ciemnego rumowiska skał. Znaleźli Stevensa leżącego na zawietrznej ogromnego głazu, niecałe sto jardów w głąb wyspy, na niewielkim skrawku równej ziemi, wielkości ledwie bilardowego stołu. Leżał na rozpostartym na mokrej żwirowatej ziemi brezencie, peleryna zakrywała większą część jego ciała. Było teraz przeraźliwie zimno, lecz gład osłaniał go od wiatru i ulewy. Andrea podniósł głowę, gdy trzech mężczyzn weszli w to zagłębienie i złożyli ekwipunek. Mallory zauważył, że Andrea podwiązał nogawicę spodni ponad kolano, przeciął i ściągnął ciężki but ze zmasakrowanej nogi.**

**–Ależ on cierpi, Chrystusie!**

**–Te słowa mimo woli wyrwały się Millerowi. Nawet w mroku zmiążdżona noga wyglądała upiornie. Miller przyklęknął na jedno kolano i pochylił się nad nią. – Co za masakra! – mruknął. Zerknął do góry przez ramię. – Musimy coś zrobić z tą nogą,**

komendancie, i to nie mamy ani chwili do stracenia. Ten dzieciak patrzy na księżą oborę.

–Wiem. Musimy go ocalić, Dusty, po prostu musimy. – Mallory nagle zdał sobie sprawę z doniosłości tego problemu. I on ukląkł na oba kolana. – Musimy go obejrzeć. Miller zrobił niecierpliwy gest.

–Komendancie, proszę to zostawić mnie. – W jego głosie była taka pewność siebie i autorytet, że Mallory nic nie powiedział. – Dajcie paczkę z lekarstwami, szybko. I rozwińcie ten namiot. Jesteście pewni, że sobie z tym poradzicie? – Mallory właściwie nie miał wątpliwości, odczuwał tylko wdzięczność i głęboką ulgę, lecz zdawało mu się, że powinien coś powiedzieć.

–W jaki sposób nauczyliście się...

–Niech pan posłucha, komendancie – oznajmił spokojnie Miller. – Przez całe życie miałem do czynienia z trzema sprawami: kopalniami, tunelami i materiałami wybuchowymi. To są dość niebezpieczne sprawy. Widziałem setki połamanych rąk i nóg i większość z nich sam nastawiałem. – Uśmiechnął się sarkastycznie w ciemności. – Sam wtedy byłem komendantem, to był jeden z moich przywilejów.

–Doskonale! – Mallory klepnął go po ramieniu. – Rób z nim, co uważasz, Dusty! Ale namiot... – Mimowolnie zerknął przez ramię w kierunku urwiska. – Myślałem...

–Pan mnie źle zrozumiał, komendancie. – Dłonie Millera, silne i precyzyjne, odznaczające się tą delikatną pewnością człowieka, który spędził całe niemal życie przy materiałach wybuchowych, posługiwały się sprawnie wata i środkiem dezynfekcyjnym. – Nie zamierzam zakładać tu szpitala polowego. Ale potrzebne nam są kołki namiotowe na łupki.

–Oczywiście, oczywiście. Kołki... Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby ich użyć na łupki... Myślałem o czymś innym...

–To nie jest takie ważne, komendancie. – Miller otworzył opakowanie z lekarstwami i przyświecając sobie latarką wybierał szybko, co mu było potrzebne. – Przede wszystkim morfina, bo chłopak umrze pod wpływem szoku. A potem jakieś schronienie, ciepło, suche ubranie...

–Ciepło! Suche ubranie! – Mallory przerwał z niedowierzaniem. Spojrzał na nieprzytomnego porucznika, przypominając sobie, jak Stevens zaprzepaścił kocher i całe paliwo, i jego usta wykrzywiły się gorzko. Wykonał wyrok na samym sobie... – Skąd je na miłość boską weźmiemy?

–Nie wiem, komendancie – powiedział po prostu Miller. – Ale powinniśmy je znaleźć. Nie tylko po to, żeby zmniejszyć szok. Z taką nogą i w przemoczonym do suchej nitki



ubranie dostanie zapalenia płuc. A poza tym przy tej ilości sulfatiazolu, jakiej będzie wymagała ta paskudna dziura w nodze, wystarczy najdrobniejszy zarazek... – Zamilkł nie dokończywszy zdania. Mallory wstał.

–Uznaję was za szefa. – Powiedział to z bardzo dobrą imitacją amerykańskiego akcentu, aż Miller spojrział zaskoczony i uśmiechnął się mimo zmęczenia. Potem znowu odwrócił oczy. Mallory słyszał, jak mu dzwonią zęby, gdy pochylał się nad Stevensenem, i raczej czuł, niż widział, że Miller drży gwałtownie, mimo to koncentrując się całkowicie na swym zajęciu. Mallory uświadomił sobie, że ubranie Millera jest całkowicie przemoczone, i nie po raz pierwszy zastanawiał się, w jaki sposób kapral doprowadził się do takiego stanu, mając na sobie przeciwdeszczową pelerynę.

–Wy go opatrzycie, a ja znajdę odpowiednie miejsce. – Mallory wcale nie był taki pewny siebie, jakby się to mogło wydawać, jednak na tych wulkanicznych zboczach pagórków, w głębi wyspy, powinno się znaleźć jakieś zagłębienie w skale czy nawet jaskinia. Albo znajdzie się ją w dzień – chyba żeby wyjątkowo dopisało szczęście. Tymczasem Casey Brown, z twarzą szarą z wyczerpania i choroby – skutki zatrucia tlenkiem węgla ustępują powoli – podniósł się niepewnie i skierował do przejścia między dwiema skałami.

–Dokąd idziecie, szefie?

–Po resztę ekwipunku, sir.

–Dacie radę? – Mallory przyjrzał mu się uważnie. – Nietęgo wyglądacie.

–Bo tak też się czuję – przyznał szczerze Brown. Spojrzął na Mallory.ego. – Ale, nie wymawiając, sir, myślę, że pan nie lepiej.

–Macie rację – zgodził się Mallory. – No dobra, więc ruszajcie. Pójdę z wami. Przez następne dziesięć minut na małej polance panowała cisza, przerywana tylko szeptami Millera i Andrei, opatrujących złamaną nogę, i jękami rannego Stevensa, który zwiżał się i szamotał w ciemnej przepaści bólu. Potem stopniowo morfina zaczęła działać, ranny przestał się miotać, tak że Miller mógł pracować szybciej. Andrea rozciągnął nad nimi brezent, który spełniał podwójną rolę: osłaniał od mżawki i ukrywał cieniutką smugę światła latarki, którą Andrea trzymał w wolnej ręce. Wreszcie nogę złożono, obandażowano i wzięto w łupki; Miller wstał, prostując obolałe plecy.

–Dzięki Bogu skończone – powiedział zmęczony i wskazał na Stevensa. – Czuję się zupełnie tak, jak ten chłopak wygląda. – Nagle skamieniał, wyciągnął ostrzegawczo ramię. – Ktoś idzie, Andrea – szepnął. Andrea zaśmiał się.

–To tylko Brown wraca, przyjacielu. Słysząc go już przynajmniej od minuty.

–Skąd wiesz, że to Brown? – nie dowierzał Miller. Był trochę zły na siebie i niechętnie schował pistolet do kieszeni.

–Brown dobrze chodzi po skałach – powiedział Andrea – ale jest zmęczony. Kapitan Mallory zaś... – Wzruszył ramionami. – Ludzie nazywają mnie „Wielkim Kotem”, wiem, lecz wśród gór i skał kapitan jest lepszy od kota. Jest duchem i tak go rzeczywiście nazywają na Krecie. Poznasz, że jest przy tobie, dopiero jak cię dotknie. Miller zadrżał pod wpływem nagłego lodowatego powiewu niosącego mżawkę.

–Wolałbym, żebyście tyle nie łazili. – Patrzył, jak Brown wychodzi z za głazu, bardzo powolnym, nierównym krokiem wyczerpanego człowieka. – Cześć, Casey. Jak leci?

–Nie najgorzej. – Brown mruknął „dziękuję”, gdy Andrea zdjął mu z ramienia skrzynkę z materiałami wybuchowymi i lekko postawił ją na ziemi. – To już reszta sprzętu. Kapitan wysłał mnie z tym samego. Słyszeliśmy niedaleko jakieś głosy nad brzegiem. Został, żeby posłuchać, co powiedzą, kiedy nie znajdą Stevensa. – Zmęczony, usiadł na skrzynce. – Może się zorientuje, co zamierzają dalej robić.

–Myślę, że mógł cię tam zostawić i sam przynieść tę cholerną skrzynkę – warknął Miller. Był rozczarowany Mallorym i przez to powiedział więcej, niż zamierzał. – Jest w o wiele lepszej kondycji niż ty i to cholerne świństwo, że... – Urwał i stęknął z bólu, bo palce Andrei wpiły się w jego ramię jak potężne stalowe szczypce.

–To nieładnie tak mówić, mój przyjacielu – powiedział Andrea z wyrzutem. – Chyba zapomniałeś, że Brown nie rozumie ani słowa po niemiecku. Miller roztarł delikatnie ramię i potrząsnął głową. Był zły na siebie.

–Ja już jestem taki pyskaty – przyznał ze skruchą. – Mówią o mnie, że mam niewyparzony język. Przepraszam... A co mamy dalej na rozkładzie, panowie?

–Kapitan kazał, żebyśmy poszli prosto między skały, a potem w górę prawym zboczem. – Brown wskazał kciukiem niewyraźną masę, ciemną i złowieszczą, która wyrastała za ich plecami. – Dogoni nas za jakiś kwadrans. – Uśmiechnął się ze zmęczeniem do Millera. – Mamy mu zostawić tę skrzynkę i plecak. Sam je będzie niósł.

–Nie dokuczaj mi – powiedział Miller. – I tak czuję się już jak malutki krasnoludek. – Spojrzał na Stevensa, który leżał spokojnie pod ciemnym, mokrym brezentem, a później znowu na Andree. – Boję się, Andrea...

–Oczywiście, oczywiście! – Andrea szybko owinął brezentem nieprzytomnego Stevensa i wstał z nim tak łatwo, jakby brezent był pusty.

–Będę prowadził – zgłosił się na ochotnika Miller. – Może znajdę jakąś wygodną ścieżkę dla ciebie i Stevensa. – Zrzucił na ramię dynamo i plecaki, potykając się pod

**tym ciężarem. Nie przypuszczał, że jest taki słaby. – Przynajmniej na początku – poprawił się. – Później pewnie będziesz musiał nieść nas obu.**

**\*\*\***

Mallory źle obliczył, ile czasu będzie mu potrzeba na dogonienie grupy: minęła przeszło godzina od chwili, jak Brown go opuścił, a nadal nie widział ani śladu swoich ludzi. Niosąc siedemdziesiąt funtów na plecach nie mógł iść zbyt szybko. Nie była to jego wina. Powracający patrol niemiecki po pierwszym wstrząsie przeszukiwał znowu całe urwisko, metodycznie i z bezlitosną powolnością. Mallory czekał w napięciu, aż ktoś zaproponuje zejście do żlebu – dziury po hakach zdradziłyby niewątpliwie, co się tu działo – ale nikt nawet o tym nie wspomniał. Skoro wartownik spadł i niewątpliwie się zabił, nie miałyby to celu. Po bezskutecznym poszukiwaniu debatowali idiotycznie długo, co robić dalej. W rezultacie nie zrobili nic. Pozostawili tylko nowego wartownika, a reszta odeszła zabierając ze sobą sprzęt ratowniczy. Trzej ludzie z grupy Mallory.ego posuwali się nadspodziewanie szybko; warunki marszu były teraz o wiele lepsze. Rumowisko ciękich głazów u podnóża góry skończyło się po jakichś pięćdziesięciu jardach, ustępując miejsca gołoborzu i zmoczonemu deszczem piargowi. Mallory przypuszczał nawet, że ich wyminął, ale wydawało mu się to mało prawdopodobne: w przerwach między gwałtownymi ulewami, które przypominały teraz grad, widział dobrze całe zbocze, ale nic się na nim nie poruszało. Poza tym był pewny, że Andrea nie zatrzyma się, póki nie znajdzie jakiegoś, choćby najbardziej prowizorycznego schronienia, a jak dotychczas na tych gołych, omiatanych wiatrem stokach nic takiego nie było. W końcu Mallory niemal dosłownie wpadł na swoich ludzi i na ich schronienie. Pokonywał wąski, długi grzbiet skalny i właśnie przekroczył jego ostrą jak brzytwa krawędź, gdy usłyszał poniżej głosy i ujrzał słaby odblask światła pod brezentem zwisającym z występu ściany małego jaru, w którym się właśnie znalazł. Miller drgnął gwałtownie i obrócił się na pięcie, gdy poczuł dłoń na ramieniu. Zdażył już nawet do połowy wyciągnąć pistolet z kieszeni, zanim poznał, kto to, i szczęśliwie osunął się na skałę.

–Spokojnie, spokojnie, zawadiako. – Mallory z rozkoszą zrzucił ciężar z obolałych ramion i zerknął na śmiejącego się Andreę. – Co w tym takiego wesołego?

–Chodzi o Millera. – Andrea roześmiał się znowu. – Mówiłem mu, że dowie się o twoim powrocie dopiero wtedy, kiedy dotkniesz jego ramienia. Zdaje się, że mi nie wierzył.

–Mógł pan zakasać albo zrobić coś w tym rodzaju – bronił się Miller. – Moje nerwy są w kiepskim stanie, komendancie – dodał żałośnie. – Nie to co czterdzieści osiem godzin temu. Mallory popatrzył na niego z niedowierzaniem, chciał coś powiedzieć i urwał, zobaczywszy błydy zarys twarzy na tle plecaka. Pod białym pasem bandaża na czole oczy były otwarte, wpatrzone w niego. Mallory zrobił krok naprzód i przyklęknął na jedno kolano.

–Więc nareszcie przyszedłeś do siebie! – Uśmiechnął się do zapadniętej pergaminowej twarzy, a Stevens uśmiechnął się w odpowiedzi. Pozbawione krwi wargi były jeszcze bledsze niż twarz. Wyglądał upiornie. – Jak się czujesz, Andy?

**–Nie najgorzej, sir. Naprawdę nieźle. – Przekrwione oczy Stevensa były ciemne i pełne bólu. Spuścił wzrok i popatrzył obojętnie na obandażowaną nogę, znowu podniósł oczy i uśmiechnął się niepewnie do Mallory.ego. – Jest mi bardzo przykro z powodu tego wszystkiego, sir. To było idiotyczne.**

**–To nie było idiotyczne – Mallory mówił powoli, z naciskiem. – To była zbrodnicza bzdura. – Wiedział, że wszyscy na nich patrzą, ale Stevens widzi tylko jego. – Zbrodnicza, niewybaczalna głupota – kontynuował spokojnie – za którą ponoszę odpowiedzialność. Powinienem się domyślić, że straciłeś dużo krwi na statku, ale nie wiedziałem, że masz te dwa duże rozcięcia na czole. Powinienem był to zauważyć. – Uśmiechnął się krzywo. – Szkoda, żeś nie słyszał, co ci dwaj niesforni bohaterowie uznali za stosowne mi powiedzieć, kiedy wleźli na górę... I mieli rację. W takim stanie nie należało cię zostawiać ostatniego. To było szaleństwo. – Znowu się uśmiechnął. – Należało cię wyciągnąć na górę jak worek z węglem, jak nieustraszony zespół alpinistyczny Millera i Browna... Bóg wie, jak ci się to w ogóle udało... Jestem pewny, że sam tego nigdy nie będziesz wiedział. – Pochylił się i dotknął zdrowego kolana Stevensa. – Przepraszam cię, Andy. Naprawdę nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jesteś wykończony. Stevens poruszył się z zakłopotaniem; śmiertelnie blade, wpadnięte policzki zaróżowiły się z zadowolenia.**

**–Proszę, sir – powiedział – proszę tak nie mówić. Tego po prostu wymagała sprawa. – Urwał, zaciskając powieki, z ust wydarł mu się świszczący oddech, gdy fala bólu przeszła przez zgruchotaną nogę. Znowu spojrzął na Mallory.ego. – I nie mam żadnych zasług, jeśli chodzi o wejście – podjął spokojnie. – Prawie nic sobie nie przypominam. Mallory nie powiedział nic, tylko łuki jego brwi wygięły się pytająco.**

**–Bałem się śmiertelnie przy każdym kroku pod górę – powiedział po prostu Stevens. Uświadamiał sobie, że nie jest ani zaskoczony, ani zdziwiony, że mówi rzeczy, o których dotychczas nie mówił nikomu, bo wolałby umrzeć, niż je powiedzieć. – Nigdy się tak nie bałem w życiu. Mallory pokręcił głową, potarł dłonią zarośnięty podbródek. Wydawało się, że jest szczerze zdziwiony. Uśmiechnął się zagadkowo.**

**–Teraz wiem, że jesteś nowicjuszem w tej grze, Andy. – Znowu się uśmiechnął. – Myślisz może, że ja się śmiałem i podśpiewywałem włączając po tej skale? Myślisz, że ja się nie bałem? – Zapalił papierosa i wpatrywał się w Stevensa przez chmurę dymu. – Bynajmniej. „Bałem się” nie jest właściwym słowem. Byłem przerażony. Tak samo jak Andrea. Za dużo wiemy, żeby się nie bać.**

**–Andrea! – Stevens roześmiał się i krzyknął, bo poruszenie wywołało przeraźliwy ból w złamanej nodze. Przez chwilę Mallory myślał, że porucznik stracił przytomność, ale Stevens zaraz odezwał się znowu, głos miał ochryply z bólu. – Andrea!**

**–szepnął. – Bał się! Nie wierzę.**

–Andrea bał się. – Głos olbrzymiego Greka był bardzo łagodny. – Andrea boi się nadal, Andrea zawsze się boi. Dlatego żyje dotychczas. – Przyjrzał się swoim potężnym dłoniom. – I dlatego tyłu umarło. Oni się nie bali tak jak ja. Nie bali się wszystkiego, czego człowiek może się bać, zawsze było coś, czego zapomnieli się bać, czego zapomnieli się strzec. Ale Andrea bał się wszystkiego... i o niczym nie zapominał. To proste. Uśmiechnął się do Stevensa.

–Nie ma na świecie odważnych i tchórzy, mój synu. Są tylko odważni ludzie. Żeby żyć i umierać – tylko na to potrzeba już odwagi. Wszyscy jesteśmy dzielni i wszyscy się boimy, a ten, którego świat nazywa odważnym, jest równie odważny i tchórzliwy jak reszta z nas. Tylko że jest odważny o pięć minut dłużej. Albo czasami dziesięć czy dwadzieścia minut. Albo o tyle czasu, ile potrzeba człowiekowi krańcowo wyczerpanemu, ociekającemu krwią i przerażonemu do wejścia na skałę. Stevens nie powiedział nic. Głowa opadła mu na piersi, nie było widać twarzy. Rzadko czuł się tak szczęśliwy, tak pogodzony z samym sobą. Wiedział, że nie może nic ukryć przed takimi ludźmi, jak Andrea i Mallory, ale nie domyślał się, że nie potrzebuje nic przed nimi ukrywać. Czuł, że powinien coś powiedzieć, tylko nie wiedział co, i był śmiertelnie znużony. W głębi serca odczuwał, że Andrea powiedział prawdę, choć może nie całą prawdę. W takim stanie nie mógł analizować jego wypowiedzi. Miller chrząknął głośno.

–Dość gadania, poruczniku – oznajmił z naciskiem. – Musi się pan przespać. Stevens ze zdziwieniem spojrział na niego, a potem na Mallory.ego.

–Zrób, co ci każą, Andy – uśmiechnął się Mallory. – Twój chirurg i opiekun medyczny wydaje ci polecenie. On składał ci nogę.

–Och! Nie wiedziałem. Dziękuję, Dusty. Czy to było bardzo trudne? Miller z lekceważeniem machnął ręką.

–Nie dla człowieka o moim doświadczeniu. Proste złamanie

–kłamał jak z nut. – Właściwie to prawie każdy mógłby to opatrzyć... Podaj mu rękę, żeby mógł się położyć, dobrze, Andrea? Komendancie? – zwrócił się do Mallory.ego. Wyszli zza zasłony zwracając plecy ku lodowatemu wiatrowi.

–Powinniśmy się postarać o ogień i suche ubranie dla tego dzieciaka – odezwał się Miller stanowczym tonem. – Puls ma około 140, temperaturę koło 103 Fahrenheita. Gorączka wzrasta i jego stan pogarsza się coraz bardziej.

–Wiem, wiem – zgodził się Mallory zmęczony. – Nie ma żadnej nadziei, żebyśmy znaleźli jakieś paliwo na tej przeklętej górze. Chodźmy i zobaczymy, jakie ubranie możemy zorganizować we własnym zakresie. Uniósł róg brezentu i wszedł do środka. Stevens nadal nie spał, Brown i Andrea stali obok niego.

**–Zostaniemy tu na noc – oznajmił Mallory. – Urządźcie się możliwie najwygodniej. Jesteśmy zapewne trochę za blisko brzegu, żebyśmy mogli sobie pozwolić na wszystkie wygody, ale Szwaby nie wiedzą, że jesteśmy na wyspie, a z brzegu nie można nas dostrzec, więc odpoczniemy trochę.**

**–Komendancie... – Miller chciał coś powiedzieć, ale urwał. Mallory spojrzał na niego zdziwiony, spostrzegł, że Brown i Stevens patrzą po sobie niepewnie, a potem w ich oczach pojawia się wątpliwość i jakieś porozumienie. Nagła obawa, pewność, że coś jest nie w porządku, były jak cios.**

**–Co takiego? – zapytał ostro.**

**–Co się stało?**

**–Mamy złe wieści dla pana, komendancie – odezwał się Miller ostrożnie. – Powinniśmy byli o tym wcześniej zameldować. Pewnie każdy z nas myślał, że któryś inny już to panu powiedział... Pamięta pan tego wartownika, któregoście zrzucili razem z Andrea? Mallory ponuro skinął głową. Wiedział, co to znaczy.**

**–Spadł na rafę, jakieś dwadzieścia czy trzydzieści stóp od urwiska – kontynuował Miller.**

**–Wiele z niego nie zostało, ale to, co zostało, wbiło się między dwa głązy. Dosłownie się wklinował.**

**–Rozumiem – mruknął Mallory.**

**–Przez cały czas zastanawiałem się, jak mogliście tak przemoknąć pod gumową peleryną.**

**–Próbowałem cztery razy, komendancie – oznajmił Miller spokojnie. – Koledzy trzymali mnie na linie. – Wzruszył ramionami. – Żadnej możliwości. Te cholerne fale za każdym razem rzucały mnie z powrotem na skałę.**

**–Za trzy czy cztery godziny zrobi się widno – burknął Mallory. – Za cztery godziny będą wiedzieli, że jesteśmy na wyspie. Zobaczą go o świcie i wyślą łódź.**

**–To nie ma znaczenia, sir – zauważył Stevens. – Tak czy inaczej pomyślą, że sam spadł... Mallory odsunął brezent i wyrzwał w ciemność nocy. Było przeraźliwie zimno i znowu zaczął padać śnieg. Zasłonił płótno z powrotem.**

**–Pięć minut – powiedział jakby od niechcienia. – Wyruszamy za pięć minut. – Uśmiechnął się lekko do Stevensa. – My też jesteśmy zapominalscy. Powinniśmy byli wam powiedzieć, że Andrea zabił wartownika ciosem noża w serce. Godzina płynęła za godziną jak w najstraszliwszym śnie, ciągnącym się bez końca, otępiające godziny**

potykania się, ślizgania, upadania i podnoszenia znowu storturowanych ciał i bolących, udręczonych mięśni, zrzucania ładunku i szamotania się w coraz głębszym śniegu, godziny głodu, pragnienia i ogólnego wyczerpania. Teraz już ustalili kierunek, szli poprzez zbocze góry na północny zachód. Z całą pewnością Niemcy pomyślał, że poszli prosto na północ, kierując się ku środkowi wyspy. Bez kompasu, gwiazd i księżycyca Mallory nie miał nic, co by mu ułatwiło orientację w terenie, poza wyczuciem kształtu gór i wspomnieniem mapy, którą mu Vlachos pokazywał w Aleksandrii. Ale coraz bardziej nabierał pewności, że okrążyli górę i posuwają się jednym z wąskich jarów w głąb wyspy. Ich śmiertelnym wrogiem był śnieg. Ciężki, mokry, pierzasty, wirował dokoła, spowijając ich oślepiającą szarą kurtyną, sypał się za kołnierze i w cholewki butów, podstępnie dostawał się pod ubrania i w rękawy, zalepiał oczy, uszy i usta, przenikał lodowatymi szpilkami, znieczulał odsłonięte twarze, pozbawione zaś rękawiczek dłonie zamieniał w bryły lodu, nieczułe i bezsilne. Wszyscy cierpieli, cierpieli niewymownie, ale Stevens najbardziej. Stracił przytomność w parę minut po opuszczeniu jaskini, a będąc w przemoczonym ubraniu, nie miał nawet tego ciepła, jakie daje ruch. Dwa razy Andrea zatrzymywał się i sprawdzał, czy Stevensowi bije serce, myślał, że chłopak już nie żyje. Ale na nic się to zdało, nie miał czucia w rękę. Około piątej nad ranem, gdy się wspinali pod stromą ścianę wąwozu po zdradliwym, śliskim zboczu, gdzie jedyne oparcie dla nóg wśród ruchomego piargu stanowiło parę nędznych drzew chlebowych, Mallory zdecydował, że muszą dla bezpieczeństwa związać się liną. Przez następne dwadzieścia minut jeden za drugim wdrapywali się z najwyższym wysiłkiem na coraz bardziej stromą pochyłość. Mallory, na czele, nie ośmielał się nawet pomyśleć, jak Andrea daje sobie radę. Nagle zbocze skończyło się, przechodząc w płaszczyznę, i zanim to sobie uświadomili, mieli już za sobą wysoki dział wodny i nadal związani liną, ślizgali się w dół po zboczu z przeciwnej strony, w sypiącym wciąż oślepiającym śniegu, przy zerowej widoczności. Do jaskini dotarli przed świtem, gdy pierwsze szare przebliski ponurego i smutnego dnia przedzierały się przez niskie śniegowe chmury na wschodzie. Vlachos mówił, że południe Nawarony jest dosłownie usiane jaskiniami, ale to była pierwsza, jaką zauważyli; właściwie nawet nie jaskinia, ale ciemny, wąski tunel w wielkim nasypie wulkanicznych łupków, ogromnych warstw skały ukształtowanych w parów, który wił się jak wąż w dół zbocza, ku jakiemuś szerokiemu i nieznanemu wąwozowi, tysiąc czy dwa tysiące stóp poniżej pograżonemu w mrokach nocy. Nie była to właściwie jaskinia, ale dla zmarzniętych, wyczerpanych, udręczonych brakiem snu ludzi stanowiła wystarczające schronienie, a nawet przerastała ich nadzieje. Było tam miejsce dla wszystkich; kilka szczelin zatkali szybko przed nawiewającym śniegiem, wejście zasłonili obciążoną kamieniami płachtą namiotową. W ciemności i ciasnocie cudem zdołali rozebrać Stevensa z nasiąkniętego morską wodą i deszczem ubrania i wsadzić go do opatrnościowo zabranego śpiwora. Następnie wiali mu trochę wódki do gardła i pod okrwawioną głowę podłożyli zamiast poduszki jakieś suche ubranie. A potem czterej mężczyźni, łącznie z niezmordowanym Andrea, rzucili się na mokrą, zaśnieżoną ziemię jaskini i posnęli jak zabici, obojętni na zaścierałające dno kamienie, na zimno, głód, przyklepione



do ciał wilgotne ubrania, nieczuli nawet na przenikliwy ból odzyskujących czucie rąk i twarzy..nv Rozdział siódmy Wtorek Godz. #/15#00\_#/19#00 Słońce w pierścieniu szronu, blade za strzępami chmur dawno już minęło zenit i szybko odpadało ku zachodowi za śnieżnym zboczem, gdy Andrea podniósł skrzydło namiotu, delikatnie odsunął je na bok i popatrzył ze znużeniem na rozciągający się przed nim gładki skłon góry. Przez chwilę stał prawie bez ruchu, za brezentem, machinalnie rozprostowując zdrętwiałe i obolałe nogi i mrużąc oczy nie przyzwyczajone do blasku bijącego od krystalicznego śniegu. Potem bezszelestnie wysliznął się z tunelu i kilkoma krokami osiągnął przeciwległą ścianę parowu. Wyciągnąwszy się na śniegu, zwinnie podpełznął w górę i ostrożnie wychylił głowę. Pod nim rozpościerała się wielka przestrzeń prawie symetrycznej doliny – doliny otoczonej łukiem gór o stromych ścianach i opadającej łagodnie ku północy. Po prawej stronie wznosił się potężny, jakby oszańcowany mniejszymi wzgórzami olbrzym z ukrytym w śnieżnych chmurach wierzchołkiem, czuwający ponuro nad ujściem doliny... Co do tej góry nie może być wątpliwości – pomyślał Andrea. – To Kostos, najwyższy szczyt na Nawaronie. W ciemnościach nocy przeszli jego zachodnie zbocze. Dokładnie na wschód, naprzeciwko niego, w odległości jakichś pięciu mil, widniała trzecia z kolei góra, niewiele niższa; jej północny stok wyglądał bardziej stromo i przechodził w równinę, leżącą w północno\_wschodniej części Nawarony. Około czterech mil na północno\_północny wschód, daleko pod linią śniegu i rozszanych z rzadka szałasów pasterskich, w zagłębieniu między pagórkami, nad brzegiem wijącej się wśród doliny rzeczki, leżało małe osiedle o płaskich dachach. Była to z pewnością wieś Margaritha. Jeśli nawet Andrea zajmował się topografią doliny i jego oczy w poszukiwaniu możliwego źródła niebezpieczeństwa badały każdą szczelinę, każde zagłębienie między pagórkami, to jego świadomość zaprzętały jeszcze wydarzenia sprzed dwóch minut, konieczność wyodrębnienia i określenia charakteru obcego dźwięku, który przedarł się przez oprzęd snu i natychmiast postawił go na nogi, czujnego i zupełnie rozbudzonego, zanim dźwięk ten dotarł do niego na dobre. A potem usłyszał go znowu, trzy razy w ciągu trzech sekund, ostry świst, przenikliwe, złowieszcze trele, które zabrzmiały krótkim echem i zamarły w dolnych rejonach zbocza góry Kostos. Echo wisiało jeszcze w powietrzu, gdy Andrea osunął się w dół i spełznął na dno wąwozu. Wrócił na poprzednie miejsce w ciągu pół minuty. Mięśnie policzków napięły się mimo woli, gdy przyłożył do nich lodowato zimne okulary zeissowskiej lornety polowej Mallory.ego. Pomyślał z przygnębieniem, że teraz nie ma już wątpliwości, a jego pierwsze, przelotne wrażenie było aż zbyt trafne. Dwudziestu pięciu, może trzydziestu żołnierzy, wyciągniętych w długą, nieregularną linię, posuwało się z wolna po stoku góry Kostos, przeczesując każdy parów, każde zbiorowisko głazów leżące na ich drodze. Niemcy mieli na sobie białe kombinezony maskujące, ale nawet w odległości dwóch mil można ich było łatwo rozróżnić: dzioby nart wystawały sponad ramion i zakapturzonych głów – ciemne na nieskazitelnej bieli śniegu. Narty podskakiwały i chwiały się w pijanym pląsie, gdy ludzie ślizgali się i potykali na zasypanych piargiem zboczach. Od czasu do czasu mężczyzna znajdujący się w pobliżu centrum tyraliery pokazywał kijem alpejskim i gestykulował,

**jak gdyby koordynując wysiłki obławy. Andrea domyślał się, że to właśnie ten człowiek ma gwizdek.**

**–Andrea! – doszedł go cichy głos od wejścia jaskini. – Czy coś się stało? Andrea odwrócił się, przykładając palec do ust. Mallory stał przy płachcie namiotowej. Jego policzki były ciemne od nie golonego zarostu, ubranie wymięte. Jedną ręką zasłaniał się przed blaskiem śniegu, a drugą przecierał przekrwione oczy. A potem, gdy Andrea kiwnął na niego palcem, pokuśtykał naprzód, pojękując z bólu przy każdym kroku. Palce nóg miał obrzmiałe i otarte, posklejane zakrzepłą krwią. Nie zdejmował butów od czasu, gdy je ściągnął z nóg zabitego Niemca. Teraz niemal bał się je zdjąć, bał się tego, co mógłby zobaczyć... Powoli wspiał się na krawędź i opadł na śnieg obok Andrei.**

**–Mamy gości?**

**–Najgorszych, jakich można sobie wyobrazić – mruknął Andrea. – Spójrz, Keith. – Podał mu lornetkę i wskazał na dolną część zbocza Kostos. – Twój przyjaciel Jensen nie powiedział nam, że oni tutaj są.**

**Powoli Mallory przeszukał zbocze lornetką. Nagle tyraliera weszła w jego pole widzenia. Podniósł głowę, niecierpliwie poprawił ostrość, spojrzął raz i opuścił powoli lornetkę gestem, który wymownie świadczył o całym bogactwie jego gorzkich wrażeń.**

**–To batalion strzelców górskich – powiedział półgłosem.**

**–Tak – zgodził się Andrea. – Korpus alpejski... ich najlepsze oddziały. To bardzo niedobrze, mój drogi. Mallory potarł dłonią nie ogolony podbródek.**

**–Jeśli ktoś może nas znaleźć, to właśnie oni. I znajdą. – Jeszcze raz podniósł do oczu szkła. Drobiazgowa dokładność poszukiwań była dostatecznie alarmująca, ale jeszcze groźniej, jeszcze bardziej przerażająco wyglądała węzowa ruchliwość i systematyczne zbliżanie się małych figurek.**

**–Bóg wie, co korpus alpejski tutaj robi – kontynuował Mallory. – Wystarczy, że tu jest. Niemcy muszą wiedzieć, że wylądowaliśmy, i spędzili cały ranek na przeszukiwaniu wschodniego siodła Kostos, to znaczy najbardziej dla nas oczywistej drogi do wnętrza wyspy. Nic tam nie znaleźli, więc teraz idą na drugie siodło. Wiedzą, że mamy ze sobą rannego i że nie odeszliśmy zbyt daleko. Teraz to już tylko kwestia czasu.**

**–Kwestia czasu – powtórzył jak echo Andrea. Spojrzął na słońce, prawie niewidoczne za gromadzącymi się chmurami. – Godzina, najwyżej półtorej. Będą tu przed zachodem. A my stąd nie odejdziemy. – Popatrzył zagadkowo na Mallory.ego. – Nie możemy zostawić chłopca. A nie uciekniemy, jeśli go weźmiemy ze sobą...**

**Zresztą wtedy tak czy inaczej umrze.**

**–Nie zostaniemy tutaj – oznajmił Mallory. – Zginiemy, gdybyśmy zostali. Albo znajdziemy koniec w jednym z tych milutkich lochów, o których opowiadał monsieur Vlachos.**

**–Trzeba wybierać to, co najważniejsze – powiedział Andrea powoli. – Tak powinno być, prawda, mój drogi? To, co najważniejsze. Tak powiedziałyby kapitan Jensen. Mallory poruszył się, zakłopotany, ale jego głos brzmiał pewnie i zdecydowanie.**

**–Ja również tak uważam, Andrea. Prosty rachunek – tysiąc dwustu do jednego. Wiesz, że tak powinno być. – W jego głosie brzmiało zmęczenie.**

**–Tak, wiem. Ale nie masz się co martwić – Andrea uśmiechnął się. – Dalej, przyjacielu. Zanieśmy dobre wieści towarzyszom. Gdy weszli do środka, Miller podniósł głowę. Rozpiął śpiwór i przy świetle opartej o plecak latarki opatrywał Stevensowi złamaną nogę.**

**–Kiedy wreszcie zrobimy coś z tym chłopakiem, komendancie? – Głos miał urywany, gniewny; niecierpliwym gestem wskazał oszołomionego snem porucznika. – Ten cholerny nieprzemakalny śpiwór przemókł na wylot. I to samo jest z chłopakiem, który w dodatku prawie zamarł: jego noga przypomina w dotyku mrożoną wołowinę. Musimy mieć ciepło, komendancie, ciepłe pomieszczenie i coś gorącego do picia – inaczej on się wykończy w ciągu dwudziestu czterech godzin. – Miller zadrżał i rozejrzał się dokoła po spękanych ścianach jaskini. – Zresztą nawet w pierwszorzędnym szpitalu nie miałyby wielkich szans... W tej przeklętej lodówce tylko niepotrzebnie marnuje czas próbując oddychać. Miller prawie wcale nie przesadzał. Woda ze stopionego śniegu ściekała bez przerwy po omszałych ścianach jaskini albo skapywała bezpośrednio do na pół zamrożonej kałuży na dnie. Bez wentylacji i bez ujścia dla nagromadzonej wody całe pomieszczenie było mokre, duszne i straszliwie zimne.**

**–Możliwe, że go wezmą do szpitala prędzej, niż się spodziewasz – powiedział Mallory sucho. – Jak z jego nogą?**

**–Gorzej. – Miller nie owijał w bawełnę. – Wygląda o wiele gorzej. Przed chwilą sypnąłem kolejną garść sulfatazolu i zawinałem wszystko na nowo. Nic więcej nie mogę zrobić, komendancie, a to, co robię, jest i tak tylko stratą czasu... Co to za dowcip z tym szpitalem?**

**–zapytał podejrzliwie.**

**–To nie był dowcip – powiedział Mallory – tylko jeden z najbardziej nieprzyjemnych faktów. Idzie na nas niemiecka obława. Traktują sprawę serio. Znajdą nas bez wątpienia. Miller zaklął.**

**–To pięknie... to cudownie – rzekł gorzko. – Jak daleko są, komendancie?**

**–Godzinę drogi albo troszkę więcej.**

**–Więc co zrobimy z tym młodzieńcem? Zostawimy go tutaj? Zdaje się, że dla niego byłby to jedyny ratunek.**

**–Stevensa weźmiemy ze sobą. – W głosie Mallory.ego brzmiało nie dopuszczające dyskusji zdecydowanie. Miller patrzył na niego przez długą chwilę, jego twarz była bardzo chłodna.**

**–Stevensa weźmiemy ze sobą – powtórzył Miller. – Będziemy go ciągnąć, póki nie umrze... a to nie potrwa długo... i potem zostawimy go w śniegu. Tak?**

**–Właśnie tak, Dusty. – Mallory strzepnął śnieg ze swego ubrania i znowu skierował wzrok na Millera. – Stevens za dużo wie. Niemcy mogli się domyślić naszej obecności na wyspie, ale nie mają pojęcia, że zamierzamy dostać się do fortecy... I nie wiedzą, kiedy nadpłynie flota.**

**Ale Stevens wie. Zmuszą go do mówienia. Po scopolaminie każdy by powiedział.**

**–Po scopolaminie! Scopolamina dla umierającego człowieka?! – Miller nie mógł w to uwierzyć.**

**–Dlaczego nie? Sam bym to zrobił. Gdybyś był niemieckim dowódcą i wiedział, że twoje armaty i połowę ludzi w fortecy mogą posłać do wszystkich diabłów, i to w każdej chwili, też byś to zrobił. Miller usiłował się uśmiechnąć i potrząsnął głową.**

**–Ten mój... Wiem. Ten twój język. – Mallory uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu. – Mnie to wszystko jeszcze mniej się podoba niż tobie, Dusty. – Odwrócił się i podszedł do przeciwległej ściany jaskini. – Jak się czujecie, główny mechaniku?**

**–Nie najgorzej, sir. – Casey Brown tylko co się obudził, zdrętwiały i drżący w przemoczonym ubraniu. – Coś nie w porządku?**

**–Owszem, i to niejedno – zapewnił go Mallory. – Idzie na nas oblawa. Za pół godziny musimy stąd wyjść. – Spojrzał na zegarek. – Dokładnie o czwartej. Myślicie, że uda wam się złapać Kair?**

**–Bóg wie – powiedział Brown szczerze. Sztywno podniósł się na nogi. – Nie obchodziliśmy się wczoraj za dobrze z naszym radiem. Spróbuję.**

**–Dziękuję. Uważajcie, żeby antena nie wystawała sponad wąwozu. Mallory chciał wyjść z jaskini, ale zatrzymał się gwałtownie na widok Andrei, który przykucnął z głazem tuż koło wejścia. Kończył właśnie przymocowywać lornetkę do lufy swego**

mauzera, a teraz owijał lufę spiworem, aż cały karabin znalazł się w białym kokonie. Mallory przyglądał mu się w milczeniu. Andrea zerknął na niego, uśmiechnął się, wstał i sięgnął po plecak. W pół minuty był już ubrany w kombinezon maskujący; ściągnął ciasno sznur kaptura i włożył na nogi brezentowe buty z elastycznymi ściągaczami. Podniósł mauzer i uśmiechnął się lekko.

–Wybieram się na małą przechadzkę, kapitanie – powiedział ze skruchą. – Za pana pozwoleniem, oczywiście. Mallory kilka razy z rzędu kiwnął głową.

–Mówiłeś, że nie mam się co martwić – mruknął. – Powinienem być wiedzieć. Mogłeś mnie uprzedzić, Andrea. – Ale jego protest był odruchowy, bez żadnego znaczenia. Mallory nie czuł ani gniewu, ani nawet oburzenia za to milczące zlekceważenie jego władzy. Nałóg wydawania rozkazów nie ustępował łatwo u Andrei; przy tych okazjach, kiedy ostentacyjnie szukał aprobaty albo radził się co do szczegółów zamierzonej akcji, była to zwykle sprawa grzeczności i informacji o jego zamiarach. Zamiast oburzenia Mallory czuł tylko przemożną ulgę i wdzięczność dla tego uśmiechniętego olbrzyma. Mówił Millerowi, że będą wlec ze sobą Stevensa, aż umrze, a potem go porzucą, mówił z obojętnością, która maskowała jego rozgoryczenie wobec tego, co musi zrobić, ale nawet wtedy nie wiedział, jak jest przygnębiony, jak boli go serce z powodu tej decyzji, dopóki nie zyskał pewności, że nie jest potrzebna.

–Przepraszam – Andrea był skruszony, ale uśmiechnięty. – Powinienem być ci powiedzieć. Myślałem, że rozumiesz... W tej sytuacji nie pozostaje nic innego, prawda?

–Nic innego – przyznał Mallory. – Odciągniesz ich na przełęcz?

–Nie ma innego sposobu. Na nartach dogoniliby mnie w kilka minut, gdybym zszedł w dolinę. Oczywiście nie mogę wrócić, póki się nie ściemni. Będziecie tutaj?

–Ktoś tu zostanie. – Mallory popatrzył po jaskini; rozbudzony Stevens próbował usiąść, przecierając napiętkami zmęczone oczy. – Musimy mieć żywność i opał, Andrea – powiedział miękko. – W nocy zejść w dolinę.

–Oczywiście, oczywiście. Musimy robić, co się da. – Twarz Andrei była poważna, mówił niemal szeptem. – Póki się da. Przecież to młody chłopiec, prawie dziecko... Możliwe, że to nie potrwa długo... – Odsunął zasłonę i wyjrzał na niebo. – Wrócę koło siódmej.

–O siódmej – powtórzył Mallory. Widział, że niebo już ciemnieje od nadciągającej śnieżycy, a coraz potężniejszy wiatr nawiewa małe chmurki lotnej bieli do niewielkiego parowu. Mallory zadrżał i chwycił przyjaciela za potężne ramię. – Tylko na miłość boską, Andrea, uważaj na siebie.

–Na siebie? – Andrea uśmiechnął się lekko, choć w jego oczach nie było wesołości i delikatnie wyswobodził ramię z uścisku Mallory.ego. – Nie myśl o mnie. – Głos miał bardzo spokojny, nie było w nim nawet cienia szorstkości. – Jeżeli musisz wzywać Boga, poleć mu tych biedaków, którzy nas szukają. Wszedł opuszczając za sobą brezent. Przez pewien czas Mallory stał u wejścia, patrząc bezmyślnie przez dziurę w brezencie. Potem odwrócił się raptownie, podszedł do Stevensa i przyklęknął przy nim. Miller ostrożnie podtrzymywał chłopaka ramieniem. Jego pozbawione blasku oczy i blade policzki były głęboko wpadnięte, skóra na twarzy szara jak pergamin. Mallory uśmiechnął się do niego. Miał nadzieję, że nie znać po nim niedawno przeżytego wstrząsu.

–No, no. Śpioch obudził się wreszcie. Lepiej późno niż wcale. – Otworzył wodoszczelną papierośnicę i poczęstował Stevensa. – Jak się teraz czujesz, Andy?

–Bardzo zmarznięty, sir – Stevens nie chciał papierosa, ale próbował uśmiechnąć się do Mallory.ego. Była to tak kiepska imitacja uśmiechu, że Mallory aż drgnął.

–A noga?

–Chyba też zmarznięta. – Stevens spojrzał obojętnie na swoją obandażowaną nogę. – W każdym bądź razie nic nie czuję.

–Zmarznięta! – Miller parsknął z wyrazem zranionej dumy. – On mówi, że zmarznięta! Co za niewdzięczność! Opieka lekarska była pierwszorzędna, jeśli tak można powiedzieć. Na twarzy Stevensa pojawił się przelotny uśmiech, który zaraz zniknął. Dłuższy czas chłopak wpatrywał się w swoją nogę, a potem podniósł głowę i spojrzał prosto na Mallory.ego.

–Proszę posłuchać, sir. Nie mamy co się oszukiwać. – Jego głos brzmiał matowo, bezbarwnie.

–Nie chcę uchodzić za niewdzięcznika i nie znoszę nawet myśli o tanim bohaterstwie, ale... cóż, jestem wam kulą u nogi...

–Mamy cię zostawić, co? – przerwał Mallory. – Zostawić cię, żebyś zamarł na śmierć albo żeby cię Niemcy znaleźli? Wybij sobie to z głowy, chłopcze. Możemy jednocześnie myśleć i o tobie, i o tych niemieckich działach.

–Jednak, sir...

–Pan nas obraża, poruczniku – parsknął znowu Miller. – Rani pan nasze uczucia. Poza tym specjalista taki jak ja powinien mieć pod nadzorem przypadek chorobowy aż do wyzdrowienia. A jeśli pan myśli, że będę mógł to zrobić w jakimś cholernym mokrym niemieckim lochu, może pan...

**–Starczy! – Mallory podniósł rękę. – Wyczerpaliśmy temat. – Widział, że wychudłe policzki Stevensa zabarwiają się rumieńcem, a wesoły błysk pojawia się znowu w otępiałych oczach. Jednocześnie czuł wstręt do samego siebie i wstyd, wstyd za wdzięczność chorego, który nie wie, że ich zainteresowanie nie płynie ze współczucia, tylko z lęku, że mógłby ich zdradzić... Mallory pochylił się i zaczął rozsznurowywać buty. Nie podnosząc głowy zwrócił się do Millera.**

**–Dusty.**

**–Tak?**

**–Jeśli już skończyłeś się przechwalać swoimi zdolnościami lekarskimi, może spróbujesz je zastosować w praktyce. Zerknij na moje nogi. Boję się, że niemieckie buty nie wyszły mi na zdrowie. W kwadrans później Miller obciął końce plastra opatrunkowego, który spowijał prawą stopę Mallory.ego, wyprostował się i z dumą kontemplował swe dzieło.**

**–Pięknie, panie Miller, pięknie – mruzczał z zadowoleniem. – Nawet w klinice Johna Hopkinsa w mieście Baltimore... – urwał, zmarszczył czoło, wytrzeszczając oczy na grubo zabandażowaną nogę, i chrząknął z zakłopotaniem. – Właśnie przypomniała mi się jeszcze pewna drobnostka, komendancie.**

**–Tak sobie myślałem, że coś ci się w końcu przypomni – powiedział ironicznie Mallory. – Jak mi radzisz wsadzić nogi z powrotem do tych przeklętych butów? – Zadrżał mimo woli, wciągając grube wełniane skarperki, sfilcowane od wilgoci. Podniósł niemieckie buty i trzymając je na odległość wyciągniętego ramienia przypatrywał im się ze wstrętem.**

**–To jest najwyżej siódemka i to w dodatku diabelnie mała.**

**–Dziewiątka – oznajmił lakonicznie Stevens podając swoje buty, z których jeden miał z boku przeciętą cholewkę. – To przecież można łatwo zaszyć, a buty nie są mi teraz na nic potrzebne. Proszę, sir, tylko bez żadnych protestów. – Zaśmiał się cicho, ale śmiech przeszedł raptownie w ostre syknięcie z bólu, gdy przy poruszeniu uraził złamaną kość. Kilka razy głęboko wciągnął powietrze, a potem uśmiechnął się. – Moja pierwsza... i prawdopodobnie ostatnia zasługa dla wyprawy. Jakiego rodzaju medal uzna pan za właściwe wręczyć mi za to? Mallory wziął buty, dłuższy czas patrzył w milczeniu na Stevensa, potem odwrócił się, bo ktoś odsunął brezent. Potykając się wszedł Brown, położył nadajnik i teleskopową antenę na ziemi i wyciągnął puszkę z papierosami. Papierosy wysliznęły mu się ze zgrabiących palców, wpadły w lodowate błoto i rozmiękły w jednej chwili. Zaklął krótko, ale bez pasji, zabił rękę i usiadł ciężko na kamieniu. Wyglądał na zmęczonego i zmarzniętego, a przy tym miał bardzo zmartwioną minę. Mallory zapalił papierosa i podał Brownowi.**

**–Jak poszło, Casey? Udało ci się ich złapać?**

**–Oni mnie złapali... Mniej więcej. Odbiór był paskudny. – Brown głęboko zaciągnął się papierosem. – A ja w ogóle nie mogłem nic nadać. Przypuszczam, że przeszkadza to spore wzgórze na południe.**

**–Możliwe – zgodził się Mallory. – Więc jakie wieści od naszych przyjaciół w Kairze? Zachęcają nas do większych wysiłków? Życzą sobie, żebyśmy kontynuowali zadanie?**

**–W ogóle żadnych wiadomości. Są bardzo zdenerwowani brakiem informacji od nas. Powiedzieli, że od tej chwili będą nadawać co cztery godziny, niezależnie od tego, czy otrzymają potwierdzenie, czy nie. Powtórzyli to jakieś dziesięć razy, a potem się wyłączyli.**

**–To nam bardzo pomoże – odezwał się Miller szyderczo. – Dobrze wiedzieć, że są z nami. Nie ma nic lepszego niż poparcie moralne. – Wskazał kciukiem w kierunku wyjścia. – Na pewno te niemieckie ogary wystraszyłyby się śmiertelnie, gdyby o tym wiedziały. Zerknąłeś na nich?**

**–Nie potrzebowałem – powiedział Brown ponuro. – Doskonale było ich słyszeć... Jakby jakiś oficer wykrzykiwał komendy. – Prawie mechanicznie podniósł pistolet maszynowy i zatrzasnął magazynek. – Teraz są o niecałą milę stąd. Obława, tym razem już w bardziej ściśnionym szeregu, znajdowała się w odległości zaledwie pół mili od jaskini, gdy dowodzący nią oberleutnant spostrzegł, że prawe skrzydło tyraliery pozostaje nieco z tyłu, na bardziej stromym zboczu. Niecierpliwie podniósł do ust gwizdek, żeby wydać znowu trzy groźne, ostre dźwięki, które zmusiłyby jego zmęczonych ludzi do wyrównania linii. Dwa razy przenikliwy, rozkazujący ton gwizdka rozdarł powietrze, odbił się echem od zaśnieżonych zboczy i zamarł w dolinie, ale trzeci gwizd zamarł już przy swym poczęciu, odezwał się znowu i urwał w jęklwym, niesamowotym trelu, który zmieszał się w przerażającej harmonii z długim, chrapliwym wrzaskiem konania. Przez dwie albo trzy sekundy oberleutnant stał bez ruchu, z twarzą wykrzywioną, ściągniętą, po czym nagle rzucił się naprzód i dał nurka w zmarznięty śnieg. Krępy sierżant, który znajdował się obok, wytrzeszczył oczy na leżącego oficera, spojrzał w górę, zrozumiał, otworzył usta do krzyku, westchnął i potoczył się bezwładnie na leżące u jego stóp ciało; umierając miał jeszcze w uszach ostry trzask mauzera. Wysoko, na zachodnim zboczu góry Kostos, wciśnięty między dwa wielkie głazy Andrea patrzył na ciemniejszy krajobraz przez lornetkę swego karabinu, a następnie wystrzelił kolejno trzy naboje w łamiącą się, zdezorganizowaną tyralierę. Jego twarz była spokojna, pozbawiona wszelkiego uczucia, nieruchoma jak powieki, które nawet nie drgnęły przy regularnych trzaskach mauzera. Nawet oczy były takie same jak twarz, twarde, ale nie bezlitosne, tylko po prostu puste i prawie przerażająco odległe. Ta pustka była odbiciem stanu jego umysłu, umysłu opancerzonego w tej chwili przeciwko wszelkiej myśli czy uczuciu, bowiem Andrea wiedział, że nie wolno mu myśleć o tym wszystkim. Zabijanie,**



odbieranie życia bliźnim jest najwyższym złem, gdyż życie stanowi dar i nie jego sprawą jest pozbawianie go innych. Nawet w uczciwej walce. A to przecież było morderstwo. Powoli Andrea opuścił mauzer i popatrzył poprzez dym wystrzałów, który wisiał w mroźnym powietrzu wieczora. Nieprzyjaciel stał się niewidoczny, wypełznął za rozproszone na zboczu głązy, zakopał się gorączkowo w bieli śniegu. Ale pozostał na miejscu i potencjalnie był równie niebezpieczny jak dotychczas. Andrea wiedział, że Niemcy otrząsną się szybko z szoku po śmierci oficera – w Europie nie było lepszych i bardziej odpornych żołnierzy niż oddziały narciarskie batalionów strzelców górskich. Wiedział, że ruszą na niego, schwycą go i zabiją, jeśli to tylko będzie w ludzkiej mocy. Dlatego też Andrea przede wszystkim zlikwidował oficera – oficer może by go ścigał, może by się zaczął zbytnio zastanawiać nad zagadką i powodem tego nie sprowokowanego ataku z flanki. Andrea instynktownie pochylił się nisko, gdy gwałtownie serie ognia maszynowego zajęczały morderczymi rykoszetami na znajdujących się przed nim gałęziach. Spodziewał się tego. Była to stara klasyczna metoda natarcia piechoty – posuwaj się naprzód pod przykryciem ognia, padnij, kryj ogniem swego towarzysza i znowu idź naprzód. Szybko Andrea zmienił nagazynek, upadł płasko i cał po calu przepelznął za osłonę splekanych kamieni, które znajdowały się o jakieś piętnaście jardów na lewo. Starannie wybrał miejsce zasadzki. Naciągnął na czoło biały kaptur i ostrożnie wyjrzał zza skały. Nowa seria trzasnęła w głązy, które dopiero opuścił; sześciu ludzi – po trzech z każdego skrzydła tyraliery – wyskoczyło zza osłony i potykając się pędziło po zboczu, a potem znowu padło w śnieg. Biegli wzdłuż zbocza, obie grupy posuwały się w przeciwnych kierunkach. Andrea opuścił głowę i potarł podbródek potężną dłonią. Niedobrze, bardzo niedobrze. Te szczone lisy nie próbują frontalnego ataku. Rozciągają swe linie w wielki półksiężyc. Manewr był groźny, ale dałby sobie radę, bowiem starannie obmyślił drogę odwrotu przez parów, który wił się z tyłu po zboczu, niestety jednak nie przewidział tego, co teraz oczywiście musiało nastąpić: prawe, zachodnie, skrzydło tyraliery wyjdzie na jaskinię, w której znajdowali się jego koledzy. Andrea przekręcił się na plecy i popatrzył na wieczorne niebo. Robiło się coraz ciemniej, zarówno z powodu nadpływających śniegowych chmur, jak i z powodu zmroku. Odwrócił się znowu i spojrzał na wielki, wybruszony grzbiet Kostos, na rozrzucone tu i ówdzie głązy, na płytkie zagłębienia, ledwie widoczne na gładkim skłonie góry. Szybko zerknął na skałę, gdy karabiny strzelców górskich znowu rozpoczęły ogień. Zobaczył, że manewr okrążający rozwija się dalej, i już dłużej nie czekał. Strzelając na ślepo w dół, podniósł się i skoczył w otwartą przestrzeń; palcem naciskał spust, nogi grzęzły rozpaczliwie w zmarzniętym śniegu, gdy pędził ku najbliższym skałom, odległym o czterdzieści jardów. Jeszcze trzydzieści pięć jardów, jeszcze trzydzieści, dwadzieścia i ciągle jeszcze nikt do niego nie strzela... Pośliznął się i potknął na zdradliwym piargu, poderwał się. Dziesięć jardów, jeszcze nadal cudownym trafem jest cały... Dał nura za osłonę, lądując na piersiach i brzuchu; gwałtowny upadek odezwał się ostrym bólem w żebrach i pozbawił go tchu. Chwyając oddech wyciągnął nową łódkę z nabojami, ponownie załadował broń, zaryzykował krótkie spojrzenie ponad skałą i znowu

poderwał się na nogi – wszystko to – w ciągu dziesięciu sekund. Na chybił trafił rozpoczął ogień z mauzera, zwracając teraz uwagę tylko na śliski, zdradziecki grunt pod nogami i kręty wąwóz tak daleko przed nim. A potem mauzer był znowu pusty i bezużyteczny w jego ręku; karabiny daleko w dole rozpoczęły ogień, pociski gwizdały mu nad głową albo oślepiały go tumanami śniegu, odbijając się od kamieni. Lecz zmrok ogarniał już pagórki,

Andrea był tylko cieniem, drżącym cieniem na upiornym tle, a celny strzał pod górę jest, jak wiadomo, zawsze trudny. Jednak nawet w tych warunkach zmasowany ogień z dołu stawał się coraz silniejszy i dokładniejszy, Andrea nie czekał więc dłużej. Z rozwianymi połami peleryny rzucił się naprzód i ześliznął na brzuchu do czekającego nań zagłębienia. Wyciągnąwszy się na plecach w kotlinie, z kieszeni na piersiach wyjął stalowe lustro i ostrożnie podniósł je nad głowę. Początkowo nie zobaczył nic w mroku, w zaszłym mgłą lustro. A potem mgiełka zniknęła w chłodnym górskim powietrzu i ujrzał dwóch, trzech, wreszcie sześciu ludzi, którzy wyskoczyli zza osłony i niezgrabnie biegli prosto pod górę. Dwóch oderwało się od samego skraju prawego skrzydła. Andrea opuścił lustro i odetchnął z ulgą, w jego oczach pojawił się uśmiech. Spojrzał na niebo, zamrugał, gdy pierwsze puszyste płatki padającego śniegu stopniały na jego powiekach, i uśmiechnął się znowu. Niemal leniwie wyciągnął nową łódkę z nabojami i załadował mauzer. Komendancie? – W głosie Millera brzmiała pretensja.

–Tak? O co chodzi – Mallory otarł śnieg z twarzy i kołnierza kurtki i wpatrzył się w bladą ciemność przed sobą.

–Komendancie, jak pan chodził do szkoły, może pan czytał historię o ludziach, którzy zbłądzili wśród śnieżycy i chodzili całymi dniami w kółko?

–Mieliśmy dokładnie ten sam podręcznik w Queenstown – oświadczył Mallory.

–Wędrowali w kółko, aż zamarzli na śmierć – ciągnął Miller.

–Na miłość boską! – burknął

Mallory niecierpliwie. Nogi nawet w wielkich butach Stevensa bolały go okropnie. – Jak możemy chodzić w kółko, kiedy przez cały czas idziemy w dół? Co ty sobie wyobrażasz, że gdzie jesteśmy? Na jakiejś spiralnej klatce schodowej? Obrażony Miller ruszył dalej w milczeniu, Mallory obok niego, grzęznąc do kostek w mokrym, lepkiem śniegu, który padał bez przerwy już od trzech godzin, od czasu, gdy Andrea odciągnął obławę. Nawet w samym środku zimy w Białych Górach na Krecie Mallory nie mógł sobie przypomnieć tak gęstej i długotrwałej śnieżycy. Takie są więc te greckie wyspy i wieczne słońce, które je wyłącza – myślał z goryczą. Nie liczył się z tym, gdy postanowił zejść do Margarithy po żywność i opał, ale nawet śnieżycy nie wpłynęłaby na zmianę jego decyzji. Stevens, chociaż mniej teraz cierpiał, był coraz

słabszy, tak że nie było wyboru. Ponieważ ciężkie chmury zakrywały księżyc i gwiazdy, widoczność nie wynosiła więcej niż dziesięć stóp. Bardzo odczuwali utratę kompasów. Mallory nie wątpił, że odnajdzie osadę – muszą iść tylko z boczem w dół, póki nie dojdą do rzeczki, która przepływa przez dolinę, a potem dotrą jej brzegiem aż do Margarithy. Tylko że śnieg udaremni im ponowne odnalezienie maleńkiej groty wśród gór... Mallory o mało nie krzyknął, gdy Miller chwycił go za ramię i pociągnął na śnieg, na kolana. Nawet w tej chwili nieznanego niebezpieczeństwa był zły na siebie, albowiem pogrążony w myślach przestał uważać... Podniósł dłoń, osłaniając oczy przed śniegiem, i usiłował coś dojrzeć przez oślepiającą aksamitną białą kurtynę. I nagle zorientował się, o co chodzi, na widok ciemnego, przysadzistego kształtu w odległości zaledwie jednej stopy.

–To szalas – szepnął Millerowi do ucha. Po południu widział go i ustalił, że znajduje się prawie w połowie drogi między ich jaskinią a Margarithą i prawie na jednej linii z nimi. Poczł ulgę i przyplłw pewności siebie: najdalej za pół godziny znajdą się we wsi. – Podstawy nawigacji, drogi kapralu – mruknał. – Zbłądziliśmy i wędrujemy w kółko... ucho od śledzia! Musisz wierzyć, że... Urwał, palce Millera zacisnęły się boleśnie na jego ramieniu, a usta zbliżyły się do jego ucha.

–Słyszałem głosy, komendancie

–szepnął Miller.

–Jesteś pewny? – Mallory zauważył, że pistolet z tłumikiem nadal spoczywa w kieszeni kaprala. Miller zawahał się.

–Do diabła, nie jestem pewien niczego – szeptał z irytacją. – Przez ostatnią godzinę wyobrażałem sobie najniemożliwsze rzeczy! – Ściągnął kaptur, żeby lepiej słyszeć, nachylił się i wyprostował znowu. – W każdym razie przynajmniej wydawało mi się, że coś słyszę.

–Dobra. No to zobaczymy. – Mallory wstał. – Chyba się mylisz. To nie mogą być ci strzelcy alpejscy. Byli w połowie drogi na górę Kostos, kiedy widzieliśmy ich po raz ostatni. A pasterze używają tych szalasów tylko w miesiącach letnich. – Odsunął bezpiecznik swego colta 0,45 i przykurczywszy się podszedł powoli do ściany szalasu, mając obok siebie Millera. Przyłożyli uszy do kruchych ścian z papy. Minęło dziesięć sekund, dwadzieścia, potem pół minuty i wreszcie Mallory odetchnął.

–Nie ma państwa w domu. Albo jeśli są, zachowują się bardzo cicho. Ale co tu gadać, Dusty. Ty pójdziesz w tę stronę, a ja w przeciwną. Spotkamy się przy drzwiach... Są w drugiej ścianie, tej zwróconej do doliny... Węgły okrążają szerokim łukiem, ostrożność nie zawadzi. W minutę później obaj weszli do szalasu, zatraskując za sobą drzwi. Wąski promień światła z latarki Mallory.ego obmacywał każdy zakątek rudery. Najwidoczniej była pusta: klepisko, prycza z nie heblowanych

desek, rozwalający się piec, a na nim zardzewiała lampa. I to wszystko. Poza tym ani stołu, ani krzesła, ani komina, nawet okna. Mallory podszedł do piecyka, wziął lampę i powąchał ją.

–Nie była używana od tygodni. Ale bańka jest nadal pełna nafty. Będzie bardzo użyteczna w tym naszym diabelnym lochu, jeśli go kiedykolwiek znowu odnajdziemy... Nagle zamarł, lekko przekrzywiając głowę. Delikatnie postawił lampę na piecyku i niedbale podszedł do Millera.

–Przypomnij mi później przy okazji, żebym cię przeprosił – mruknął. – Mamy towarzystwo. Daj mi swój pistolet i mów dalej.

–Znowu Castelrosso – narzekał głośno Miller. Nawet nie mrugnął. – To już się robi nudne. Chińczyk... Założyłbym się, że tym razem będzie Chińczyk. – Ale już mówił tylko do siebie. Trzymając przy biodrze pistolet z tłumikiem Mallory bezszelestnie obchodził dokoła pomieszczenie w odległości jakichś czterech stóp od ścian. Minął dwie i właśnie kierował się ku trzeciej, gdy kątem oka dostrzegł za plecami niewyraźną postać, która szybko poderwała się z klepiska i skoczyła naprzód z podniesionym ramieniem. Mallory zrobił unik, okręcił się na pięcie i z rozmachem trzasnął atakującego zaciśniętą pięścią w żołądek. Rozległo się bolesne stęknięcie, człowiek zgiął się we dwoje, jęknął i osunął się na ziemię. Mallory powstrzymał swe wzniesione ramię i nie uderzył kolbą pistoletu. Odwróciwszy pistolet lufą do przodu, trzymając go pewnie w dłoni, przyglądał się skulonej postaci. Napastnik w prawej ręce ścisnął prymitywną drewnianą maczugę, na plecach miał nie wyglądający wojskowo plecak. Mallory czekał, wymierzywszy pistolet w leżącego: wszystko to poszło za łatwo, wyglądało zbyt podejrzanie. Minęło trzydzieści sekund, a tamten nadal się nie ruszał. Mallory zrobił mały krok naprzód i obliczywszy starannie, dość mocno kopnął leżącego w prawe kolano. Była to stara sztuczka; wiedział, że nigdy nie zawodzi – ból jest krótki, lecz przenikliwy. Ale człowiek nadal się nie ruszył, nawet nie pisnął. Mallory pochylił się, wolną ręką chwycił za ramię plecaka i ruszył ku drzwiom, na pół niosąc, na pół ciągnąc swojego jeńca. Był on bardzo lekki. Mallory ze współczuciem wyprowadził stąd wniosek, że skoro niemiecki garnizon jest proporcjonalnie liczniejszy niż na Krecie, dla wyspiarzy pozostało odpowiednio mniej żywności. Ten na pewno nie dojadł. Miał wyrzuty sumienia, że uderzył go za mocno. Spotkali się przy otwartych drzwiach, Miller pochylił się bez słowa, chwycił nieprzytomnego mężczyznę w kostkach i pomógł Mallory'emu rzucić go bezceremonialnie na pryczę w przeciwległym rogu szalasu.

–Ładna robota, komendancie – wyraził swoje uznanie. – Nawet nic nie słyszałem. A któż to jest, ten mistrz wagi ciężkiej?

–Nie mam pojęcia. – Mallory potrząsnął głową w ciemności. – Sama skóra i kości. Zamknij drzwi, Dusty, i zobaczymy, z kim mamy przyjemność.

**Rozdział ósmy Wtorek wieczór Godz. #/19#00\_#/00#15** Minęły jakieś dwie minuty i wreszcie mały człowieczek poruszył się, jęknął i przybrał pozycję siedzącą. Mallory podtrzymał go ramieniem, gdy tamten z zamkniętymi oczyma potrząsał pochyloną głową, usiłując przemóc zamroczenie. Wreszcie otworzył oczy i w słabym świetle dopiero co zapalanej lampy spojrzał na Mallory.ego, na Millera, potem znowu na Mallory.ego. Widzieli, jak rumieniec wraca na jego czarniawe policzki, połysk dużych, czarnych włosów i zapalający się w oczach gniew. Nagle człowieczek wstał i odepchnął od siebie rękę Mallory.ego.

**–A wy kto? –** mówił po angielsku, wyraźnie, płynnie, prawie bez śladów obcego akcentu.

**–Bardzo mi przykro, ale im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie –** Mallory świadomie uśmiechnął się, żeby złagodzić obraźliwą treść słów. **–** Chodzi mi o twoje dobro. Jak się czujesz? Człowieczek rozmasował delikatnie brzuch i poruszył nogą. Na twarzy pojawił się wyraz bólu.

**–Pan mnie uderzył bardzo mocno.**

**–Musiałem. –** Mallory podniósł maczugę, którą tamten miał poprzednio w rękę. **–** Próbowałeś mnie uderzyć. A co myślałeś, że zdejmę czapkę, żebyś lepiej trafił?

**–Pan jest bardzo dowcipny. –** Człowieczek znowu ostrożnie zgiął nogę i popatrzył na Mallory.ego podejrzliwie. **–** Boli mnie kolano – powiedział oskarżycielskim tonem.

**–Mówmy o czym innym. Po co ta maczuga?**

**–Miałem zamiar najpierw pana trzasnąć, a potem obejrzeć –** wyjaśnił niecierpliwie. **–** To jedyny bezpieczny sposób. Pan mógł być jednym z tych strzelców alpejskich... Dlaczego moje kolano...?

**–Uderzył się pan przy upadku**

**–Igał bezwstydnie Mallory. –** Co pan tu robi?

**–A wy kto jesteście? –** odparował mały człowieczek. Miller zakasłał i ostentacyjnie spojrzał na zegarek.

**–To wszystko jest bardzo zabawne, komendancie...**

**–Masz rację, Dusty. Nie mamy wiele czasu. –** Mallory szybko sięgnął do tyłu, podniósł plecak jeńca i rzucił Millerowi. **–** Zobacz, co tam jest, dobra? **–** Dziwnym trafem człowieczek nie zaprotestował.

**–Jedzenie! –** oznajmił Miller z szacunkiem. **–** Wspaniałe żarcie. Gotowane mięso,

chleb, ser... i wino. – Z żalem Miller zapiął plecak i popatrzył z zaciekawieniem na jeńca. – Świetna pora na majówkę.

–Amerykanin... Jankes! – Człowieczek uśmiechnął się do siebie... – Coraz lepiej!

–Co pan ma na myśli? – zapytał podejrzliwie Miller.

–Sam pan zobaczy – odparł człowieczek uprzejmie. Obojętnie wskazał na przeciwległy kąt szalasu. – Tam. Mallory odwrócił się szybko, zrozumiał w jednej chwili, że został oszukany, i gwałtownym ruchem wrócił do poprzedniej pozycji. Powoli pochylił się naprzód i dotknął ramienia

Millera.

–Nie oglądaj się za szybko, Dusty. Nie łap się za pistolet. Nasz przyjaciel nie był chyba sam. – Mallory zacisnął usta i w duchu sklął siebie za swoją nieostrożność. Głosy... Miller powiedział, że słyszał głosy. Chyba jest bardziej zmęczony, niż przypuszczał... Wejście zatarasował wysoki, szczupły mężczyzna. Jego twarz była ocieniona białym kapturem, ale nie ulegało wątpliwości, że ma w ręku broń. Mallory stwierdził obojętnie, że jest to krótki karabin systemu Lee Enfield.

–Nie strzelaj! – Mały człowieczek zawołał nagle po grecku. – Jestem prawie pewny, że to ci, których szukamy, Panayis. Panayis! Mallory poczuł ulgę. Było to jedno z nazwisk, które Eugene Vlachos podał mu w Aleksandrii.

–Karty na stół! – Człowieczek uśmiechnął się do Mallory.ego, mrużąc oczy, a jego czarny wąs uniósł się chwacko z jednej strony. – Pytam się was jeszcze raz: kim jesteście?

–Z Ekspozytury Operacji Dywersyjnych – powiedział Mallory bez wahania. Człowieczek skinął głową z zadowoleniem.

–Przysłał was kapitan Jensen? Mallory opadł na ławę i odetchnął z głęboką ulgą.

–Jesteśmy wśród przyjaciół, Dusty. – Popatrzył na człowieka. – Pan zapewne jest Louki, pierwszy platan na rynku w Margaricie? Człowieczek rozpromienił się. Skłonił głowę i wyciągnął rękę.

–Louki. Do usług, sir.

–A to, oczywiście, jest Panayis? Wysoki mężczyzna w proggu, ciemny, marsowy i ponury, skłonił głowę, lecz nie powiedział nic.

–Znacie nas! – Człowieczek promieniał z zadowolenia. – Louki i Panayis. A więc znają nas w Aleksandrii i Kairze? – zapytał dumnie.

**–Oczywiście – uśmiechnął się Mallory. – Mówią o was z najwyższym uznaniem. Bardzo pomogliście aliantom.**

**–I jeszcze pomożemy – oświadczył krótko Louki. – Dalej, marnujemy czas. Niemcy są na wzgórzach. Jak możemy wam pomóc?**

**–Jedzenie, Louki. Potrzebujemy żywności... i to bardzo potrzebujemy.**

**–Mamy żywność! – Louki dumnie wskazał na plecaki. – Specjalnie dla was zabraliśmy.**

**–Specjalnie zabraliście... – Mallory był zdumiony. – Skąd wiedzieliście, że jesteśmy tutaj... że w ogóle jesteśmy na wyspie. Louki lekceważąco machnął ręką.**

**–Nic prostszego. Od świtu niemieckie oddziały szły przez Margarithę na wzgórze. Cały rano przeszukiwali wschodnie zbocze Kostos. Wiedzieliśmy, że ktoś musiał wylądować i że Niemcy go szukają. Słyszeliśmy również, że Niemcy zablokowali przejście na rafach przy południowym wybrzeżu. To znaczy, że wyście musieli się dostać przez zachodnie zbocze. Tego się nie spodziewali... Wystrychnęliście ich na dudków. Więc poszliśmy, żeby was odszukać.**

**–Ale nigdy byście nas nie znaleźli...**

**–Znaleźlibyśmy. – W jego głosie brzmiała niewzruszona pewność. – Panayis i ja znamy tu każdy kamień, każde źdźbło trawy. – Louki zadrżał nagle i popatrzył tępo na sypiący śnieg.**

**–Nie mogliście wybrać gorszej pogody.**

**–Nie mogliśmy wybrać lepszej**

**–powiedział kpiąco Mallory.**

**–Ubiegłej nocy, owszem – przyznał Louki. – Nikt się was nie spodziewał w takim wietrze i deszczu. Nikt nie słyszał samolotu, nawet nie śnił, że możecie próbować skoku...**

**–Przy płynęliśmy morzem – przerwał Miller. Lekceważąco machnął ręką. – Weszliśmy przez południowe urwisko.**

**–Co? Południowe urwisko!? – Louki najoczywiściej nie wierzył. – Nikt nie wejdzie na południowe urwisko. To niemożliwe!**

**–Myśmy też tak myśleli w połowie drogi na szczyt – przyznał szczerze Mallory. – Ale kolega Dusty ma rację. Weszliśmy tamtędy. Louki cofnął się o krok, jego twarz była**

bez wyrazu.

–Mówię, że to niemożliwe – upierał się.

–Ale to prawda, Louki – powtórzył spokojnie Miller. – czytujesz czasem gazety?

–Oczywiście, że czytuję! – Louki nie posiadał się z oburzenia. – Co myślicie, że jestem... jak to się nazywa... analfabetą?

–Więc przypomnij sobie, co czytałeś przed wojną – poradził Miller. – Pomyśl o alpinizmie... i o Himalajach. Musiałeś widzieć to zdjęcie w gazetach, nie raz czy dwa, ale sto razy. – Popatrzył z szacunkiem na Mallory.ego. – Tylko że w tych czasach on był ładniejszy. Musisz zapamiętać. To jest Mallory, Keith Mallory z Nowej Zelandii. Mallory nic nie mówił. Patrzył na Loukiego, widział jego zdziwienie, komiczne przewrócenie oczu, skłon głowy na bok. A potem coś się odezwało w pamięci człowieka i na jego twarzy rozbłysł wśród zmarszczek szeroki uśmiech, który stał ostatnie ślady podejrzeń. Ruszył naprzód, wyciągając rękę na powitanie.

–Na Boga, ma pan rację! Mallory! Oczywiście, czytałem o Mallorym! – Chwycił dłoń

Mallory.ego i potrząsnął nią kilka razy z wielkim entuzjazmem. – Ten Amerykanin mówi prawdę. Powinien się pan golić... No, wygląda pan oczywiście starzej.

–I czuję się starzej – przyznał ze smutkiem Mallory. Wskazał na Millera. – A to jest kapral Miller, obywatel amerykański.

–Również słynny alpinista? – zapytał Louki z zaciekawieniem.

–Drugi zdobywca gór, co?

–Sforsował południową ścianę tak jak nikt przed nim – powiedział zgodnie z prawdą Mallory. Zerknął na zegarek, a potem spojrzął na Loukiego. – Na górze są jeszcze nasi towarzysze. Potrzebujemy pomocy, Louki. Potrzebujemy jej bardzo, i to natychmiast. Wiecie, na jakie narażacie się niebezpieczeństwo pomagając nam?

–Niebezpieczeństwo? – w tonie Loukiego brzmiało lekceważenie.

–Niebezpieczeństwo dla Loukiego i Panayisa, lisów Nawarony? Niemożliwe! Jesteśmy duchami nocy. – Poprawił sobie plecak. – Dalej. Zanieśmy tę żywność waszym przyjaciółom.

–Chwileczkę. – Mallory ujął go za ramię. – Jeszcze dwie sprawy. Musimy mieć ciepło: piecyk, opał i...

–Ciepło! Piecyk! – W tonie Loukiego brzmiało niedowierzanie. – Czy wasi



**towarzysze w górach... Kto to jest? Gromada starych bab?**

**–Potrzebujemy również bandaży i lekarstw – kontynuował cierpliwie Mallory. – Jeden z naszych kolegów jest ciężko ranny. Nie mamy pewności, ale przypuszczamy, że nie wyżyje.**

**–Panayis! – warknął Louki. – Wracaj do wioski. – Louki mówił teraz po grecku. Szybko wydawał rozkazy, gdy Mallory opisał mu, w którym miejscu znajduje się ich schronisko. Upewnił się, że Panayis zrozumiał, a potem przez chwilę stał niezdecydowanie, kręcąc wąsa. Wreszcie spojrzął na Mallory.ego.**

**–Czy wy sami potraficie odnaleźć tę jaskinię?**

**–Bóg to tylko może wiedzieć – przyznał szczerze Mallory. – Mówiąc uczciwie, nie sądzę.**

**–Wobec tego muszę iść z wami. Chciałem... Widzicie, Panayis będzie miał duży ciężar do niesienia. Powiedziałem mu, żeby przyniósł również pościel, i nie wydaje mi się...**

**–Ja z nim pójdę – zgłosił się na ochotnika Miller. Pomyślał o swojej zabójczej pracy na kutrze, wspinaczce na skałę i ciężkim marszu przez góry.**

**–Trening dobrze mi zrobi. Louki przetłumaczył to Panayisowi, który dotychczas milczał, chyba nie tylko z powodu nieznamości angielskiego, i który przyjął ofertę burzą protestów. Miller popatrzył ze zdumieniem.**

**–O co chodzi temu czarnuchowi? – zapytał Mallory.ego. – Wydaje mi się, że nie jest zachwycony.**

**–On mówi, że sobie doskonale da radę, i chce iść sam – przełożył Mallory. – Uważa, że będziesz mu opóźniał marsz po górach. – Pokiwał głową w udanym podziwie. – Żeby tylko on Millerowi nie opóźniał marszu!**

**–Właśnie! – Louki gotował się z gniewu. Znowu zwrócił się do Panayisa gestykulując dla wzmocnienia swych słów. Miller spojrzął pytająco na Mallory.ego.**

**–Co on mu teraz mówi, komendancie?**

**–Tylko prawdę – oznajmił uroczyście Mallory. – Mówi mu, że powinien czuć się zaszczycony mając sposobność iść razem z panem Millerem, alpinistą amerykańskim światowej sławy. – Mallory uśmiechnął się szyderczo. – Panayis będzie dziś w nocy wychodził ze skóry, żeby udowodnić, że Nawarończyk potrafi chodzić po górach równie dobrze i szybko.**

**–Boże! – jęknął Miller.**

**–A w powrotnej drodze nie zapomnij podać Panayisowi ręki na bardziej stromych odcinkach. Na szczęście odpowiedź Millera zginęła w świcie brzemiennego śniegiem wiatru. Wiatr wzmagął się, zacinał gęstym śniegiem w pochylone twarze i wyciskał łzy z oślepionych oczu. Ciężki, mokry śnieg topniał przy dotyku, woda przesączała się przez każde zapięcie czy szczelinę w ubraniach, aż przemokli i przemarzli doszczętnie. Lepki śnieg przyklejał się do podeszew butów, tak że idąc zbierali wszystkie jego warstwy, prawie do samego gruntu, aż bolały ich mięśnie nóg od dźwigania takiego ciężaru. Widoczność była prawie równa zeru. Nieprzenikniony kokon wirującej szarżyzny i bieli, niezmienny i bezkształtny, dosłownie oślepił ich i wchłonął. Louki szedł prosto pod górę z pewnością człowieka, który spaceruje po własnym ogródku. Był ruchliwy i niezmordowany jak górska kozica. A językiem poruszał równie szybko i wytrwale jak nogami. Szedł bez odpoczynku, szczęśliwy, że może działać, niezależnie od tego, jakie jest to działanie, byle było skierowane przeciwko wrogowi. Opowiadał Mallory'emu o ostatnich trzech wyprawach na wyspę i o ich krwawym fiasku – Niemców w jakiś sposób musiano uprzedzić o desancie morskim; przygotowali się na przyjęcie Specjalnej Służby Marynarki i komandosów i starli ich na miazgę. Dwie grupy skoczków spadochronowych miały po prostu pecha i dostały się w ręce nieprzyjaciela przez omyłkę, przez serię nieprzewidzianych zbiegów okoliczności. Opowiadał, jak Panayis i on przy obu okazjach ledwie uszli z życiem – za drugim razem schwytano nawet Panayisa, ale zabił obu swoich konwojentów i uciekł nie rozpoznany. Opowiadał o dyslokacji oddziałów niemieckich i punktach kontrolnych na wyspie, rozmieszczeniu zapór drogowych na jedynych istniejących tu dwóch drogach, wreszcie – jak mało wie o sytuacji w fortecy nawarońskiej. Ale Panayis, ten czarny, może powiedzieć więcej – twierdził Louki. Panayis dwa razy był w fortecy, z tego raz przez całą noc. Wie wszystko, gdzie co jest: działa, wartownie, kwatery oficerów, koszary, magazyn, elektrownia i posterunki, wszystko co do joty. Mallory gwizdnął z cicha. Nie przypuszczał, że znajdzie tak cennego pomocnika. Przecież muszą jeszcze uciec obławie, dotrzeć do fortecy i wejść do środka. Skoro znajdą się w środku – a Panayis musi wiedzieć, jak się tam dostać... Nieświadomie przyspieszył kroku, pochylając się mocno.**

**–Twój przyjaciel Panayis musi być dzielnym człowiekiem – powiedział z wolna. – Musisz mi więcej o nim powiedzieć, Louki.**

**–Cóż ja mogę powiedzieć? – Louki strząsnął z głowy warstwę śniegu. – Cóż ja wiem o Panayisie? Cóż ktokolwiek wie o Panayisie? Ma diabelne szczęście i szaleńczą odwagę; prędzej lew będzie spał z jagnięciem, a zgłodniały wilk oszczędzi stado owiec, niż Panayis będzie oddychał tym samym powietrzem co Niemcy. Wiem tylko tyle, że dzięki Bogu nie jestem Niemcem, skoro Panayis znajduje się na wyspie. Zabija z zasadzki, w nocy, nożem w plecy. – Louki przeżegnał się. – Jego ręce są unurzane we krwi. Mallory zadrżał mimo woli. Ciemna, ponura postać Panayisa, wspomnienie jego pozbawionej wyrazu twarzy i osłoniętych kapturem oczu, zaczęły**

go fascynować.

–Na pewno wiesz o nim więcej

–powiedział. – Mimo wszystko obaj jesteście Nawarończykami...

–Tak, to prawda.

–To przecież mała wyspa, mieszkaliście razem przez całe życie.

–I tu właśnie pan major się myli! – Louki samowolnie awansował Mallory.ego i mimo jego protestów i wyjaśnień uparczywie trzymał się tej rangi. – Ja przez wiele lat byłem w obcych krajach, pomagałem panu Vlachosowi. Monsieur Vlachos – oświadczył Louki z dumą – jest bardzo ważną osobistością rządową.

–Wiem – zgodził się Mallory.

–Konsulem. Znam go. To bardzo przyjemny człowiek.

–Pan go zna! Pana Vlachosa? – W głosie Loukiego brzmiała niekłamana radość i zadowolenie.

–To dobrze! Doskonale! Potem musi mi pan więcej o tym powiedzieć. To wspaniały człowiek. Czy wspominałem panu...

–Mówimy o Panayisie – przypomniał mu grzecznie Mallory.

–Ach tak. O Panayisie. Jak już wspomniałem, nie było go tutaj przez długi czas. Kiedy ja wróciłem, on wyjechał. Ojciec mu umarł, a matka wyszła za mąż po raz drugi i Panayis mieszkał z ojczymem i dwojgiem przyrodniego rodzeństwa na Krecie. Ten ojczym, trochę rybak, trochę rolnik, został zabity w walce z Niemcami koło Candii. To było na początku. Panayis wziął jego łódź i pomagał w ucieczce wielu aliantom, aż wreszcie Niemcy go złapali i powiesili za ręce na rynku w tej miejscowości, gdzie żyła jego rodzina – niedaleko Casteli. Zbili go tak, że aż ciało odpadało mu od kości na plecach i piersiach. Wszyscy musieli się temu przyglądać.

Potem zostawili go, uważając za trupa. Spalili wieś, a rodzina Panayisa znikła. Pan rozumie, majorze?

–Rozumiem – powiedział Mallory ponuro. – Ale Panayis...

–Powinien był umrzeć. Ale on jest twardy, ten chłopak, twardszy niż sęk w starym drzewie chlebowym. Przyjaciele odcięli go w nocy, zabrali w góry i tam wyzdrowiał, a potem wrócił do Nawarony. Bóg wie, w jaki sposób. Myślę, że płynął od wyspy do wyspy na wiosłach. Nigdy nie mówi, dlaczego wrócił... Myślę, że zabijanie Niemców

na rodzinnej wyspie sprawia mu największą przyjemność. Nie wiem, majorze. Wiem tylko, że jedzenie i spanie, słońce, kobiety i wino nie znaczą dla Czarnego nic, a nawet jeszcze mniej. – Louki przeżegnał się znowu. – Wykonuje moje polecenia, ponieważ jestem administratorem rodu Vlachosów, ale nawet ja się go boję. Dla niego zabić człowieka to tyle, co odetchnąć, zabijanie to jego natura. – Louki urwał nagle, wciągnął powietrze jak pies tropiący zwierzynę, strząsnął śnieg z butów i jednym susem znalazł się na szczycie pagórka. Wprost niesamowicie orientował się w terenie.

–Jak daleko jeszcze, Louki?

–Dwieście jardów, majorze. Nie więcej. – Louki zdmuchnął trochę śniegu z gęstych, ciemnych wąsów i zaklął. – Będę zadowolony, jak wreszcie znajdziemy się na miejscu.

–I ja również. – Mallory pomyślał niemal czule o nędznym, zimnym schronisku wśród mokrych skał. Od czasu jak wyszli z doliny, robiło się coraz chłodniej, wiatr wzmagał się i zawodził w coraz to bardziej przenikliwej tonacji, teraz musieli z nim walczyć, żeby cokolwiek posunąć się naprzód. Raptem obaj stanęli, zaczęli nasłuchiwać, popatrzyli na siebie, pochylając głowy przed zacinającym śniegiem. Dokoła nich rozciągała się tylko biała pustka i milczenie. Nie było ani śladu niczego, co mogłoby wydać ten niespodziewany dźwięk.

–Tyś też coś słyszał? – mruknął Mallory.

–To tylko ja. – Mallory odwrócił się gwałtownie, gdy rozległ się za nim głęboki głos i potężna figura w bieli wyłoniła się spośród śniegu. – Wóz z mlekiem na brukowanej kocimi łbami ulicy nie robi tyle hałasu co ty razem z twoim przyjacielem. Ale śnieg przytłumił wasze głosy i nie byłem pewny. Mallory popatrzył na niego z zaciekawieniem.

–Jak się tu znalazłeś, Andrea? – spytał.

–Szukałem drzewa – wyjaśnił Grek. – Drzewa na opał. Byłem na Kostos o zachodzie słońca, kiedy śnieg na chwilę przestał padać. Mógłbym przysiąc, że niedaleko stąd widziałem szalasa w parowie. Więc wyszedłem...

–Ma pan rację – przerwał Louki. – To szalasa starego Leriego, tego wariata. Leri był pasterzem kóz. Wszyscy go ostrzegaliśmy, ale Leri nie słuchał ani nie odzywał się do nikogo poza swoimi kozami. Zginął w tym szalasiu, gdy obsunęła się ziemia.

–Bardzo zimny wiatr... – mruknął Andrea. – Stary Leri zapewni nam ciepło dziś w nocy.

–Urwał nagle, bo pod jegfo nogami otworzył się wąwóz, a potem pobiegł szybko w

dół, pewnie jak kozica. Gwizdnął dwa razy, ostro, przenikliwie, słuchając, aż wśród śnieżycy odezwie się w odpowiedzi drugi gwizd, i szybko pomaszerował po zboczu. Casey Brown, z bronią w pogotowiu, przyjął go u wejścia do jaskini i przytrzymał brezent, żeby wszyscy mogli wejść. Kopcząca wysoka świeca, której płomień przechylał się mocno na jedną stronę od lodowatego przeciągu, wypełniała każdy zakątek jaskini ciemnymi, migotliwymi cieniami. Świeca prawie się dopaliła, jej kapiący knot pochylił się ze zmęczeniem, aż dotknął kamienia, a Louki, rozpiąwszy swą pelerynę maskującą, zapalił od zamierającego płomienia drugi ogarek. Przez chwilę obie świece paliły się razem i Mallory po raz pierwszy zobaczył wyraźnie Loukiego – małą, szczupłą figurkę w granatowym kaftanie z czarną lamówką na szwach, z bogatym szamerunkiem na piersiach, mocno ściśniętą w talii szkarłatną „tsanta”. Nad tym wszystkim była czarniawa uśmiechnięta twarz, wspaniała wąs, który Louki nosił jak sztandar. Typowy zawadiaka, miniatura d.Artagnana, wspaniale obwieszona bronią. A potem spojrzenie Mallory.ego zatrzymało się na wilgotnych oczach w sieci zmarszczek, oczach ciemnych, zmęczonych; wreszcie świeca rozbłysła i zgasła, a Louki znowu pogrążył się w cieniu. Stevens leżał wyciągnięty w śpiworze, oddychał chrapliwie, szybko. Kiedy przyszli, nie spał, ale nie chciał ani jeść, ani pić, odwrócił się plecami i znowu zapadł w niespokojny sen. Wydawało się, że teraz nie czuje już żadnego bólu. Zły znak – pomyślał tępo Mallory. – Najgorszy, jaki może być. Pragnął, żeby Miller już wrócił... Casey Brown zapił ostatnie okruszyny chleba haustem wina, podniósł się sztywno, odsunął zasłonę i ponuro wyjrzał na wciąż padający śnieg. Zadrżał, opuścił brezent, podniósł nadajnik, założył pasy na ramiona, wziął zwój liny, latarkę i brezentową płachtę.

Mallory spojrział na zegarek: była za kwadrans północ. Zbliżał się planowany termin nawiązania łączności z Kairem.

–Próbujesz się połączyć, Casey? Nie wypędziłbym psa na taką noc.

–Ani ja – powiedział Brown naburmuszony. – Mimo to spróbuję. Odbiór w nocy jest zwykle lepszy, a poza tym wyjdę z parowu, żeby mnie ta przeklęta góra nie zasłaniała. Gdybym to zrobił w dzień, od razu by mnie wykryli.

–Masz rację, Casey. Sam najlepiej wiesz, co robisz. – Mallory patrzył z zaciekawieniem. – A po co ten dodatkowy ekwipunek?

–Przykryję nadajnik brezentem, a potem sam tam wlezę z latarką – wyjaśnił Brown. – Linę będę rozwijał za sobą, a przy schodzeniu ją ściągnę. To jedyny sposób, żebym trafił do was z powrotem.

–Doskonale – pochwalił Mallory. – Tylko uważaj, jak będziesz szedł pod górę. Ten parów zwęża się dalej i pogłębia, i robi się z niego prawdziwy wąwóz.

–Niech się pan o mnie nie martwi, sir – powiedział Brown z przekonaniem. – Nic mi

się nie stanie. Dmuchnęło śniegiem, brezent zatrzepotał i Brown zniknął.

–No, jeśli Brown może... – Mallory zerwał się na nogi i poprawił kaptur na głowie. – Opał, panowie... Szałas starego Leriego. Kto ma ochotę na spacer o północy? Andrea i Louki podnieśli się jednocześnie, lecz Mallory potrząsnął głową.

–Jeden wystarczy. Ktoś powinien zostać i uważać na Stevensa.

–Śpi mocno – mruknął Andrea.

–W takim krótkim czasie nic mu się nie stanie.

–Nie o to chodzi. Nie możemy ryzykować, by wpadł w niemieckie ręce. W ten czy inny sposób zmusiliby go do mówienia. To nie byłaby jego wina, ale oni potrafiliby go zmusić. To za duże ryzyko.

–E, tam – Louki strzelił z palców. – Nie ma się pan o co martwić, majorze. W promieniu paru mil nie ma ani jednego Niemca. Słowo honoru. Mallory zawahał się i uśmiechnął.

–Masz rację. Zaczynam już bzikować. Nachylił się nad Stevensem, potrząsnął nim delikatnie. Chłopak poruszył się, jęknął i powoli otworzył oczy.

–Idziemy przynieść trochę drzewa – powiedział Mallory. – Wtracamy za parę minut. Dobrze się czujesz?

–Oczywiście, sir. Nic mi się nie stanie. Zostawcie mi tylko pistolet i zgaście świecę. – Uśmiechnął się. – Nie zapomnijcie podać hasła, zanim tu wejdziecie! Mallory zgasił świecę. Na chwilę płomień rozjarzył się, a potem zgasł i wszystko zniknęło w gęstej ciemności zimowej nocy. Mallory odsunął brezent i wyszedł, śnieżycy zaczęła już zasypywać dno parowu. Andrea i Louki szli tuż za nim. Znalezienie zrujnowanego szałas starego pasterza zajęło im dziesięć minut, przez dalsze pięć Andrea wyważył drzwi z popsutych zawiasów i rozbił je na deski odpowiedniej długości, podobnie zresztą jak pryczę i stół. I wreszcie ostatnie dziesięć minut zajął transport drzewa w takiej ilości, jaką mogli wygodnie związać liną i ponieść. Wiatr, wiejący dokładnie na północ od Kostos, mieli teraz prosto w oczy – twarze skostniały im od lodowatych, mokrych płatów śniegu pędzonego niemal z siłą burzy. Byli zadowoleni, gdy znowu znaleźli się pod osłoną ścian parowu. U wejścia do jaskini Mallory zawołał z cicha. Z wewnątrz nie było odpowiedzi ani żadnego ruchu. Zawołał znowu i nasłuchiwał z napięciem. W milczeniu mijały sekundy, odwrócił głowę i spojrzał na Andreę i Loukiego. Ostrożnie położył wiązkę drzewa, wyciągnął colta i latarkę. Odsunął zasłonę, zapalając jednocześnie latarkę i odciągając bezpiecznik pistoletu. Promień latarki oświetlił ciemność koło wejścia, przesunął się dalej, zatrzymał i zadrżał, dotknął najodleglejszego rogu schroniska, wrócił znowu na środek jaskini i znieruchomiał. Na ziemi leżał tylko zgnieciony pusty śpiwór. Andy Stevens zniknął. Rozdział dziewiąty

–Nie miałem racji – mruknął Andrea. – Więc on nie spał.

–Na pewno nie spał – zgodził się Mallory. – Mnie też wyprowadził w pole... Słyszał, co mówiłem. – Skrzywił się. – Wie teraz, dlaczego tak się nim opiekujemy. Wie, że miał rację mówiąc, że jest nam kulą u nogi. Cholernie mi głupio.

–Nietrudno zgadnąć, dlaczego zniknął – zgodził się Andrea. Mallory zerknął na zegarek i rzucił się ku wyjściu.

–Dwadzieścia minut... Nie wyruszył wcześniej niż dwadzieścia minut temu. A może trochę później, aby mieć pewność, że odeszliśmy już dość daleko. Może tylko pełznąć – nie zawlókł się dalej jak z pięćdziesiąt jardów. Znajdziemy go w ciągu czterech minut. Możecie zapalić latarki i zdjąć kaptury. Nikt nas nie zobaczy w tej przeklętej śnieżycy. Idźcie pod górę, ja będę szukał w parowie.

–Pod górę? – Louki położył dłoń na ramieniu Mallory.ego, w jego głosie brzmiało zdziwienie.

–Ale jego noga...

–Pod górę, powiadam – przerwał niecierpliwie Mallory.

–Stevens jest mądry i o wiele odważniejszy, niż się komu wydaje. Na pewno pomyślał, że będziemy go szukać na łatwiejszej drodze. – Urwał, a potem dodał uroczyście: – Każdy umierający, który walczy ze swym losem, na pewno nie pójdzie łatwą drogą. Idziemy! Znaleźli go dokładnie w trzy minuty. Najprawdopodobniej słyszał, jak potykają się na zboczu, i zakopał się w śniegu tuż za wystającym znad krawędzi parowu gzymsem. Była to doskonała kryjówka, ale noga go zdradziła: w świetle latarki Andrea wykrył cieniutki ślad krwi na śniegu. Kiedy go znaleźli, Stevens był już nieprzytomny z zimna, wyczerpania albo bólu, a możliwe, że ze wszystkich tych trzech powodów. Po powrocie do jaskini Mallory próbował wlać porucznikowi do ust trochę „ouzo” – miejscowej bardzo mocnej wódki. Wiedział, że może to być niebezpieczne, szczególnie w przypadkach szoku, ale zdecydował, że lepsze to niż brak jakiegokolwiek pomocy. Stevens krztusił się, pluł i kaszlał, pozbył się większej części alkoholu, coś jednak zostało mu w żołądku. Z pomocą Andrei Mallory związał mocniej rozluźnione łupki na nodze, zatamował ciekącą krew i zawinął chłopaka we wszystko, co tylko mógł znaleźć suchego w jaskini. Potem usiadł i wyciągnął papierosa z wodoszczelnej papierošnicy. Nie wiedział, co robić dalej, musiał czekać na powrót Millera i Panayisa. Był zresztą pewny, że i Dusty nic już Stevensowi nie pomoże. Ani on, ani nikt. Louki rozpałił ognisko. Stare wysuszone drzewo paliło się gwałtownie, prawie bez dymu. Niemal natychmiast po jaskini zaczęło się rozchodzić ciepło i wszyscy trzej z rozkoszą przysunęli się bliżej ognia. Z wielu miejsc sklepienia

pociekły do wielkiej kałuży na żwirowatym dnie coraz to obfitsze strumienie wody z topniejącego śniegu. Niebawem zrobiło się błoto. Ale dla Mallory.ego i Andrei te przykrości były niczym w porównaniu ze szczęściem zaznawania ciepła po raz pierwszy od przeszło trzydziestu godzin. Mallory czuł, jak żar przenika go niby błogosławieństwo, czuł ulgę w całym ciele, a powieki zaczęły mu się kleić z senności. Oparty o ścianę drzemał, nie wypaliwszy nawet pierwszego papierosa, gdy do jaskini wpadł podmuch zimnego wiatru ze śniegiem i zjawił się Brown, ze zmęczeniem ściągając z ramion rzemienie nadajnika. Jak zwykle miał posępną minę, ale jego oczy rozjaśniły się na widok ogniska. Był siny na twarzy i drżał z zimna. Nic dziwnego, pomyślał Mallory, siedział bez ruchu przez pół godziny na otwartym lodowatym zboczu pagórka. Brown w miolczeniu pochylił się nad ogniem, wyciągnął papierosa i patrzył zamyślony w płomienie, obojętny zarówno na chmurę pary, która go natychmiast otoczyła, jak i na przenikliwy śwąd przypalającego się ubrania. Wyglądał na bardzo przygnębionego. Mallory sięgnął po butelkę, nalał trochę ogrzanego „retsimo” – mocno zaprawionego żywicą greckiego wina – i podał Brownowi.

–Wypij to od razu jednym haustem – poradził. – W ten sposób nie poczujesz smaku.

Trącił nogą odbiornik i spojrzał na Browna. – Znowu nie udało się połączenie?

–Nawiązałem z nimi łączność, nie ma się co martwić, sir. – Brown skrzywił się od lepkiej słodczy wina. – Odbiór był pierwszorzędny, zarówno tutaj, jak i w Kairze.

–Uzyskałeś połączenie! – Mallory pochylił się, zaciekawiony. – Byli zadowoleni z wiadomości o swoich podróżnikach?

–Nie powiedzieli. Przede wszystkim kazali mi nic nie gadać. – Brown niedbale poprawił ognisko parującym butem. – Nie wiem, jak sir, ale otrzymali wiadomość, że w ostatnich dniach Niemcy dostali tutaj wystarczającą liczbę sprzętu na dwie albo trzy stacje pelengacyjne. Mallory zaklął.

–Stacje pelengacyjne... to pierwszorzędnie! – pomyślał krótko o egzystencji włóczęgów, do jakiej podobne stacje namiarowe zmusiły jego i Andreę w Białych Górach na Krecie. – Do diabła, Casey, na takiej wyspie wielkości półmiska mogą nas zlokalizować z zamkniętymi oczami!

–Oczywiście, że mogą – przytaknął ponuro Brown.

–Czy słyszałeś o tych stacjach, Louki? – zapytał Mallory.

–Nie, majorze. Nic nie słyszałem. – Louki wzruszył ramionami. – Boję się, że nawet nie wiem, o czym mówicie.

–I ja też tak myślę. Zresztą, to nie ma znaczenia... Teraz już za późno. A jakie masz



**inne dobre wiadomości, Casey?**

**–Nic specjalnego, sir. Nie wolno mi nadawać – to rozkaz. Mamy się ograniczać do kodów: tylko potwierdzenia, przeczenia, pozdrowienia i tym podobne. Nadawanie ciągle tylko w razie absolutnej konieczności albo wtedy, kiedy ukrycie się jest tak czy inaczej niemożliwe.**

**–Na przykład w celi skazańców w tych przytulnych lochach Nawarony – mruknął Mallory. – „Zmarłem na stojąco. Pozdrowienia!”**

**–Z całym szacunkiem, sir, ale to wcale nie jest wesołe – powiedział Brown z irytacją. – Ich flota desantowa, głównie kutry i ścigacze, wyruszyła dziś rano z Pireusu – ciągnął dalej. – Około czwartej rano. Kair spodziewa się, że dziś w nocy zatrzymają się gdzieś na Cykladach.**

**–To zupełnie genialne odkrycie. Gdzież indziej, u diabła, mogliby się zatrzymać? – Mallory zapalił nowego papierosa i tępo zapatrzył się w ogień. – W każdym razie dobrze wiedzieć, że są już w drodze. To wszystko, Casey? Brown skinął głową w milczeniu.**

**–No, dobra. Bardzo dziękuję, że wyszedłeś. A teraz najlepiej się położyć i spróbuj usnąć, jeśli możesz... Louki uważa, że powinniśmy zejść do Margarithy przed świtem i schować się tam na cały dzień. Mają jakąś starą studnię przygotowaną na nasze przyjęcie, a w nocy wyruszylibyśmy do Nawarony.**

**–Boże! – jęknął Brown. – Dziś cieknąca jak sito jaskinia, jutro opuszczona studnia, prawdopodobnie do połowy wypełniona wodą. Gdzie się zatrzymamy w Nawaronie, sir? W jakiejś krypcie na miejscowym cmentarzu?**

**–Byłoby to niezwykle dogodne pomieszczenie w istniejących warunkach – stwierdził oschle Mallory. – Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Wyruszamy przed piątą. – Patrzył, jak Brown kładzie się obok Stevensa, a potem przeniósł wzrok na Loukiego. Mały człowieczek usiadł po drugiej stronie ogniska na jakiejś skrzynce i ogrzewał wielki kamień. Potem zawinął go w płótno i przyłożył do skostniałych nóg Stevensa. Od czasu do czasu podsyczał ogień. Nagle zorientował się, że Mallory bacznie mu się przygląda, i podniósł głowę.**

**–Robi pan wrażenie zmęczonego, majorze – wydawało się, że Louki jest czymś zaniepokojony. – Zaraz, jak to się mówi?... jakby pan coś miał na wątrobie. Panu się nie podoba mój plan? Myślałem, żeśmy się zgodzili...**

**–Nie martwię się twoim planem**

**–oświadczył Mallory. – Nie martwię się nawet sobą. Natomiast martwię się skrzynką, na której siedzisz. Jest w niej wystarczająca ilość trotylu, żeby wysadzić w powietrze**

krążownik, a ty siedzisz na tym zaledwie trzy stopy od ognia. To niezdrowo, Louki. Louki poruszył się niespokojnie na skrzynce i szarpnął za koniec wąsa.

–Słyszałem, że tnt można rzucić do ognia i będzie się spokojnie palił jak żywiczna sosna.

–Zgadza się – potwierdził Mallory. – Możesz go również giąć, łamać, piłować, ciąć, skakać po nim i kuć kowalskim młotem i nic się nie stanie. Ale jeśli zaczniesz się topić w gorącym i wilgotnym powietrzu, wtedy płyn zaczyna się krystalizować. Och, bracie! A w tej dziurze zaczyna się robić o wiele za gorąco i za duszno.

–Więc wyrzucimy to! – Louki zerwał się i cofnął w głąb jaskini. – Wyrzucimy na dwór! – Zawahał się. – Jeśli śnieg i wilgoć...

–Możesz to równie wsadzić do słonej wody na dziesięć lat i też nic się nie stanie – przerwał Mallory pouczającym tonem. – Ale są tam pewne materiały, którym mogłoby to zaszkodzić... nie wspominając już o zapalnikach w tej skrzynce koło Andrei. Wyrzucimy wszystko na dwór i przykryjemy brezentem.

–E, mam lepszy pomysł. Człowieczek wciągnął już na siebie kurtkę. – Szałas starego Leriego! To jest najodpowiedniejsze miejsce. Właśnie! Możemy to stamtąd wyciągnąć, jak będzie potrzeba, a gdybyśmy musieli się stąd szybko wynosić, nie sprawi nam kłopotu. Zanim Mallory zdążył zaprotestować, Louki pochylił się nad skrzynką, podniósł ją z pewnym wysiłkiem i ciężkim krokiem obszedł ognisko, kierując się ku wyjściu. Ledwie zrobił te trzy kroki, podskoczył do niego Andrea, zdecydowanie odebrał mu skrzynkę i wsadził ją sobie pod pachę.

–Jeśli pan pozwoli...

–Nie, nie! – Louki był obrażony. – Dam sobie radę. Przecież to głupstwo.

–Wiem, wiem – uspokoił go Andrea. – Ale te materiały wybuchowe trzeba nosić w specjalny sposób. Uczono mnie tego – wyjaśnił.

–Tak? Nie wiedziałem. Oczywiście, skoro tak, to w takim razie wezmę zapalniki. – Ocaliwszy w ten sposób swój honor, Louki z zadowoleniem poniechał sprzeczki, podniósł małą skrzynkę i wyśliznął się z jaskini w ślad za Andrea. Mallory spojrzał na zegarek. Dokładnie pierwsza. Pomyślał, że Miller i Panayis powinni już rychło wrócić. Wiatr nieco osłabł, a śnieg prawie przestał padać. Marsz będzie teraz łatwiejszy, ale pozostaną ślady na śniegu. To niedobrze, ale nic strasznego – wyjdą przed świtem kierując się prosto w dolinę. Śnieg się tam nie utrzyma, a jeśli nawet trochę go pozostanie, będą mogli wejść do potoku, który wije się przez dolinę, i nie zostawią żadnych śladów. Ogień przygasał i zaczęło robić się coraz chłodniej. Mallory zadrżał w swym nadal mokrym ubraniu, podrzucił trochę drzewa i patrzył, jak ognisko rozbłyska i oświecła jaskinię. Brown, skulony na kawałku brezentu, już usnął.

Zwrócony do niego plecami Stevens leżał bez ruchu, oddychając szybko. Bóg tylko mógł wiedzieć, jak długo ten chłopak pozostanie przy życiu. Miller orzekł, że umiera, ale „umieranie” jest bardzo nieokreślonym pojęciem: kiedy człowiek ciężko ranny, umierający, jest zdecydowany nie umrzeć, staje się najbardziej wytrwałą, najbardziej odporną istotą na świecie. Mallory widział już przedtem takie przypadki. Ale może Stevens nie chce żyć. Życie, przetrwanie po tak straszliwych obrażeniach byłoby potwierdzeniem własnej wartości wobec samego siebie i innych, a on był przecież młody, wrażliwy, a poza tym został ranny i tyle wycierpiał w przeszłości, że przetrwanie mogło stać się dlań zasadniczą sprawą. Z drugiej strony wiedział, jak poważną przeszkodą jest dla towarzyszy, słyszał, jak Mallory o tym mówił. Wiedział również, że główną troską Malloryego nie jest jego zdrowie, lecz obawa, że zostanie schwytany i zmuszony pod presją do wygadania wszystkiego. Słyszał to i wiedział, że zawiódł swoich towarzyszy. Wszystko to było bardzo skomplikowane i nikt nie potrafiłby przewidzieć, w jaki sposób te przeciwstawne motywy będą w końcu działały. Mallory zapalił nowego papierosa i przysunął się do ognia. Andrea i Louki wrócili w pięć minut później, a Miller i

Panayis tuż za nimi. Millera słyszeli już z pewnej odległości, jak się potyka, przewraca i klnie prawie bez przerwy, wdrapując się na ścianę parowu obładowany ciężkim i nieporęcznym ładunkiem. Niemal upadł na progu jaskini i bezwładnie osunął się przy ognisku. Robił wrażenie człowieka całkowicie wykończonego. Mallory uśmiechnął się do niego ze współczuciem.

–No, Dusty, jak poszło? Mam nadzieję, że Panayis nie opóźniał cię zbyt? Wyglądało na to, że Miller go nie słyszy. Z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy na ognisko, szczeka mu opadła, gdy wreszcie pojął, co ma przed sobą.

–Do diabła! – zaklął z goryczą. – Ja tu przez pół nocy wlażę na tę cholerną górę z piecem na plecach i taką ilością nafty, że można by wykąpać w niej słonia... i co widzę? – zrobił głęboki wdech, jakby miał zamiar opowiedzieć, co widzi, i nagle zapadł w milczenie, choć najwyraźniej wszystko się w nim gotowało ze złości.

–Człowiek w twoim wieku powinien uważać na ciśnienie – poradził mu Mallory. – No, jak wam się powiodło?

–Chyba dobrze. – Miller miał już w ręku kubek „ouzo” i zaczął przychodzić do siebie. – Dostaliśmy pościel, lekarstwa...

–Daj mi pościel, to ułożę naszego porucznika – przerwał Andrea.

–A jedzenie? – zapytał Mallory.

–Jest. Przynieśliśmy żarcie, komendancie. Mnóstwo. Ten Panayis to cudotwórca. Chleb, wino, kozi ser, kielbasa z czosnkiem, ryż... wszystko.

**–Ryż? – Mallory się zdziwił.**

**–Ale ryżu nie można teraz dostać na wyspach, Dusty.**

**–Panayis może. – Miller bawił się wspaniale. – Dostał z kuchni niemieckiego komendanta. Ten gość nazywa się Skoda.**

**–Niemieckiego komendanta? Żartujesz!**

**–Jak Boga kocham! Prawda jak w Ewangelii. – Miller wypił połowę „ouzo” jednym haustem i odetchnął z rozkoszą. – Miller stał na czatach przy kuchennych drzwiach, kolana mu latały jak kastaniety Carmen Mirandy i gotów był w każdej chwili prysnąć, podczas gdy ten młodzian wlał do środka i oczyścił na cacy cały magazyn. W Stanach Zjednoczonych zrobiłby majątek jako lipkarz. Wrócił za jakieś dziesięć minut taszcząc ze sobą tę cholerną walizę – Miller wskazał ręką. – Nie tylko ograbił spiżarnię komendanta, ale jeszcze pożyczył sobie jego sakwojaż. Mówię panu, wodzu, że towarzystwo tego faceta przyprawia mnie o palpitację serca.**

**–Ale... Ale co z wartownikami, z posterunkami?**

**–Chyba mieli dzisiaj wychodne, komendancie. Ten Panayis to milczek: nigdy nie mówi słowa, a nawet jak mówi, to i tak nic nie rozumiem. Myślę, że wszystkie szwabki poleciały nas szukać.**

**–I nie spotkaliście żywej duszy ani w jedną, ani w drugą stronę? – Mallory napełnił mu kubek winem. – Doskonała robota, Dusty.**

**–Panayisa, nie moja. Ja się tylko wlokłem za nim. Ponadto wpadliśmy na dwóch kumpli Panayisa – albo raczej on ich dogonił. Musieli mu coś ważnego powiedzieć, bo aż podskakiwał ze zdenerwowania i próbował mi to wszystko wyklarować. – Miller ze smutkiem wzruszył ramionami. – Niestety, pracowaliśmy na falach o różnej długości, komendancie. Mallory ze zrozumieniem skinął głową. Louki i Panayis siedzieli obok siebie: Louki słuchał, Panayis mówił gwałtownie, chociaż cicho, gestykulując obu rękami.**

**–Coś nim bardzo wstrząsnęło – powiedział Mallory. – Podniósł głos. – O co chodzi, Louki?**

**–Chodzi o ważne sprawy, majorze – Louki dziko szarpnął koniec wąsa. – Musimy stąd wyjść. Panayis chce, żebyśmy odeszli natychmiast. Usłyszał, że Niemcy mają zrobić rewizję we wszystkich domach w naszej wsi w nocy, koło czwartej.**

**–Czy to nie jest normalna kontrola? – zapytał Mallory.**

**–To się nie zdarzało od wielu miesięcy. Myślą pewnie, że prześliznęliśmy się między**

ich patrolami i ukrywacie się we wsi. – Louki zachichotał. – Moim zdaniem oni w ogóle nie wiedzą, co myśleć. Was to oczywiście nie dotyczy. Was tam nie będzie, a jeśli będziecie, to i tak was nie znajdą. Potem nawet bezpieczniej możecie przyjść do Margarithy. Ale Panayis i ja... Nas muszą zastać w łóżkach, inaczej będzie kiepsko.

–Oczywiście, oczywiście. Nie możecie ryzykować. Ale jest jeszcze mnóstwo czasu. Wyjdziecie za godzinę. Najpierw forteca. – Sięgnął do kieszeni, wyciągnął mapę, którą Vlachos mu narysował, i zwrócił się do Panayisa, przechodząc łątko na wyspiarską grekę: – No, Panayis. Słyszałem, że znasz fortecę nie gorzej, niż Louki zna swój ogródek. Ja już wiem dużo, ale chcę, żebyś mi wszystko o niej powiedział: o jej zabudowie, działach, magazynach, siłowniach, koszarach, posterunkach i ich rozprowadzaniu, wyjściach i systemach alarmowych, w których zakątkach jest ciemno, a w których widniej – dosłownie wszystko. Bez względu na to, jak błahe i mało ważne te szczegóły mogą wydawać się tobie, musisz mi o nich powiedzieć. Jeśli jakieś drzwi otwierają się na zewnątrz, a nie do wewnątrz, to również jest ważne; może ocalić tysiąc ludzi.

–A jak pan major zamierza się dostać do środka? – zapytał Louki.

–Jeszcze nie wiem. Nie mogę decydować, póki nie obejrzę fortecy. – Mallory wiedział, że Andrea wpatruje się w niego bystro, a potem odwraca oczy. Już na ścigaczu zrobili plan wejścia do fortecy. Ale był to klucz całej akcji i Mallory uważał, że powinno wiedzieć o nim jak najmniej ludzi. Prawie pół godziny Mallory i trzech Grecy pochylali się nad mapą w świetle płomieni. Mallory sprawdzał wszystko, o czym już wiedział, i starannie zaznaczał ołówkiem wszelkie nowe informacje, jakich udzielił mu Panayis. A Panayis miał bardzo dużo do powiedzenia. Wydawało się prawie niemożliwe, że jeden człowiek mógł zgromadzić tyle wiadomości będąc tylko dwa razy w fortecy, i to krótko, a do tego po ciemku. Miał niewiarygodne oko i zdolność dostrzegania szczegółów. Mallory był pewien, że tylko straszliwa nienawiść do Niemców utrwaliła z fotograficzną precyzją w pamięci Panayisa te wszystkie szczegóły. Czuł teraz, że jego nadzieje zyskują z każdą sekundą coraz mocniejszą podstawę. Casey Brown znowu się obuzdził. Choć był bardzo zmęczony, rozmowa wyrwała go z niespokojnego snu. Podszedł do Stevensa, który teraz, na pół rozbudzony, siedział oparty o ścianę, od czasu do czasu odzywając się przytomnie, to znowu majacząc. Brown wiedział, że w niczym mu nie można pomóc. Miller, który oczyszczał, dezynfekował i bandażował rany porucznika, zapewnił mu wszelką niezbędną pomoc, do czego Andrea przykładął się wydatnie. Brown podszedł do wyjścia: słuchał tępo greckiej rozmowy czterech mężczyzn. Uchylił zasłony, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. W jaskini było siedmiu ludzi i ogień płonął bez przerwy, przy zupełnym prawie braku wentylacji, zrobiło się więc nieprzyjemnie gorąco. Wrócił do jaskini za pół minuty, dokładnie zaciągając za sobą brezent.

–Cisza! – szepnął. Wskazał za siebie. – Coś się tam rusza na zboczu. Słyszałem dwa razy, sir. Panayis zaklął cicho i jak dziki kot zerwał się na nogi. W jego ręku błysnął

**złowrogo długi na stopę sztylet. Zniknął za zasłoną, zanim ktokolwiek powiedział słowo. Andrea chciał wyjść również, lecz Mallory zatrzymał go.**

**–Zostań na miejscu, Andrea. Nasz przyjaciel Panayis jest trochę w gorącej wodzie kąpany – szepnął. – Albo nic nie ma, albo może jest to jakiś manewr dywersyjny... O, do diabła! – Stevens zaczął coś głośno bełkotać. – On jeszcze zacznie teraz mówić! Zróbcie coś, żeby... Lecz Andrea już się pochylał nad chorym; wziął go za rękę, a drugą gładził jego włosy i rozpalone czoło i mówił do niego łagodnie, uspokajająco, bez przerwy. Najpierw Stevens nie zwracał na to uwagi i gadał dalej chrapliwie, chaotycznie, bez związku, stopniowo jednak hipnotyczny efekt gładzącej go dłoni i cichy, pieszczotliwy pomruk głosu odniosły skutek. Bełkotanie przycichło, zmieniło się w ledwie słyszalny szept, aż wreszcie całkiem umilkło. Nagle Stevens otworzył oczy i zapytał dość przytomnie:**

**–Co to jest, Andrea? Dlaczego ty...?**

**–Ciii... – Mallory przytrzymał go za rękę. – Coś słyszę...**

**–To Panayis, sir – Brown wyglądał przez dziurę w zasłonie. – Włazi do nas. W chwilę później Panayis znalazł się w jaskini i usiadł przy ognisku. Sprawiał wrażenie zupełnie zdegustowanego.**

**–Nie ma nikogo – zameldował.**

**–Widziałem parę kóz w dole i to wszystko. Mallory przetłumaczył te słowa innym.**

**–Według mnie to nie wyglądało na kozy – powtórzył uparcie Brown. – To był jakiś zupełnie inny głos.**

**–Ja popatrzę – zgłosił się na ochotnika Andrea. – Tylko żeby się upewnić. Ale nie myślę, żeby Czarny się pomylił. – Zanim Mallory zdążył coś powiedzieć, Andrea już wyszedł, równie szybko i cicho, jak Panayis. Wrócił za trzy minuty. – Panayis ma rację – powiedział. – Nie ma nikogo. Nie widziałem nawet kóz.**

**–I to na pewno one musiały być, Casey – rzekł Mallory. – Mimo wszystko wcale mi się to nie podoba. Śnieg już prawie nie pada, wiatr słabnie, a dolina prawdopodobnie roi się od niemieckich patroli. Chyba już czas na was. Na miłość boską, uważajcie. Jeśli ktoś będzie próbował was zatrzymać, strzelajcie z miejsca, tak żeby zabić. Winę i tak nam przypiszą.**

**–Strzelajcie, żeby zabić – Louki roześmiał się sucho. – Niepotrzebna rada, majorze, skoro Czarny jest z nami. On nigdy nie strzela inaczej.**

**–Dobra, idźcie już. Przykro mi, że jesteście w to zamieszani, ale skoro już jesteście, bardzo wam dziękuję za wszystko, coście zrobili. Zobaczmy się o wpół do siódmej.**

–O w pól do siódmej – powtórzył Louki. – Gaj oliwny na brzegu potoku, na południe od wsi. Będziemy tam czekać. W dwie minuty później nie było już ich widać ani słyszeć, a w jaskini zaległa cisza przyrywana tylko trzeszczeniem dopalającego się ognia. Brown wyszedł na ubezpieczenie, Stevens już zapadł w niespokojny, wypełniony bólem sen. Miller pochylił się nad nim na chwilę, a potem cicho podszedł do Mallory'ego. W ręku trzymał zwój pokrwawionych bandażów.

–Niech pan powącha, komendancie – powiedział spokojnie. Mallory pochylił się, wciągnął powietrze i zmarszczył nos z nagłą odrazą.

–Do licha, Dusty! To paskudne! – Urwał, coś mu przyszło do głowy. Zanim zapytał, znał już odpowiedź. – Co to jest, na miłość boską?!

–Gangrena. – Miller usiadł ciężko i wrzucił bandaż do ognia. W jego głosie brzmiało zmęczenie i przygnębienie. – Zgorzel gazowa. Rozszerza się jak pożar lasu – tak czy inaczej umrze. Marnuję tylko czas.

Rozdział dziesiąty Środa Godz. 04:00\_06:00 Niemcy wzięli ich tuż po czwartej nad ranem, podczas snu. Śmiertelnie zmęczeni i oszołomieni, nie mieli żadnych szans ucieczki. Plan, czas i wykonanie akcji były bez zarzutu. Zaskoczenie kompletne. Andrea obudził się pierwszy. Jakiś obcy szmer dotarł do jego wiecznie czujnej świadomości. Odwrócił się bezszelestnie i szybko sięgnął po odbezpieczony i naładowany mauzer. Ale biały promień potężnej latarki rozdarł ciemność jaskini, oślepił go, zmroził i sparaliżował jego wyciągniętą dłoń, zanim jeszcze człowiek, który trzymał latarkę, wykrzyknął krótką, urywaną komendę:

–Nie ruszać się! – Bezbłędna angielszczyzna, prawie bez

śladów obcego akcentu, i lodowaty, groźny ton. – Strzelam przy najmniejszym poruszeniu. – Zabłysła druga latarka, potem trzecia i jasność zalała jaskinię. Mallory, rozbudzony już teraz i unieruchomiony w oślepiających strugach światła, mrugał bolącymi oczyma. W blasku mógł tylko rozróżnić niewyraźne, bezkształtne sylwetki, skulone u wejścia i pochylone nad tępych lufami pistoletów maszynowych.

–Złożyć ręce na kark i pod ścianę! – W głosie brzmiała rutyna i pewność siebie, która zmuszała do natychmiastowego posłuchu. – Uważajcie na nich, sierżancie. – Teraz ton głosu był już niemal familiarny, ale żadna latarka ani lufa peemu nie drgnęła nawet o ułamek cala. – Na ich twarzach nie ma ani śladu zdenerwowania, żaden nawet nie mrugnie okiem. Niebezpieczni ludzie, sierżancie. Anglicy dobrze wybierają swoich morderców. Mallory czuł, jak wzbiera w nim nieznośna gorycz porażki, czuł ją niemal w ustach. Przez krótką chwilę pomyślał o tym, co niewątpliwie musi teraz nastąpić, lecz gdy tylko ta myśl przyszła mu do głowy, natychmiast odrzucił ją z wściekłością. Wszystko – każdy czyn, każda myśl, każdy oddech powinny się koncentrować na teraźniejszości. Stracili nadzieję, ale jeszcze nie

całkowicie, póki żył Andrea. Zastanawiał się, czy Casey Brown widział albo słyszał nadchodzących Niemców i co się z nim stało; chciał zapytać, ale w porę się powstrzymał. Możliwe, że Brown był jeszcze na wolności.

–Jak wam się udało nas znaleźć?

–zapytał spokojnie Mallory.

–Tylko durnie pałą jałowcowe drzewo – powiedział oficer z pogardą. – Byliśmy na Kostos przez cały dzień i większą część nocy. Nawet nieboszczyk by poczuł.

–Na Kostos? – Miller potrząsnął głową. – Jak to możliwe?...

–Starczy! – Oficer zwrócił się do kogoś za swoimi plecami.

–Zerwijcie tę zasłonę – rozkazał po niemiecku – i ubezpieczajcie nas z obu stron.

–Zajrzał głębiej do jaskini i prawie niedostrzegalnie zrobił gest latarką. – Dobra, wy trzej! Wychodźcie, ale uważajcie. Moi ludzie modlą się tylko o pretekst, żeby was zastrzelić na miejscu, wy mordercy! W jego głosie brzmiała nienawiść. Powoli, trzymając nadal ręce złożone na głowach, trzej mężczyźni ruszyli naprzód. Mallory zrobił zaledwie krok, gdy ostry jak uderzenie bicia głos zatrzymał go na miejscu.

–Stać! – Oficer skierował promień latarki na nieprzytomnego Stevensa i zrobił gest w stronę Andrei. – Stójcie po tej stronie! Kto to jest?

–Jego nie potrzebujecie się bać – wyjaśnił Mallory. – To nasz człowiek. Jest ciężko ranny. Umiera.

–Zobaczmy – powiedział krótko oficer. – Pod tamtą ścianę! – Czekał, aż wszyscy trzej przejdą przez Stevensa, odłożył peem, wziął zwykły pistolet i na kolanach, trzymając w jednej ręce pistolet, a w drugiej latarkę, posuwał się naprzód, żeby nie zasłaniać linii celowania dwóm żołnierzom, którzy szli za nim krok w krok. W tym wszystkim było takie zdecydowanie, tak chłodny profesjonalizm, że Mallory znowu zaczął tracić nadzieję. Oficer nagle wyciągnął dłoń z pistoletem i zrzucił koce z porucznika. Ranny drżał na całym ciele, a jego głowa chwiała się z boku na bok. Nieprzytomny, jęczał z bólu. Oficer szybko pochylił się nad nim. Widać było teraz twarde, czyste linie twarzy i jasne włosy pod kapturem, oświetlone przez jego własną latarkę. Zerknął szybko na wykrzywioną bólem twarz Stevensa, na jego zmiażdżoną nogę, zmarszczył z niesmakiem nos, gdy doleciał go odór gangreny, podniósł się i łagodnie przykrył chorego kocami.

–Mówicie prawdę – powiedział miękko. – Nie jesteśmy barbarzyńcami. Nie walczymy z umierającymi. – Powoli odszedł kilka kroków do tyłu. – Reszta wychodzić! Mallory stwierdził, że śnieg w ogóle przestał padać, a na jaśniejącym niebie zaczynają



mrugać gwiazdy. Wiatr również osłabł i był wyraźnie cieplejszy. Przypuszczał, że do południa stopi się większa część śniegu. Ostrożnie, bez ciekawości obejrzał się dokoła. Ani śladu Caseya Browna. Jego nadzieje zaczęły wzrastać. Najwyższe czynniki polecały Browna do tej akcji. Dwa rzędy wstążeczek orderowych, do których był uprawniony, ale których nigdy nie nosił, świadczyły o jego męstwie, miał wspaniałą opinię jako partyzant... i miał w ręku pistolet maszynowy. Jeśli znajdzie się gdzieś w pobliżu... A wtedy Niemiec, który jakby domyślał się jego nadziei, zniweczył je jednym zdaniem.

–Pewnie się pan dziwi, gdzie jest pana wartownik? – zapytał szyderczo. – Nie bój się, Angliku, jest niedaleko, śpi na posterunku. Obawiam się, że bardzo mocno.

–Zabiliście go? – Mallory zacisnął dłonie aż do bólu. Oficer obojętnie wzruszył ramionami.

–Naprawdę nie mogę powiedzieć. Wszystko poszło bardzo łatwo. Jeden z moich ludzi leżał w parowie i jęczał. Wspaniałe przedstawienie: jęczał tak żałośnie, że prawie mnie samego przekonał. Wasz człowiek jak głupi poleciał sprawdzić. Miałem drugiego, który czatował wyżej, trzymając peem za lufę. Muszę panu powiedzieć, że trudno o lepszą maczugę... Mallory powoli rozkurczył dłonie i popatrzył tępo po parowie. Oczywiście, Casey dał się nabrać. Nic dziwnego po tym, co się zdarzyło wcześniej. Nie chciał wyjść na durnia i po raz drugi niepotrzebnie wszczynać alarmu; bez wątpienia wolał najpierw sprawdzić... Nagle Mallory.emu przyszła do głowy myśl, że Casey Brown naprawdę coś słyszał poprzednio, ale myśl ta znikła równie szybko, jak się pojawiła. Panayis nie wyglądał na człowieka, który może się pomylić, a Andrea nie mylił się nigdy. Mallory zwrócił się znowu do oficera:

–No więc, dokąd idziemy?

–Do Margarithy, i to zaraz. Ale jeszcze coś przedtem. – Niemiec był tego samego wzrostu co Mallory, stanął przed nim twarzą w twarz, podniósł rewolwer do wysokości pasa, a wyłączona latarka wisiała mu luźno w prawej ręce. – Drobnostka, Angliku. Gdzie są materiały wybuchowe? – prawie wypluł te słowa.

–Materiały wybuchowe? – Mallory ze zdumieniem zmarszczył czoło. – Jakie materiały wybuchowe? – zapytał tępo, a potem zatoczył się i upadł na ziemię, gdy ciężka latarka opisała półkole i trzasnęła go w twarz. Oszołomiony potrząsnął głową, wstając powoli.

–Materiały wybuchowe? – Latarka znowu balansowała w dłoni Niemca, a jego głos był aksamitny, delikatny. – Pytałem się ciebie, gdzie one są.

–Nie wiem, o czym pan mówi. – Mallory wypluł wybity ząb i otarł krew z ust. – A więc w ten sposób Niemcy traktują swoich jeńców – powiedział z pogardą.

**–Zamknij gębę! Niemiec znowu uderzył. Mallory spodziewał się tego i w miarę możliwości uchylił się przed ciosem, ale mimo to latarka trafiła go mocno w kość policzkową, tuż pod skronią, i ogłuszyła. Upłynęło kilka sekund, nim wstał ze śniegu, cała twarz płonęła z bólu, przed oczyma miał mgłę.**

**–Prowadzimy wojnę czystymi metodami! – Oficer oddychał ciężko, ledwie opanowując wściekłość. – Walczymy według zasad konwencji genewskiej. Ale konwencje są dla żołnierzy, a nie dla mordujących z ukrycia szpiegów...**

**–Nie jesteśmy szpiegami – przerwał Mallory. Czuł się tak, jakby mu głowa pękała.**

**–Więc gdzie są wasze mundury?**

**–zapytał oficer. – Szpiegzy, mówię, i mordercy, którzy dźgają w plecy i podrzynają ludziom gardła. – Jego głos drżał z gniewu. Mallory nie wiedział, co o tym sądzić. Gniew oficera wydawał się szczery.**

**–Podrzynają ludziom gardła? – spytał ze zdumieniem. – O czym, u diabła, pan mówi?**

**–Mój ordynans. Zwykły łącznik, właściwie jeszcze chłopiec... I nie był nawet uzbrojony. Znaleźliśmy go godzinę temu. Ach, marnuję tylko czas. – Urwał, zwracając się do nadchodzących parowem dwóch żołnierzy. Mallory stał przez chwilę bez ruchu, przeklinając pecha, który sprowadził niemieckiego ordynansa na drogę Panayisa. Nikt inny nie mógł tego zrobić, tylko on. Potem odwrócił się, żeby zobaczyć, co zaprzątnęło uwagę oficera. Z trudnością wyteżył swe bolące oczy i zobaaczył pochyloną postać, która wspinała się na zbocze, popędzana niezbyt delikatnymi szturchnięciami karabinu z bagnetem. Prawa strona twarzy Browna była pokryta zakrzepłą krwią, ale poza tym nie odniósł żadnych obrażeń.**

**–Dobra! Siadajcie wszyscy na śniegu! – Następnie oficer zwrócił się do swoich ludzi: – Zwiążcie im ręce!**

**–Macie zamiar może od razu nas rozstrzelać? – zapytał spokojnie Mallory. Nagle poczuł rozpaczliwą potrzebę uzyskania tej wiadomości. Nie pozostało im nic innego, tylko umrzeć, ale przynajmniej mogli umierać stojąc i walcząc. Ale jeśli nie musieli umierać natychmiast, każda późniejsza okazja będzie mniej samobójcza.**

**–Niestety, jeszcze nie. Dowódca odcinka w Margaricie, kapitan Skoda, chce najpierw z wami porozmawiać – dla was pewnie byłoby lepiej, gdybym zastrzelił was od razu – a potem pan komendant w Nawaronie, dowodzący całą wyspą. – Niemiec uśmiechnął się lekko. – Ale to tylko mała zwłoka, Angliku. Wyciągniecie kopyta, nim słońce zajdzie. Ze szpiegami załatwiamy się szybko na Nawaronie.**

**–Ależ sir! Kapitanie! – Wyciągając błagalnie dłonie Andrea zrobił krok naprzód i**

stanął, gdy lufy dwóch karabinów dotknęły jego piersi.

–Nie kapitanie, poruczniku – poprawił go oficer. – Oberleutnant Turzig do usług. O co ci chodzi, grubasie? – zapytał pogardliwie.

–Szpieczy! Pan powiedział „szpieczy”. Nie jestem szpiegiem! – Mówił gwałtownie, jak gdyby chciał powiedzieć wszystko naraz. – Bóg mi świadkiem, że nie jestem szpiegiem! Nie należę do nich. – Oczy miał wytrzeszczone i nieruchome, usta poruszały się bezdźwięcznie przed wykrztuszeniem każdego zdania. – Jestem Grekiem, biednym Grekiem. Zmusili mnie, żebym z nimi poszedł jako tłumacz. Przysięgam, poruczniku Turzig, przysięgam na Boga!

–Ty śmierzący tchórze! – warknął Miller ze złością, a potem stęknął, gdy kolba karabinu spadła mu na plecy, tuż nad nerką. Zatoczył się, upadł na ręce i kolana i wtedy zrozumiał, że Andrea gra. Wystarczyłoby przecież Mallory.emu powiedzieć parę słów, żeby zdemaskować całą jego przeszłość. Miller skręcał się na śniegu, słabo zacisnął pięść, miał nadzieję, że wyraz bólu na jego wykrzywionej twarzy zostanie poczytany za wściekłość. – Ty dwulicowy, załgany czarnuchu! Ty przekłeta świnio, ja ci... – Rozległo się tępe uderzenie i Miller jak długi wyciągnął się na śniegu, ciężki but narciarski trafił go tuż za uchem. Mallory nie mówił nic. Nawet nie spojrzał na Millera. Z zaciśniętymi bezradnie pięściami po bokach i z zaciśniętymi ustami wpatrywał się uporczywie w Andreę spod przymrużonych powiek. Wiedział, że porucznik go obserwuje, wiedział, że musi na wszelkie możliwe sposoby pomagać Andrei. Na razie nie miał pojęcia, co Andrea zamierza, ale postanowił go kryć do końca.

–Tak! – mruknął z namysłem Turzig. – Banda się rozpada, co?

–Mallory.emu zdawało się, że słyszy odcień wątpliwości i wahania w jego głosie. – Nie ma znaczenia, grubasie. Złączyłeś swój los z tymi bandytami. Jak to Anglicy mówią? „Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz”. – Obojętnie popatrzył na potężną postać Andrei. – Będziemy musieli zbudować dla ciebie specjalną szubienicę.

–Nie, nie, nie! – Głos Andrei wzniósł się ostro, trwożliwie przy ostatnim słowie. – Powiedziałem tylko prawdę! Ja nie należę do nich, poruczniku Turzig, Bóg mi świadkiem, że nie należę! – W rozpaczy załamywał dłonie, jego pełna jak księżyc twarz wykrzywiła się w udręce. – Dlaczego mam umierać za winy nie popełnione? Nie chciałem iść z nimi. Ja się nie nadaję do walki, poruczniku Turzig!

–Widzę – stwierdził sucho Turzig. – Trzeba potwornie dużo skóry, żeby przykryć tyle trzęsącej się galarety, a każdy jej cal jest dla ciebie niezmiernie cenny. – Spojrzał na Mallory.ego i na Millera, który nadal leżał twarzą w śniegu. – Nie mogę nawet pogratulować twoim kumplom takiego towarzystwa.

–Mogę panu powiedzieć wszystko, poruczniku, mogę powiedzieć wszystko! – Andrea z podnieceniem ruszył naprzód, aby jak najszybciej wykorzystać tę szansę, wzmocnić początek wątpliwości. – Nie jestem przyjacielem aliantów. Udowodnię to panu... A wtedy może...

–Ty przeklęty Judaszu! – Mallory chciał rzucić się naprzód, ale dwaj krępi żołnierze chwycili go i wykręcili mu z tyłu ręce. Przez chwilę szamotał się, potem zrezygnował i popatrzył złowrogo na Andreę. – Jeśli jeszcze raz otworzysz gębę, przysięgam ci, że nie dożyjesz...

–Spokój – głos Turziga był bardzo chłodny. – Dostyc mam tych wyrzutów i taniego melodramatu. Jeszcze jedno słowo – i znajdziesz się na śniegu obok twojego kolegi. – Zwrócił się do Andrei: – Nic nie obiecuję. Wysłucham, co masz do powiedzenia. – Nie potrafił ukryć odrazy.

–Niech pan sam oceni. – W tonie Andrei brzmiała mieszanina ulgi, powagi i rodzącej się nadziei. Umilkł na chwilę, a potem dramatycznym gestem wskazał na Mallory'ego, Millera i Browna. – To nie są zwykli żołnierze. To są ludzie Jellicoe'a ze Specjalnej Służby Marynarki.

–Powiedz mi coś, czego bym sam nie mógł się domyślić – warknął Turzig. – Angielski baron dał nam się we znaki od dawna. Jeśli tylko tyle masz do powiedzenia, grubasie...

–Chwileczkę! – Andrea podniósł rękę. – Mimo wszystko to nie są zwykli agenci, tylko specjalnie dobrana grupa – nazywają się jednostką szturmową. W sobotę przylecieli z Aleksandrii do Castelrosso. Tej samej nocy wypłynęli z Castelrosso motorówką.

–Ścigaczem torpedowym – potwierdził Turzig. – Wiemy o tym. Dalej.

–Pan już wie! Skąd?

–Mniejsza o to. Szybciej!

–Oczywiście, poruczniku, oczywiście. – Najmniejszy skurcz twarzy nie zdradzał ulgi Andrei. To był jedyny niebezpieczny punkt w jego historii. Mikołaj niewątpliwie ostrzegł Niemców, ale nie uważał, że warto wspominać o obecności olbrzymiego Greka w tej grupie. Nie było powodów akurat specjalnie na niego zwracać uwagę, ale gdyby to zrobił, byłby to koniec wszystkiego.

–Ścigacz torpedowy wysadził ich gdzieś na wyspach, na północ od Rodos, nie wiem gdzie. Ukradli kuter i płynęli po tureckich wodach, spotkali niemiecką łódź patrolową i... zatopili ją. – Andrea urwał dla efektu. – Wtedy byłem o jakieś pół mili stamtąd w swojej łodzi rybackiej. Turzig pochylił się.

**–Jak im się udało zatopić taki duży kuter? – Dziwnym trafem nie wątpił, że kuter istotnie został zatopiony.**

**–Udawali niewinnych rybaków, takich jak ja... Mnie zatrzymano, skontrolowano i wypuszczono – oznajmił Andrea pokornie. – W każdym razie wasz patrol podpłynął do tamtego starego kutra. Podpłynął bardzo blisko. Nagle wybuchła strzelanina z obu stron, dwie puszki poleciały w powietrze, chyba do maszynowni waszego kutra. Bum! – Andrea dramatycznie rozłożył ręce. – I to był koniec!**

**–Zastanawialiśmy się... – powiedział Turzig miękko. – Dobra, mów dalej...**

**–Pan się nad czymś zastanawiał, poruczniku? – Oczy Turziga zwęziły się, więc Andrea podjął pośpiesznie: – Ich tłumacz zginął w walce. Podeszli mnie w ten sposób, że się odezwałem po angielsku... spędziłem wiele lat na Cyprze... Porwali mnie, a moim synom kazali odpłynąć...**

**–Do czego był im potrzebny tłumacz? – zapytał Turzig podejrzliwie. – Wielu brytyjskich oficerów mówi po grecku.**

**–Właśnie do tego zmierzam – zawołał Andrea z niecierpliwością. – Jak, na miłość boską, mogę skończyć swoje opowiadanie, kiedy mi pan stale przerywa? Co to ja mówiłem?... A, tak. Zmusili mnie, żebym płynął z nimi, a potem ich maszyna się popsuła. Nie wiem, co się stało, bo trzymali mnie w kajucie. Zdaje się, że trafiliśmy do jakiejś zatoki, reperowali tam silnik, a potem zaczęła się straszna pijatyka... Pan nie uwierzy, poruczniku, że ludzie, którzy się podjęli tak desperackiej misji, potrafili się tak upić... A później popłynęliśmy dalej.**

**–Przeciwnie, wierzę ci – Turzig wolno kiwał głową, jakby ze zrozumieniem. – Naprawdę ci wierzę.**

**–Naprawdę? – Andrei udało się przybrać ton rozczarowania. – Więc wpadliśmy w okropny sztorm, kuter się rozbił na południowej rafie tej wyspy, a potem weszliśmy na urwisko...**

**–Stop! – Turzig zrobił gwałtowny ruch całym ciałem, w jego oczach pojawił się wyraz podejrzliwości. – Prawie ci uwierzyłem. Uwierzyłem ci, bo wiemy więcej, niż przypuszczasz, i do tej pory mówiłeś prawdę. Ale teraz już nie. Jesteś sprytny, grubasie, ale nie taki sprytny, jak ci się zdaje. Zapomniałeś albo nie wiesz o jednej rzeczy. Jesteśmy Wirtemberskim Batalionem Górskim**

**–my znamy góry, przyjacielu, lepiej niż jakiekolwiek wojsko na świecie. Sam jestem Prusakiem, ale wchodziłem na najtrudniejsze szczyty w Alpach i Transylwanii i mówię ci, że na południowe urwisko nie można wejść. To jest niemożliwe!**

**–Może dla pana niemożliwe! – Andrea ze smutkiem pokiwał głową. – Ci przekłeci**

**alianci są jednak lepsi od pana. Oni są cwani, poruczniku, cholernie cwani!**

**–Powiedz, co masz na myśli – rozkazał krótko Turzig.**

**–Właśnie to: oni wiedzą, że południowe urwisko uchodzi za niemożliwe do sforsowania. Dlatego je wybrali. Nawet by się wam nie śniło, że można to zrobić, że ktoś może dostać się do Nawarony tą drogą. Ale alianci zaryzykowali i znaleźli odpowiedniego człowieka na dowódcę takiej wyprawy. On nie umie po grecku, ale to nie ma znaczenia, bo potrzebowali alpinisty i wybrali największego współczesnego alpinistę świata. – Andrea znowu zrobił przerwę dla efektu i dramatycznie podniósł rękę. – Oto człowiek, którego wybrali, poruczniku Turzig! Pan sam jest alpinistą i na pewno go pan zna. To Mallory, Keith Mallory z Nowej Zelandii! Turzig krzyknął. Trzasnął kontakt latarki, porucznik zrobił dwa kroki do przodu i zaświecił w oczy Mallory'emu. Prawie dziesięć sekund wpatrywał się w wykrzywioną twarz Nowozelandczyka, potem powoli opuścił rękę, a światło zakreśliło oślepiająco biały krąg na śniegu u jego stóp. Z miny porucznika widać było, że zrozumiał wszystko.**

**–Oczywiście – mruknął. – Mallory... Keith Mallory! Jasne, że go znam. W moim oddziale nie ma człowieka, który by nie słyszał nazwiska Keith Mallory... Powinienem był go poznać od razu. – Stał przez pewien czas z pochyloną głową, wiercąc w śniegu czubkiem prawego buta, i nagle podniósł głowę. – Przed wojną, a nawet podczas wojny byłby dumny z tej znajomości, cieszyłbym się ze spotkania z panem. Teraz nie. Bóg mi świadkiem, wołałbym, żeby wysłali kogoś innego. – Zawahał się, chciał mówić dalej, zrezygnował i zwrócił się do Andrei: – Przepraszam, grubasie. Rzeczywiście mówisz prawdę. Mów dalej.**

**–Wiadomo! – Księżycowa, okrągła twarz Andrei była jednym wielkim uśmiechem zadowolenia. – Jak powiedziałem, wleźliśmy na skałę – chociaż ten chłopak, co leży w jaskini, został ciężko ranny – i zdjęliśmy wartownika. Mallory go zabił – dodał Andrea bezwstydnie. – To była ładna walka. Większą część nocy szliśmy po górach, a nad ranem znaleźliśmy tę jaskinię. Byliśmy półżywi z głodu i zimna. I siedzieliśmy tu do tej pory.**

**–I nic się poza tym nie zdarzyło?**

**–Owszem. – Andrea robił wrażenie ogromnie zadowolonego, że znalazł się w centrum powszechnego zainteresowania. –**

**Przyszli do nas dwaj ludzie. Nie wiem, kto to był, przez cały czas zakrywali twarze. I nie wiem, skąd przyszli.**

**–Dobrze, że się do tego przyznałeś – oznajmił Turzig szyderczo. – Wiem, kto to był. Poznałem piec, należy do hauptmanna Skody!**

**–Naprawdę? – Andrea uniósł brwi w zdziwieniu. – Nie wiedziałem. Więc oni**

rozmawiali przez pewien czas i...

–Udało ci się cokolwiek podsłuchać, o czym rozmawiali? – przerwał Turzig. Pytanie było tak naturalne, tak spontaniczne, że Mallory wstrzymał oddech. Piękna robota. Andrea wpadnie, nie może nie wpaść. Ale Andrea był owej nocy jak w natchnieniu.

–Podsłuchać ich! – Andrea zacisnął usta z wyrazem pobłażliwości i wzniosł oczy ku niebu, jakby stamtąd oczekiwał pomocy. – Poruczniku, ile razy mam powtarzać, że jestem tłumaczem? Przecież oni mogli rozmawiać tylko przeze mnie. Oczywiście, wiem, o czym rozmawiali. Mają zamiar wysadzić wielkie działa w forcie.

–Wiem, że nie przyplłynęli tutaj na kurację! – powiedział Turzig zgryźliwie.

–Ale nie wie pan, że mają plany fortecy. Nie wie pan, że będzie inwazja na Cheros w sobotę rano. Nie wie pan, że są przez cały czas w kontakcie radiowym z Kairem. Nie wie pan, że niszczyciele marynarki brytyjskiej przejdą cieśninę Maidos w piątek w nocy, gdy tylko wielkie działa zostaną unieszkodliwione. Nie wie pan...

–Starczy! – Turzig klasnął w ręce, na jego twarzy malowało się podniecenie. – Marynarka królewska, co? Świetnie, świetnie! To właśnie chcieliśmy usłyszeć. Na razie wystarczy! Zatrzymaj to dla hauptmanna Skody i komendanta fortecy. Musimy ruszać. Ale przedtem jeszcze jedna sprawa. Gdzie są materiały wybuchowe? Andrea z przygnębieniem opuścił ręce, a potem je podniósł znowu.

–Niestety, poruczniku, nie wiem. Gdzieś je schowali, powiedzieli, że w jaskini jest za gorąco. – Machnął ręką w stronę zachodniej przełęczy, w kierunku zupełnie przeciwnym, niż leżał szłaś starego Leriego. – Chyba gdzieś w tamtej stronie, ale nie jestem pewny, bo mi nie powiedzieli. – Z goryczą popatrzył na Mallory.ego. – Wszyscy Brytyjczycy są tacy sami. Nikomu nie wierzą.

–Jak Boga kocham, nie mam im tego za złe! – z naciskiem stwierdził Turzig. Patrzył na Andreę pełnym obrzydzenia wzrokiem. – Coraz bardziej chciałbym cię zobaczyć na najwyższej szubienicy w Nawaronie. Ale pan komendant jest życzliwym człowiekiem i nagradza informatorów. Może trochę pożyczysz, żebyś miał okazję zdradzić jeszcze paru kolegów.

–Dziękuję panu, dziękuję, dziękuję! Wiem, że jesteście sprawiedliwi. Obiecuję panu, poruczniku...

–Zamknij gębę! – powiedział Turzig. Przeszedł na niemiecki.

–Sierżancie, związać tych ludzi. I nie zapomnijcie o grubasie! Potem go rozwiążemy, to zanieś chorego na posterunek. Zostawcie jednego człowieka na straży. Reszta pójdzie ze mną. Musimy znaleźć te materiały wybuchowe.

**–Nie możemy ich zmusić do mówienia? – zapytał sierżant.**

**–Jedyny, który mógłby powiedzieć, nie wie. Już nam powiedział wszystko, co wie. A co do reszty... Cóż, pomyliłem się w ich ocenie, sierżancie. – Zwrócił się do Mallory.ego, skłonił głowę i odezwał się po angielsku: – Omyłka w ocenie, Herr Mallory. Wszyscy jesteśmy bardzo zmęczeni. Niemal żałuję, że pana uderzyłem. – Zrobił w tył zwrot i szybko wspiął się po zboczu parowu. Dwie minuty później pozostał na straży tylko jeden żołnierz. Po raz dziesiąty Mallory z trudem zmieniał pozycję i napręzał powróż, którym miał ręce związane na plecach, po raz dziesiąty przekonał się o daremności swych poczynań. Wszystko jedno jak się skręcał i przewracał, wilgotny, lodowaty śnieg przenikał przez ubranie, aż Mallory przemarzał do szpiku kości. Niemiec, który go wiązał, znał się doskonale na tej robocie. Mallory zastanawiał się z irytacją, czy Turzig i jego ludzie mają zamiar spędzić całą noc na poszukiwaniu materiałów wybuchowych: minęło już pół godziny od ich odejścia, a ciągle jeszcze nie wracali. Zaniechał prób, położył się na boku w miękkim śniegu i obserwował Andreę, który siedział przed nim. Widział, jak Andrea, pochyliwszy głowę, opuszcza i podnosi ramiona w tytanicznym wysiłku, żeby się wyswobodzić. Gdy tylko strażnik kazał im usiąść, Mallory widział, jak powrozy zagłębiają się w ciało Andrei i prawie w nim znikają, wreszcie – drgnięcie ramion, kiedy Andrea zrezygnował. Od tego czasu olbrzymi Grek siedział dosyć spokojnie, zadowolając się ponurymi spojrzeniami w stronę wartownika, jak człowiek, któremu złośliwie wyrządzono krzywdę. Jedna próba zerwania więzów wystarczyła. Porucznik Turzig miał bystre oczy, a spuchnięte, pokaleczone i krwawiące przeguby nie pasowały do postaci, za jaką Andrea chciał uchodzić. Wspaniałe aktorstwo – rozmyślał ze smutkiem Mallory – tym bardziej godne uznania ze względu na spontaniczność improwizacji. Andrea powiedział tyle, ile i tak można było sprawdzić, a wiara w pozostałą część jego opowiadania była po prostu logiczną konsekwencją. Nie powiedział Turzigowi nic ważnego, nic, czego by Niemcy sami nie mogli wykryć – z wyjątkiem planowanej ewakuacji na Cheros przez flotę. Mallory przypomniał sobie swoje oburzenie, swój wstrząs, gdy usłyszał, jak Andrea o tym mówi**

**–ale Andrea był o wiele bardziej przewidujący od niego. Istniało uzasadnione przypuszczenie, że Niemcy odgadli to sami – między brytyjską akcją na działa Nawarony i desantem na Cheros zachodziła zbyt duża zbieżność w czasie, ponadto możliwość ratunku dla nich wszystkich niewątpliwie zależała wyłącznie od tego, jak dokładnie Andrea przekona Niemców, że jest człowiekiem, za którego się podaje, i od względnej swobody ruchów, jaką w ten sposób może zyskać. Nie ulegało wątpliwości, że ze wszystkiego, co powiedział, właśnie wiadomość o planowanej ewakuacji w jakimś stopniu przekonała Turziga. Fakt, że Andrea wymienił sobotę jako dzień inwazji, miał tym większe znaczenie, że była to istotnie pierwsza data podana przez Jensena – najwidoczniej oparta na fałszywej informacji podsunętej jego agentom przez kontrwywiad niemiecki, który wiedział, iż niemożliwe jest ukrycie przygotowań do inwazji. Wreszcie gdyby Andrea nie powiedział Turzigowi o**



niszczycielach, mógłby go nie przekonać i wszyscy skończyliby na oczekujących w fortecy szubienicach, działa pozostałyby nie tknięte i tak czy inaczej zniszczyłyby brytyjskie okręty. Wszystko to było bardzo skomplikowane, zbyt skomplikowane wobec stanu, w jakim znajdowała się głowa Mallory.ego. Westchnął i przeniósł wzrok na innych. Zarówno Brown, jak i przytomny już Miller siedzieli prosto, ręce mieli związane za plecami i wpatrywali się w śnieg. Mallory doskonale rozumiał, jak się czują; cała prawa strona twarzy bolała go okrutnie. Dokoła nic, tylko porozbijane i bolące głowy

–myślał Mallory z goryczą. Zastanawiał się, jak się czuje Andy Stevens, leniwie zerknął ku jaskini i nagle zdrętwiał. Powoli, niezwykle ostrożnie odwrócił oczy od jaskini i wlepił je w wartownika, który siedział na nadajniku radiowym, czujnie pochylony nad leżącym na kolanach schmeisserem, i trzymał palec na spuście. Proś Boga, żeby się nie odwrócił, mówił sobie Mallory, proś Boga, żeby się nie odwrócił. Niech siedzi tak jeszcze trochę, choćby chwilę dłużej... Mallory czuł, że wbrew samemu sobie znowu wraca wzrokiem do jaskini. Andy Stevens wypełznął z wnętrza. Nawet w bladym świetle gwiazd każdy ruch był straszliwie wyrazisty, gdy cal po calu czołgał się kurczowo na piersiach i brzuchu, ciągnąc za sobą strzaskaną nogę. Podpierał się dłońmi, podciągając ciało do góry i naprzód, podczas gdy głowa opadała mu stale z bólu i wyczerpania na mokry śnieg, a potem powtarzał tę samą rozdzierającą serce czynność. Jakkolwiek chłopak jest osłabiony i cierpiący, pomyślał Mallory, jego umysł pracuje nadal: na ramionach jako kamuflaż miał białą płachtę, a w prawym ręku trzymał czekan. Musiał słyszeć coś z rozmowy Turziga: w jaskini były jeszcze dwa czy trzy automaty, mógłby

łatwo zastrzelić strażnika w ogóle nie wychodząc – ale wiedział, że huk wystrzału zaalarmuje Niemców, którzy przybiegną, zanim zdąży przepełznąć przez parów, a tym bardziej rozciąć więzy choćby jednemu ze swoich kolegów. Mallory ocenił, że Stevens ma jeszcze do przebycia najwyżej pięć jardów. Południowy wiatr omijał zagłębienie parowu, docierał tu tylko jakby stłumiony szelest, poza tym nie było żadnego dźwięku, nic poza ich oddechami czy jakimś ruchem od czasu do czasu, gdy ktoś rozprostowywał zdrętwiałą lub zmarzniętą nogę. On go usłyszy, gdy będzie bliżej – myślał Mallory z rozpaczą. – Nawet w tym miękkim śniegu go usłyszy. Mallory pochylił głowę i zaczął kasłać głośno, prawie bez przerwy. Wartownik spojrział na niego najpierw ze zdziwieniem, a potem z irytacją.

–Spokój – rozkazał po niemiecku. – Natychmiast przestań kasłać.

–„Husten? Husten?” Kasłać? Nie mogę się powstrzymać – zaprotestował Mallory po angidlsku. Znowu zakasłał głośniejsze i bardziej uporczywie.

–To wina waszego porucznika – wykrztusił. – Wybił mi parę zębów. – Mallory.ego nawiedził znowu paroksyzm kaszlu. – Co ja jestem winien, że się krztuszę własną krwią? Stevens znajdował się w odległości około trzech jardów, lecz gonił resztkami

sił. Nie mógł podciągnąć się teraz na całą długość rąk i posuwał się o żalose cale. Wreszcie przestał pełznąć i leżał bez ruchu z pół minuty. Mallory pomyślał, że chłopak zemdłał, ale Andy podźwignął się znowu, tym razem jednak stracił równowagę i upadł ciężko w śnieg. Mallory rozkasłał się na dobre, ale było za późno. Wartownik zerwał się ze skrzynki, odwrócił i skierował wylot lufy schmeissera na leżące prawie u jego stóp ciało. Zobaczywszy, kto to jest, uspokoił się i opuścił lufę peemu.

–Kurczak wyszedł z gniazda – powiedział. – Biedny kurczaczek!

–Mallory jęknął, widząc zamach peemu ku bezwładnej głowie Stevensa, ale wartownik, którego reakcja była zupełnie automatyczna, zatrzymał kolbę o parę cali nad udręczoną twarzą, schylił się, prawie delikatnie wyjął czekan z osłabionej dłoni i wyrzucił go za krawędź wąwozu. Potem ostrożnie podniósł Stevensa za ramiona, podłożył mu pod głowę zgniecione prześcieradło, ze zdumieniem pokiwał głową i usiadł na skrzynce z amunicją.

Rozdział dziesiąty (c.d.) Środa Godz. 04:00\_06:00 Hauptmann Skoda był małym, chudym człowieczkiem koło czterdziestki, czyściutkim, eleganckim, jowialnym i zepsutym do szpiku kości. Było coś nienaturalnie złośliwego w jego długiej, żylastej szyi, sterczącej spośród wywatowanych ramion, coś odpychającego w małej, kulistej głowie. Gdy wąskie, bezkrwiste wargi rozchylały się w uśmiechu, co zdarzało się często, ukazywały doskonały komplet uzębienia. Uśmiech nie rozjaśniał twarzy, tylko podkreślał szarość skóry naciągniętej nienormalnie na ostrym nosie i wystających kościach policzkowych, wydobywał bliznę od cięcia szablą, która dzieliła lewy policzek na dwie części od oka do podbródka. Niezależnie od tego, czy się śmiał, czy nie, tęczówki jego głęboko osadzonych oczu pozostawały stale takie same, nieruchome, czarne i puste. Nawet o tak wczesnej godzinie – nie było jeszcze szóstej – był nieskazitelnie ubrany, świeżo ogolony, lśniące wilgocią włosy

–rzadkie, ciemne, mocno przelysiałe nad skroniami – były zaczesane do tyłu. Siedział za biurkiem, które poza ławkami było jedynym meblem w wartowni. Tylko górna część ciała kapitana była widoczna, ale mimo to czuło się instynktownie, że kapitan ma na sobie doskonale wyprasowane spodnie i błyszczące buty z cholewami. Teraz też się uśmiechał, gdy porucznik Turzig kończył swój raport. Rozwalony w fotelu Skoda podparł podbródek cienkimi palcami i uśmiechał się łaskawie. Jego leniwe, puste oczy nie opuściły nic: ani wartownika w drzwiach, ani dwóch konwojentów za związanymi jeńcami, ani Andrei siedzącego na ławce, gdzie właśnie położył Stevensa.

–Doskonała robota, poruczniku Turzig! – powtórzył. – Piękna akcja, naprawdę piękna akcja! – Popatrzył w zamyśleniu na trzech jeńców, na ich posiniaczone i pokrwawione twarze, zerknął na Stevensa, który prawie nieprzytomny leżał na ławce, uśmiechnął się znowu i pozwolił sobie leciutko unieść brwi. – Były jakieś kłopoty,

**Turzig? Jeńcy... hm... stawiali jakiś opór?**

**–Nie stawiali oporu, kapitanie, żadnego oporu – powiedział Turzig sztywno. Jego ton i zachowanie były zgodne z regulaminem, lecz w oczach malował się niesmak i wyraźna wrogość. – Być może moi ludzie nie przyjęli ich ze zbytnim entuzjazmem. Nie chcieliśmy popełnić omyłki.**

**–Poniekąd słusznie, poruczniku, bardzo słusznie – mruknął Skoda z aprobatą. – To są niebezpieczni ludzie, a z takimi nie można ryzykować. – Odepchnął fotel, podniósł się lekko, obszedł stół i zatrzymał się przed Andrea. – Może z wyjątkiem tego jednego, poruczniku?**

**–Ten jest niebezpieczny tylko dla swoich kolegów – powiedział krótko Turzig. – Mówiłem już panu o nim. Sprzedałby własną matkę, żeby ocalić skórę.**

**–I twierdzi, że jest naszym przyjacielem, co? – zapytał Skoda. – Jeden z naszych walecznych sojuszników, poruczniku. – Skoda wyciągnął rękę i uderzył Andreę w twarz, a ciężki sygnet na środkowym palcu rozdarł skórę i ciało. Andrea wrzasnął z bólu, przycisnął dłoń do krwawiącego policzka, a prawym ramieniem osłonił głowę.**

**–Znakomity dodatek do sił zbrojnych Trzeciej Rzeszy – mruknął Skoda. – Pan się nie myli, poruczniku. To tchórz. Instynktowna reakcja uderzonego człowieka stanowi niezawodny dowód. Ciekawe, że często mężczyźni silni fizycznie są tacy właśnie. To kwestia równowagi. Jak się nazywasz, mój dzielny przyjacielu?**

**–Papagos – wymamrotał Andrea.**

**–Peter Papagos. – Powoli odjął dłoń od policzka, popatrzył na nią oczyma coraz bardziej rozszerzającymi się ze zgrozy i spiesznyymi, konwulsyjnymi ruchami zaczął ją ocierać o spodnie. Na jego twarzy malowała się widoczna odraza. Skoda przyglądał mu się z rozbawieniem.**

**–Nie lubisz patrzeć na krew, co, Papagos? – zapytał. – Szczególnie na swoją własną? Parę chwil minęło w ciszy, a potem Andrea podniósł raptownie głowę. Na jego grubej twarzy malowała się rozpacz. Wyglądał tak, jakby zamierzał się rozplakać.**

**–Jestem tylko biednym rybakiem, wasza wysokość! – wybuchnął. – Śmieje się pan ze mnie i mówi, że nie lubię krwi. To prawda. Nie lubię cierpień i wojny. Nie chcę brać udziału w tych sprawach! – Z rozpaczą zaciskał wielkie pięści, jego twarz wykrzywiła się jak do płaczu, a głos wznosił się piskliwie. Było to tak znakomite przedstawienie, że sam Mallory prawie w nie uwierzył. – Dlaczego mnie nie zostawili w spokoju?! – wołał Andrea dramatycznie. – Bóg jeden wie, że nie lubię się bić...**

**–O, to za mało powiedziane – przerwał oschle Skoda. – Ten fakt musi być oczywisty**

dla wszystkich znajdujących się tu osób. – W zamyśleniu stuknął się w zęby bursztynową cygarniczką.

–Więc mówisz, że jesteś rybakiem...

–Jest przeklętym zdrajcą! – przerwał Mallory. Komendant zaczął się zbytnio interesować Andreą. Skoda natychmiast odwrócił się i stanął przed Mallorym, zakładając dłonie z tyłu. Unosił się na palce i opadał na pięty, przyglądając się szyderczo.

–Tak! – powiedział z namysłem. – Wielki Keith Mallory! Trochę inna kategoria człowieka niż nasz tłusty, bojaźliwy przyjaciel na tamtej ławce, co, poruczniku? – Nie czekał na odpowiedź. – Jaką macie rangę, Mallory?

–Jestem kapitanem – odparł krótko Mallory.

–Kapitan Mallory, hę? Kapitan Keith Mallory, największy alpinista naszych czasów, bożyszczę przedwojennej Europy, zdobywca najbardziej nieprawdopodobnych szczytów świata. – Skoda ze smutkiem pokiwał głową. – I pomyśleć, że to wszystko ma się skończyć w ten sposób... Nie wiem, czy potomność oceni należycie pana ostatnią wspinaczkę: na szubienicę w fortecy nawarońskiej prowadzi tylko dziesięć stopni. – Skoda uśmiechnął się. – To niewesołe, prawda, kapitanie Mallory?

–Nawet o tym nie myślałem – odparł grzecznie Nowozelandczyk.

–Natomiast pewien kłopot sprawia mi pana twarz. – Zmarszczył czoło. – Gdzieś już musiałem widzieć coś podobnego.

–Naprawdę? – zainteresował się Skoda. – Może w Alpach Berneńskich? Często przed wojną...

–Mam! – Twarz Mallory.ego rozjaśniła się. Wiedział, jakie ryzyko podejmuje, ale wszystko, co skupiało uwagę na nim, odciągając ją od Andrei, było usprawiedliwione. Uśmiechnął się promiennie do Skody. – Trzy miesiące temu w ogrodzie zoologicznym w Kairze. Sudański sęp. Niestety, dość stary i wyleniały – ciągnął Mallory pokornym tonem – ale miał zupełnie taki sam żylasty kark, taki sam haczykowaty dziób i łysy łeb... Mallory urwał i uchylił się od ciosu Skody, który zamachnął się pięścią. Twarz miał purpurową, a zęby wyszczerzył z wściekłością. Wymierzył cios z całej siły, ale gniew go oszołomił i pięść minęła Mallory.ego. A potem potknął się, zachwiał i upadł z krzykiem bólu, gdy ciężki but Mallory.ego trafił go w udo tuż nad kolaniem. Ledwie dotknął podłogi, zerwał się jak kot, zrobił krok naprzód i znowu upadł ciężko, gdyż zdrętwiała noga nie mogła go utrzymać. W pokoju nastąpiła chwila pełnej grozy ciszy, potem Skoda podniósł się z trudem, chwytając za krawędź biurka. Oddychał szybko, cienkie usta zacisnęły mu się w twardą, białą linię, blizna na szarej twarzy płonęła czerwienią. Nie patrzył ani na

Mallory.ego, ani na kogokolwiek, lecz powoli, z rozważą, w zatrważającym milczeniu obszedł biurko. Mallory stał nieruchomo, przeklinając siebie za swą głupotę. Nie miał wątpliwości, jak zresztą nikt w pokoju, że Skoda chce go zabić, a przecież on, Mallory, nie umrze – zginą Skoda i Andrea. Skoda zginie od ciosu noża Andrei, który ścierał krew z twarzy, a w rękawie miał nóż – palce zaledwie kilka cali od trzonka. Andrea zginie od serii wystrzelonych przez konwojentów, ponieważ nie ma żadnej broni poza nożem. Ach, ty głupcze, ty głupcze cholerny, ty durniu – powtarzał sobie Mallory. Odwrócił lekko głowę i zerknął kątem oka na najbliższego konwojenta. Najbliższego – a jednak odległego o sześć do siedmiu stóp. Konwojent dosięgnie go, Mallory wiedział o tym, seria pocisków ze schmeissera przetnie go na pół, zanim zrobi dwa kroki. Ale spróbuje. Musi spróbować. Przynajmniej to jest winien Andrei. Skoda sięgnął za biurko, otworzył szufladę i wyciągnął broń. Pistolet – zauważył obojętnie Mallory. – Mała zabawka z ciemnego metalu, ale mordercza zabawka, rodzaj broni, jakiej się można było u Skody spodziewać. Bez pośpiechu hauptmann nacisnął na zaczep, spojrział, czy magazynek jest pełny, zatrzasnął go znowu, odsunął bezpiecznik i popatrzył na Mallory.ego. Jego oczy nie zmieniły się nawet odrobinę – były chłodne, ciemne i puste jak zawsze. Mallory zerknął na Andreę i napiął mięśnie. Więc to tak – myślał z wściekłością. – W ten sposób giną idioci, tacy jak Keith Mallory – a potem nagle, nieświadomie, odprężył się, bowiem ciągle patrząc na Andreę zobaczył, że Grek robi to samo, a wielka jego dłoń osuwa się obojętnie – bez noża. Przy biurku rozpoczęła się szamotanina: Turzig przyciskał do blatu uzbrojoną w pistolet dłoń Skody.

–Tylko nie to, kapitanie! – prosił. – Na miłość boską nie w ten sposób!

–Zabierz pan te ręce – szepnął Skoda. Jego nieruchome, puste oczy nie schodziły z twarzy Mallory.ego. – Mówię, zabieraj ręce, jeśli nie chcesz skończyć w ten sam sposób jak kapitan Mallory.

–Pan nie może go zabić, kapitanie! – uparcie nalegał Turzig. – Po prostu nie wolno. Pan komendant wydał wyraźny rozkaz, kapitanie. Dowódcę grupy trzeba dostarczyć żywcem.

–Zastrzelony przy próbie ucieczki – powiedział Skoda stłumionym głosem.

–Nie da rady – Turzig kręcił głową. – Nie możemy zabić ich wszystkich, a inni więźniowie powiedzą. – Zwolnił ręce Skody.

–Pan komendant powiedział, żeby dostarczyć żywego, ale nie mówił, w jakim stopniu ma być żywy. – Konfidencyjnie ściszył głos. – Możemy mieć pewne trudności ze zmuszeniem kapitana Mallory.ego do zeznań – podsunął.

–Co? Co pan mówi? – Niespodziewany upiorny uśmiech pojawił się na twarzy Skody i widać było, że kapitan całkowicie odzyskał równowagę. – Pan jest zbyt gorliwy,

poruczniku. Niech pan mi przypomni później, że mam na ten temat z panem pogadać. Pan mnie nie docenia: właśnie to zamierzałem zrobić – przestraszyć Mallory.ego, żeby zaczął mówić. A teraz pan wszystko popsuł. – Uśmiechał się w dalszym ciągu, mówił lekko, prawie żartobliwie, ale Mallory nie miał złudzeń. Zawdzięczał życie młodemu porucznikowi strzelców alpejskich. Mój Boże, takiego człowieka jak Turzig można by szanować, a nawet zaprzyjaźnić się z nim, gdyby nie ta przekłeta, wariacka wojna... Skoda stał znowu przed Mallorym, pistolet zostawił na stole.

–No, może już skończymy te wygłupy, kapitanie Mallory? – Zęby Niemca błyskały lekko w świetle nie osłoniętych żarówek u sufitu. – Nie mamy wiele czasu. Mallory odwrócił głowę. W wartowni było ciepło, prawie duszno, ale poczuł nagły, nieokreślony dreszcz. Wiedział od razu, jakkolwiek nie potrafiłby powiedzieć dlaczego, lecz wiedział z całą pewnością, że ten mały człowieczek jest wcielonym szatanem.

–No, no, nie jesteście zbyt rozmowni, przyjacielu? – Nucił coś pod nosem i uśmiechał się jeszcze szerzej. – Gdzie są materiały wybuchowe, kapitanie Mallory?

–Materiały wybuchowe? – Mallory uniósł brwi. – Nie wiem, o czym pan mówi.

–Pan nie pamięta?

–Nie wiem, o czym pan mówi.

–Tak. – Skoda, znowu nucąc coś pod nosem, podszedł do Millera. – A co ty na to, przyjacielu?

–Oczywiście, że pamiętam – odparł Miller swobodnie. – Kapitan wszystko pomylił.

–Rozsądny człowiek! – mruknął Skoda, lecz Mallory mógłby przysiąc, że w jego głosie brzmi ton rozczarowania. – Mów dalej, przyjacielu.

–Kapitan Mallory nie ma oka do szczegółów – powiedział przeciągając Miller. – Byłem z nim tego dnia. Obraża szlachetnego ptaka. To był gawron, a nie sęp. Tylko na chwilę uśmiech Skody znikł, a potem wrócił natychmiast, jak lodowaty i pozbawiony życia, jak namalowany.

–Bardzo, bardzo dowcipni ludzie, nie uważasz, Turzig? Brytyjczycy nazwaliby ich komediantami z music\_hallu. Niech się śmieją, póki mogą, zanim się stryczek zaciśnie... – Spojrzył na Caseya Browna. – Może ty...

–Niech się pan odpieprzy – warknął Brown.

–„Odpieprzy”? Nie znam tego słowa, ale nie wydaje mi się, żeby było eleganckie. – Skoda wyciągnął papierosa z płaskiej papierošnicy i w zamyśleniu stuknął nim o

paznokiec kciuka. – Hm, nie można powiedzieć, żeby byli zbyt rozmowni, poruczniku.

–Pan nie zmusi tych ludzi do mówienia, kapitanie. – W głosie Turziga zabrzmiała pewność.

–Możliwe, możliwe... – Skoda nie robił wrażenia dotkniętego.

–Mimo to muszę mieć informację, której żądam, i to w przeciągu pięciu minut. – Podszedł do biurka, nacisnął guzik, wsadził papierosa do bursztynowej cygarniczki, oparł się o biurko, arogancki i wyzywający w każdym ruchu, nawet w leniwym skrzyżowaniu nóg odzianych w błyszczące buty. Nagle otworzyły się boczne drzwi i do pomieszczenia wpadło dwóch ludzi popchniętych lufą karabinu. Mallory.ego zatkało, zacisnął pięści, aż mu się wbiły głęboko paznokcie. Louki i Panayis! Louki i Panayis, związani i zakrwawieni. Louki krwawił z rozcięcia nad okiem, Panayis z rany w głowie. A więc ich również złapali mimo ostrzeżeń! Obaj byli w koszulach. Louki bez swego wspaniale szamerowanego kaftana, szkarłatnej „stanta” i małego arsenału, który pod nią ukrywał, wyglądał dziwnie dramatycznie i żałośnie. Dziwnie, ponieważ był czerwony z gniewu, a jego wąs jeżył się jeszcze bardziej srogo niż kiedykolwiek. Mallory patrzył na niego pustymi oczami, twarz miał bez wyrazu, żeby Niemcy nie mogli powiedzieć, że poznaje tego człowieka.

–Ależ, kapitanie Mallory – powiedział Skoda z wyrzutem. – Nie ma pan ani słowa na powitanie dwóch starych przyjaciół? Nie? Albo może to zaskoczenie? – podsunął. – Nie spodziewał się pan ich tak szybko znowu zobaczyć, prawda, kapitanie Mallory?

–Co to za sztuczki? – zapytał Mallory z pogardą. – Nigdy w życiu nie widziałem tych ludzi.

–Jego oczy spotkały się z oczami Panayisa i mimo woli zatrzymały się dłużej: z tych oczu wзираła czarna nienawiść, zwierzęca złość – było w tym coś zastanawiającego.

–Oczywiście, że nie – Skoda westchnął ze zmęczeniem – ależ oczywiście. Pamięć ludzka jest taka krótka, kapitanie Mallory...

–Westchnienie było obliczone na efekt, w rzeczywistości Skoda bawił się świetnie jak kot z myszką. – A jednak spróbujemy. Podszedł do ławki, na której leżał Stevens, ściągnął z niego koc i prawą ręką uderzył w złamaną nogę. Całe ciało porucznika podskoczyło w konwulsyjnym skurczu, ale Stevens nawet nie jęknął. Był nadal całkowicie przytomny i uśmiechnął się do Skody, choć po brodzie spływała mu krew z przygryzionej wargi.

–Nie powinien był pan tego robić, hauptmann Skoda – powiedział Mallory. Mówił to niemal szeptem, który jednak rozbrzmiewał nienaturalnie głośno w lodowatej ciszy pokoju.

**–Pan za to umrze, hauptmann Skoda.**

**–Tak? Mam umrzeć, naprawdę? – Skoda znowu uderzył w złamaną nogę – bez skutku. – Więc mogę równie dobrze umierać dwa razy, prawda, kapitanie Mallory? Ten młody człowiek jest bardzo twardy, ale Brytyjczycy mają miękkie serca, prawda, drogi kapitanie? – Delikatnie przesunął ręką po nodze Stevensa i objął ją w kostce, tam gdzie były łydki. – Daję panu dokładnie pięć sekund na powiedzenie mi prawdy, kapitanie Mallory, a potem obawiam się, że będę zmuszony przefasonować trochę te deszczułki... „Gott im Himmel!” Co się dzieje z tym grubym wołem? Andrea zrobił dwa kroki naprzód i stał zaledwie w odległości jednego jarda od Skody, chwiejąc się na nogach.**

**–Muszę wyjść! wypuście mnie**

**–sapał gwałtownie. Pochylił głowę, przyciskając jedną dłoń do gardła, a drugą do brzucha – nie mogę tego znieść! Powietrza! muszę mieć powietrze!**

**–Ach nie, mój drogi Papagos, zostaniesz tu i będziesz się bawił... Kapralu! Szybko! – Zobaczył, że oczy Andrei wywracają się i widać w nich tylko białka. – Ten dureń zemdleje! Zabierajcie go, zanim się tu na nas zwali! Mallory zobaczył w przelocie, jak dwaj konwojenci rzucają się naprzód, widział miażdżącą pogardę w twarzy Loukiego, zerknął na Millera i Browna. Amerykanin lekko przymrużył oko w odpowiedzi, a Brown skłonił głowę o kilka milimetrów, gdy obaj konwojenci podskoczyli z tyłu do Andrei i zarzucili broń na ramię, Mallory stwierdził, że bliższy konwojent znajduje się o niecałe cztery stopy od niego, pochłonięty obserwacją padającego olbrzyma. Mógłby go udusić, zanim by się zorientował, co się dzieje... Zafascynowany Mallory patrzył, jak ręce Andrei przesuwają się spokojnie po barkach podtrzymujących go żołnierzy i dotykają ich szyi – potem potężne mięśnie jego ramion sprężyły się nagle, a Mallory rzucił się konwulsyjnie w bok i do tyłu, ze straszliwą siłą uderzając żołnierza barkiem w żołądek. Rozległo się bolesne „uff!”, uderzenie o drewnianą ścianę i Mallory wiedział, że wartownik przez pewien czas będzie niezdolny do jakiegokolwiek działania. Nawet w chwili swego skoku Mallory słyszał okropny trzask uderzających o siebie głów. Obróciwszy się ujrzał, że drugi żołnierz szamocze się słabo na podłodze pod ciężarem Millera i Browna, a potem Andrea zrywa pistolet maszynowy z ramienia konwojenta, który przedtem stał po prawej stronie. Schmeisser był już gotów do strzału i wymierzony w pierś Skody, zanim nieprzytomny konwojent upadł na podłogę. Na sekundę, może dwie, wszelki ruch w pokoju ustał, a wszelki dźwięk urwał się jakby przecięty klingą noża; cisza była wstrząsająca, absolutna i o wiele bardziej krzycząca niż hałas, który rozlegał się przedtem. Nikt się nie ruszał, nikt nie mówił, nikt nawet nie oddychał: wstrząs, niezwykłość wydarzeń zaczarowały wszystkich. A potem cisza pękła w rytmicznym trzasku, ogłuszającym w tej zamkniętej przestrzeni. Raz, drugi, trzeci, bez słowa, ale mierząc bardzo starannie, Andrea strzelił w serce hauptmanna Skody. Pociski rzuciły małego człowieczka na ścianę baraku i jakby przyszpiliły go tam na chwilę z**



rozrzuconymi rękami. A potem hauptmann zatoczył się, upadł bezwładnie na podłogę, groteskowo jak popsuta lalka, tłukąc głową o krawędź ławki, aż wreszcie znieruchomiał na podłodze. Oczy jego pozostały nadal szeroko otwarte, równie chłodne, ciemne i puste po śmierci, jak były za życia. Zatoczywszy szeroki łuk lufą Schmeissera, tak by mieć na muszce Turziga i sierżanta, Andrea wziął do ręki nóż do papieru i przeciął więzy krępujące przeguby Mallory.ego.

–Będziesz mógł utrzymać ten automat? Mallory parę razy poruszył zeszywniałymi dłońmi, skinął głową i w milczeniu wziął pistolet maszynowy. Trzy kroki – i Andrea znalazł się za drzwiami, prowadzącymi do sieni. Przyłgął do ściany, dając znaki Mallory.emu, by w miarę możliwości usunął się z pola widzenia. Drzwi otworzyły się nagle. Andrea widział tylko wystający czubek bagnetu.

–„Oberleutnant Turzig! Was ist los? Wer schoss... Głos urwał się i zamienił w okrzyk bólu, gdy Andrea kopnął drzwi, momentalnie przeskoczył na drugą stronę, chwycił żołnierza, gdy się tamten przewracał, wciągnął go do środka i wyjrzał do przyległego baraku. Potem zamknął drzwi i zaryglował od wewnątrz.

–Nikogo więcej nie ma, panie kapitanie – zameldował.

–Pięknie! Przetnij więzy innym, dobrze, Andrea? – Zwrócił się z uśmiechem do Loukiego, widząc komiczny wyraz na twarzy człowieka, jego niepewny i coraz szerszy mimo niedowierzania uśmiech.

–Gdzie oni śpiją, Louki? To znaczy chodzi mi o żołnierzy.

–W baraku pośrodku zagrody, majorze. Tu są kwatery oficerów.

–Zagrody? Co masz na myśli?...

–Drut kolczasty – powiedział Louki zwięźle. – Ciągnie się dokoła, jest na dziesięć stóp wysoki.

–A wyjścia?

–Tylko jedno. Dwóch wartowników.

–Dobra! Andrea, wszyscy do sąsiedniego pomieszczenia. Nie, pan nie, poruczniku. Pan tu usiądzie. – Wskazał fotel za biurkiem. – Ktoś tu z pewnością przyjdzie. Pan mu powie, że zastrzeliliście jednego z naszych przy próbie ucieczki. Następnie przywoła pan wartowników od bramy. Przez chwilę Turzig nie odpowiadał. Patrzył, nie widząc, jak Andrea przechodzi koło niego, ciągnąc za kołnierz dwóch nieprzytomnych żołnierzy. Potem uśmiechnął się. Był to bardzo krzywy uśmiech.

–Przykro mi, że muszę pana rozczarować, kapitanie Mallory. Przez moją głupotę już

**i tak dość straciliśmy. Nie zrobię tego.**

**–Andrea! – zawołał z cicha Mallory.**

**–Tak? – Andrea stał w drzwiach sieni. – Zdaje się, że ktoś idzie. Czy z tego pokoju obok jest wyjście? Andrea skinął głową w milczeniu.**

**–Wyjdź na dwór! Przez frontowe drzwi. Weź nóż. Jeśli porucznik... – ale już mówił do siebie. Andrea, bezszelestnie jak duch, wysliznął się przez tylne drzwi.**

**–Zrobi pan dokładnie to, co mówię – stwierdził Mallory łagodnie. Zajął stanowisko w drzwiach sąsiedniego pokoju, skąd widział frontowe wejście między drzwiami a futryną; jego peem był zwrócony na Turziga. – Jeśli pan tego nie robi, Andrea zabije człowieka przy drzwiach. Potem zabijemy pana i konwojentów wewnątrz. Z kolei zabijemy nożami wartowników przy bramie. Dziewięć trupów – i to bez żadnego celu, bo uciekniemy tak czy inaczej... Właśnie nadcho-dzi.– Głos Malory.ego zniżył się do szeptu, oczy były bezlitosne.**

**–Dziewięć trupów, poruczniku, tylko z powodu pańskiej urażonej dumy. – Świadomie ostatnie zdanie wypowiedział po niemiecku, płynną kolokwialną niemczyzną, a jego usta skrzywiły się w uśmiechu, gdy zobaczył, jak bezradnie opadły ramiona Turziga. Wiedział, że odniósł zwycięstwo, że Turzig chciał zaryzykować ostatnią grę, zakładając jego nieznaną niemieckiego, i że ta ostatnia nadzieja zawiodła. Drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stanął żołnierz, dysząc ciężko. Był uzbrojony, ale mimo chłodu ubrany tylko w trykotową koszulkę i spodnie.**

**–Poruczniku! Poruczniku! – wołał. – Słyszeliśmy strzały...**

**–Głupstwo, sierżancie! – Turzig pochylił głowę nad otwartą szufladą, jakby czegoś szukając, co usprawiedliwiło jego samotność w pokoju. – Jeden z naszych jeńców próbował uciec... Zatrzymaliśmy go.**

**–Może sanitariusz...**

**–Zatrzymaliśmy go raz na zawsze. – Turzig uśmiechnął się ze zmęczeniem. – Na rano możecie przygotować pogrzeb. Tymczasem zawołajcie wartowników od bramy, żeby tu na chwilę przyszli. A sami idźcie do łóżka, bo przemarzniecie na śmierć!**

**–Czy mam wystawić posterunek zastępczy?...**

**–Jasne, że nie! – zawołał Turzig niecierpliwie. – Będą mi potrzebni tylko na chwilę. Poza tym jedyni ludzie, przed którymi trzeba się mieć na baczności, są tutaj, w środku. – Jego wargi zacisnęły się, gdy uświadomił sobie nie zamierzoną ironię tych słów. – Szybko, człowieku, nie mamy czasu. – Poczekał, aż echo kroków**

odbiegającego sierżanta ścichnie, i zwrócił się do Mallory.ego. – Jest pan zadowolony?

–Całkowicie. I proszę przyjąć moje szczerze przeprosiny – oświadczył Mallory. – Nie lubię robić takich rzeczy ludziom takim jak pan, ale muszę. Wyrzwał zza drzwi, gdy Andrea wszedł do pokoju.

–Andrea, zapytaj Loukiego i Panayisa, czy w tych barakach jest gdzieś centralka telefoniczna. Powiedz, żeby ją rozbili i wszystkie telefony, jakie znajdą – wyszczerzył zęby w uśmiechu. – A potem powitaj naszych gości od bramy. Bez twojej pomocy nie dałbym sobie rady z tym przyjęciem. Turzig odprowadził spojrzeniem wychodzącego Andreeę.

–Kapitan Skoda miał rację. Muszę się jeszcze wiele nauczyć

–w jego głosie nie było ani rozgoryczenia, ani urazy. – Ten gruby zrobił ze mnie durnia.

–Nie z pana pierwszego – zapewnił Mallory. – On zrobił durniów z bardzo wielu ludzi... Pan nie jest pierwszy – powtórzył. – Ale sądzę, że należy pan do najszczęśliwszych.

–Dlatego, że jeszcze żyję?

–Dlatego, że jeszcze pan żyje

–powtórzył jak echo Mallory. W niecałe dziesięć minut później dwaj wartownicy spod bramy przyłączyli się do swych kolegów w bocznym pokoju.

Zostali schwytani, rozbrojeni i zakneblowani szybko, bezszelestnie i tak fachowo, że wzbudziło to podziw Turziga, mimo całej jego wściekłości. Z mocnymi więzami na rękach i nogach leżał w kącie izby, jeszcze nie zakneblowany.

–Rozumiem teraz, dlaczego wasze dowództwo wybrało do tego zadania pana, kapitanie Mallory. Jeśli ktokolwiek mógł odnieść sukces, to właśnie pan. Ale to się nie uda. Niemożliwość pozostaje niemożliwością. Niemniej jednak ma pan wspaniały zespół.

–Odniesiemy sukces – powiedział Mallory skromnie. Po raz ostatni rozejrzał się po pokoju, potem uśmiechnął się do Stevensa.

–Jesteś gotów do podjęcia dalszej podróży, młody człowieku, czy też uważasz, że robi się to nudne?

–Jestem gotów, jeśli pan jest gotów, sir. – Leżąc na noszach, które Louki w

**cudowny sposób skądś wydobył, westchnął uszczęśliwiony. – Tym razem jest to pierwszorzędna podróż, jak przystoi oficerowi. Zupełny luksus. Nawet nie myślę, jak daleko idziemy!**

**–Niech pan mówi za siebie – burknął Miller. Niósł na pierwszą zmianę z przodu, to znaczy z cięższego końca noszy. Mrugnięcie okiem złagodziło ostre słowa.**

**–Dobra, idziemy. Jeszcze jedna sprawa. Gdzie tu jest radiostacja, poruczniku Turzig?**

**–Żebyście ją rozbili?**

**–Właśnie.**

**–Nie mam pojęcia.**

**–Nawet jeśli powiemy, że strzelimy panu w łeb?**

**–Nie zrobicie tego. – Turzig uśmiechnął się, ale jego uśmiech był nieco kwaśny. – W innych okolicznościach zabilibyście mnie łatwo jak muchę. Ale nie zabijecie człowieka za odmowę udzielenia tego rodzaju informacji.**

**–Nie potrzebuje się pan tak wiele uczyć, jak nasz nieodżałowanej pamięci hauptmann myślał – stwierdził Mallory. – To zresztą nieważne... Żałuję, że musieliśmy zrobić to wszystko. Wierzę, że się już nie spotkamy... A przynajmniej nie przed zakończeniem wojny. Kto wie, może któregoś dnia razem znajdziemy się w górach. – Dał znak Loukiemu, żeby zakneblował Turziga, i wyszedł szybko z izby. Dwie minuty później opuścili baraki i zniknęli bezpiecznie w ciemności i w gajach oliwnych, które rozciągają się na południe od Margarithy. Kiedy wyszli stamtąd, był już prawie świt. Czarna sylweta Kostos wystąpiła wyraźniej w szarówce nadchodzącego dnia. Z południa wiał ciepły wiatr i śnieg zaczynał topnieć na wzgórzach. Rozdział jedenasty Środa Godz. #/14#00\_#/16#00 Prawie cały dzień leżeli ukryci wśród drzew chlebowych, w gęstej kępie skarłowaciałych i sękatych krzewów, które czepiały się kurczowo zdradliwego, zasypanego kamieniami zbocza, granicząc z czymś, co Louki nazywał Czarcim Ogrodem. Schronienie było kiepskie i niewygodne, ale właściwie nic lepszego nie mogli sobie życzyć: zapewniało osłonę i było stąd blisko do pierwszorzędnego stanowiska obronnego. Lekka bryza wiała od morza nad rozpalonymi skałami na południu, drzewa osłaniały od słońca wędrującego od świtu do zmierzchu po bezchmurnym niebie, a do tego mieli przed oczyma niezrównany obraz przepojonego**

**światłem migotliwego Morza Egejskiego. Z lewej strony, zamglone wśród słabnących odcieni błękitu, indygo i fioletu, rozciągały się wyspy Leradów. Najbliższa była Maidos, tak bliska, że widzieli poszczególne chaty rybackie, iskrzące bielą w słońcu; przez ten wąski pas wody za nieco więcej niż dobę miały przejść okręty**

Marynarki Królewskiej. Na prawo, nieco dalej, rozciągał się odległy, monotony, jakby cofnięty przez wyniosłe Góry Anatolijskie brzeg Turcji, który na północy i na południu zakrzywiał się na kształt wielkiego sierpa. Przylądek Demirci, niby wystająca włócznia, obrzeżony skałami i pocętkowany wydmami białego piasku, sięgał daleko w błękit Morza Egejskiego. Jeszcze dalej na północ, za przylądkiem, zamglona przez odległość wyspa Cheros drzemała na powierzchni morza. Ta panorama, obejmujące piękno lądu rozciągniętego majestatycznie wielkim półkolem nad rozjarzonym morzem, zapierała wprost dech w piersi. Ale Mallory nie patrzył na to wszystko, rzucił tylko przelotne spojrzenie, obejmując pół godziny temu, tuż po drugiej, wartość. Siedząc dłuższy czas przy pniu drzewa wpatrywał się w to, co od tak dawna pragnął zobaczyć, aż oczy zaczęły go boleć z wysiłku. W to, co pragnął zobaczyć i przybył zniszczyć – działa nawarońskiej fortecy. Miasteczko Nawarona – jak oceniał Mallory, zamieszkane przez cztery do pięciu tysięcy ludzi – rozciągało się dokoła głębokiej wulkanicznej zatoki, zakreślającej prawie dokładny okrąg, z jednym tylko wąskim jak szyjka od butelki wyjściem na północny zachód. Nad tą bramą po obu stronach panowały reflektory, baterie moździerzy i karabinów maszynowych. Ponieważ do zarośli, w których się znajdowali, nie było stamtąd nawet trzech mil, przeto każdy szczegół, każda ulica, każdy budynek, kuter i barka w porcie były doskonale widoczne i Mallory studiował je tak długo, aż się ich nauczył na pamięć: lekkie wzniesienie na zachód od portu ciągnące się aż do gajów oliwnych; piaszczyste uliczki schodzące do morza; bardziej stromy wyskok terenu ku południowi; równoległe do wybrzeża ulice starego miasta; pasmo skał na wschodzie, podziurawione bombami liberatorów eskadry Torrance.a, które wznosząc się sto pięćdziesiąt stóp nad wodą, zakreślało wokół portu i wielkiego wulkanicznego wzgórza panującego nad nim, wzgórza odciętego od miasta wysokim murem, łączącym się ze skałą. I wreszcie dwa rzędy dział przeciwlotniczych, wielkie anteny radarowe, koszary fortecy i przysadziste mury o wąskich strzelnicach, zbudowane z wielkich kamiennych bloków, dominujące nad okolicą, włącznie z wielką czarną szczeliną w skałach pod fantastycznym nawisem urwiska.

–Teraz Mallory już wszystko rozumiał. Ta forteca urągała aliantom przez długie osiemnaście miesięcy i określała całą strategię floty w rejonie Sporadów, od czasu gdy Niemcy przeskoczyli z kontynentu na wyspy, blokowała wszelką działalność floty w trójkącie o powierzchni dwóch tysięcy mil kwadratowych między Leradami a wybrzeżem Turcji. Teraz, gdy ją zobaczył, wszystko nabrało sensu. Nie do zdobycia od strony lądu, niewrażliwa na ataki powietrzne. Mallory uświadamiał sobie, jak samobójczy był nalot eskadry Torrance.a na wielkie działa chronione przez tę wystającą skałę i połyskujące rzędy dział przeciwlotniczych. Forteca była również nie do zdobycia od strony morza – uniemożliwiały to czekające w pogotowiu eskadry Luftwaffe na Samos. Jensen miał rację – w rachubę mogła wchodzić tylko akcja sabotażowa, nic innego. Dywersanci mieli minimalne możliwości, akcja graniczyła z samobójstwem, ale jednak pewne możliwości były i Mallory wiedział, że nie może żądać niczego więcej. W zamyśleniu opuścił lornetkę i przetarł dłonią piekące oczy.

**Chciał przynajmniej wiedzieć, przeciwko czemu walczy i był zadowolony z okazji do tego dalekiego zwiadu, do zaznajomienia się z terenem i topografią miasta. Znajdował się prawdopodobnie w jedynym na całej wyspie punkcie, z którego można było taką obserwację prowadzić w ukryciu i prawie bezpiecznie. Jak się trzeźwo zreflektował, nie była to jego zasługa, dowódcy akcji, że znaleźli to miejsce – zawdzięczali to wyłącznie Loukiemu. I nie tylko to zawdzięczali małemu Grekowi o smutnych oczach. To Louki podsunął, żeby najpierw szli z Margarithy doliną pod górę. Dało to Andrei czas na zabranie materiałów wybuchowych z szałasów starego Leriego, pozwoliło upewnić się, że alarm i pościg nie nastąpiły natychmiast, i w każdej chwili zorganizować akcję opóźniającą przez ostrzeliwanie się z gajów oliwnych, zanim znikną wśród wzgórz u podnóża Kostos. To Louki prowadził ich z powrotem koło Margarithy, kiedy zmylili ślady; kazał im zatrzymać się naprzeciwko wioski, sam zaś z Panayisem wśliznęli się do Margarithy jak duchy. Wzięli dla siebie ubrania, a w powrotnej drodze podkradli się do niemieckiego garażu, wykręcili**

**świece z łazika i ciężarówkę – jedynych środków transportu we wsi – i rozbili w nich stacyjki. To Louki wyprowadził ich głębokim rowem wprost na posterunek drogowy przy ujściu doliny. Rozbrojenie Niemców było niemal dziecinnie łatwe, zresztą tylko jeden z nich nie spał. To wreszcie Louki nalegał, żeby maszerowali błotnistym traktem, zanim wejdą na szosę w odległości około dwóch mil od miasta. Przeszedłszy jakieś sto jardów skręcili w lewo na długie, pochyłe pole lawy, na której nie pozostawili żadnych śladów, i o wschodzie słońca przybyli do zarośli. Wszystko się udało. Wszystkie te starannie wykorzystane szanse, których największy sceptyk nie mógłby zlekceważyć, okazały się realne. Miller i Andrea, stojąc po południu na ubezpieczeniu, widzieli, jak garnizon nawaroński spędza długie godziny na dokładnej rewizji wszystkich domów w mieście. Mallory uznał, że to ogromnie wzmocni ich bezpieczeństwo nazajutrz: mało prawdopodobne, by Niemcy powtórzyli rewizję, a jeśli nawet, to już nie z takim zapalem. Louki zrobił doskonałą robotę. Mały człowieczek spał na zboczu między dwoma drzewami; nawet się nie ruszył przez pięć godzin. Mallory, jakkolwiek sam śmiertelnie zmęczony, z obolałymi nogami i oczami piekącymi z bezsenności, nie zazdrościł Loukiemu odpoczynku. Zasłużył na niego w pełni. Nie spał przez całą noc. Tak samo Panayis, ale Panayis już się właśnie budził, odgarniając z oczu długie czarne włosy, a raczej już był rozbudzony, bowiem przejście od snu do całkowitej przytomności następowało u niego natychmiast, zupełnie jak u kota. Mallory uświadomił sobie, że jest to niebezpieczny człowiek, desperat, nieubłagany dla swoich wrogów, ale poza tym nie wiedział nic o Panayisie – nic. I wątpił, czy się kiedykolwiek dowie. Dalej na zboczu, prawie w środku gaju, Andrea zbudował między dwoma pniami, odległymi o około pięciu stóp od siebie, wysoką platformę z połamanymi konarów i gałęzi. Leżał tutaj Andy Stevens, na swoich noszach, nadal przytomny. Nie zmrużył oka od chwili, gdy Turzig zabrał ich z jaskini. Najprawdopodobniej nie potrzebował już snu albo zwalczył w sobie wszelkie pragnienie wypoczynku. Odór zgangrenowanej nogi był przenikliwy, mdlący, zatruwał dokoła powietrze. Po przybyciu tutaj Mallory i Miller zdjawszy bandażę**

krótko oglądali nogę; Uśmiechnęli się do siebie, zabandażowali znowu i zapewnili Stevensa, że rana się zasklepia. Poniżej kolana noga była niemal całkowicie czarna. Mallory podniósł lornetę, by jeszcze raz spojrzeć na miasto, ale natychmiast ją opuścił, bo ktoś podbiegł i dotknął jego ramienia. Był to Panayis, zdenerwowany i niespokojny. Wyglądał niemal na rozgniewanego, wskazywał na zachodzące słońce.

–Która godzina, kapitanie Mallory? – Mówił po grecku, głosem ściszym, syczącym, niespokojnym. Mallory pomyślał, że ten głos bardzo pasuje do tego tajemniczego szczupłego mężczyzny. – Która godzina? – powtórzył.

–Wpół do trzeciej albo coś koło tego. – Mallory podniósł ze zdziwieniem brwi. – A o co chodzi, Panayis?

–Pan powinien był mnie obudzić. Pan powinien był mnie obudzić już parę godzin temu. – Mallory stwierdził, że Panayis rzeczywiście był zły. – Teraz moja kolej na wartę.

–Ale nie spałeś poprzedniej nocy – perswadował Mallory. – Nie uważałem za właściwe, żebyś...

–Teraz moja kolej na wartę, mówię panu! – nalegał Panayis uparcie.

–Jeśli tak, nie mam nic przeciwko temu. – Mallory zbyt dobrze znał chorobliwą wprost ambicję wyspiarzy, żeby się sprzeczać. – Bóg wie, co byśmy robili bez Loukiego i ciebie... Zostanę jeszcze trochę i będę ci towarzyszył.

–Ach, to dlatego pozwoliliście mi spać! – Panayis bynajmniej nie ukrywał, że czuje się obrażony; widać to było w jego oczach, słysząc w głosie. – Nie wierzycie Panayisowi.

–Na miłość boską! zawołał zrozpaczony Mallory, ale opanował się i uśmiechnął. – Oczywiście, że ci wierzymy. Możliwe, że powinienem się trochę przespać. Bardzo miło z twojej strony, że o tym pamiętasz. Obudzisz mnie za dwie godziny?

–Jasne! Z pewnością! – Panayis wprost promieniał z zadowolenia. – Nie zapomnę. Mallory podpełznął na środek gaju i wyciągnął się leniwie na posłaniu, które sobie przygotował. Przez chwilę patrzył, jak Panayis bez odpoczynku chodzi w tę i tamtą stronę po skraju zarośli, potem stracił zainteresowanie, kiedy zobaczył, że Grek wdrapuje się szybko na drzewo, szukając lepszego miejsca obserwacji. Postanowił, zgodnie z jego radą, przespać się trochę, póki można.

–Kapitanie Mallory! Kapitanie Mallory! – ciężka dłoń gwałtownie potrząsnęła śpiącego za ramię. – Niech się pan obudzi, niech pan wstaje!

Mallory poruszył się, przekręcił na plecy i usiadł, otwierając oczy. Na ciemnej twarzy

pochylonego nad nim Panayisa malował się strach. Mallory strząsnął z siebie resztki snu i jednym szybkim ruchem był już na nogach.

–Co się stało, Panayis?

–Samoloty! – zawołał Grek. – Cała eskadra na nas leci.

–Samoloty? Jakie samoloty? Czyje samoloty?

–Nie wiem, kapitanie. Jeszcze są daleko. Ale...

–Z jakiego kierunku? – przerwał Mallory.

–Lecą z północy. Razem pobiegli na skraj gaju. Panayis wskazał na północ, a Mallory od razu je ujrział. Popołudniowe słońce błyskało na ostrych zadartych skrzydłach. Stukasy, oczywiście – pomyślał ze złością. Siedem... Nie, osiem, są o niecałe trzy mile. Lecą dwiema grupami po cztery samoloty, na wysokości dwóch tysięcy, a z pewnością nie wyżej niż dwa tysiące pięćset stóp. Uświadomił sobie, że Panayis szarpie go za ramię.

–Kapitanie Mallory! – mówił Grek podniecony. – Nie mamy czasu do stracenia! – Obrócił Mallory'ego do tyłu i wskazał wyciągniętą ręką wysokie, spękane skały, dziwacznie porozdzierane przez zasypane piargiem wąwozy, które wiły się w głąb albo urywały równie gwałtownie, jak się zaczęły. – Do Czarciego Ogrodu! Musimy natychmiast się tam dostać! Natychmiast, kapitanie Mallory!

–Dlaczego, u diabła?! – Mallory patrzył na niego ze zdumieniem. – Nie ma powodu przypuszczać, że lecą na nas. Bo niby skąd? Nikt nie wie, gdzie jesteśmy.

–Nic mnie nie obchodzi! – nalegał Panayis. – Ja wiem. Niech się pan nie pyta skąd, ale nie tylko ja o tym wiem. Louki panu powie – Panayis zna się na tych sprawach. Wiem, kapitanie Mallory, wiem, ja wiem! Mallory nie rozumiejąc nic wpatrywał się w Greka. Nie ulegało wątpliwości, że Panayis traktuje sprawę poważnie, że jest jak najbardziej szczerzy, ale wyrzucał z siebie urywane słowa jak karabin maszynowy, co by świadczyło, że instynkt wziął w nim górę nad rozsądkiem. Ledwie sobie to uświadamiając, Mallory stwierdził, że biegnie pod górę, ślizga się i potyka na kamieniach. Zobaczył, że pozostali też już są na nogach, pełni napięcia i oczekiwania, chwytają za ekwipunek, trzymają w rękach broń.

–Biegnijcie na skraj lasu pod górę! – krzyknął Mallory. – Szybko! Tam się zatrzymajcie – za osłoną. Będziemy musieli uciekać do tamtej szpary w skałach. – Wskazał między drzewami zębatą szczelinę w odległości jakichś czterdziestu jardów i błogosławił Loukiego, iż wybrał kryjówkę z tak dobrym schronem. – Czekajcie na mój sygnał. Andrea! – Obrócił się i umilkł, bo słowa nie były potrzebne. Andrea trzymał w ramionach umierającego chłopca, tak jak leżał, razem z noszami i kocami, i już szedł



pod górę.

–Co się stało, komendancie? – Miller znalazł się obok Mallory.ego. – Nic nie widzę.

–Mógłbyś coś usłyszeć, gdybyś chociaż na chwilę przestał gadać

–powiedział Mallory ze złością.

–Spójrz na niebo. Miller, leżąc płasko na brzuchu, nie dalej niż dziesięć stóp od skraju lasu, odwrócił się i wyciągnął szyję. Natychmiast ujrzał samoloty.

–Stukasy? – spytał z niedowierzaniem. – Eskadra parszywych stukasów! To niemożliwe, komendancie!

–Jak widać, możliwe – stwierdził Mallory ponuro. –

Jensen mówił mi, że szwaby ogołocili z nich cały front włoski, zabrali stamtąd ponad dwieście sztuk w ostatnich tygodniach. – Zerknął na eskadrę, odległą już teraz o jakieś pół mili. – I całą tę przekłętą gromadę ściągnęli tutaj, nad Morze Egejskie.

–Ale one nas nie szukają – zaprotestował Miller.

–Boję się, że właśnie szukają – powiedział Mallory. – Obie grupy bombowców nurkujących połączyły się teraz w jeden klucz. – Chyba Panayis ma rację.

–Ale... ale przelatują nad nami...

–Nie – oznajmił sucho Mallory. – Będą bombardować. Patrz tylko na samolot prowadzący. Nie skończył jeszcze mówić, gdy prowadzący eskadrę poderwał swego junkersa 87, zatoczył pół obrotu i zaczął pikować ze straszliwym wyciem, celując wprost na gaj drzew chlebowych.

–Zowtawcie go! – krzyknął Mallory. – Nie strzelać! – Stukasy, wychylając hamulce powietrzne do maksimum, zawisły nad środkiem gaju. Nic już teraz nie mogłoby ich powstrzymać, a przypadkowe trafienie strąciłoby samolot wprost na nich, lepiej było nie ryzykować. – Zasłońcie głowy i pochylcie się! Sam zlekceważył własną radę, jego oczy bez przerwy śledziły nurkujący bombowiec. Pięćset, czterysta, trzysta stóp: potężniejszy ryk maszyny boleśnie wiercił w uszach. Stukas poderwał się raptem do góry i wypuścił bombę. Bombę!? Mallory usiadł i wbił oczy w błękit nieba. Nie jedną bombę, lecz dziesiątki, i to tak blisko siebie, że człowiek by przysiągł, iż się stykają, gdy spadły na środek gaju, uderzając w sękatę i powykręcane drzewa, łamiąc gałęzie i wbijając się aż do stateczników w miękki grunt.

Bomby zapalające! Mallory ledwie miał czas sobie uświadomić, że zaoszczędzono im grozy pięćsetkilowej bomby burzącej, gdy wybuchnęły fontanny syczącego i

pryskającego ognia i magnezowego żaru, który natychmiast unicestwił cienisty mrok gaju. W ciągu kilku sekund oślepiający błysk zamienił się w grube śmierzące kłęby żrącego, czarnego dymu, przetykanego migotliwymi językami czerwieni. Najpierw były niewielkie, lizały i zwijały się wokół żywicznych pni, aż wszystkie drzewa stanęły w płomieniach. Stukas nadal ciągnął do góry wychodząc z nurkowania i jeszcze nie wyrównał, gdy środek gaju, który stanowiły stare, suche, łatwopalne drzewa, palił się już gwałtownie. Miller obrócił się i szturchnął Mallory.ego.

–Bomby zapalające, komendancie – oznajmił.

–A tyś myślał, że co? – zapytał krótko Mallory. – Zapałki? Próbują nas wykurzyć ogniem, żebyśmy uciekli na otwartą przestrzeń. Bomby odłamkowe nie są skuteczne między drzewami. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto to by wystarczyło. – Zaczął kasłać, gdy żrący dym dostał mu się do płuc. Załzawionymi oczami spojrzał między drzewa. – Ale tym razem im się nie uda. Jeśli będziemy mieli szczęście. Jeśli jeszcze spóźnią się z pół minuty. Patrz tylko na ten dym! Miller spojrzał. Gruba, skłębiona, pryskająca iskrami chmura znajdowała się już na jednej trzeciej drogi między skrajem zarośli i skałami, pędzona powiewem od morza. Była to doskonała zasłona dymna. Miller skinął głową.

–Uciekniemy w tym dymie, komendancie?

–Nie mamy wyboru: albo uciekniemy, albo zostaniemy, a wtedy nas upieką lub rozniosą na kawałki. Najprawdopodobniej jedno i drugie. – Podniósł głos.

–Czy ktoś widzi, co się dzieje z samolotami?

–Ustawiają się w kolejkę do następnego nalotu – powiedział Brown ponuro. – Ten pierwszy nadal krąży.

–Czeka, aż wyjdziemy z ukrycia. Nie poczeka długo. Uciekamy.  
– Zerknął pod górę poprzez kłębiący się dym, ale obłok był zbyt gęsty i zażawionymi oczyma niewiele mógł odróżnić. Nie potrafił stwierdzić, jak daleko już sięgnęła zasłona dymu, nie było czasu. Piloci stukasów nie mieli opinii cierpliwych.

–Uwaga! – krzyknął. – Piętnaście jardów wzdłuż linii drzew do tamtego usypiska, a potem prosto w wąwóz. Przynajmniej sto jardów w głąb! Andrea, prowadź! Naprzód! – Rozejrzał się wśród oślepiającego dymu. – Gdzie jest Panayis? Nie było odpowiedzi.

–Panayis! – wołał Mallory. – Panayis!

–Może po coś wrócił. – Miller zatrzymał się, obejrzał. – Czy mogę...

–Uciekaj! – Wrzasnął dziko Mallory. – A jeśli coś zdarzy się Stevensowi, to mówię ci... – Ale Miller przezornie już uciekał, Andrea potykając się i kaszląc biegł u jego boku. Przez dwie sekundy Mallory stał niezdecydowany, a potem skoczył ku środkowi gaju. Może Panayis wrócił po coś, a on przecież nie rozumie po angielsku. Mallory przebiegł ledwie pięć jardów, gdy musiał się zatrzymać i zasłonić twarz ramieniem: żar był straszliwy. Panayis nie może tam być, nikt, kto by tam został, nie przeżyłby kilku sekund w tym palenisku. Chwyając powietrze, z osmolonymi włosami i tłącym się ubraniem, Mallory z powrotem wdzierał się pod górę. Wpadał na drzewa, ślizgał się, upadał i

desperacko podnosił się znowu. Biegł ku wschodniemu skrajowi lasu. Nikogo tam nie było. Wrócił znowu na przeciwległy brzeg, ku usypisku, teraz niemal zupełnie oślepiiony. Gorące powietrze paliło w gardło i płuca, zaczął się dusić. Nie było sensu czekać dłużej, nic i tak nie zdołałby zrobić, nic ani nikt nie mógłby go ocalić. W uszach miał syk płomieni, szum własnej krwi i przeraźliwy ryk nurkujących stukasów. Rozpaczliwie wspinał się po ruchomym piargu, potknął się i zjechał głową w dół do podstawy usypiska. Nie wiedział, czy jest ranny, czy cały, ale nie troszczył się o to. Chrapliwie wciągając powietrze podniósł się i zmusił obolałe nogi do dalszego wysiłku. Powietrze pełne było grzmotu maszyn. Wiedział, że atakuje teraz cała eskadra, i rzucił się gwałtownie na ziemię, gdy pierwsze bomby odłamkowe wybuchnęły dymem i ogniem – nie dalej niż czterdzieści jardów na lewo i przed nim. Przed nim! Mallory podniósł się i brnął dalej pod górę, klnąc bez przerwy samego siebie. Ty idioto! – myślał z goryczą i wściekłością. – Ty cholerny durniu! Posłałeś ludzi na śmierć. Powinieneś o tym pomyśleć! O Boże, powinieneś o tym pomyśleć, pięcioletnie dziecko by to przewidziało. Oczywiście szkopy nie zamierzali bombardować zarośli: tak samo jak on, wiedzieli to, co oczywiste, co nieuniknione, i obrzucali bombami chmurę dymu między gajem i skałą! Pięcioletnie dziecko... pięcioletnie dziecko... Nagle wszystko zakołysało mu się pod nogami, jakaś potężna ręka porwała go, trzasnęła nim o ziemię i ogarnęła go ciemność. Rozdział dwunasty Środa Godz. #/16#00\_#/18#00 Wiele razy Mallory usiłował wydobyć się z głębin czarnego, podobnego do letargu omdlenia, ale dotykał tylko krawędzi świadomości po to, by znowu pogrążyć się w ciemności. Za każdym razem rozpaczliwie próbował zatrzymać te przelotne momenty przytomności, ale jego mózg był zupełnie bezwładny i nawet gdy wiedział, że traci poczucie rzeczywistości,

przytomność zniknęła i znowu pozostawała próżnia. Zupełnie jak zmora senna – pomyślał podczas jednego z dłuższych przebudzeń. – Człowiek wie, że ma straszny sen i że gdyby tylko otworzył oczy, wszystko by minęło, ale nie może tych oczu otworzyć. Próbował podnieść powieki, lecz nic nie pomogło, wszystko pozostało ciemne jak dotychczas, a on nadal był pogrążony w tym koszmarnym śnie, jakkolwiek słońce świeciło jasno na niebie. Z rozpaczą potrząsnął głową.

–Aha! Wreszcie oznaki życia!

–Nie było wątpliwości co do tego przeciągłego nosowego głosu. – Doktor Miller znowu triumfuje! – Nastąpiła chwila ciszy, w której Mallory uświadamiał sobie coraz wyraźniej, że huk motorów słabnie, czuł ostry, żywiczny dym, który gryzł go w nos i oczy, a potem ktoś objął go ramieniem i znowu usłyszał zachęcający głos Millera: – Niech pan spróbuje trochę, komendancie. Stary winiak. Nie ma nic lepszego. Mallory poczuł chłodną szyjkę butelki, przechylił głowę i pociągnął długi łyk. Prawie natychmiast podrzuciło nim tak, że usiadł, krztusząc się, parskając i łapiąc oddech; ostre, żrące „ouzo” piekło go w śluzówkę jamy ustnej. Próbował coś powiedzieć, ale chrypiał tylko, chwycił powietrze i patrzył z oburzeniem na mglistą postać, która klęczała u jego boku. Miller ze swej strony przyglądał mu się z nie ukrywanym podziwem.

–Widzi pan? Mówiłem: najlepsze lekarstwo. – Cmoknął.

–W okamgnieniu odzyskał przytomność – jakby powiedzieli literaci. Nigdy nie widziałem tak szybkiego uleczenia po szoku i kontuzji.

–Co robisz, u diabła? – zapytał ze złością Mallory. Ogień zgasł w jego gardle i mógł znowu oddychać. – Chcesz mnie otruć? – Gniewnie usiłował zwalczyć tępy ból i mgłę, która jeszcze zasnuwała mu oczy. – Świetny z ciebie lekarz! Mówisz, że szok, i wlewasz mi taką porcję spirytusu...

–Niech pan korzysta – przerwał mu Miller posępnie. – Inaczej miałby pan o wiele gorszy szok za jakieś piętnaście minut, jak przyjdą tu szwaby.

–Przecież odlecieli. Nie słyszę już stukasów.

–Cała gromada szwabów wyjechała z miasta – oznajmił Miller. – Louki właśnie o nich zameldował. Sześć samochodów pancernych i dwie ciężarówki z działami o lufach grubości słupa telegraficznego.

–Rozumiem – Mallory odwrócił się i zobaczył błysk światła w szczelinie skały. Jakinia – prawie tunel. Mały Cypr, jak wedle Loukiego nazywali to miejsce niektórzy starzy ludzie. Czarci Ogród był podziurawiony jaskiniami jak ser szwajcarski. Uśmiechnął się cierpko na wspomnienie owej chwili paniki, kiedy myślał, że stracił wzrok.

Zwrócił się do Millera. – Znowu kłopoty, Dusty? Nic, tylko kłopoty. Dziękuję ci, że doprowadziłeś mnie do przytomności.

–Musiałem – stwierdził Miller. – Daleko byśmy pana nie ponieśli, komendancie.

–Słusznie – przytaknął Mallory. – Teren nie jest zbyt równy.

–A i owszem – zgodził się Miller. – Ale chodzi mi o to, że właściwie nie miałby kto pana nieść. Casey i Panayis są ranni.

–Co!? Obaj? – Mallory zamknął oczy. – Mój Boże, Dusty, zapomniałem o bombie... o bombach... – Wyciągnął rękę i chwycił Millera za ramię. – Jak... jak... jak ciężko są ranni? – Tak mało było czasu, a tyle jeszcze pozostało do zrobienia.

–Jak ciężko? – Miller wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował Mallory.ego. – W ogóle to lekko... Gdybyśmy mogli ich zapakować do szpitala. Ale diabelnie boleśnie i fatalnie, jeśli złączą podskakiwać po tych piekielnych wąwozach. Po raz pierwszy w życiu widzę dna wąwozów bardziej strome niż ściany.

–Nadal mi nie odpowiedziałeś...

–Przepraszam, komendancie, przepraszam. Mają rany od odłamków, obaj w tych samych miejscach: lewa noga tuż ponad kolanem. Kości całe i ścięgna również. Właśnie skończyłem bandażować nogę Caseyowi. Wygląda dość paskudnie. Poczuj ją, jak zacznie chodzić.

–A Panayis?

–Sam sobie opatrzył nogę – stwierdził Miller. – Dziwny facet. Nie pozwolił mi nawet na nią spojrzeć, a tym bardziej zabandażować. Wygląda tak, jakby chciał mnie zarżnąć, gdybym tylko spróbował.

–Lepiej go zostawić w spokoju

–poradził Mallory. – Niektórzy z tych wyspiarzy mają dziwne

przesady i opory. I to przez całe życie. Jakkolwiek dotychczas nie rozumiem, jak mu się udało wydostać z ognia.

–On pierwszy uciekał – wyjaśnił Miller. – Razem z Caseyem. Nie zauważył go pan w dymie. Razem się wspinali, kiedy zostali ranni.

–A jak ja się tu dostałem?

–Nie będzie nagród za pierwszą prawidłową odpowiedź. – Ponad swym ramieniem Miller wskazał kciukiem na ogromną postać, która blokowała połowę szerokości jaskini. – Ten chłopczyk wykonał znowu swój bernardyński obowiązek. Chciałem z nim iść, ale nie miał ochoty. Mówił, że będzie mu trudno nieść pod górę nas obu. Bardzo uraził moje uczucia – westchnął Miller.

–No cóż, nie urodziłem się na bohatera i koniec. Mallory uśmiechnął się.

–Dziękuję ci jeszcze raz, Andrea.

–Dziękuję! – Miller był oburzony. – Facet ratuje panu życie, a pan mówi mu „dziękuję”!

–Po pierwszej dziesiątce takich ocaleń człowiek popada w banały – oznajmił sucho Mallory.

–Jak Stevens?

–Oddycha. Mallory wskazał głową źródło światła i zmarszczył nos.

–On jest zaraz za rogiem.



–Tak, paskudnie czuć – przyznał Miller. – Gangrena przeszła już poza kolano. Mallory niepewnie wstał na nogi, podniósł pistolet.

–Właściwie w jakim on jest stanie, Dusty?

–On już nie żyje, ale po prostu nie chce umrzeć. Skończy przed wieczorem. Bóg tylko wie, co go jeszcze trzyma przy życiu.

–Może jestem zarozumiały – mruknął Mallory – ale ja też chyba wiem.

–Pierwszorzędna opieka lekarska? – zapytał Miller z nadzieją.

–Tak by wyglądało. – Mallory uśmiechnął się do klęczącego jeszcze Millera. – Ale wcale nie o tym myślałem. Idziemy, panowie, mamy jeszcze pewne sprawy do załatwienia.

–Potrafię tylko wysadzać w powietrze mosty albo wrzucić garść piasku do panewek maszyny

–oznajmił Miller. – Strategia i taktyka o wiele przerastają mój ograniczony umysł. Jednak nadal myślę, że te typy tam w dole wybrały bardzo głupi sposób samobójstwa. Dla wszystkich zainteresowanych byłoby o wiele prościej, gdyby sami się zastrzelili.

–Jestem skłonny zgodzić się z tobą. – Mallory ulokował się wygodniej za pokruszonymi skałami u wejścia do wąwozu, który wychodził bezpośrednio na zwęglone, dymiące resztki gaju, i rzucił jeszcze okiem na oddziały strzelców alpejskich posuwające się szeroką tyralierą po stromym, pozbawionym osłony zboczu. – Ale to nie są dzieci. Jestem pewny, że im się to też wcale nie

podoba.

–Więc, u diabła, dlaczego to robią?

–Prawdopodobnie nie mają innego wyjścia. Po pierwsze można nas tu zaatakować tylko frontalnie. – Mallory uśmiechnął się do małego Greka, który leżał między nim a Andream. – Louki dobrze wybrał miejsce. Atak od tyłu wymagałby bardzo długiego obejścia, a przebycie tego diabelnego rumowiska za nami zajęłoby im z tydzień. Po drugie za dwie godziny zachodzi słońce, a wiedzą, że nie złapią nas w ciemności. Wreszcie – a sędzę, że jest to powód ważniejszy niż dwa poprzednie razem – na pewno komendant miasta został strasznie ochrzaniony przez swoje dowództwo. Stawka jest zbyt wielka, nawet jeśli istnieje tylko jedna szansa na tysiąc, że dostaniemy się do dział. Nie mogą pozwolić, żeby im przed nosem ewakuowano „Cheros”, żeby stracić...

–Dlaczego nie? – przerwał Miller. Zrobił szeroki gest ręką. – Przecież to tylko kupa bezużytecznych kamieni...

–Nie mnogą sobie pozwolić na stracenie twarzy wobec Turków – wyjaśniał cierpliwie Mallory. – Znaczenie strategiczne tych wysp w archipelagu Sporadów jest niewielkie, natomiast polityczne

–olbrzymie. Hitler ogromnie potrzebuje nowego sojusznika w tych okolicach. Więc rzuca tysiącami oddziały alpejskie i setkami stukasy, najlepsze, jakie ma, choć rozpaczliwie potrzebuje ich na froncie włoskim. Trzeba pokazać potencjalnemu sojusznikowi, że warto zaryzykować, zanim się go przekona, aby zrezygnował ze swego wygodnego miejsca za płotem i rzucił się na pomoc.

–Bardzo interesujące – zauważył Miller. – Więc?

–Więc Niemcy nie będą mieli wyrzutów sumienia, jeśli stracą trzydziestu ludzi ze swoich najlepszych oddziałów. To żaden kłopot, jeśli się siedzi za biurkiem w odległości tysiąca mil... Niech podejdą jeszcze ze sto jardów albo nawet trochę bliżej. Louki i ja zaczniemy ogień od środka i będziemy poszerzali na skrzydła, ty i Aandrea zaczniecie od obu końców.

–Nie lubię tego, komendancie

–żałił się Miller.

–Nie myśl, że ja to lubię – odparł spokojnie Mallory. – Wcale nie bawi mnie mordowanie ludzi zmuszonych do samobójczego działania. I nie uznaję takiej wojny. Ale jeśli my ich nie załatwimy, oni załatwią nas. – Urwał i wskazał na połyskujące morze, gdzie Cheros leżała spokojnie na zamglonym horyzoncie, migocząc złotymi iskrami w chylącym się ku zachodowi słońcu. – Myślisz, że czego by od nas chcieli, Dusty?

–Wiem, wiem, komendancie. – Miller poruszył się niepewnie. Ściągnął wełnianą czapkę na czoło i nieruchomo patrzył przed siebie. – Kiedy ma się zacząć ta masowa egzekucja?

–Powiedziałem, że jak przejdą następne sto jardów. – Mallory spojrzał znowu ku drodze nad brzegiem i nagle uśmiechnął się zadowolony, że może zmienić temat. – Nigdy dotychczas nie widziałem, żeby słupy telegraficzne tak nagle się skurczyły, Dusty. Miller przyjrzał się uważniej działom ciągniętym przez samnchody i chrząknął.

–Powtarzałem tylko, co mi Louki mówił.

–Co ci Louki mówił! – Mały Grek był oburzony. – Jak Boga kocham, majorze, Americano jest łgarz!

–No już dobra, może się pomyliłem – oświadczył Miller wielkodusznie. Znowu zerknął na działa, marszcząc czoło ze zdziwieniem. – Ten pierwszy to móździerz, przyznaję. Ale co, u licha, oznacza ta druga cudaczna machina...

–Również móździerz – wyjaśnił Mallory. – Sześciolufowy, naprawdę paskudny. Tak zwany nebelwerfer, rycząca krowa. Wyje jak dusze potępieńców w piekle. Robi z ludzi galaretę, szczególnie w nocy – ale na ten pierwszy też trzeba uważać. Sześciocalowy móździerz, na pewno z pociskami odłamkowymi – to, co po nim zostaje, zbiera się na szufelkę.

–To ładnie – warknął Miller.

–Bardzo nas to cieszy. – Ale był wdzięczny Mallory'emu, że próbował odwrócić ich uwagę od tego, co ma nastąpić. – Dlaczego nie zaczynają?

–Zaczną – zapewnił go

Mallory. – Gdy tylko otworzymy ogień i wykryją, gdzie jesteśmy.

–Boże, zmiłuj się – mruknął Miller. – Powiada pan, pociski odłamkowe! – Zapadł w ponure milczenie.

–Teraz już lada sekunda – powiedział cicho Mallory. – Mam tylko nadzieję, że nie ma wśród nich naszego przyjaciela Turziga. – Sięgnął po lornetkę, ale zatrzymał się zdziwiony, gdy Andrea,

wychylając się poprzez Loukiego, przytrzymał go za rękę. – Co jest, Andrea?

–Nie będziemy jej używać, kapitanie. Już nas raz zdradziła. Myślałem nad tym i to na pewno nie było nic innego. Słońce odbija się w soczewkach... Mallory powoli wypuścił szkła z ręki i kilka razy skinął głową.

–Oczywiście, oczywiście! Zdziwiłem się... Ktoś był nieostrożny. To na pewno nie było nic innego, nie mogło być nic innego. Wystarczy jeden błysk, żeby nas wykryć. – Urwał, zastanowił się i uśmiechnął sucho. – I to pewnie ja sam. Wszystko zaczęło się potem, kiedy stałem na ubezpieczeniu... A Panayis nie miał lornetki. – Z udręką opuścił głowę. – To musiałem być ja, Andrea.

–Nie wierzę – odpowiedział Andrea. – Pan by nie zrobił takiego głupstwa, kapitanie.

–Boję się, że jednek zrobiłem. Ale później będziemy się o to martwili. – Środek rozciągniętej linii nacierających żołnierzy, ślizgając się i potykając po zdradzieckim usypisku, prawie dotarł do dolnego krańca zwęglonych i szerniałych resztek zarośli. – Są już dość blisko. Biorę na cel biały hełm w środku, Louki. – Jeszcze gdy mówił, usłyszał cichy trzask; trzech koledzy wysunęli lufy pistoletów maszynowych ponad osłaniającymi ich skałami. Czuł wzbierającą falę zdenerwowania.

Ale jego głos był pewny, swobodny, prawie obojętny. – Dobra, zaczynamy! Ostatnie słowo zginęło w rozdzierającym huku serii pistoletów maszynowych. Mając w rękach dwa breny i dwa dziewięćmilimetrowe schmeissery, nie prowadzili walki –

dokonywali zwykłej bezlitosnej masakry bezbronnych figurek na zboczu, osłupiałych, nic nie rozumiejących, które szamotały się i koziółkowały jak marionetki w dłoniach zwariowanego animatora. Niektóre zostawały w miejscu, inne staczały się po stromym zboczu, bezładnie młócąc nogami i rękami w groteskowym bezwładzie śmierci. Tylko dwóch stało nieruchomo w tym miejscu, gdzie ich trafiono, w pozbawionych życia twarzach odbijało się puste zdumienie, a potem osunęli się powoli na kamienisty grunt. Minęły prawie trzy sekundy, zanim garstka tych, którzy jeszcze żyli – mniej więcej w jednej czwartej odległości od krańców obu skrzydeł tyraliery, tam gdzie niszczące strumienie ognia jeszcze się nie spotkały – uświadomiła sobie, co się dzieje, i rzuciła się rozpaczliwie na ziemię w poszukiwaniu nie istniejącej osłony. Frenetyczny terkot broni maszynowej zamilkł jak uciął. Nagła cisza była dziwnie dręcząca, głośniejsza, bardziej przenikliwa niż huk, który się przedtem rozlegał. Żwir pod łokciami Mallory'ego osunął się z szelestem, gdy Mallory poruszył się lekko i zerknął na twarze obu mężczyzn po prawej stronie. Andrea miał minę pozbawioną wszelkiego wyrazu, Louki zamglone łzami oczy. Potem Mallory usłyszał cichy pomruk z lewej strony i znowu zmienił pozycję. Amerykanin z dzikim wyrazem twarzy klął cicho i bez przerwy tłukł pięścią ostry żwir, nie bacząc na ból.

–Jeszcze jeden, Boże. – Głos miał tak spokojny, jakby się modlił.  
– Niczego więcej nie żądam. Tylko jeszcze jednego. Mallory dotknął jego ramienia.

–O co chodzi, Dusty? Miller oczy miał chłodne, nieruchome, niewidzące. Mrugnął parę razy, wyszczerzył zęby w uśmiechu, potłuczoną dłońią sięgnął odruchowo po papierosy.

–Śniłem na jawie, komendancie

–powiedział. – Tylko śniłem na jawie. – Wytrząsnął papierosa z paczki. – Zapali pan?

–Ten nieludzki drań wysłał tych biedaków na pewną śmierć – powiedział Mallory spokojnie. – Pięknie by wyglądał przez szczerbinkę twojego peemu, prawda? Uśmiech Mallory.ego zniknął nagle.

–To byłoby dobre zakończenie.

–Miller zerknął szybko zza głazu i położył się wygodniej. – Ośmiu, a może dziesięciu jeszcze tam leży, komendancie – zameldował. – Biedacy są jak ostrygi – usiłują znaleźć osłonę za kamieniami wielkości pomarańczy... Zostawimy?

–Zostawimy ich! – powtórzył Mallory z naciskiem. Myśl o dalszej rzezi przyprawiała go niemal o mdłości. – Po raz drugi nie spróbują. – Urwał nagle i instynktownie przywarł do ziemi, gdy seria z karabinu maszynowego uderzyła w skałę nad ich głowami i zagwizdała w wąwozie przenikliwymi rykoszetami.

–Nie spróbują, he? Miller już wysunął lufę peemu zza skały, lecz Mallory chwycił go za ramię i odciągnął.

–To nie oni. Słuchajcie! – Nowa seria, jeszcze jedna... i teraz słyszeli już dzikie gdakanie karabinu maszynowego, gdakanie rytmicznie przerywane ostrymi, niemal ludzkimi westchnieniami, gdy taśma nabojoya przesuwiała się przez wąż. Mallory czuł, jak włosy mu się jeżą na głowie.

–To spandau. Jak już ktoś raz usłyszał spandau, nigdy tego nie zapomni. Zostawcie go w spokoju, prawdopodobnie jest na platformie jednej z tych ciężarówek i nic nam nie robi... Bardziej mnie martwią te piekielne moździerze.

–Mnie nie – oznajmił Miller.

–Nie strzelają do nas.

–Dlatego mnie martwią... Co sądzisz, Andrea?

–To samo co ty, kapitanie. Czekają. Ten Czarci Ogród, jak go Louki nazywa, to jeden piekielny chaos, mogą jedynie strzelać na ślepo...

–Nie będą długo czekać – przerwał ponuro Mallory. Wskazał na północ. – Oto ich oczy. Dwie ciemne plamki nad przylądkiem Demirci szybko przybrały kształt samolotów i z warkotem silników zbliżały się wolno nad morzem na wysokości około półtora tysiąca stóp. Mallory patrzył na nie ze zdziwieniem, potem zwrócił się do Andrei.

–Czy ja jestem nieprzytomny, Andrea? – Wskazał na pierwszy z dwóch samolotów. Był to myśliwiec, górnopłat. – Przecież to nie może być PZL?\* PZL – Państwowe Zakłady Lotnicze.

–Może być i jest – mruknął Andrea. – Stary polski samolot, którego używaliśmy przed wojną – wyjaśnił Millerowi. – A ten drugi to stary belgijski brequet. Andrea przysłonił oczy, aby spojrzeć jeszcze raz na oba samoloty, które miał już prawie dokładnie nad głową. – Myślałem, że wszystkie zostały zniszczone podczas inwazji.



–Ja również – powiedział Mallory. – Musieli je zmontować z jakichś kawałków. Ach, zobaczyli nas... Zaczynają krążyć. Ale czemu, u licha, używają tych starych trupów...

–Nie wiem i wcale mi na tym nie zależy – oznajmił Miller gwałtownie. Przed chwilą właśnie wyjrzał zza głązów. – Te cholerne moździerze właśnie celują na nas, a od strony wylotu wyglądają na większe od słupów telegraficznych. Pan mówił, że mają pociski odłamkowe. Dalej, komendancie, zwiewajmy stąd, u diabła! Reszta krótkiego listopadowego popołudnia zeszła im na ponurej zabawie w berka i w chowanego wśród wąwozów i potrzaskanych skał Czarciego Ogrodu. Samoloty odgrywały główną rolę w tej grze. Krążyły im nad głowami, przekazując informacje moździerzom na szosie nadbrzeżnej, a kompania strzelców alpejskich ruszyła poprzez spalony gaj, gdy tylko otrzymała wiadomości od lotników, że pozycje brytyjskie zostały opuszczone. Dwa stare samoloty rychło zastąpiono parą nowoczesnych henschli – Andrea mówił, że PZL ma zapas benzyny tylko na godzinę lotu. Mallory był między młotem a kowadłem. Jakkolwiek moździerze strzelały niecelnie, niektóre z zabójczych min odłamkowych wpadały do wąwozów, gdzie się kryli, siejąc śmiertelne żelazo na wąskiej przestrzeni między stromymi skałami. Niekiedy pociski padały tak blisko, że Mallory musiał szukać schronienia w głębokich grotach, którymi były podziurawione ściany wąwozów. W tych grotach byli bezpieczni, ale to bezpieczeństwo było iluzją i prowadziło jedynie do ostatecznej porażki: w przerwach między nawałami ognia strzelcy alpejscy, których zwalczali w krótkich akcjach opóźniających, mogli podejść dość blisko, by zamknąć całą grupę w jaskini. Co pewien czas Mallory i jego ludzie musieli uciekać dalej, by zwiększyć odległość między nimi a pościgiem,

idąc za niezastąpionym Loukim, dokądkolwiek ich prowadził, i ryzykując rozpaczliwie pod ogniem moździerzy. Jedna z min wpadła łukiem do wąwozu, który prowadził w głąb wyspy, i zaryła się w żwirowaty grunt nie dalej niż dwadzieścia jardów przed nimi. Była to najcelniejsza z min wystrzelonych owego popołudnia. Jakimś cudem nie wybuchła. Obeszli ją możliwie szerokim łukiem, prawie wstrzymując oddech. Jakieś pół godziny przed zachodem słońca dotarli wreszcie do dna tarasami wznoszącego się wąwozu, zatrzymali się za osłoną wystającej skały i zwrócili na prawo, na północ. Po ostatnim niewypale moździerze przestały strzelać. Sześciocalówka i nebelwerfer mają ograniczoną nośność, o czym Mallory wiedział, i chociaż samoloty nadal krążyły im nad głowami, to jednak bezskutecznie: słońce wisało nisko nad horyzontem i dna wąwozów, pogrążone w głębokim cieniu, były już niewidoczne z góry. Lecz strzelcy alpejscy – twardzi, uparci i zręczni, dyszący chęcią zemsty za masakrę kolegów – znajdowali się bardzo blisko. A byli to doskonale wyszkoleni żołnierze, wypoczęci, nie zmęczeni, z rezerwami energii – wobec grupy Mallory.ego, wyczerpanej przez dni i noce trudów i walki... Mallory usiadł na ziemi, za zakrętem wąwozu, skąd miał dobre pole obserwacji, i patrzył na towarzyszy z pozorną obojętnością, za którą kryły się niewesołe myśli. Jako pododdział bojowy byli w kiepskim stanie. Zarówno Panayis, jak i Brown mieli bardzo ograniczoną możliwość ruchów, przy czym twarz Caseya była szara z bólu. Po raz pierwszy od czasu wyjazdu z Aleksandrii Casey Brown był apatyczny i obojętny na wszystko. Mallory uważał to za bardzo zły znak. W dodatku nie ułatwiał mu marszu ciężki nadajnik na plecach, lecz Brown uporczywie ignorował kategoryczny rozkaz Mallory.ego, żeby go wyrzucił. Po Loukim też było widać wyczerpanie. Jego ciało nie dorównywało duchowi – mimo zaraźliwego uśmiechu, który nigdy

nie opuszczał jego twarzy, mimo zawadiacko podkręconych wąsów, które kontrastowały tak dziwnie ze smutnymi i zmęczonymi oczyma. Miller zmęczył się tak samo jak Mallory, ale podobnie jak on mógł jeszcze wytrzymać wiele. Stevens był nadal przytomny, ale nawet w półmroku wąwozu jego twarz robiła wrażenie niesamowicie przezroczystej, paznokcie zaś, wargi i powieki – zupełnie pozbawionych krwi. Tylko Andrea, który niósł go po tych karkołomnych górskich ścieżkach

–jeśli można je tak było nazwać

–przez dwie długie jak wieczność godziny, wyglądał jak zwykle: rześko i krzepko. Mallory wyciągnął papierosa, chciał zapalić, ale przypomniał sobie nadal krążące nad nimi samoloty, i wyrzucił zapalniczkę. Jego wzrok leniwie wędrował wzdłuż wąwozu... Nagle zdrętwiał, krusząc między palcami nie zapalonego papierosa. Wąwóz nie był podobny do żadnego z tych, przez które dziś przechodzili – szerszy, niebezpiecznie prosty i przynajmniej trzy razy dłuższy od innych. Ponadto, o ile mógł stwierdzić w półmroku, przeciwległy koniec zamykała prawie pionowa ściana.

–Louki! – Mallory zerwał się, zapominając o zmęczeniu. – Wiesz, gdzie jesteśmy? Znasz ten wąwóz?

–Oczywiście, majorze! – Louki był urażony. – Czy nie mówiłem panu, że Panayis i ja w dniach naszej młodości...

–Przecież to jest ślepy zaułek! – zaprotestował Mallory.

–Jesteśmy w pułapce, człowieku! Louki uśmiechnął się bezwstydnie i podkręcił koniuszek wąsa. Bawił się doskonale.

–Tak. Więc major nie wierzy Loukiemu? – Uśmiechnął się znowu i poklepał skałę. – Panayis i ja działaliśmy w ten sposób przez całe popołudnie. W tej ścianie jest masę jaskiń. Jedna z nich prowadzi do następnego wąwozu, który wychodzi prosto na dolinę nad morzem.

–Rozumiem, rozumiem. – Mallory z ulgą usiadł znowu na ziemi.

– A w jakim rejonie?

–Na cieśninę Maidos.

–Jak daleko od miasta?

–Około pięciu mil, majorze, może sześć. Nie więcej.

–Pięknie! Ale czy aby na pewno znajdziesz tę jaskinię?

–Nawet po ciemku i z zawiązanymi oczami – chwalił się Louki.

–Doskonale! – W tej samej chwili Mallory gwałtownie rzucił się w bok, skręcił w powietrzu, aby nie wpaść na Stevensa, i uderzył mocno o ścianę między Andream i Millerem. W chwili bezmyślnej nieostrożności wychylił się tak, że był widoczny z parowu, którym tu przed chwilą przyszli; seria z karabinu maszynowego, wystrzelona z odległości najwyżej stu pięćdziesięciu jardów, o mało nie urwała mu głowy. Ale i tak kurtkę miał rozdartą, a pocisk drasnął mu lewy bark. Miller już klęczał u jego boku, delikatnie obmacując ranę.

–Głupota, diabelna głupota – mruknął Mallory. – Nie myślałem, że są tak blisko. – Wcale nie był taki spokojny, za jakiego chciał uchodzić. Gdyby wylot lufy tego schmeissera był o jedną

szesnąstą całą bardziej w prawo, nie miałby już głowy.

–Czy nic się panu więcej nie stało, komendancie? – dopytywał się Miller. – Czy oni...

–Marni strzelcy – zapewnił go wesoło Mallory. – Nie trafiliby nawet w stodołę. – Przekręcił głowę, żeby spojrzeć na swój bark. – Nie lubię pozować na bohatera, ale to rzeczywiście tylko zadrapanie... – Wstał szybko i podniósł broń. – Bardzo przepraszam, panowie, ale najwyższy czas, żebyśmy sobie stąd poszli. Jak daleko do jaskini, Louki? Louki potarł zarośnięty podbródek, a jego uśmiech nagle znikł. Zerknął na Mallory.ego i odwrócił zaraz oczy.

–Louki!

–Tak, majorze, tak. Jaskinia.

–Louki znowu potarł podbródek.

–Mamy jeszcze spory kawałek drogi. Właściwie to ona jest na końcu – powiedział z zakłopotaniem.

–Na samym końcu? – zapytał spokojnie Mallory. Louki przytaknął z nieszczęśliwą miną i wbił oczy w ziemię. Jego wąsy jakby opadły.

–To się pięknie składa – powiedział ciężko Mallory. – Bardzo pięknie! – Opadł znowu na ziemię. – To nam wystarczy. Spuścił głowę w zamyśleniu i nawet jej nie podniósł, gdy Andrea wytknął brena z za skały i oddał krótką serię, raczej na postrach niż w nadziei, że kogokolwiek trafi. Minęło znowu dziesięć sekund, nim

Louki się odezwał ledwie słyszalnym głosem.

–Bardzo, bardzo przepraszam. To straszne. Bóg mi świadkiem, majorze, nie zrobiłbym tego, ale myślałem, że oni są jeszcze daleko.

–Nie twoja wina, Louki. – Mallory.ego wzruszyła wyraźna rozpacz małego człowieczka.

Dotknął jego ramienia. – Myślałem to samo. Stevens położył dłoń na peemie Mallory.ego.

–Czy coś jest nie w porządku? Nic nie rozumiem.

–Poza tobą wszyscy chyba rozumieją, Andy. To bardzo proste. Musimy iść jeszcze wąwozem dobre pół mili bez żadnej osłony, a strzelcy alpejscy są od nas o niecałe dwieście jardów. – Urwał, gdy Andrea wystrzelił kolejną serię na postrach, po czym podjął: – Będą robili to, co robią dotychczas: będą próbowali się przekonać, czy jeszcze tu jesteśmy. Jak tylko stwierdzą, że odeszliśmy, skoczą w mgnieniu oka. Przyduszą nas, zanim będziemy w połowie, a nawet w jednej czwartej drogi do jaskini. Wiesz, że nie możemy się szybko poruszać. A oni mają parę kaemów, rozniosą nas na kawałki.

–Rozumiem – mruknął Stevens.

–Pan to bardzo ładnie ujął, sir.

–Przepraszam, Andy, ale tak wygląda sytuacja.

–A nie może pan zostawić dwóch ludzi jako straż tylną, podczas gdy reszta...

–A co się stanie z tą strażą tylną? – przerwał oschle Mallory.

–Wiem, o czym pan myśli – szepnął Stevens. – Nie przyszło mi to do głowy.

–Ale innym przyjdzie. To problem, co?

–Żaden problem – oznajmił Louki. – Pan major jest uprzejmy, ale to wszystko moja wina. Więc ja...

–Do cholery z uprzejmościami! – warknął z wściekłością Miller. Wyrwał Loukiemu bretna z ręki i położył go na ziemi. – Słyszałeś, co komendant powiedział: To nie twoja wina. – Przez chwilę Louki patrzył na niego gniewnie, a potem odwrócił głowę w poczuciu porażki. Wyglądał tak, jakby miał się rozpłakać. Mallory również patrzył na Amerykanina, zdziwiony nagłą gwałtownością, tak nie pasującą do jego charakteru. Teraz przypomniał sobie, że Dusty przez poprzednią godzinę był bardzo milczący i zamyślony; i że przez cały ten czas nie powiedział ani słowa. Ale jeszcze będzie kiedy się o to martwić... Casey Brown poprawił okaleczoną nogę i spojrzał z nadzieją na Malloryego.

–Czy nie możemy tu zostać, aż się zrobi ciemno, naprawdę ciemno, a potem ruszyć dalej?...

–Nic nam to nie da. Dziś jest prawie pełnia, a na niebie nie ma ani jednej chmurki. Niemcy nas osiągną. Poza tym najważniejsze, żebyśmy weszli do miasta między zachodem słońca a godziną policyjną. To nasza ostatnia szansa. Bardzo mi przykro, Casey, ale to się nie uda. Minęło w milczeniu piętnaście sekund, gdy nagle odezwał się Andy Stevens.

–Louki miał rację – powiedział. Głos miał słaby, ale tak spokojny i pewny siebie, że wszyscy podnieśli głowy. Opierał się na łokciu, a w rękę trzymał brena Loukiego. Nikt nie spostrzegł, kiedy go wziął. – Wszystko jest bardzo proste – kontynuował spokojnie. – Pomyślcie tylko... Gangrena przeszła mi już za kolano, prawda, sir? Mallory nic nie odrzekł, nie wiedział, co mówić, to nieoczekiwane pytanie wytrąciło go z równowagi. Uświadomił sobie niejasno, że Miller na niego patrzy i prosi oczyma, aby zaprzeczył.

–Tak czy nie? – W głosie porucznika była niecierpliwość i dziwne zrozumienie wszystkiego, i nagle Mallory wiedział już, co ma powiedzieć.

–Tak – potwierdził. –

Przeszła. Miller patrzył na niego ze zgrozą.

–Dziękuję, sir. – Stevens uśmiechał się z satysfakcją. – Naprawdę bardzo dziękuję. Nie ma celu wykazywać wszystkich korzyści mojego pozostania tutaj. – Mówił z taką pewnością, jak nigdy dotychczas, był w nim autorytet człowieka całkowicie panującego nad sytuacją. – Najwyższy czas, żebym i ja coś zrobił. Proszę tylko bez czułych pożegnań. Zostawcie mi ze dwie skrzynki z amunicją i dwa albo trzy granaty i idźcie stąd.

–Diabła tam! – Miller był już na nogach, chciał podskoczyć do chłopca, ale stanął w miejscu, gdy lufa brena skierowała się w jego pierś.

–Jeszcze jeden krok i cię zastrzelę – odezwał się Stevens łagodnie. Miller patrzył na niego długo i powoli znowu usiadł na



ziemi. – Chciałbym, żebyś o tym wiedział – rzekł Stevens. – No, żegnajcie, panowie. Dziękuję za wszystko, coście dla mnie zrobili. Minęła cała minuta w niesamowitym, hipnotycznym milczeniu, wreszcie Miller znowu podniósł się ciężko – wysoki, smukły mężczyzna w podartym ubraniu, o twarzy dziwnie strapionej.

–Cześć, chłopcze. Chyba... no cóż, może wcale nie jestem taki mądry mimo wszystko. – Ujął dłoń Stevensa, patrzył przez chwilę na jego wynędzniałą twarz, chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. – Do zobaczenia – powiedział nagle, odwrócił się i ciężkim krokiem poszedł w głąb wąwozu. Inni, jeden za drugim, poszli za nim bez słowa, z wyjątkiem Andrei, który zatrzymał się i szepnął coś chłopcu do ucha, a jego szept wywołał uśmiech i skinienie całkowitego zrozumienia. Potem pozostał tylko Mallory. Stevens również uśmiechnął się do niego.

–Dziękuję, sir. Dziękuję, że mnie nie opuściliście. Pan i Andrea rozumiecie. Zawsze mnie rozumieście.

–Ty... czujesz się dobrze, Andy? – Boże, myślał Mallory, co za głupie, co za idiotyczne pytanie.

–Słowo honoru, sir. Czuję się świetnie. – Stevens uśmiechnął się z zadowoleniem. – Nic mnie nie boli, nic nie czuję. To cudowne!

–Andy, nie powinieneś...

–Już czas na pana, sir. Będą na pana czekali. Teraz proszę tylko zapalić mi papierosa i wystrzelić krótką serię do tamtego wąwozu... W ciągu pięciu minut Mallory dogonił resztę grupy, a po kwadransie wszyscy dotarli do jaskini, która prowadziła ku

wybrzeżu. Przez chwilę stali u wejścia, nasłuchując nie milnącej strzelaniny z przeciwległego końca wąwozu, a potem odwrócili się bez słowa i weszli do jaskini. Andy Stevens tymczasem leżał na brzuchu, obserwując bacznie prawie zupełnie ciemny teraz parów. Nie czuł żadnego bólu. Głęboko zaciągnął się papierosem, z uśmiechem zakładając nowy magazynek do brena. Po raz pierwszy w życiu Andy Stevens był szczęśliwy, zadowolony, w zgodzie z samym sobą. Już się nie bał. Rozdział trzynasty Środa wieczór Godz. #/18#00\_#/19#15 Dokładnie w czterdzieści minut później dotarli bezpiecznie do centrum miasta Nawarona i znaleźli się w odległości pięćdziesięciu jardów od wielkich wrót fortecy. Mallory, wpatrując się we wrota i otaczający je masywny kamienny łuk, usiłował zwalczyć uczucie niewiary i zdumienia, że wreszcie niemal osiągnęli cel. Myślał, że w końcu coś się musi udać, że prawo prawdopodobieństwa jest przeciwko złemu losowi, który prześladował ich bez przerwy od czasu, gdy przybyli na wyspę. Musi się to zmienić, powtarzał sobie Mallory, na pewno się zmieni, ale mimo wszystko przeskok z ciemnego wąwozu, gdzie zostawili Andy.ego Stevensa, na ulice Nawarony, był tak szybki i łatwy, że wprost nie do wiary. Pierwsze piętnaście minut nie było jednak wcale łatwe. Gdy weszli do jaskini, zraniona noga Panayisa tak nagle odmówiła mu posłuszeństwa, że się przewrócił. Mallory pomyślał, że Panayis musiał straszliwie cierpieć od swej poszarpanej, prymitywnie opatrzonej rany, lecz mrok oraz ciemna, zacięta, nieruchoma twarz maskowały ból. Prosił Mallory.ego, by mu pozwolono zostać na miejscu i powstrzymać Niemców, gdy pokonają Stevensa i zbliżą się do końca wąwozu, lecz Mallory odmówił ostro. Powiedział brutalnie, że Panayis jest zbyt cenny, by go zostawiać, natomiast istnieje małe prawdopodobieństwo, żeby Niemcy odnaleźli akurat tę jaskinię wśród tysiąca innych. Mallory nie lubił mówić takich

rzeczy, ale nie było czasu na owijanie w bawełnę i Panayis musiał to zrozumieć, bo ani nie protestował, ani się nie wyrywał, gdy Miller i Andrea podnieśli go i pomogli mu kuśtykać dalej. Mallory zauważył, że utykanie rychło stało się o wiele mniej wyraźne, może dzięki pomocy, a może dlatego, że gdy Panayisowi odmówiono okazji zabicia jeszcze paru Niemców, przesadne okazywanie cierpienia straciło sens. Ledwie wyszli z jaskini i tarasową doliną zaczęli się przedzierać ku wyraźnie widocznej w półmroku ciemnej przestrzeni Morza Egejskiego, Louki usłyszał coś i dał znak wszystkim, żeby zachowali ciszę. Prawie natychmiast Mallory.ego doleciał również cichy, gardłowy głos, zagłuszany czasem chrzęstem stóp na żwirze. Na szczęście zasłaniało ich kilka okaleczonych drzew. Mallory polecił im zatrzymać się i zaklął z wściekłością, gdy rozległ się odgłos upadku i stłumiony okrzyk. Cofnął się, żeby sprawdzić, co się stało, i zobaczył Panayisa rozciągniętego na ziemi i nieprzytomnego. Miller zbadał go i wyjaśnił, że z rozpędu wpadł na Panayisa, któremu noga znowu odmówiła posłuszeństwa, tak że przewrócił się, uderzając głową o kamień. Mallory pochylił się – znów obudziło się w nim podejrzenie. Panayis to dzikus, urodzony zabójca, potrafiłby symulować wypadek, gdyby uważał, że zdoła obrócić go na swoją korzyść i wziąć jeszcze paru nieprzyjaciół na muszkę... Tym razem jednak nie było to oszustwo: siniak i krwawiące rozcięcie nad skronią były aż nadto rzeczywiste. Patrol niemiecki nie mając pojęcia o ich obecności oddalił się hałaśliwie. Zdaniem Loukiego komendant Nawarony chwycił się desperackich środków, usiłując zablokować wszystkie wyjścia z Czarciego Ogrodu. Mallory.emu wydawało się to nieprawdopodobne, jednak nie miał zamiaru nad tym dyskutować. Pięć minut później wyszli z doliny, a za następne pięć nie tylko osiągnęli drogę nadbrzeżną, ale zakneblowali i

związali dwóch wartowników, prawdopodobnie szoferów, którzy pilnowali ciężarówki i łazika zaparkowanych na drodze. Zabrali im mundury i hełmy i ukryli ich w krzakach. Przejazd do Nawarony był śmiesznie łatwy. Całkowity brak przeszkód nie dziwił nikogo

–wszystko stało się przecież tak niespodziewanie. Louki prowadził wóz siedząc obok Mallory.ego. Obaj mieli na sobie zdobyczne mundury. Louki prowadził ciężki samochód znakomicie, a to umiejętność rzadko na tych wyspach spotykana. Mallory.ego to zaskoczyło, Louki musiał mu przypomnieć, że przecież był przez wiele lat szoferem w konsulacie Vlachosa. Jazda do miasta zajęła im niecałe dwanaście minut – mały człowieczek nie tylko wspaniale kierował wozem, ale znał drogę tak dobrze, że jechał niemal z maksymalną szybkością i przeważnie w ogóle bez świateł. Podróż była nie tylko łatwa, ale prawie zupełnie bez przygód. Kilkakrotnie mijali zaparkowane ciężarówki, a niecałe dwie mile od miasta spotkali grupę składającą się z około dwudziestu żołnierzy maszerujących w przeciwnym kierunku. Louki zwolnił – byłoby wysoce podejrzane, gdyby przyspieszył, zagrażając życiu maszerujących – włączył jednak potężne reflektory, oślepiając ich i trąbiąc hałaśliwie. Mallory wychylił się z prawego okna i klął w doskonałej niemczyźnie, krzycząc, żeby zeszli z drogi do wszystkich diabłów. Usłuchali, a prowadzący ich młodszy oficer stanął na baczność, wyrzucając ramię w hitlerowskim pozdrowieniu. Zaraz potem wjechali na teren tarasowatych, obwiedzionych wysokimi murami ogrodów, minęli rozpadający się bizantyjski kościół i biało tynkowany prawosławny klasztor, leżące naprzeciwko siebie po obu stronach zakurzonej drogi, i niemal natychmiast znaleźli się w dolnej części starego miasta. Mallory odebrał tylko przelotne wrażenie wąskich, krętych i

mrocznych uliczek, zaledwie o parę cali szerszych od samochodu, wybrukowanych kocimi łbami. Następnie Louki przejechał łukowatą uliczką biegnącą stromo pod górę. Zatrzymał się raptownie: miał razem z Mallorym dokonać szybkiego przeglądu ciemnej ulicy, zupełnie pustej mimo sześćdziesięciu minut, jakie pozostały do godziny policyjnej. Z tyłu widniała kondygnacja białych kamiennych schodów bez żadnych poręczy, biegnących równoległe do ściany domu, ozdobionych bogato cementowaną kratą osłaniającą górny podest. Jeszcze nieco ogłuszony, Panayis wprowadził ich tymi schodami do wnętrza domu – wiedział dokładnie, jak iść – poprzez płaski dach, potem znowu w dół schodami, przez ciemny dziedziniec i wreszcie do starego budynku. Louki odjechał, zanim zdążyli wejść na schody, i dopiero teraz Mallory uświadomił sobie, że Louki nie uznał za stosowne wspomnieć, co zamierza zrobić z samochodem. Nadal obserwując bramę fortecy przez pozbawioną szyb dziurę w ścianie, Mallory stwierdził, że myśli wciąż z nadzieją, żeby broń Boże nic się nie stało małemu Grekowi o smutnych oczach. Nie tylko z powodu swojej olbrzymiej ofiarności i znajomości miejscowych stosunków był i pewnie nadal będzie dla nich cenny. Oprócz tych wszystkich względów Mallory żywił najgłębszą sympatię dla Loukiego za jego humor, entuzjazm, zapał do pomagania innym – z całkowitym lekceważeniem siebie.

–Był to bardzo miły człowieczek i Mallory miał dla niego ciepłe uczucia. Więcej niż dla Panayisa

–pomyślał kwaśno, a potem natychmiast pożałował swej myśli. Przecież to nie wina Panayisa, że jest taki, jaki jest. Na swój ponury sposób zrobił dla nich nie mniej niż Louki. Tyle że brakło

mu ciepła. Brakło mu również bystrości Loukiego, wyrachowanego oportunisty graniczącego niemal z geniuszem. To właśnie Louki wpadł na wspaniałą myśl, żeby wykorzystać ten opuszczony dom. Nie dlatego, żeby były jakieś trudności w znalezieniu pustego domu; gdy Niemcy zajęli stary zamek, mieszkańcy miasta, a przede wszystkim ci, co mieszkali przy rynku, wynosili się tuzinami do Margarithy i innych wiosek w okolicy. Bliskość fortecy, zamykającej rynek od północy, bardzo im działała na nerwy, bo zdobywcy stale się kręcili w bramie, wartownicy spacerowali tam i z powrotem, ciągle przypominając, że wolność zniknęła jak sen. Przeszło połowę domów po zachodniej stronie rynku – tej najbliższej fortecy – zajmowali więc teraz niemieccy oficerowie. Ale właśnie możliwość obserwowania fortecy z bliska była Mallory'emu na rękę. Gdy przyjdzie pora działania, będą mieli zaledwie kilkadziesiąt jardów do przejścia. A chociaż każdy godny swego tytułu dowódca garnizonu zawsze gotów jest na wszelkie niespodzianki, Mallory uważał za nieprawdopodobne, aby rozsądny oficer mógł podejrzewać jakąkolwiek grupę sabotażową o tak samobójcze skłonności, żeby spędziła cały dzień o rzut kamieniem od murów twierdzy. Sam dom miał mało walorów. Jako miejsce zamieszkania był tak niewygodny, jak tylko można sobie wyobrazić, i tak zrujnowany, że ledwie się trzymał. Zachodnia strona rynku

–wsparta o ścianę – i strona południowa były zabudowane nowoczesnymi domami z białego kamienia i paryjskiego granitu, stłoczonymi ciasno wedle panującej na tych wyspach niezmiennej mody; płaskie dachy miały za zadanie zatrzymywać jak najwięcej wody z zimowych deszczów. Jednak we wschodniej części rynku, w której się właśnie znajdowali, były stare, drewniane i torfowe budynki, jakie się często spotyka w odległych

górkich wsiach. Zamiast podłogi— zakłęste, nierówne klepisko, jeden zaś z kątów służył zapewne między innymi jako śmietnik. Pułap stanowił konstrukcję z nie heblowanych, szerniałych belek, tu i ówdzie obitych deskami, które z kolei pokryte były grubą warstwą ubitej ziemi. Znając podobne domy z Białych Gór Mallory wiedział, że przy pierwszym deszczu dach będzie ciekł jak sito. W jednym końcu izby znajdowało się coś w rodzaju półki wysokiej na trzydzieści centymetrów, która, podobnie jak w igloo Eskimosów, służyła za łóżko, stół czy miejsce do siedzenia — zależnie od potrzeby. Poza tym nie było żadnych mebli. Mallory wzdrygnął się i odwrócił głowę, gdy ktoś dotknął jego ramienia. Był to Miller, który wysączał właśnie resztki wina z butelki.

—Niech pan coś zje, komendancie — poradził. — A ja od czasu do czasu zerknę przez tę dziurę.

—Masz rację, Dusty. Dziękuję.

—Mallory ruszył w głąb izby — było ciemno jak w grobie, ale bali się zapalić światło — i wymacał jakoś drogę do półki. Niezmordowany Andrea rozpakował zapasy i przygotował posiłek: suszone figi, miód, ser, kiełbasa z czosnkiem i orzeszki ziemne. Straszliwa mieszanka, pomyślał Mallory, ale nic lepszego nie udało się zdobyć; poza tym był zbyt głodny, żeby się martwić o takie drobiazgi jak dogadzanie podniebieniu. Od czasu do czasu popijał to wszystko odrobiną miejscowego wina, które Louki i Panayis dostarczyli poprzedniego dnia, a słodkavo\_żywczy napój zabijał wszelki smak. Ostrożnie osłaniając dłonią zapałkę, Mallory zapalił papierosa i po raz pierwszy zaczął wyjaśniać swój plan wejścia do forticy. Nie musiał ściszać głosu — krosna w sąsiednim domu, jednym z niewielu jeszcze zajętych po tej stronie rynku, trzaskały bez

przerwy przez cały wieczór. Mallory podejrzewał, że zawdzięczają to Loukiemu, jakkolwiek trudno byłoby stwierdzić, jak zdołał przekazać to polecenie któremuś ze swych licznych przyjaciół. Lecz Mallory był po prostu zadowolony z tego stanu rzeczy i koncentrował się na możliwie jasnym przekazaniu innym swoich instrukcji. Najwidoczniej mu się to udało, bo nie było żadnych pytań. Przez kilka minut rozmawiali, a milczący zazwyczaj Casey Brown miał najwięcej do powiedzenia – narzekał gorzko na jedzenie, napój, na ranę i twardość pryczy, na której nie zmruży oka. Mallory uśmiechnął się do siebie, ale nie powiedział nic. Niewątpliwie stan zdrowia Casey Brown poprawiał się zdecydowanie.

–Sądzę, że dość już się nagadaliśmy, panowie. – Mallory wstał z pryczy i przeciągnął się. – Boże, ależ był zmęczony!

–Pierwsza i ostatnia okazja, żeby się porządnie wyspać. Zmiana posterunków co dwie godziny, ja biorę pierwszą.

–Sam? – zawołał Miller z drugiego końca izby. – Nie uważa pan, że powinniśmy wystawiać dwa posterunki, komendancie? Jeden od frontu, drugi od tyłu?

Ponadto wie pan, że wszyscy jesteśmy bardzo zmęczeni. Jeden wartownik może zasnąć. – W jego głosie brzmiał taki niepokój, że Mallory roześmiał się.

–Nie ma mowy, Dusty. Każdy będzie trzymał wartę przy oknie, a jeśli uśnie, natychmiast się obudzi, bo polecą na podłogę. Jesteśmy tak wykończeni, że nie możemy sobie pozwolić, aby ktoś nie spał niepotrzebnie. Najpierw ja, potem ty, później Panayis, Casey i na końcu Andrea.



–No tak, tak chyba będzie dobrze – zgodził się niechętnie Miller. Włożył Mallory.emu coś twardego i chłodnego do ręki. Mallory rozpoznał od razu ulubiony przedmiot Millera – pistolet z tłumikiem.

–W ten sposób będzie pan mógł powitać nie proszonych gości nie budząc całego miasta. – Cofnął się znowu w drugi koniec izby, zapalił papierosa, zaciągnął się spokojnie przez chwilę, a następnie zarzucił nogi na pryczę. W ciągu pięciu minut zasnęli wszyscy – z wyjątkiem Mallory.ego trzymającego przy oknie milczącą wartę. Jakies dwie czy trzy minuty później Mallory drgnął i nastawił uszu; doszedł go szelest skradających się kroków

–chyba z tyłu domu. – Trzask krosien w sąsiedztwie ustał i wokoło panowała cisza jak makiem zasiał. Szelest powtórzył się, tym razem nie ulegało żadnej wątpliwości: rozległo się delikatne pukanie do drzwi w końcu korytarza, od strony podwórka.

–Niech się pan nie rusza, kapitanie. – Andrea mruknął cicho, a Mallory.ego zdumiała po raz setny jego zdolność budzenia się z najgłębszego snu pod wpływem najłżejszego podejrzanego dźwięku, gdy normalnie najgwałtowniejsza burza z piorunami nie wyrwałaby go ze snu. – Zobaczę, kto to jest. To na pewno Louki. Rzeczywiście to był Louki. Sapał ciężko, bliski zupełnego wyczerpania, lecz niezwykle zadowolony z siebie. Z wdzięcznością wypił kubek wina, którego Andrea mu nalał.

–Diabelnie się cieszę, że cię widzę! – powiedział szczerze Mallory. – Jak poszło? Ktoś cię gonił? Mallory prawie widział, jak w ciemności Louki wyprostowuje się na całą swoją wysokość.

–Zupełnie jakby ci głupcy mogli zobaczyć Loukiego nawet w księżycową noc, a tym bardziej gonić go – powiedział z oburzeniem. Urwał i parę razy głęboko odetchnął. – Nie, nie, majorze, wiedziałem, że będziecie się o mnie martwili, więc biegłem przez cały czas. To znaczy prawie cały czas – poprawił się. – Nie jestem już taki młody, majorze.

–Przez całą drogę, skąd? – zapytał Mallory. Cieszył się, że w ciemności nie widać jego uśmiechu.

–Z Vygosa. To stary zamek, który Frankowie zbudowali wiele pokoleń temu, mniej więcej dwie mile stąd przy drodze wiodącej na wschód. – Pociągnął kolejny łyk wina. – Powiedziałbym, że więcej niż dwie mile, a przez całą drogę stamtąd tylko dwa razy przestawałem biec, mniej więcej na minutę. – Mallory miał wrażenie, że Louki żałuje swojej chwilowej słabości i wyznania, że nie jest już młodym człowiekiem.

–A co tam robiłeś? – zapytał.

–Po rozstaniu z wami dużo myślałem – odpowiedział Louki niejasno. – Ja zawsze myślę – uzupełnił. – Taki już mam zwyczaj. Pomyślałem, że jeśli żołnierze, którzy nas szukają w Czarcim Ogrodzie, wykryli brak samochodu, będą wiedzieli, że już nas tam nie ma.

–Tak – zgodził się Mallory. – Będą wiedzieli...

–Wtedy powiedzą: „Ha, verdammte Engl~ander, teraz ich capniemy”. Niemcy nie mają nadziei złapać nas na wyspie, gdzie Panayis i ja znamy każdą skałę i drzewo, każdą ścieżkę i jaskinię. I wiedzą, że my o tym wiemy. Przynajmniej będą więc

chcieli zyskać pewność, że nie dostaniemy się do miasta, i zablokują wszystkie drogi. Dzisiaj mieliśmy ostatnią szansę się tu dostać. Pan mnie rozumie? – zapytał z niepokojem.

–Usiłuję.

–Ale, po pierwsze – Louki rozłożył dramatycznie ręce – po pierwsze muszą być pewni, że nie ma nas w mieście. Byłoby bowiem głupotą blokować w tej sytuacji drogi. Muszą mieć pewność, że nas tu nie ma. A więc obława. Wielka obława. Obława z... jak się to nazywa?... z przeczesywaniem! Mallory ze zrozumieniem skinął głową.

–Boję się, że on ma rację, Andrea.

–Mnie też tak się zdaje – powiedział Andrea przygnębiony.

–Powinniśmy byli o tym pomyśleć. Ale może zdołamy się ukryć, na przykład na dachach, albo...

–Będzie przeczesywanie, powiedziałem – przerwał Louki niecierpliwie. – Ale w porządku. Pomyślałem o wszystkim, wiem, co robić. Zbiera się na deszcz. Niedługo chmury zakryją księżyc i będzie się można bezpiecznie poruszać... Nie interesuje pana, co zrobiłem z ciężarówką, majorze Mallory? – Louki cieszył się jak dziecko.

–Zupełnie o niej zapomniałem

–przyznał się Mallory. – Co zrobiłeś z ciężarówką?

–Zostawiłem ją na dziedzińcu zamku w Vygos. Potem opróżniłem cały zbiornik z benzyną i wylałem ją na samochód. A

potem zapaliłem zapałkę.

–Co zrobiłeś? – nie dowierzał Mallory.

–Zapaliłem zapałkę. Chyba byłem za blisko ciężarówki, bo zdaje się, że nie mam już wcale brwi. – Louki westchnął. – Szkoda... To była wspaniała maszyna. – Następnie rozpromienił się. – Ale jak Boga kocham, majorze, paliła się znakomicie. Mallory wytrzeszczył na niego oczy.

–Ale po co, u diabła?

–To proste – wyjaśniał cierpliwie Louki. – W tym czasie żołnierze w Czarcim Ogrodzie dowiedzieli się, że ich samochód został skradziony. Potem widzą ogień. Więc pędzą, żeby... jak to się mówi po angielsku?

–Zbadać sprawę?

–Tak. Zbadać sprawę. Będą czekać, aż się wszystko wypali. Potem zaczną badać znowu. Nie znajdą żadnych ciał ani spalonych kości, więc przeszukają zamek. A co znajdą? W izbie panowała cisza.

–Nic – oznajmił Louki niecierpliwie. – Nie znajdą nic. Wtedy przeszukają okolicę w promieniu pół mili. I co znajdą? Znowu nic. Wtedy rozumieją, że ich wystrychnięto na dudków i że jesteśmy w mieście. Więc zaczną przeczesywać miasto.

–Jak grzebieniem – mruknął Mallory.

–Jak grzebieniem. I co znajdą? – Louki urwał, a potem pośpieszył się, by ktoś nie popsuł końcowego efektu. – Znowu

nic nie znajdą – powiedział triumfująco. – A dlaczego? Bo do tego czasu lunie deszcz, księżyc zniknie, materiały wybuchowe zostaną ukryte, a my się schowamy!

–Schowamy, gdzie? – Mallory był oszołomiony.

–Gdzieżby, jak nie w zamku Vygos, majorze Mallory. Nigdy im nie przyjdzie do głowy, żeby nas tam szukać! To jasne jak słońce. Po dłuższej chwili Mallory zwrócił się do Andrei:

–Dotychczas kapitan Jensen popełnił jedną omyłkę: wybrał nieodpowiedniego człowieka na dowódcę tej wyprawy. Ale to nie ma znaczenia. Mając Loukiego, jak moglibyśmy przegrać? Mallory postawił delikatnie plecak na glinianym dachu, wyprostował się i wbił oczy w ciemność, osłaniając je dłonią przed pierwszymi kroplami deszczu. Nawet z tego miejsca, na rozwalającym się dachu najbliższego fortecy domu po wschodniej stronie rynku, mury twierdzy wystawały piętnaście, może dwadzieścia stóp nad ich głowami: osadzone na szczycie zabójcze ostrza nie były widoczne w ciemności.

–Ona tam jest, Dusty – mruknął Mallory. – Inaczej się nie da.

–Inaczej się nie da – powtórzył Miller wstrząśnięty. – Ja... Ja mam przez to przejść?

–Musiałbyś się bardzo namęczyć – odparł krótko Mallory. Ukazał zęby w uśmiechu, poklepał Millera po plecach i wskazał plecak u swoich stóp. – rozwiniemy linę, weźmiemy karabińczyki, przyczepisz się ładnie...

–I wykrwawię się na śmierć na tych sześciu pasmach

kolczastego drutu – przerwał Miller. – Louki powiada, że w życiu nie widział takich kolców.

–Przykryjemy je brezentem – powiedział pojednawczo Mallory.

–Mam bardzo delikatną skórę, komendancie – żalił się Miller.

–Nic pza sprężynowym materacem...

–Dobra, masz tylko godzinę na znalezienie go sobie – stwierdził Mallory obojętnie. Louki oceniał, że minie przynajmniej godzina, zanim obława przejdzie północną część miasta, co da jemu i Andrei okazję do rozpoczęcia dywersji.

–Schowajmy te rzeczy i wychodźmy stąd. Plecaki zakopimy w tym rogu i przykryjemy je ziemią. Ale najpierw wyciągnijcie linę: nie będziemy mieli czasu na rozpakowywanie, jak tu wrócimy. Miller przykląkł; szamotał się przez chwilę z paskami i nagle krzyknął.

–To nie może być ten pakunek

–mruknął z niesmakiem. – Nagle jego głos się zmienił. – Zaraz, poczekajcie jeszcze momencik.

–Co się stało, Dusty? Miller nie zaraz odpowiedział. Przez chwilę badał rękami zawartość paczki, po czym wyprostował się.

–Zapalnik z opóźnionym zapłonem, komendancie... – jego głos był ochryply z gniewu, wściekłego gniewu, który zdumiewał Mallory.ego –

... zniknął!

–Co?! – Mallory nachylił się, zaczął szukać w plecaku. – To niemożliwe, Dusty, po prostu niemożliwe! Do stu diabłów, człowieku, przecież sam pakowałeś!

–Jasne, komendancie – zgodził się Miller. – A potem jakiś drań za moimi plecami rozpakował to znowu.

–Niemożliwe! – zaprotestował Mallory. – To po prostu nieprawdopodobne, Dusty. Ty zapinałeś ten plecak, widziałem w lesie dziś rano, a Louki miał go przy sobie przez cały czas. A za Loukiego dałbym głowę.

–Ja również, komendancie.

–Może się mylimy. Może go zgubiłeś. Obaj byliśmy diabelnie zmęczeni, Dusty. Miller popatrzył jakoś dziwnie, najpierw nic nie powiedział, a później zaczął kląć znowu.

–To moja wina, komendancie. Cholera, to moja wina.

–O co ci chodzi? Jak Boga kocham, człowieku, byłem przy tym, jak... – Mallory urwał, wstał szybko i w ciemności usiłował dojrzeć coś na południowej stronie rynku. Rozległ się tam pojedynczy wystrzał, ostry jak trzaśnięcie z bicia wystrzał karabinowy, po którym nastąpiło wysokie, cienkie pojękiwanie rykoszetu, a następnie zapadła cisza.

–Mallory stał nieruchomo, zaciskając ręce. Minęło ponad dziesięć minut od czwili, gdy on i Miller opuścili Panayisa, żeby przeprowadzić Andreę i Browna do zamku w Vygos – o tej porze powinni już być daleko od rynku. A w każdym razie Louki nie powinien się tam znajdować. Polecenia Mallory.ego były bardzo

wyraźne – ukryć resztę kostek tntna dachu, poczekać tam i przeprowadzić jego i Millera do zamku. Ale coś mogło się nie udać, zawsze coś się może nie udać. Może jakaś pomyłka albo podstęp. Tylko jaki znowu podstęp? Nagły łoskot ciężkiego karabinu maszynowego odwrócił jego uwagę od tych myśli i na chwilę Mallory zamienił się we wzrok i słuch. Z kolei włączył się inny, lżejszy karabin maszynowy, ale tylko na parę sekund, i oba umilkły równie nagle, jak zaczęły. Mallory już nie czekał.

–Zbierz te rzeczy – szepnął.

–Weźmiemy je ze sobą. Coś się nie udało. W pół minuty wsadzili sznury i materiały wybuchowe do plecaków i ruszyli w drogę. Zgięci we dwoje, uważając, żeby nie robić hałasu, przebiegli po dachach ku staremu domowi, gdzie ukrywali się na początku, a gdzie teraz mieli się spotkać z Loukim. Byli zaledwie o kilka stóp od domu, gdy raptem ujrzeni podnoszącą się ciemną postać – tylko że to nie był Louki. Mallory stwierdził to od razu, ponieważ tamten mężczyzna był za wysoki na Loukiego. Z rozpędu rzucił się pionowo całym swoim stusiedemdziesięciofuntowym ciężarem ciała na nieznaną postać. Barkiem trafił tamtego tuż pod mostkiem, pozbawiając go tchu. W sekundę później żylaste ręce Millera zacisnęły się na szyi tamtego człowieka.

–I rzeczywiście, byłby go zadusił, gdyby Mallory pod wpływem jakiegoś przelotnego impulsu nie pochylił się nisko nad wykrzywioną twarzą z wybałuszonymi oczami. Ledwie zdołał stłumić okrzyk nagłej zgrozy.

–Dusty! – szepnął ochryple. – Na miłość boską! Puść go! To Panayis. Miller nie słyszał. W mroku jego twarz była jak kamień, jego głowa pochylała się coraz bardziej między uniesionymi



ramionami, gdy zaciskał dłonie, dusząc Greka w okrutnej ciszy.

–To Panayis, idioto, Panayis!

–Mallory dotykał prawie ucha Amerykanina, chwytając go za przeguby i próbując odciągnąć od gardła Panayisa. Słyszał stłumiony łomot pięt ofiary na dachu i ciągnął Millera z całej siły za rękę. Dwa razy już słyszał podobny dźwięk, gdy ktoś umierał w potężnych dłoniach Andrei, i wiedział z całą pewnością, że Panayisa spotka taki sam los, i to bardzo szybko, jeśli nie odciągnie Millera. Nagle Miller zrozumiał, rozluźnił mięśnie, wyprostował się na klęczkach i opuścił bezwładnie rękę. Oddychając głęboko patrzył na leżącego.

–Co się, u diabła, z tobą dzieje? – zapytał cicho Mallory.

–Głuchy, ślepy czy jedno i drugie?

–Chyba coś w tym rodzaju. – Wierzchem dłoni Miller potarł czoło. – Przepraszam, komendancie, przepraszam.

–Dlaczego, u diabła, mnie przepraszasz? – Mallory spojrzał na Panayisa: Grek usiadł teraz, masując sobie gardło i chrapliwie wciągając oddech. – Może Panayis przyjmie...

–Z przeprosinami można poczekać – przerwał szorstko Miller. – Niech pan go zapyta, co się stało z Loukim. Mallory spojrzał na Millera, chciał coś powiedzieć, rozmyślił się i przetłumaczył pytanie. Wysłuchał urywanej odpowiedzi Panayisa – najwidoczniej przy mówieniu bolało go gardło – i jego usta zacisnęły się w twardą linię. Miller widział, jak nagle ramiona Mallory'ego opadły, i poczuł, że nie może dłużej czekać.

–No i co, komendancie? Coś się stało Loukiemu, prawda?

–Tak – powiedział bezdźwięcznie Mallory. – Doszli tylko do zaułka i wleźli na mały niemiecki patrol. Louki próbował odciągnąć Niemców i dostał w pierś z karabinu maszynowego. Andrea zabił Niemca i zabrał Loukiego. Panayis mówi, że na pewno umrze..nv Rozdział czternasty Środa wieczór Godz. #/19#15\_#/20#00 Cała trójka opuściła miasto bez żadnych trudności i ruszyła na przełaj do zamku Vygos, unikając głównej drogi. Zaczął padać deszcz, gęsty, nieprzerwany. Grunt był rozmiękły i błotnisty, a kilka zaoranych pól, przez które mieli przejść, prawie nie do przebycia. Właśnie udało im się przebrnąć przez jedno z nich i widzieli już niewyraźne zarysy warowni w odległości niecałej mili – a nie trzech, jak podawał Louki – od miasta, gdy natrafili na opuszczoną lepiankę i Miller odezwał się po raz pierwszy od czasu, gdy wyszli z rynku.

–Jestem wykończony, komendancie. – Zwiesił głowę i dyszał ciężko. – Miller już się starzeje, nogi mi całkiem wysiadły. Nie moglibyśmy wejść na dwie minutki do środka, posiedzieć i zapalić? Mallory był zaskoczony, lecz pomyślał, że i jemu nogi odmawiają posłuszeństwa, więc zgodził się z żalem. Miller nie należał do ludzi, którzy narzekają, jeśli nie mają do tego wystarczających powodów.

–Dobra, Dusty. Minuta czy dwie nie robi nam wielkiej różnicy. – Przetłumaczył to szybko na grecki i wszedł do środka, a Miller tuż za nim, narzekając na swój podeszły wiek. Znalazłszy się w lepiance, Mallory wymacał drogę do nieodzownej tu drewnianej pryczy, usiadł z ulgą, zapalił papierosa i stwierdził ze zdziwieniem, że Miller nadal jest na nogach, powoli obchodzi izbę i obmacuje ściany.

–Dlaczego nie siadasz? – zapytał zły. – Przecież po to tu przyszedłeś.

–Nie, komendancie, wcale nie

–Miller mówił ze szczególnym naciskiem. – To był tylko wybieg, żebyśmy tutaj weszli. Mam tu kilka bardzo ważnych rzeczy, które chciałbym panu pokazać.

–Bardzo ważnych? O co chodzi, do diabła?

–Trochę cierpliwości, kapitanie – poprosił Miller. – Parę minut cierpliwości. Nie zmarnuję czasu, daję słowo.

–Dobrze. – Mallory zdumiał się, ale wierzył w Millera. – Jak chcesz. Tylko nie zwlekaj za długo.

–Dziękuję, komendancie. – Posługiwanie się regulaminowymi zwrotami wyraźnie nużyło Millera. – To nie potrwa długo. Tu powinna być lampa albo świeca... Pan kiedyś mówił, że wyspiarze zawsze zostawiają takie rzeczy w opuszczonym domu.

–To bardzo użyteczny dla nas przesąd. – Zapalając latarkę Mallory zajrzał pod pryczę, potem wyprostował się. – Jest kilka świec.

–Potrzebuję światła, komendancie. Okien tu nie ma, sprawdziłem.

–Zapal świecę, a ja wyjdę na dwór i zobaczę, czy nic nie widać. – Mallory nie miał pojęcia, do czego Amerykanin zmierza. Czuł jednak, że Miller jest tak pewny siebie, że żadne pytania nie wchodziły w rachubę. Wrócił po chwili. – Nie widać nic – oznajmił.

–Doskonale. Dziękuję, komendancie. – Miller zapalił drugą świecę, zdjął z ramion plecak, położył go na pryczy i stanął nad nim bez słowa. Mallory zerknął na zegarek.

–Miałeś mi coś pokazać – nalegał.

–Tak jest. Mówiłem o trzech rzeczach. – Sięgnął do plecaka, wyciągnął małe czarne pudełko, niewiele większe od pudełka zapalek. – Eksponat numer jeden, komendancie.

–Co to jest?

–Zapalnik zegarowy. – Miller zaczął odkręcać tylną panewkę. – Nie znoszę tych rzeczy. Zawsze czuję się jak anarchista z karykatury. Ale one są skuteczne. – Zdjął wieczko pudełka i zbadał mechanizm w świetle świecy. – Tylko nie ten

–dodał miękko. – Zegar jest w porządku, ale wtyczki kontaktowe zostały wygięte. Może tykać do sądnego dnia i nie podpali nawet fajerwerku.

–Ale w jaki sposób...?

–Eksponat numer dwa – Miller w ogóle go nie słuchał. otworzył skrzynkę z detonatorami, z filcowej, wywatowanej podściółki ostrożnie podniósł zapalnik i obejrzał go dokładnie przy świecy. Znowu spojrzał na Mallory.ego. – Rtęć piorunująca, komendancie. Tylko siedemdziesiąt siedem gramów, ale wystarczy, by urwało człowiekowi palce. Czują jak diabli... tylko stuknąć i wybucha. – Cisnął detonator na podłogę, a Mallory krzyknął i mimo woli się cofnął, gdy Amerykanin zmiażdżył rurkę obcasem. Ale wybuchu nie było.

–Sto przeciw jednemu, że reszta też jest unieszkodliwiona. – Miller wyłowił paczkę papierosów, zapalił i obserwował, jak dym wije się w świetle świec. Schował papierosy do kieszeni.

–Miałeś mi jeszcze coś pokazać – przypomniał Mallory spokojnie.

–Tak, mam panu zamiar jeszcze coś pokazać. – Powiedział to nie podnosząc głosu, lecz Mallory poczuł nagły chłód. – Mam zamiar pokazać panu szpiega, zdrajcę, najbardziej złośliwego, podstępnego, załganego drania, jakiego w życiu widziałem. – Amerykanin wyjął rękę z kieszeni, pistolet tkwił mu mocno w dłoni, muszka celowała w serce Panayisa. Mówił dalej, jeszcze ciszej: – Judasz Iskariota jest niczym w porównaniu z naszym przyjacielem, komendancie... Zdejmij kurtkę, Panayis!

–Co, u diabła, wyrabiasz? Zwariowałaś? – W Mallorym wściekłość walczyła ze zdumieniem, ale chwycił ostro za wyciągnięte ramię Millera, nieugięte jak żelazna sztaba. – Co to za idiotyzmy? On przecież nie rozumie po angielsku!

–Tak! Nie rozumie? To dlaczego wyskoczył jak oparzony, kiedy Casey powiedział, że coś słyszał w pobliżu... I dlaczego pierwszy wybiegł dziś po południu z lasu, jeśli nie rozumiał pana rozkazu? Zdejmuj kurtkę, Judaszu, albo ci przestrzelę rękę. Daję ci dwie sekundy. Mallory miał zamiar chwycić

Millera i przewrócić go na ziemię, ale powstrzymał się na widok twarzy Panayisa – wyszczerzonych zębów i morderczego wyrazu czarnych jak węgiel oczu. Nigdy przedtem Mallory nie widział takiej wściekłości w ludzkiej twarzy, wściekłości, która raptownie ustąpiła skurczowi bólu, gdy kula kalibru 0,32 utkwiała w ramieniu

tuż pod barkiem.

–Dwie sekundy, a potem drugie ramię – powiedział Miller sucho. Ale Panayis już zdierał z siebie kurtkę, a jego czarne zwierzęce oczy wlepione były w Millera. Mallory spojrzał na niego, zadrżał mimo woli i popatrzył na Dusty.ego. Obojętność, pomyślał. To jedyne słowo na określenie jego wyrazu twarzy. Obojętność. Nieoczekiwanie Mallory poczuł jeszcze większy chłód.

–Odwróć się! – Pistolet nawet nie drgnął. Powoli Panayis się odwrócił. Miller zrobił krok naprzód, chwycił za kołnierz czarnej koszuli i niemal jednym szarpnięciem zdał mu ją z grzbietu.

–No, i kto by to pomyślał...

–powiedział przeciągle. – Niespodzianka, po prostu niespodzianka! Pamięta pan, komendancie, że tego bohatera Niemcy chłostali publicznie na Krecie, bili go, że aż mu ciało odpadało od kości? Jego plecy są podobno w strasznym stanie... Mallory spojrzał i nie powiedział nic. Zupełnie stracił równowagę ducha, w głowie miał chaos, usiłował przestawić myśli na zupełnie nowe okoliczności. Żadna blizna, nawet najmniejsze zadrapanie nie kaziło ciemnej gładkości tej skóry.

–Przyschło jak na psie – mruknął Miller. – Tylko ktoś tak paskudnie podejrzliwy jak ja mógł pomyśleć, że on był niemieckim agentem na Krecie, że został rozszyfrowany przez aliantów jako funkcjonariusz piątej kolumny, stracił swą użyteczność dla Niemców, więc przerwali go na Nawaronę szybką motorówką pod osłoną nocy. Pobili go! Płynął z wyspy na wyspę na wiosłach! Jedno wielkie łgarstwo! – Miller urwał z niesmakiem. – Zastanawiam się, ile srebrników zarobił na Krecie,

zanim się na nim poznali.

–Ale na miłość boską, człowieku, nie masz przecież żadnych dowodów! – zaprotestował Mallory. Dziwne, ale nie czuł się wcale tak wzburzony, jak brzmiał jego głos. – Ilu aliantów mogłoby żyć, gdyby...

–Jeszcze pan nie jest przekonany? – Miller lekceważąco machnął pistoletem w stronę Panayisa. – Podwiń lewą nogawkę spodni, Judaszu. Masz na to dwie sekundy. Panayis zrobił, co mu kazano. Jego czarne nienawistne oczy nie odrywały się od Millera. Podwinął ciemne spodnie do kolan.

–Trochę dalej. Właśnie, chłopczyku – zachęcał go Miller.

–A teraz zdejmij ten bandaż. Całkowicie. – Minęło kilka sekund i Miller ze smutkiem potrząsnął głową. – Potworna rana, komendancie, potworna rana!

–Zaczynam rozumieć – odezwał się Mallory z namysłem. Ciemna muskularna noga nie była nawet draśnięta. – Ale dlaczego, na miłość boską...?

–To proste. Miał przynajmniej cztery powody. Ten młodzieniec jest zdradzieckim, oślizłym draniem – każdy szanujący się grzechotnik ominąłby go o milę – ale jest przy tym mądrym draniem. Udał rannego, żeby zostać w wąwozie w Czarcim Ogrodzie, gdy nas czterech cofnęło się, by zatrzymać Niemców na zboczu pod drzewami.

–Dlaczego? Bał się? Miller niecierpliwie potrząsnął głową.

–Ten młodzieniec niczego się nie boi. Został z tyłu, żeby napisać kartkę. Potem znów noga posłużyła mu jako pretekst, żeby zostać w jakimś miejscu i zostawić kolejną kartkę tam, gdzie by ją Niemcy łatwo znaleźli. Musiało to być dość wcześnie. Prawdopodobnie napisał, że wyjdziemy w takim to a takim miejscu i żeby się łaskawie przygotowali na nasze przyjęcie. I przygotowali się. Proszę pamiętać: to przecież ich samochodem pojechaliśmy do miasta... Po raz pierwszy zacząłem naprawdę podejrzewać naszego przyjaciela, kiedy się przewrócił, a potem tak szybko zaczął chodzić – o wiele za szybko jak na człowieka rannego w nogę. Ale dopiero kiedy otworzyłem plecak, tam na rynku, wiedziałym już na pewno.

–Wspomniałeś tylko dwa powody

–należał Mallory.

–Zaraz będą następne. Numer trzeci: mógł zostać z tyłu, gdy Niemcy szli na nas od frontu. Judasz nie miał zamiaru dać się zastrzelić, zanim otrzyma swoje srebrniki. A numer cztery? Pamięta pan zapewne tę wzruszającą scenę, kiedy prosił, żeby go zostawić przy wejściu do jaskini połączonej z wąwozem, którym mieliśmy uciec? Chciał oczywiście umrzeć jak bohater!

–Miał zamiar pokazać im właściwą jaskinię?

–Jasne. Był wtedy zrozpaczony. Nadal nie miałem pewności, ale zrobiłem się strasznie podejrzliwy, komendancie. Nie wiedziałem, czego może teraz próbować. Więc trzasnąłem go solidnie, jak się natknęliśmy na ten patrol w dolinie.

–Rozumiem – powiedział Mallory spokojnie. – Teraz rozumiem. –



Spojrzał ostro na Millera. – Powinieneś być mnie zawiadomić. Nie miałeś prawa...

–Chciałem, komendancie, ale nie było okazji. Ten młodzian nas nie opuszczał. Zacząłem już panu mówić pół godziny temu i właśnie wybuchła ta strzelanina.

–Racja – zgodził się Mallory.

–Kiedy po raz pierwszy zacząłeś go podejrzewać, Dusty?

–Jałowiec – odparł Miller zwięźle. – Pamięta pan, co Turzig powiedział, jak nas znaleźli? Powiedział, że poczuli dym z jałowca.

–Owszem. I rzeczywiście paliliśmy jałowiec.

–Jasne, że paliliśmy. Ale on powiedział, że poczuł to na Kostos. A tymczasem wiatr przez całą noc wiał od strony Kostos.

–Boże! – szepnął Mallory. – Oczywiście! A ja zupełnie nie zwróciłem na to uwagi.

–Szwaby musiały wiedzieć, gdzie jesteśmy. W jaki sposób? Przecież nie są jasnowidzami, tak samo jak ja nie jestem jasnowidzem. A więc musieli dostać cynk i rzeczywiście go dostali od naszego bohatera. Pamięta pan, jak mówiłem, że Panayis rozmawiał ze swoimi kumplami, kiedy zeszliśmy do Margarithy po zapasy? – Miller splunął z niesmakiem. – Zrobił ze mnie idiotę. Kumple? Jasne. Pewnie, że kumple – jego niemieccy kumple! A ta żywność, co to ją miał z kuchni komendanta – jasne, że z kuchni komendanta. Jeszcze mu

Skoda dał własną walizkę, żeby miał w czym nieść.

–A ten Niemiec, którego zabił wracając do wsi? Mógłbym przysiąc, że...

–Panayis go zabił. – W głosie Millera brzmiała absolutna pewność. – Jeden trup więcej, jeden mniej, co to znaczy dla niego... Prawdopodobnie wpadł na tamtego biednego szczeniaka w ciemności i musiał go zabić. Niech pan pamięta, że był z Loukim, w którym nie mógł wzbudzić podejrzeń. A winę tak czy inaczej zwałiby na

Loukiego. Ten facet to w ogóle nie człowiek. A pamięta pan, jak go wepchnęli wtedy do pokoju Skody w Margaricie razem z Loukim, broczącego krwią z rany w głowie? Mallory przytaknął.

–Był to wysokiej jakości sok pomidorowy. Prawdopodobnie również z kuchni komendanta – powiedział Miller gorzko. – Gdyby Skodę zawiodły inne środki, miałby na podorędziu tego kapusia. Dlaczego nie zapytał Loukiego, gdzie są ukryte materiały wybuchowe, nie mam pojęcia.

–Prawdopodobnie nie myślał, że Louki wie.

–Możliwe. Ale jedną rzecz ten sukinsyn umiał – używać lusterka. Musiał heliografować do garnizonu spomiędzy drzew chlebowych i zdradzić naszą kryjówkę. Nie było innej możliwości, komendancie. I w jakimś momencie rano musiał się dostać do mojego plecaka. Wyrzucił zapalnik z opóźnionym zapłonem, popsuł mechanizm zegarowy i detonatory. To dziw, że nie urwało mu rąk, kiedy majstrował przy tych zapalnikach. Bóg wie, gdzie się nauczył obchodzić z tym diabelstwem.

–Na Krecie – stwierdził Mallory z przekonaniem. – Niemcy się o to zatroszczyli. Nie cenią szpiegów, których nie można jednocześnie użyć jako sabotażystów.

–A jego cenili – powiedział Miller miękko. – Był dla nich bardzo użyteczny. Będzie im brakowało tego chłopaczka. To sprytny Judasz.

–Sprytny, ale nie dzisiejszej nocy. Powinien był się zorientować, że przynajmniej jeden z nas może go zacząć podejrzewać...

–Prawdopodobnie się zorientował – rzekł Miller. – Ale był źle poinformowany.

Loukiemu pewnie nic się nie stało. Chyba ten młodzieniec go namówił, żeby pozwolił mu zostać na miejscu. Louki zawsze się go troszeczkę bał. Potem pomaszerował do swoich kumpli przy bramie, powiedział im, żeby wysłali silny oddział do Vygosa po część naszej grupy, i poprosił, żeby parę razy wystrzelili w powietrze. Później wrócił, wlaź na dach i czekał na nasz powrót. Ale Louki zapomniał powiedzieć mu o jednej rzeczy: że mamy się właśnie spotkać na dachu domu, a nie wewnątrz. Więc nasz pieścuch wytrzeszczał z góry oczy, żeby dać sygnał swoim przyjaciółom, gdy tylko staniemy u drzwi. Założyłbym się, że ma w kieszeni latarkę. Mallory wziął kurtkę Panayisa i przeszukał ją szybko.

–Rzeczywiście ma.

–No właśnie. – Miller zapalił kolejnego papierosa, czekał, aż zapałka spłonie mu w palcach, i spojrzał na Panayisa. – Jakie masz uczucie przed śmiercią, Panayis? Czy myślisz o tych

wszystkich biedakach, którzy czuli to samo, co ty teraz – o tych wszystkich ludziach na Krecie, chłopakach z desantu morskiego i spadochroniarzach z akcji na Nawaronę, którzy musieli umrzeć, bo myśleli, że jesteś po ich stronie? Jakie masz uczucie, Panayis? Panayis nie powiedział nic. Lewą ręką ścisnął przestrzelone prawe ramię, usiłując zatamować krew. Stał bez ruchu: ciemna, gniewna twarz okryta maską nienawiści, zęby wyszczerzone. Nie było widać w nim lęku, ani śladu lęku. Mallory czekał z napięciem na ostatnią rozpaczliwą próbę ocalenia życia, którą Panayis z pewnością zrobi. Spojrzał na Millera i zrozumiał, że nie będzie żadnej próby; w Amerykaninie była jakaś niezwykła pewność i nieugiętość, jego nieruchoma ręka i oko w jakiś sposób wykluczały nawet myśl, a cóż dopiero próbę ucieczki.

–Oskarżony nie ma nic do powiedzenia. – W głosie Millera brzmiało zmęczenie. – Być może ja powinienem coś powiedzieć. Wygłosić dłuższą orację, że jestem prokuratorem, sędzią i katem w jednej osobie, ale nie będę się chyba trudził. Martwi są złymi świadkami... Możliwe, że to nie twoja wina, Panayis, możliwe, że istnieją jakieś ważne powody, dla których stałeś się tym, czym jesteś... Bogu to tylko wiadomo. Ja nie wiem i wcale mi na tym nie zależy. Za dużo było trupów na twojej drodze. Zabiję cię, Panayis, i to zaraz. – Miller rzucił papierosa i wdeptał go w klepisko. – Naprawdę nie masz nic do powiedzenia? Ale on nie miał nic do powiedzenia – nienawiść i wściekłość w czarnych oczach powiedziały wszystko za niego. Miller skinął głową, jakby zrozumiał. Starannie, dokładnie strzelił Panayisowi dwa razy w serce, zgasił świecę, odwrócił się i był już w połowie drogi do drzwi, nim trup runął na ziemię.

–Chyba nie dam rady tego zrobić. – Louki cofnął się potrzęsając

z rozpaczą głową. – Bardzo przepraszam, Andrea. Węzły są za mocno zaciśnięte.

–Nie szkodzi. – Andrea przetoczył się na bok i usiadł, próbując nadać ciasno związanym nogom i rękom wygodniejszą pozycję. – Oni są cwani, ci Niemcy, mokre powrozy można tylko przeciąć. – Rzecz charakterystyczna: nie wspomniał nawet, że dwie minuty temu podczołgał się do Loukiego i swymi stalowymi palcami rozwiązał sznury na jego rękach.

–Pomyślmy o czymś innym. Odwrócił się od Loukiego i popatrzył na kopcającą naftową lampę, która stała przy kracie. Świeciła żółtym i tak mętnym światłem, że Casey Brown, skrępowanego jak kura, a do tego jeszcze przywiązanego, jak inni, do powroza zwisającego z żelaznych haków w powale, widać było jako bezkształtną plamę w przeciwległym rogu kamiennej sali. Andrea uśmiechnął się do siebie ponuro. Znowu był więźniem: po raz drugi tego samego dnia. Schwymano ich w sposób tak łatwy i zaskakujący, że nie było żadnych szans oporu. Zupełnie nieoczekiwanie zostali złapani w sali na piętrze, w kilka sekund po rozmowie Casey z Kairem. Patrol niemiecki wiedział dokładnie, gdzie ich znajdzie, a jego dowódca, pewny, że to już koniec raz na zawsze, pochwalił się, jaką rolę odegrał Panayis. To wyjaśniało sprawę zaskoczenia i sukcesu Niemców. I trudno było im nie wierzyć, że ani Mallory, ani Miller nie mają żadnych szans. Ale Andrea nigdy nie myślał o ostatecznej klęsce. Jego zadumane spojrzenie przesunęło się od Browna wokół sali, zatrzymując się na fragmentach kamiennych ścian i posadzki, hakach, przewodach wentylacyjnych i ciężkiej kracie w drzwiach. Ktoś by pomyślał, że to więzienie, a właściwie sala tortur, lecz Andrea widział już takie budowle. Tutejsi ludzie

nazywali to zamkiem, ale właściwie była to stara wartownia, dwór obronny, wbudowany między baszty ze strzelnicami. A od dawna wymarła frankońska szlachta, która budowała te strażnice, lubiła dobrze żyć. Andrea wiedział, że nie znajdują się w sali tortur, tylko w spiżarni, gdzie wisały kiedyś połcie mięsa i upolowana zwierzyna. Umyślnie zbudowane są bez okien i światła, ażeby... Płomień! Andrea spojrział na kopnącą lampę baftową, jego oczy zwężyły się.

–Louki! – szepnął. Mały Grek odwrócił się. – Możesz się dostać do lampy?

–Chyba tak... Owszem, mogę.

–Zdejmij szkiełko – szepnął Andrea. – Przez ubranie, bo gorące. Potem zawiń je w coś i uderz o podłogę – delikatnie. Szkło jest grube, przetniesz mi więzy bez trudu. Louki przez chwilę wytrzeszczał na niego oczy, a potem zrozumiał. Przesunął się po podłodze, bo nogi miał nadal związane, sięgnął i nagle jego dłoń zatrzymała się o kilka zaledwie cali od szkła. Złowieszczy metaliczny dźwięk rozległ się w bezpośredniej bliskości. Podniósł głowę, żeby sprawdzić, co go spowodowało. Mógłby dotknąć ręką lufy mauzera, która wystawała spomiędzy krat. Wartownik znowu gniewnie szcęknął karabinem i krzyknął coś, czego Louki nie rozumiał.

–Zostaw, Louki – powiedział spokojnie Andrea. W jego głosie nie było śladu rozczarowania. – Wracaj. Nasz przyjaciel za kratą nie jest zachwycony. Louki posłusznie cofnął się na poprzednie miejsce, znowu usłyszał gardłowy głos, tym razem gwałtowny i zaniepokojony, brzęk kraty, gdy wartownik cofnął karabin i szybki tupot na płytach posadzki korytarza.

–Co mu się stało? – Brown był posępny i skwaszony jak zwykle ostatnio. – Chyba się zdenerwował.

–Zdenerwował się – potwierdził z uśmiechem Andrea.

–Właśnie zrozumiał, że Louki ma wolne ręce.

–No to dlaczego mu znowu nie zwiąże?

–Może jest tępawy, ale nie jest idiotą – wyjaśnił Andrea. – To mogłaby być pułapka, więc pobiegł po kolegów. Niemal w tej samej chwili usłyszeli huk, jakby gdzieś blisko zatrzasnęły się drzwi, tupot nóg w korytarzu, pobrzękiwanie kluczy na kółku, chrzęst klucza w zamku, ostry szczęk rygli, pisk zardzewiałych zawiasów, a potem dwóch żołnierzy, ciemnych i groźnych, wpadło do sali, z gotową do strzału bronią. Minęło kilka sekund, zanim ich oczy przyzwyczyły się do półmroku, po czym odezwał się żołnierz stojący bliżej drzwi.

–Straszne rzeczy, komendancie. Nic, tylko usiąść i płakać! Zostawiliśmy ich samych na parę minut i widzicie, co się stało? Powiązani jak gęsi na targu! Zaległa krótką, pełna niedowierzania cisza i nagle wszyscy trzej usiedli wytrzeszczając oczy. Brown pierwszy przyszedł do siebie.

–Najwyższy czas – powiedział z wyrzutem. – Myślałem, że już nigdy się tu nie dostaniecie.

–On chciał powiedzieć, że myślał, że już się nigdy nie zobaczymy – wyjaśnił Andrea spokojnie. – Ja też tak myślałem. A wy się zjawiacie cali i zdrowi!

–Tak – potwierdził Mallory. – Dzięki Dusty.emu i jego brzydkim podejrzeniom, jakimi ścigał Panayisa, podczas gdyśmy wszyscy spali.

–Gdzie on jest? – zapytał Louki.

–Panayis? – Miller lekceważąco machnął ręką. – Zostawiliśmy go... Zdarzył mu się wypadek. – Już był po drugiej stronie sali i ostrożnie rozcinał powrozy krępujące nogi Browna, pogwizdując przy tym fałszywie. Mallory zajmował się przecinaniem więzów Andrei, opowiadając szybko, co się zdarzyło, i słuchając równie zwięzłego sprawozdania o wypadkach w warowni. A potem

Andrea wstał, masując zdrętwiałe ręce i spoglądając z ukosa na Millera.

–To gwizdanie, mój drogi... Brzmi nie tylko okropnie, ale co gorsza, bardzo głośno. Niemcy...

–Nie ma się co martwić – wyjaśnił Mallory. – Nie spodziewali się zobaczyć znowu Dusty.ego i mnie... Bardzo kiepsko wypełniali swe obowiązki wartownicze. – Zwrócił się do kuśtykającego Browna.

–Jak tam noga, Casey?

–Doskonale, sir. – Brown lekceważąco machnął ręką. – Uzyskałem połączenie z Kairem, sir. Mój meldunek...

–Niech jeszcze poczeka, Casey. Musimy stąd jak najszybciej wyjść. Tobie, Louki, nic się nie stało?

–Jestem zrozpaczony, majorze Mallory. Mój rodak i zaufany



przyjaciel...

–Z tym również poczekamy. Chodźcie!

–Bardzo się spieszysz – zaprotestował łagodnie Andrea. Byli już na krużganku, przechodzili przez wartownika, który leżał jak szmata na posadzce. – Pewnie, jeśli reszta Niemców jest w takim samym stanie...

–Od nich nie grozi nam niebezpieczeństwo – przerwał Mallory niecierpliwie. – Za to ci w mieście... Rychło stwierdzą, że albo rozminęliśmy się z Panayisem, albo go zlikwidowaliśmy. Tak czy tak przylecą. Zastanówcie się tylko. Prawdopodobnie już są w połowie drogi, a jak się tu znajdują... – Urwał, spojrzał na zmiżdżone dynamo i szczątki nadajnika Caseya Browna, leżące w rogu hallu. – Załatwili się z tym dokładnie, co? – powiedział zmartwiony.

–Bogu dzięki – oświadczył Miller. – Mniej do dygowania na plecach. Gdybyście tylko zobaczyli, w jakim stanie jest mój grzbiet po tym cholernym dynamie.

–Sir! – Brown chwycił Mallory.ego za ramię. Był to ruch tak niezwykły u służbistego podoficera, że Mallory zatrzymał się ze zdziwienia. – Sir, to jest ogromnie ważne... Mówię o meldunku. Pan musi wysłuchać, sir! Śmiertelna powaga zaskoczyła Mallory.ego. Zwrócił się do Browna.

–Dobra, Casey, dawaj – powiedział. – Sytuacja nie może być gorsza, niż jest w tej chwili.

–Może być, sir. – W głosie Caseya Browna brzmiała nuta

zmęczenia i porażki. – Boję się, że może być gorsza, sir. Nawiązałem łączność. Odbiór był pierwszorzędny. Sam kapitan Jensen zgłosił się do mikrofonu i mało ze skóry nie wyskoczył. Czekał przez cały dzień, żeby nas złapać. Zapytał, jak nam idzie. Powiedziałem, że jest pan jeszcze poza fortem i mamy nadzieję dostać się do magazynu za godzinę albo coś koło tego.

–Mów dalej.

–Powiedział, że jest to najlepsza wiadomość, jaką mógłby usłyszeć. Powiedział, że jego informacja była fałszywa, że wystrychnięto go na dudka, bo flota inwazyjna nie zatrzyma się dzisiaj na Cykladach. Płynie pod niezwykle silną eskortą powietrzną i morską. Czegóż takiego nie widziano dotychczas na Morzu Śródziemnym. Dotrą do brzegów Cheros dzisiejszej nocy, przed świtem. Powiedział, że nasze niszczyciele czekały na południu przez cały dzień, wieczorem poszły dalej na północ i czekają na wiadomość od niego, co będzie można zdziałać w cieśninie Maidos. Ja mu zameldowałem, że może nam się nie wszystko uda, a on mi na to, że jak kapitan Mallory i Miller znajdą się już wewnątrz, to na pewno wszystko się uda, a poza tym nie może ryzykować życia tysiąca dwustu ludzi na Cheros tylko na tej podstawie, że mógłby się pomylić. – Brown urwał i przygnębiony patrzył w ziemię. Nikt się nawet nie poruszył ani nie powiedział słowa.

–Idziemy – szepnął Mallory. Jego twarz była bardzo blada.

–To wszystko, sir. Wszystko, co miałem do powiedzenia. Niszczyciele przechodzą przez cieśninę o północy. – Brown spojrział na świecące wskazówki swego zegarka. – O północy. Mamy cztery godziny.

–Ach, Boże! O północy! – Mallory był jak sparaliżowany, na chwilę zrobiło mu się czarno w oczach, zacisnął pięści w rozpacz i bezsilności. – Przechodzą o północy. Boże! Boże!

Rozdział piętnasty Środa wieczór Godz. 20\_2115

Zegarek wskazywał godzinę ósmą trzydzieści. Ósma trzydzieści. Dokładnie trzydzieści minut do godziny policyjnej. Mallory rozpląszczył się na dachu, przycisnął do niskiego murku, który prawie dotykał potężnych, pionowych murów fortecy. Kłął cicho. Wystarczyło, żeby jeden Niemiec z latarką wyjrzał zza blanków i wszystko by się skończyło. Wystarczył błędzący snop światła, żeby ich zobaczono. Miller wyciągnął się za Mallorym; w ramionach trzymał wielki akumulator samochodowy. Nie mieli żadnej osłony przed pierwszym lepszym Niemcem, który by spojrzął z góry. Może lepiej było zostać parę dachów dalej z Brownem i Loukim. Jeden z nich zajmował się robieniem dużych węzłów na linie, a drugi przymocowywał druciany hak do długiego bambusa, który wyłamali z płotu za miastem. Musieli się szybko schować, bo na drodze pojawiły się trzy ciężarówki pędzące do zamku Vygos. Ósma trzydzieści dwie. Co, u diabła, Andrea tak się tam guzdrze? – pomyślał Mallory z irytacją, ale zaraz się zreflektował. Andrea nie miał zwyczaju marnować niepotrzebnie nawet sekundy. Szybkie działanie było ważne, ale nerwowy pośpiech byłby fatalny. Nie wydawało się, żeby w fortecy pozostali jacyś oficerowie – raczej wyglądało na to, że przynajmniej połowa garnizonu przeczesuje miasto albo okolice w kierunku na Vygos. Gdyby jednak część została i któryś wszczął alarm, wszystko skończyłoby się tragicznie. Mallory patrzył na oparzony wierzch swojej dłoni i myślał o ciężarówce, którą podpalili. Podpalenie ciężarówki było jego jedyną zasługą spośród wydarzeń tej nocy. Poza tym wszystkie inne należało przypisać Andrei albo Millerowi. To Andrea wyszukał ten dom po

zachodniej stronie rynku, jeden z kilku przylegających do twierdzy i zajętych na kwatery oficerów, uznając go za jedyne możliwe rozwiązanie problemu. To Miller, który nie miał teraz ani zapalników czasowych, ani sprawnego mechanizmu zegarowego, ani dynama, ani żadnych innych źródeł energii elektrycznej, uświadomił im, że muszą mieć akumulator, a znowu Andrea słysząc z dala zbliżającą się ciężarówkę zablokował wielkimi kamieniami podjazd do warowni, zmuszając żołnierzy do opuszczenia samochodu przy bramie. Niemcy zaczęli biec ku ich domowi, a w tej sytuacji zaskoczenie szofera i jego pomocnika, obezwładnienie ich i wrzucenie do rowu zajęło zaledwie kilkanaście sekund. Niewiele więcej czasu potrzebował Miller, żeby odśrubować końcówki ciężkiego akumulatora, znaleźć nieodzowny kanister z benzyną i wylać jego zawartość na samochód. Ciężarówka wybuchnęła płomieniem. Ale, jak to już wcześniej stwierdził Louki, podpalanie oblatanych benzyną samochodów nie jest sprawą całkiem bezpieczną. Spalona skóra na rękę piekła boleśnie. Jednak ciężarówka płonęła wspaniale. Trochę szkoda: pożar zdemaskował ich ucieczkę wcześniej, niż należało, jednak ważną rzeczą było zniszczenie śladów wymontowania akumulatora. Mallory miał za wiele doświadczenia, by nie doceniać Niemców: łatwo wysnuliby odpowiednie wnioski. Drgnął i odwrócił się szybko, gdy Miller pociągnął go za nogę. Amerykanin wskazał Andreę, dającego sygnały z otworzonego dymnika w przeciwległym rogu dachu. Tak się zamyślił, a olbrzymi Grek miał tak kocie ruchy, że zupełnie nie zauważył jego przybycia. Mallory poczuł gniew na siebie za swe roztargnienie, wziął akumulator od Millera, szepnął, by mu sprowadził resztę grupy, a potem bezszelestnie przepęłznął po dachu. Akumulator był zdumiewająco ciężki, wydawało się, że waży z tonę, lecz Andrea wyjął mu go z rąk,

podniósł nad krawędzią dymnika, wsadził sobie pod pachę i lekko zszedł do małej sionki, jakby nic nie niósł. Potem wydostał się na kryty balkon, z którego rozciągał się widok na zaciemniony port, leżący prawie pionowo sto stóp w dół. Gdy delikatnie położył akumulator, Mallory dotknął jego ramienia.

–Coś nie w porządku? – zapytał cicho.

–Ależ skąd, mój drogi Keith.

–Andrea wyprostował się. – Dom jest pusty. Byłem tak zaskoczony, że obszedłem go dokoła dwa razy, żeby się upewnić.

–Świetnie! Cudownie! Pewnie wszyscy przeczesują okolicę. Ciekawe, jakie by mieli miny, gdyby im ktoś powiedział, że siedzimy w ich salonie.

–Nigdy by w to nie uwierzyli

–odparł bez wahania Andrea. – To jest ostatnie miejsce, w którym mogliby się nas spodziewać.

–Obyś miał rację! – szepnął żarliwie Mallory. – Podeszedł do bariery balkonu, spojrzął na czerń pod stopami i zadrżał. Było bardzo zimno, a lejący wciąż deszcz przenikał chłodem do kości... Cofnął się, potrząsnął barierą.

–Czy to jest dość mocne? Jak sądzisz? – zapytał.

–Nie wiem, mój drogi. Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami Andrea. – Mam nadzieję, że wytrzyma.

–Ja też – powiedział Mallory.

–Zresztą to nie ma większego znaczenia. Na razie wszystko w porządku. – Wychylił się znowu przez poręcz i spojrzał w prawo, nieco do góry. W deszczowej ciemności nocy ledwie potrafił rozróżnić jeszcze ciemniejszy wylot jaskini, kryjącej w sobie dwa wielkie działa – jakieś czterdzieści stóp od miejsca, gdzie teraz stał, i przynajmniej trzydzieści stóp wyżej. Przestrzeń tę wypełniała prostopadła ściana litej skały. Jeśli chodzi o dostępność, wylot jaskini mógłby się równie dobrze znajdować na księżycu. Cofnął się i odwrócił, słysząc, że Brown kuśtyka w stronę balkonu.

–Idź na front domu i stój tam, Casey. Stój przy oknie. Nie zamykaj frontowych drzwi. Gdyby przyszli jacyś goście, puść ich do środka.

–Ogłusz ich, zadźgaj, nie strzelaj – mruknął Brown. – Tak?

–Właśnie, Casey.

–To dla mnie drobnostka – rzekł ponuro. – Pokuśtykał z powrotem. Mallory zwrócił się do Andrei:

–Zajmie mi to dwadzieścia trzy minuty.

–Mnie również. Dwadzieścia trzy minuty przed samą dziewiątą.

–Powodzenia – mruknął Mallory.

–Dalej, Dusty. Ruszamy! W pięć minut później Mallory i Miller siedzieli w tawernie na południowej stronie rynku. Mimo krzykliwie niebieskiej barwy, na jaką karczmarz pomalował

wszystko: ściany, stoły, krzesła i półki (błękit i czerwień dla winiarni, zieleń dla cukierni stanowią niemal regułę na wyspach) – tawerna była ponura i kiepsko oświetlona, prawie tak ponura, jak surowi, wyniośli i wspaniale wąsaci bohaterowie wojen o niepodległość, których ciemne, płonące oczy patrzyły z tuzina wyblakłych oleodruków rozwieszonych na ścianach. Między każdą parą portretów znajdował się jaskrawy plakat reklamy piwa Fixa. Efekt tych ozdób jako całości był wprost niesamowity, a Mallory zadrżał, pomyślawszy, co by to było, gdyby karczmarz dysponował lepszym oświetleniem niż dwie kopcające naftowe lampy nad kontuarem. Jednak półmrok bardzo odpowiadał Mallory'emu i Millerowi. Ich ciemne ubrania, szamerowane kurtki, kamizelki i buty z cholewami wyglądały dość autentycznie, a dzięki turbanom z czarną taśmą, które Louki w jakiś cudowny sposób dla nich zdobył, wyglądali tak, jak powinni wyglądać w karczmie, gdzie każdy z wyspiarzy – a było ich tu ośmiu – miał identyczne nakrycie głowy. Stan ich ubrań nie wzbudzał wątpliwości karczmarza, trudno zresztą od właściciela winiarni wymagać, żeby znał wszystkich w pięciotysięcznym mieście. Ponadto był on, jak Louki twierdził, Grekiem patriotą i nawet nie mrugnął okiem, póki na sali siedzieli niemieccy żołnierze. A było ich czterech przy stole koło kontuaru. Dlatego Mallory cieszył się z półmroku. Był zresztą pewny, że ani on, ani Dusty nie muszą się specjalnie bać tych ludzi, których Louki nazwał pogardliwie ciurami. Mallory domyślił się, że są to pisarze ze sztabu. Mimo wszystko nie należało ryzykować i niepotrzebnie nadstawiać karku. Miller zapalił tutejszego cuchnącego papierosa i z niesmakiem zmarszczył nos.

–Coś tu paskudnie śmierdzi w tej norze, szefie.

–Zgaś papierosa – zaproponował Mallory.

–Nie uwierzy mi pan, ale to coś, co czuję, śmierdzi o wiele gorzej niż ten papieros.

–To haszysz – powiedział Mallory krótko. – Przekleństwo portów na tych wyspach. – Wskazał ciemny ką. – Tamci faceci w kącie palą co wieczór. To jedyny cel ich życia.

–Czy muszą przy tym robić taki paskudny hałas? – zapytał Miller opryskliwie. – Muzykalni to oni nie są. Mallory spojrzał na małą grupę w kącie, skupioną wokół młodego człowieka grającego na „bouzouko” – mandolinie o długiej szyjce. Śpiewał tęskną pieśń palaczy haszyszu z Pireusu. Muzyka istotnie miała w sobie pewną melancholię i egzotyczny urok i właśnie dlatego nim wstrząsała. Do takich pieśni trzeba mieć odpowiednią atmosferę i spokojną głowę, a on nigdy w życiu nie miał mniej spokojnej głowy niż teraz.

–To naprawdę brzmi trochę ponuro – zgodził się. – Ale przynajmniej dzięki temu możemy rozmawiać, co byłoby wykluczone, gdyby sobie poszli.

–I dobrze by zrobili – powiedział Miller ze złością. – Bardzo chętnie przestanę mówić.

–Z niesmakiem grzebał w „meze”

–mieszanie krojonych oliwek, wątroby, sera i jabłek, stojącej przed nim na talerzu. Jako dobry Amerykanin i wieloletni konsument burbona, nie lubił greckiego obyczaju picia przy jedzeniu. Nagle zgniótł papierosa na stole. – Na miłość boską,



szefie, ile czasu mamy tu jeszcze czekać? Mallory spojrzał na niego i odwrócił oczy. Wiedział dokładnie, jak się Dusty Miller czuje; czuł się dokładnie tak samo: podniecenie, gotowość, każdy nerw napięty do ostatecznych granic. Od kilku następnych minut będzie zależało, czy ich wszystkie trudy i cierpienia okażą się potrzebne, czy załoga Cheros pozostanie przy życiu, czy życie i śmierć Andyego Stevensa miały jakiś sens. Mallory widział, jak Miller nerwowo porusza rękami, jak pogłębiają się zmarszczki wokół jego oczu, jak zaciskają się usta; zauważył te wszystkie oznaki napięcia, lecz nie obawiał się ich. Ze wszystkich znanych mu ludzi, wyłączając jedynie Andreę, wybrałby na dzisiejszą noc tylko tego chudego, opryskliwego Amerykanina. Albo nawet i nie wyłączając Andrei. „Najlepszy sabotażysta w południowej Europie” – nazwał go w Aleksandrii kapitan Jensen. Miller przebył daleką drogę z Aleksandrii – tylko na tę jedną akcję, jedynie w tym celu. Dzisiejsza noc była nocą Millera. Mallory zerknął na zegarek.

– Za kwadrans godzina policyjna – powiedział spokojnie. – Cała heca zacznie się za dwanaście minut. My mamy jeszcze cztery minuty. Miller skinął głową i nie powiedział nic. Napełnił znowu szklanekę i zapalił papierosa. Mallory widział, jak drga mu nerw na skroni, i zastanawiał się obojętnie, ile drgających nerwów Miller widzi w jego twarzy. Zastanawiał się również, jak ranny Casey Brown daje sobie radę w domu, który właśnie opuścili. Pod wieloma względami miał najbardziej odpowiedzialne zadanie ze wszystkich, a w krytycznym momencie będzie musiał zostawić drzwi bez żadnej ochrony i cofnąć się na balkon. Stamtąd jest tylko jeden krok... Uśmiechnął się krzywo w odpowiedzi na niesamowite spojrzenie Millera. To musi się udać, po prostu musi. Co by się stało, gdyby zawiódł? – szybko oddalił od siebie

tę myśl. – Niedobrze myśleć o takich rzeczach, a przynajmniej nie teraz, nie w tej sytuacji. Zastanawiał się, czy dalej jego dwaj ludzie nie mają kłopotów. Powinni być na posterunkach, obława dawno przeszła górną część miasta, ale nigdy nie wiadomo, czy nie wyskoczy coś niespodziewanego, takie niebezpieczeństwo istnieje zawsze. Mallory znowu zerknął na zegarek. Nigdy jeszcze wskazówka sekundnika nie przesuwiała się tak powoli. Zapalił ostatniego papierosa, wypił ostatnią szklankę wina; słuchał nie słysząc dziwacznej przenikliwej pieśni Greka. A potem haszyszowa pieśń zamarła, szklanki były puste, a Mallory stał już na nogach.

–Czas wszystko pokaże – mruknął. – Zaczynamy. Swobodnie podszedł do drzwi, życząc dobrej nocy karczmarzowi. W progu stanął, zaczął niecierpliwie przeszukiwać kieszenie, jakby coś zgubił. Noc był bezwietrzna, padał deszcz, ciężkie krople rozpryskiwały się na kamieniach, a ulica w zasięgu jego wzroku była pusta. Skończywszy, odwrócił się, zaklął, zirytowany zmarszczył czoło i ruszył z powrotem w stronę stołu, zanurzając prawą dłoń w przepastnej wewnętrznej kieszeni kurtki. Zobaczył, że Dusty Miller odpycha krzesło i wstaje. Wtedy jego twarz wygładziła się i przestał szukać po kieszeniach. Był dokładnie o trzy stopy od stołu, przy którym siedziało czterech Niemców.

–Nie ruszać się! – mówił po niemiecku, głosem stłumionym, lecz równie surowym i groźnym jak marynarski colt 0,45, który trzymał w dłoni. – Jesteśmy gotowi na wszystko. Jeden ruch i koniec z wami. Przez pełne trzy sekundy żołnierze siedzieli bez ruchu; ich twarze nie miały żadnego wyrazu – poza rozszerzającymi się ze zdumienia oczami. I nagle żołnierz najbliższy kontuaru zamrugał szybko i poruszył ręką. Rozległ się okrzyk bólu – kula kalibru

0,32 wbiła mu się w ramię. Cichy trzask pistoletu z tłumikiem nie mógł być słyszalny na zewnątrz.

–Przepraszam, szefie – tłumaczył się Miller. – Możliwe, że on tylko cierpi na chorobę świętego Wita. – Patrzył z zainteresowaniem w wykrzywioną bólem twarz i ciemny strumyczek sączący się spomiędzy zaciśniętych na ranie palców. – Ale jeśli tak – to wygląda na uleczonego.

–Jest uleczony – powiedział Mallory surowo. zwrócił się do karczmarza – wysokiego, melancholijnego, o chudej twarzy i z obwisłymi wąsami. Mówił do niego szybko, potoczną greką z wysp. – Czy ci ludzie mówią po grecku? Karczmarz potrząsnął głową przecząco. Minę miał tak obojętną, jakby napady z bronią w swojej karczmie uważał za rzecz normalną.

–Oni nie! – powiedział z pogardą. – Może trochę po angielsku... na pewno. Ale nie naszym językiem. Jestem tego pewny.

–Dobrze. Jestem oficerem wywiadu brytyjskiego. Czy ma pan jakieś miejsce, gdzie bym mógł ukryć tych ludzi?

–Nie powinniście tego robić – zaprotestował łagodnie karczmarz. – Powieszają mnie za to.

–Ach, nie – Mallory przeskoczył przez kontuar i lufę pistoletu wepchnął karczmarzowi w brzuch. Teraz nikt nie mógł wątpić, że karczmarz został sterroryzowany; nikt nie widział, jak Mallory do niego zamrugał. – Zwiążę pana razem z nimi. W porządku?

–W porządku. Tam dalej za kontuarem jest kłapa w podłodze, a pod nią schodki do piwnicy.

–Dobrze. Znajdę je przypadkiem. – Mallory tak przekonująco pchnął karczmarza, że ten aż się potoczył; znowu przeszedł przez kontuar i zwrócił się do śpiewaków w rogu.

–Idźcie do domu – powiedział szybko. – Już prawie godzina policyjna. Wyjdźcie od tyłu i pamiętajcie: niczego ani nikogo nie widzieliście. Rozumiecie?

–Rozumiemy – odezwał się mandolinista. Wskazał kciukiem na swoich towarzyszy. – Żli ludzie, ale dobrzy Grecy. Może wam pomóc?

–Nie – odparł Mallory z naciskiem. – Pomyślcie o swoich rodzinach. Ci Niemcy was znają. Na pewno spotykacie ich tutaj co wieczór, prawda? Młodzieniec przytaknął.

–Więc zwiewajcie. Dziękuję za dobre chęci. W minutę później w półmroku oświetlonej świecą piwnicy Miller szturchnął żołnierza najbardziej zbliżonego doń wzrostem i budową.

–Zdejmuj ubranie! – rozkazał.

–Angielska świnia! – warknął Niemiec.

–Właśnie że nie angielska – zaprotestował Miller. – Daję ci trzydzieści sekund na zdjęcie kurtki i spodni. Niemiec kłął wściekle i nie wykonywał rozkazu. Miller westchnął. Niemiec był odważny, lecz czas uciekał. Wycelował starannie w jego rękę i nacisnął spust. Znowu rozległ się stłumiony trzask. Niemiec ze zdumieniem wytrzeszczył oczy na dziurę w lewym napiętku.

–Po co niszczyć dobre mundury

–powiedział Miller od niechcienia. Podniósł pistolet do góry, aż wreszcie żołnierz miał już lufę na poziomie oczu. – Następny strzał między oczy. – W jego głosie brzmiało zdecydowanie. – Ściągnięcie z ciebie munduru nie zajmie mi chyba wiele czasu. Ale Niemiec zrywał już z siebie kurtkę i spodnie, łkając z bólu i wściekłości. Minęło niecałe pięć minut, gdy Mallory i Miller, ubrani w niemieckie uniformy, otworzyli frontowe drzwi tawerny i ostrożnie wyjrzeni na ulicę. Deszcz lał jeszcze większy niż dotychczas, dokoła nie było żywej duszy. Mallory dał znak Millerowi i zamknął za nim drzwi. Razem wyszli na środek ulicy, nie próbując szukać osłony ani cienia. Do rynku było pięćdziesiąt jardów. Najpierw skręcili i poszli wzdłuż jego południowej strony, a potem na lewo, wzdłuż wschodniej, nie przyspieszając kroku, nawet gdy mijali stary dom, w którym ukrywali się wcześniej tego samego wieczora, ani nawet wtedy, gdy ręka Loukiego pojawiła się tajemniczo za uchylonymi drzwiami. Louki podał im dwa niemieckie plecaki – była w nich lina, zapalniki, kabel i materiały wybuchowe. Kilka jardów dalej zatrzymali się nagle i przykucnęli za dwiema olbrzymimi beczkami po winie przy zakładzie frzjerskim, obserwując dwóch uzbrojonych wartowników niemieckich stojących pod sklepieniem bramy, o sto stóp od nich. Czekali na sygnał. Czekali bardzo krótko – plan działań był skoordynowany co do sekundy. Mallory właśnie ściągał ramię plecaka, gdy seria wybuchów wstrząsnęła centrum miasta, oddalonego stąd o jakieś trzysta jardów. Potem rozległo się wściekłe ujadanie karabinu maszynowego i eksplozja. Andrea znakomicie wykonywał swoje zadanie za pomocą granatów i ładunków materiału wybuchowego. Nagle skurczyli się – z platformy nad bramą wystrzelił równoległy do muru szeroki snop światła, ukazując każde ostrze, każde pasmo kolczastego drutu, wyraźnie jak w dzień. Mallory i Miller spojrzeli po sobie ponuro.

Panayis o niczym nie zapomniał: gdyby szli tędy, zostaliby na tych murach jak muchy na lepie, zmasakrowani przez karabiny maszynowe. Mallory odczekał jeszcze pół minuty, po czym dotknął ramienia Millera, zerwał się i zaczął pędzić jak szalony przez rynek, przyciskając do siebie długi bambus z hakiem. Amerykanin galopował za nim. Dopadli bramy fortecy: zaskoczeni wartownicy wybiegli im na spotkanie.

–Wszyscy na ulicę Kamiennych Schodów! – wrzasnął Mallory. – Ci przekłęci angielscy sabotażyści wpadli tam w pułapkę! Musimy ściągnąć parę mózdzierzy. Szybko, człowieku, szybko, na miłość boską.

–Ale brama! – zaprotestował jeden z wartowników. – Nie możemy zostawić bramy! – Ten nie miał żadnych podejrzeń. Mrok, ulewa, żołnierz w niemieckim mundurze, doskonała niemczyzna, fakt, że w pobliżu jest strzelanina – wszystko to działało na korzyść Mallory.ego. Gdyby wartownik miał jakiegokolwiek wątpliwości, rzuciłoby się to w oczy.

–Idioto! – ryknął na niego Mallory. – „Dummkopf!” co masz tutaj do pilnowania? Te angielskie świny są na ulicy Kamiennych Schodów. Trzeba ich zlikwidować! Na miłość boską, szybko! – krzyczał rozpaczliwie.

–Jeśli nam znowu uciekną, wszyscy pójdziemy na front rosyjski! Mallory już kładł dłoń na ramieniu Niemca, żeby go popchnąć, ale dłoń opadła mu bezwładnie. Obaj wartownicy biegli już przez rynek i zniknęli w deszczu i ciemności. W parę sekund później Mallory i Miller byli już w głębi fortecy nawarońskiej. Panował tam zupełny chaos. Twórczy, zorganizowany chaos, jakiego można było oczekiwać po doświadczonych oddziałach alpejskich:

rozkazy, gwizdki, warkot ruszających ciężarówek, bieganina sierżantów ustawiających swoich ludzi w kolumny lub ładujących ich na samochody. Mallory i Miller przebiegli parę razy koło plutonów ustawionych przy ciężarówkach. Nie spieszyło im się znowu tak bardzo, ale nic by nie wzbudziło większych podejrzeń niż widok dwóch ludzi spacerujących spokojnie wśród powszechnego zamieszania. A więc biegli, spuszczać głowy albo odwracając się, ilekroć trafili na bardziej oświetlone miejsce. Miller, nie przyzwyczajony do takich wyczynów, klął z pasją. Minęli dwa bloki koszar po prawej stronie, elektrownię po lewej, następnie budynek sztabu po prawej i garaże po lewej.

Szli teraz po ciemku pod górę, lecz Mallory wiedział doskonale, gdzie się znajdują: tak dokładnie zapamiętał wskazówki Vlachosa i Panayisa, że mógłby znaleźć drogę nawet w zupełnej ciemności.

–Co to jest, szefie? – Miller chwycił Mallory'ego za ramię wskazując duży czworokątny budynek, majaczący niewyraźnie na horyzoncie. – miejscowy kryminal?

–Zbiornik wody – wyjaśnił Mallory. – Panayis mówił, że jest tu pół miliona galonów wody. W razie konieczności można zatopić magazyny. Są dokładnie pod nim. – Pokazał przysadzistą, podobną do skrzyni betonową budowlę nieco dalej. – Jedyne wejście do magazynu. Zamknięte i strzeżone. Zbliżali się teraz do kwater oficerów sztabowych. Dowódca mieszkał na drugim piętrze, okna wychodziły na potężną żelbetową wieżę namiarów, z której dowodzono obu wielkimi działami. Mallory zatrzymał się, wziął garść błota, rozsmarował je sobie na twarzy i kazał Millerowi zrobić to samo.

–Maskowanie – wyjaśnił. – Fachowcy uznaliby to za prymityw, ale trzeba to zrobić. Światło wewnątrz może być o wiele silniejsze niż tutaj. Wpadł na schody budynku kwater oficerskich, trzaskając drzwiami z taką siłą, że o mało nie wyrwał ich z zawiasów. Wartownik przy szafce z kluczami patrzył na niego ze zdumieniem, lufa pistoletu maszynowego skierowała się w pierś Mallory.ego.

–Opuść tę lufę, cholerny idioto! – warknął wściełkę Mallory. – Gdzie komendant? Szybko, ty bawole! To sprawa życia i śmierci!

–„Herr... Herr Kommandant?!”

–wykrztusił wartownik. – Wszedł... Wszyscy wyszli, może minutę temu.

–Co? Wszyscy wyszli? – Mallory patrzył na niego mrużąc oczy. – Mówisz, że wszyscy wyszli? – powtórzył stłumionym głosem.

–Tak, ja... ja jestem zupełnie pewny, że... – urwał nagle, gdyż spojrzenie Mallory.ego przykuł jakiś punkt, z tyłu za jego plecami.

–W takim razie, kto to jest, u diabła?! – wrzasnął Mallory. Wartownik nie byłby człowiekiem, gdyby się nie obejrzał. I właśnie gdy odwracał głowę, piekielny cios, zadany kantem dłoni według systemu dżudo, trafił go tuż pod lewym uchem. Mallory stłukł szybę szafki z kluczami, zanim nieszczęśnik zdążył się przewrócić na podłogę, porwał wszystkie klucze – a było ich razem koło tuzina – i schował do kieszeni. Dwadzieścia sekund zajęło mu zakneblowanie, związanie i zamknięcie w szafie wartownika. Potem obaj z Millerem ruszyli biegiem dalej. Jeszcze jedna przeszkoda do pokonania, myślał Mallory, gdy w ciemności



biegli wokół trzeciego i ostatniego pierścienia ubezpieczeń. Nie wiedział, ile ludzi będzie pilnowało wejścia do magazynu. W tym momencie dzikiego uniesienia nie troszczył się o to zbytnio, był pewny, że i Millera głowa o to nie boli. Teraz się już o nic nie martwił, nie czuł napięcia nerwów ani strachu. Mallory nigdy by się do tego nie przyznał ani nawet w to nie uwierzył, gdyby mu mówiono, ale zarówno on, jak i Miller byli urodzeni do takich akcji. Wyciągnęli latarki wymachując nimi, gdy przechodzili koło zmasowanych baterii dział przeciwlotniczych. Trudno o bardziej naturalny widok: dwóch ludzi biegnie nie próbując się nawet ukryć; jeden z nich krzyczy coś po niemiecku do drugiego i obaj mają w ręku zapalone latarki. Lecz latarki te były dobrze osłonięte i tylko bardzo uważny obserwator mógłby zauważyć, że smugi światła nigdy nie podnosiły się powyżej stóp biegnących. Wreszcie Mallory ujrzał dwa cienie wyłaniające się z czerni wejścia do magazynu i lekko musnął je światłem. Zwolnił biegu.

–W porządku! – powiedział stłumionym głosem. – Są. Tylko dwóch. Ty bierzesz jednego, ja drugiego, ale najpierw musimy podejść jak najbliżej. Szybko i spokojnie. Jeden krzyk lub wystrzał i koniec z nami. I, na miłość boską, nie wal latarką. W magazynie nie będzie światła, a nie myślę wymacywać tam drogi z zapalnikami! – przełożył latarkę do lewej ręki, wyciągnął colta, zabezpieczył go, chwycił za lufę i zatrzymał się gwałtownie tuż przed wartownikiem, który wyskoczył na ich spotkanie.

–Wszystko w porządku u was? – wysapał Mallory. – Nikogo tu nie było? Szybko, człowieku, szybko!

–W porządku. – Niemiec był zdenerwowany, wystraszony. – O co, na miłość boską, ten cały hałas...

–Ci cholerni angielscy sabotażyści! – zaklął Mallory z pasją. – Pozabijali wartowników i są w twierdzy! Jesteście pewni, że nikogo tu nie było? Dalej, muszę sprawdzić. Odepchnął wartownika, oświetlił latarką potężną kłódkę i wyprostował się.

–Bogu dzięki! – Odwrócił się i skierował snop światła prosto w oczy Niemca, mruknął coś, że przeprasza, i zgasił latarkę. Ostry trzask kontaktu zginął w miękkim klaśnięciu rękojeści colta, którą trafił Niemca za uchem, tuż pod hełmem. Wartownik złamał się w pół i zwałił na ziemię. Mallory runął na drugiego wartownika, potknął się, wyprostował i uderzył go silnie kolbą. W tej samej chwili osłupiał, słysząc dwa szybkie trzaśnięcia pistoletu Millera.

–Co, u diabła... – zaczął z oburzeniem.

–Sprytne ptaszki, szefie – mruknął Miller. – Bardzo sprytne. Z boku, w cieniu, stał trzeci bohater. Nie miałem innego sposobu, żeby go zatrzymać. – Z pistoletem w ręku pochylił się nad Niemcem. – Chyba zatrzymałem go na zawsze, szefie – powiedział beznamiętnie.

–Zwiąż tamtych dwóch. – Mallory zajął się już drzwiami magazynu, wypróbując kolejno klucze. Trzeci pasował, kłódka otworzyła się i ciężkie stalowe drzwi ustąpiły łatwo pod dotknięciem. Za drzwiami nie było nikogo, panowała zupełna cisza, poza warkotem silnika ostatniej z ciężarówek wyjeżdżających z twierdzy i dalekim terkotem broni maszynowej. Andrea wykonywał wspaniale swoje zadanie – byle tylko nie przesadził i nie odwłókł za bardzo odwrotu... Mallory zapalił latarkę i wszedł do środka, pewny, że Miller pójdzie za nim, ukończywszy swoje zajęcie. Pionowa stalowa drabinka prowadziła na dno jaskini. Po obu stronach znajdowały się windy,

nawet nie chronione siatką; naoliwione stalowe liny połyskiwały w środku szybów między stalowymi belkami, po których przesuwały się koła wodzące. Urządzenie niezwykle proste, lecz całkowicie wystarczające, ponieważ służyło tylko do transportu pocisków z magazynu. Mallory dotknął kamiennej posadzki i zatoczył pełny krąg latarką. Znajdował się w końcowym zaułku wielkiej jaskini, przykrytej ogromnym nawisem skały, która dominowała nad całym portem. Po krótkiej inspekcji stwierdził, że nie jest to zaułek naturalny, że został wykonany przez człowieka: wulkaniczną skałę podziurawiono świdrami i odstrzelono. Nie było tu nic poza dwoma szybami wind znikającymi w gęstej ciemności i drugą stalową drabinką, również prowadzącą do magazynu. Ale na magazyn mieli jeszcze czas. Na razie trzeba było sprawdzić, czy nie ma tu Niemców, i zabezpieczyć sobie dodatkową drogę odwrotu. Mallory szybko przebiegł tunelem przyświecając sobie latarką. Niemcy byli niezrównanymi mistrzami w dziedzinie min, a zwłaszcza min pułapek chroniących ważne urządzenia, lecz było mało prawdopodobne, żeby umieścili je w tym tunelu, w pobliżu kilkuset ton materiału wybuchowego. Tunel, niezwykle wilgotny, miał podłogę z desek, około siedmiu stóp wysokości i szerokości, jednak przejście w samym środku było bardzo wąskie, bowiem większą część przestrzeni zajmowały transportery nabojów i pocisków. W pewnym miejscu transportery skręcały – jeden na lewo, drugi na prawo, a sklepienie tunelu podnosiło się stromo i ginęło w ciemności. Prawie pod stopami Mallory zobaczył w świetle latarki dwie pary równoległych szyn wmurowanych w kamień, oddalonych od siebie o dwadzieścia stóp. Prowadziły one ku mającemu słabo wylotowi jaskini. Zanim jeszcze zgasił latarkę – Niemcy wracający z Czarciego Ogrodu mogli zauważyć światełko w ciemności – Mallory dojrzał przy końcu połyskujących

szyn dwie obrotowe platformy. Na nich przycupnęły jak potężne przedpotopowe potwory złowieszcze działa Nawarony. Trzymając w rękach latarkę i pistolet Mallory postępował powoli naprzód. czuł lekkie

łaskotanie w koniuszkach palców. Szedł ostrożnie, ale bez przesadnej ostrożności człowieka, który lada chwila oczekują jakichś kłopotów – był bowiem dość pewny, że w jaskini nie ma Niemców – tylko z tą dziwną, jakby senną powolnością człowieka, który osiągnął coś nieosiągalnego lub wreszcie zetknął się twarzą w twarz z groźnym i dawno poszukiwanym wrogiem. Jestem tu wreszcie – powtarzał sobie. – Jestem tu wreszcie, osiągnąłem to, osiągnąłem działa Nawarony. Przybyłem, żeby je zniszczyć, i wreszcie jestem przy nich. Ale mimo wszystko nie mógł w to uwierzyć. Powoli zbliżył się do dział, obszedł połowę platformy lewego działła, zbadał ją, o ile to było możliwe w ciemności. Był wstrząśnięty samym jego rozmiarem, straszliwym kalibrem i długością lufy, wysuniętej daleko w ciemność nocy. Przypomniawszy sobie, że zdaniem biegłych miało to być zaledwie dziewięciocalowe działko burzące, że ograniczona przestrzeń jaskini stwarza złudzenie ich przesadnej wielkości. Powtarzał to sobie i obliczał: lufa dwunastocalowa, ani cała mniej. Było to największe działko, jakie kiedykolwiek widział. Największe? Boże, było gigantyczne! Cóż to za idioci posłali „Sybaris” przeciwko takim działom! Tok jego myśli urwał się nagle. Mallory stał bez ruchu, oparty jedną ręką na potężnej lawecie, i usiłował sobie przypomnieć, jaki to dźwięk obudził jego czujność. Nadśłuchiwał, przymknąwszy oczy, dźwięk jednak już się nie powtórzył. Nagle Mallory zrozumiał, że to nie dźwięk, lecz właśnie brak dźwięku przerwał mu rozmyślanie i uruchomił gdzieś w podświadomości sygnał

alarmowy. Zrobiło się nagle cicho, bardzo cicho; strzelanina w centrum miasta ustała. Mallory zaklął. Już za dużo czasu spędził na marzeniach, a czas płynął szybko. Andrea się wycofał i lada chwila Niemcy powinni się zorientować, że ich oszukano. A wtedy przybiegną tutaj. Mallory prędko otworzył plecak, wyciągnął stustopowej długości linę z drutem w środku. Cokolwiek by się stało, musiał przygotować zapasową drogę odwrotu. Z liną na ramieniu ruszył ostrożnie, by znaleźć jakieś miejsce do zaczepienia jej, ale ledwie zrobił trzy kroki, uderzył kolaniem o coś twardego. Powstrzymał okrzyk bólu, wolną ręką pomacał przeszkodę i natychmiast zrozumiał, że jest to żelazna balustrada zamykająca wylot jaskini na wysokości pasa. Oczywiście! Musiało być coś takiego, jakaś bariera, która by zabezpieczyła ludzi przed wypadnięciem do morza, szczególnie w ciemną noc. Nie dostrzegł jej przez lornetkę spomiędzy zarośli dzisiaj po południu, była niewidoczna na tle ciemnej jaskini. Ale powinien się domyślić. Macając dłonią dotarł do samego końca poręczy, przeszedł przez nią, przywiązał linę do pionowego słupka i zaczął ją odwijać, ostrożnie posuwając się naprzód. Prawie natychmiast stwierdził pod wysuniętą nogą pustkę, a właściwie sto dwadzieścia stóp kamiennej ściany, która otaczała port nawaroński. Dalej, po prawej stronie, widział ciemną, bezkształtną smugę na wodzie, smugę, która mogłaby być przyładkiem Demirci. Prosto przed nim, za aksamitnym pasem cieśniny Maidos, mrgały w odległości światełka. Świadczyły one o pewności Niemców, którzy nie wprowadzili zaciemnienia albo, co bardziej prawdopodobne, były to oświetlone chaty rybackie, potrzebne im w nocy jako punkty orientacyjne dla dział. Po lewej stronie, zaskakująco blisko, zaledwie w odległości trzydziestu stóp w płaszczyźnie pionowej, ale o wiele niżej od poziomu, na którym się znajdował, widział przymurowany do skały wystający

koniec wałów fortecy i dachy domów na rynku. Jeszcze dalej miasto opadało ostro w dół, okrążając półksiężycem port. Natomiast w górze... w górze nie było widać nic; nawis skalny zasłaniał więcej niż połowę nieba, a ciemność pod nim była równie nieprzenikniona, jak atramentowa, czarna powierzchnia wody, jak noc. Wiedział, że stoją tam statki, greckie kutry i niemieckie barki, ale nie widział ich zupełnie. Wszystko to ogarnął wzrokiem w ciągu dziesięciu sekund i nie czekał dłużej. Pochylił się szybko, dwa razy owinął linę koło słupka i położył na krawędzi skały. W razie konieczności można ją było jednym kopnięciem zrzucić w dół. Do lustra wody pozostałoby wedle jego oceny trzydzieści stóp – odległość wystarczająca, żeby zeskoczyć na statek, który by ewentualnie w pobliżu przepływał. Wprawdzie skok na pokład z takiej wysokości groził skręceniem karku, jednak musieli decydować się na takie ryzyko. Mallory jeszcze raz spojrział w piekielną ciemność i zadrżał. Miał tylko nadzieję, że ani on, ani Miller nie będą potrzebowali korzystać z tej drogi. Dusty Miller klęczał na deskach u szczytu drabinki prowadzącej w dół do magazynu, gdy przybiegł tunelem Mallory, z rękami pełnymi drutów detonatorów, lontów i materiałów wybuchowych. Miller wyprostował się na jego widok.

–Myślę, że będą z tego zadowoleni, szefie. – Nastawił wskazówki mechanizmu zegarowego, z zadowoleniem posłuchał cichutkiego brzęczenia i zszedł po drabinie. – Chyba wsadzimy to tutaj między dwa rzędy ładunków.

–Gdzie chcesz – zgodził się Mallory. – Tylko niech nie będzie zbyt widoczny... albo zbyt trudny do odnalezienia. Czy oni się tylko nie domyślą, że wiedzieliśmy, iż zarówno zegar, jak i przewody detonatora są popsute?

–Nigdy w świecie – stwierdził Miller z przekonaniem. – Jak znajdą tę minę tutaj, będą skakali do góry z radości i gratulowali sobie; nie zajrzą w żadne inne miejsce.

–Dobra. – Mallory był zadowolony. – Czy zamknąłeś drzwi na górze?

–Jasne, że zamknąłem! – Miller spojrzał na niego z wyrzutem. – Szefie, czasem myślę... Ale Mallory nigdy się nie dowiedział, co Miller myślał. Metaliczny brzęk rozległ się echem w magazynie i jaskini, zagłuszając słowa Millera, i zamarł nad zatoką. Po chwili powtórzył się znowu – obaj mężczyźni patrzyli tępo na siebie. Później nastąpiła seria uderzeń, która urwała się na chwilę.

–Goście idą – mruknął Mallory. – Uzbrojeni w kowalskie młoty. Mój Boże, mam tylko nadzieję, że drzwi wytrzymają. – Puścił się biegiem do dział. Miller tuż za nim.

–Goście! – mamrotał Miller w biegu. – Jak się, u diabła, dostali tak szybko?

–To nasz świętej pamięci przyjaciel – powiedział ze złością Mallory. Przeskoczył przez poręcz. – Uwierzyliśmy naiwnie, że powiedział całą prawdę. O jednym nam tylko nie powiedział: że otworzenie tych drzwi uruchamia dzwonek alarmowy w wartowni. Rozdział szesnasty Środa wieczór Godz. #/21#15\_#/23#45 Miller zręcznie zwalniał linę okręconą wokół poręczy, a Mallory opadał w dół, aż wreszcie zniknął w ciemności. Poszło piętnaście stóp liny, dwadzieścia pięć, sześćdziesiąt

–oczekiwane szarpnięcie sznurkiem sygnałowym, owiniętym na przegubie Millera, który natychmiast przytrzymał linę i przywiązał

ją do podstawy słupka. Potem Dusty wyprostował się, wychylił przez poręcz, ujął linę obiema rękami, tak daleko, jak tylko mógł sięgnąć, i najpierw powoli, a potem coraz mocniej zaczął kołysać, ruchem wahadłowym, liną i przywiązanym do niej człowiekiem. Przy tych wahnięciach lina poczęła się skręcać i szarpać w jego dłoniach, a Miller domyślał się, że Mallory na pewno uderza o nierówności skały i wiruje w powietrzu, odbijając się od nich. Ale nie mógł przerwać swej czynności, bo łomot młotów rozlegał się prawie bez przerwy. Przygarbił się nad poręczą i użył całej siły swych muskularnych ramion, by coraz bardziej zbliżać Mallory'ego do drugiej liny, którą Brown miał wywiesić z balkonu tego domu, w którym go pozostawili. W dole, między wylotem jaskini a niewidzialną zatoką. Mallory wśród deszczu i ciemności zataczał wielkie łuki. Uderzył mocno głową o jakiś występ i nieomal stracił przytomność, nie wypuścił jednak liny z rąk. Ale teraz już wiedział, gdzie się znajduje ten występ, i za każdym razem odpychał się od niego rękami, choć musiał przy tym zataczać cały krąg na linie. Dobrze, że było ciemno, że nie potrzebował patrzeć, bowiem uderzenie otworzyło ranę, którą mu zadał Turzig. Rana krwawiła mocno i oczy miał zupełnie zalepione krwią. Ale nie martwił się ani raną, ani krwią w oczach – tylko lina była ważna. Czy Brown ją wywiesił? Czy mu się nic nie stało? Czy go nie zaskoczono, zanim zdołał cokolwiek zrobić? Gdyby się tak zdarzyło, nie mieliby żadnej nadziei ani sposobu na pokonanie czterdziestu stóp litej skały między jaskinią a domem. Lina musi być. Ale jeśli jest, dlaczego nie może jej znaleźć? Już trzy razy sięgał bambusowym kijem, słyszał, jak hak daremnie, denerwująco skrobie po kamieniu. Wreszcie za czwartym razem, wyciągając ramiona do ostatecznych granic, poczuł, że hak się zaczepił. Natychmiast przyciągnął tyczkę,



chwycił linę przed kolejnym wahadłowym ruchem do tyłu i szarpnął gwałtownie sznurkiem sygnałowym. W dwie minuty później, bliski zupełnego wyczerpania po sześćdziesięciu stopach wspinaczki po mokrej i śliskiej ścianie, przelazł na ślepo przez gzyms jaskini i rzucił się na ziemię, dysząc ciężko. Bez słowa Miller pochylił się, rozwiązał pętlę na nogach Mallory'ego, przyczepił ją do liny Browna, szarpnął i patrzył, jak obie liny znikają w ciemności. Za dwie minuty zjawiał się ciężki akumulator przywiązany przez Casey'a Browna. Po następnych dwóch minutach z zachowaniem wszelkich ostrożności wyciągnęli worek z nitrogliceryną, spłonki i detonatory i złożyli je na kamiennym posadzce koło akumulatora.

Łoskot ustał, młoty przestały walić w stalową płytę. W tej ciszy było coś złowrogiego, była ona bardziej groźna niż dotychczasowy hałas. Czyżby wyłamano drzwi, rozbito zamek, a Niemcy czekali w ciemności tunelu z gotowymi do strzału śmiertelnymi karabinami maszynowymi? Nie było co się zastanawiać, nie było co czekać i rozmyślać. Minął już czas ostrożności i teraz nie liczyło się już, czy zginą tutaj, czy pozostaną żywi. Trzymając przy biodrze swego ciężkiego colta Mallory przeszedł przez barierkę, wyminął oba wielkie działa i po cichu podkradł się do drzwi, zapalając w połowie drogi latarkę. W korytarzu nikogo nie było, drzwi pozostały nie tknięte. Wspiął się szybko po drabince i nadstawił uszu. Zdawało mu się, że słyszy stłumiony pomruk głosów i cichy syk po drugiej stronie. Nachylił się, żeby lepiej słyszeć, oparł się przy tym dłonią o drzwi – nagle odskoczył ze stłumionym okrzykiem bólu. Tuż nad zamkiem stała rozpalona niemal do czerwoności. Mallory zeskoczył do tunelu akurat w chwili, gdy zjawiał się Miller z akumulatorem.

–Te drzwi są gorące jak diabli. Oni chyba palą...

–Czy pan coś słyszał? – przerwał Miller.

–Jakiś syk.

–Palnik acetylenowo\_tlenowy – powiedział Miller krótko. – Wycinają zamek. To im zajmie sporo czasu, bo te drzwi są z pancernej stali.

–Dlaczego ich nie wysadzają... gelinitem czy też... czego się używa do takich rzeczy?

–Zgiń, przepadnij, senna maro! – zawołał Miller z przestrawieniem.  
– Niech pan nawet o tym nie mówi, komendancie. Przy okazji cała ta piekielna dziura mogłaby wylecieć w powietrze. Niech mi pan pomoże, dobrze? Dusty Miller był znowu w swoim żywiole, zapomniał zupełnie o grożącym niebezpieczeństwie i o odwrocie z tego miejsca. Całe zadanie, od początku do końca, zajęło mu cztery minuty. Gdy Mallory wepchnął akumulator pod podłogę windy, Miller wcisnął się między dwie stalowe belki, by z pomocą latarki zbadać koniec jednej z nich i stwierdzić po śladach metalu, gdzie zatrzymuje się kółko amortyzatora dźwigu amunicyjnego. Z zadowoleniem wyciągnął rolkę taśmy izolacyjnej i kilkanaście razy owinął nią stalową belkę. Cofnął się i popatrzył na swoje dzieło: taśma była prawie niewidoczna. Do izolowanego miejsca szybko przymocował dwa kable po obu stronach belki, okręcił je taśmą, tak że nic nie było widać, poza samymi końcówkami. Dołączył je do dwóch czterocalowych drutów i przymocował poprzecznie w odstępie zaledwie jednego cala. Z worka wydobył tnt, spłonkę i detonator na rtęć piorunującą, połączył je razem, jeden z drutów wsadził do gniazda detonatora i przyśrubował mocno. Drugi

doprowadził do dodatniego bieguny, a trzeci do ujemnego. Wystarczyło tylko, by dźwig amunicyjny zjechał w dół do magazynu, jak to musiało się rychło zdarzyć, gdy Niemcy otworzą ogień z dział – a koło amortyzatora spowoduje zwarcie, zamykając obwód i uruchamiając detonator. Jeszcze raz sprawdził położenie poprzecznych drutów i cofnął się z zadowoleniem. Mallory zszedł właśnie z drabinki. Miller poklepał go po nodze, by zwrócić jego uwagę, i lekceważąco machnął stalową klingą swego noża w odległości cala od drutów.

–Wie pan, komendancie – powiedział swobodnym tonem – że gdybym dotknął nożem tych końcówek, cała ta przeklęta buda rozleciałaby się na kawałki. – Pokiwał z namysłem głową. – Tylko jedno drgnięcie ręki, jedno muśnięcie i Mallory z Millerem powiększają grono aniołków.

–Na miłość boską, zabieraj ten nóż! – burknął Mallory nerwowo. – I zwiewajmy do wszystkich diabłów. Oni już wycięli pół zamka! W pięć minut później Miller był bezpieczny – zjazd po napiętej pod kątem czterdziestu stopni linie do czekającego Browna nie sprawiał poważniejszych trudności. Mallory jeszcze raz ogarnął wzrokiem jaskinię i skrzywił się. Zastanawiał się, ilu żołnierzy obsługuje działa i magazyny podczas strzelania. Jedno tylko było pocieszające – że nawet nic nie będą wiedzieli, biedacy. A potem pomyślał po raz setny o załodze Cheros i załogach niszczycieli, zacisnął usta i odwrócił oczy. Nie obejrzawszy się nawet, przeszedł przez barierę i osunął się w ciemność. Był w połowie drogi, w najniższym punkcie krzywizny, i zaczynał właśnie znowu się wspinać pod górę, gdy usłyszał tuż nad głową wściekły jazgot karabinu maszynowego. Miller pomógł mu przejść przez balustradę balkonu. Zerkał nad jego ramieniem w stronę

szalejących karabinów maszynowych. Największe nasilenie ognia, jak sobie Mallory z uczuciem nagłego zawodu uświadomił, przypadało na zachodnią stronę rynku, przy której się właśnie znajdowali, i to zaledwie trzy czy cztery domy dalej. Mieli odciętą drogę odwrotu.

–Dalej, komendancie! – nalegał Miller. – Zwiewajmy z tej nory. Tutaj zaczyna się robić bardzo niezdrowo. Mallory wskazał głową w kierunku strzelaniny.

–Co tam się stało? – zagadnął.

–Niemiecki patrol.

–Więc jak, u diabła, możemy stąd wyjść? – zapytał Mallory. – I gdzie jest Andrea?

–Po drugiej stronie rynku. To właśnie do niego kropią te ptaszki.

–Po drugiej stronie rynku...

–Mallory spojrzął na zegarek. – Jak Boga kocham, człowieku, co on tam robi? – Ruszył ku drzwiom, rzucając jeszcze przez ramię:  
– Dlaczego pozwoliliście mu tam iść?

–To nie ja mu pozwoliłem – wyjaśnił Miller ostrożnie. – Jego już nie było, jak się tu zjawiałem. Brown zobaczył, że duży oddział niemiecki zaczyna przeszukiwać dom po domu. Niemcy zaczęli po przeciwnej stronie i obrabiali dwa albo trzy domy naraz. Andrea właśnie wtedy wrócił i powiedział, że na pewno obejdą rynek i będą tu za dwie albo trzy minuty, więc poleciał po dachach jak nietoperz.

–Chce ich odciągnąć? – Mallory stał koło Loukiego wyglądając przez okno. – Dureń! Tym razem go zabiją, i to na pewno! Niemcy są wszędzie, poza tym teraz nie dadzą się nabrać. Już ich raz wykiwał na wzgórzach, a Niemcy...

–Nie jestem tego pewny – przerwał podniecony Brown. – Andrea już rozbił z karabinu reflektor po swojej stronie. Niemcy są przekonani, że będziemy uciekali przez mur i... proszę spojrzeć, sir, proszę spojrzeć! Tam są! – Brown tańczył ze zdenerwowania, zapominając o bolącej nodze. – Udało mu się, udało! Istotnie, Mallory zobaczył, że Niemcy wyskoczyli zza osłony domu po prawej stronie i biegną tyralierą przez rynek. Ich ciężkie buty tupotały po kamieniach, potykali się, przewracali tracąc oparcie na nierównym bruku i podnosili znowu. Jednocześnie dojrzał błyski latarek na dachach domów naprzeciwko oraz niewyraźne sylwetki skulonych Niemców, którzy przebiegli na to miejsce, gdzie był Andrea, po rozbiciu przez niego cyklopiego oka reflektora.

–Okrażą go. – Mallory mówił dość spokojnie, lecz zaciskał pięści, aż paznokcie wbiły mu się w ciało. Przez pewien czas stał jak skamieniały, potem pochylił się i podniósł z podłogi schmeissera – Nie ma szans. Idę do niego. Odwrócił się i równie nagle stanął w miejscu: Miller zatarasował mu drogę.

–Andrea powiedział, że mamy się o niego nie martwić, że sam sobie da radę. – Miller mówił bardzo łagodnie, z wielkim respektem. – Powiedział, żeby mu w żadnym wypadku nie pomagać.

–Nie próbuj mnie zatrzymywać, Dusty. – Mallory zdawał się nie dostrzegać obecności Millera. Wiedział tylko, że musi

natychmiast iść, znaleźć się u boku Andrei i udzielić mu pomocy. Zbyt długo przebywali razem, zbyt wiele zawdzięczał uśmiechniętemu olbrzymowi, żeby go tak łatwo opuścić. Nie potrafiłby nawet powiedzieć, jak często Andrea przybywał mu na pomoc, kiedy już nie było żadnej nadziei. Pchnął Amerykanina w pierś.

–Pan będzie tylko przeszkadzał, komendancie – powiedział Miller. – Sam pan mówił... Mallory odsunął go, ruszył ku drzwiom i podniósł pięść, gdy czyjeś ręce zacisnęły się na jego ramieniu. W porę się powstrzymał, widząc zmartwioną twarz Loukiego.

–On ma rację – nalegał Louki.

–Pan nie powinien iść. Andrea mówił, że pan ma nas odprowadzić do portu.

–Idźcie sami – burknął szorstko Mallory. – Znacie drogę, znacie plany.

–Pan każe nam iść, pozwala wszystkim...

–Wysłałbym cały świat do diabła, gdybym mógł pomóc Andrei. – W głosie Malloryego brzmiała niekłamana szczerłość. – Andrea nigdy by mnie nie opuścił. – , Ale pan go opuści, majorze Mallory – spokojnie powiedział Louki.

–O co ci, u diabła, chodzi?

–Opuści go pan, idąc do niego wbrew jego woli. Może być ranny, nawet zabity, ale jeśli pan pójdzie za nim i również zginie, wtedy wszystko straci sens. Jego śmierć będzie próżna. Czy w ten

sposób chce się pan odplącić swemu przyjacielowi?

–W porządku, masz rację – poddał się Mallory zirotowany.

–Właśnie tego chciał Andrea – mruknął Louki. – W każdej innej sytuacji byłby pan...

–Przestań mi prawić kazania! Dobrze, panowie, niech będzie, jak chcecie. – Znowu odzyskał równowagę, był spokojny, odprężony, znowu gotów do rozsądnej walki. – Pójdziemy górą po dachach. Natrzyjcie sobie dobrze popiołem ręce i twarze. Uważajcie, żeby nie było na was nic białego. I bez żadnych rozmów! Dojście do nabrzeża trwało pięć minut: pięć minut w absolu tnej ciszy. Mallory tłumiał w zarodku nawet szepty. Obyło się bez przygód. Nie widzieli nie tylko żołnierzy, ale w ogóle nikogo. Mieszkańcy Nawarony rozsądnie przestrzegali godziny policyjnej i ulice były zupełnie puste. Andrea skierował na siebie zaciekły pościg. Mallory zaczął podejrzewać, że stało się coś złego, lecz gdy dotarli do zatoki, strzelanina wybuchła na nowo – tym razem o wiele dalej, na północno\_zachodnim skraju miasta, na tyłach fortecy. Mallory stał na nabrzeżu i patrzył na czarną, oleistą wodę. Poprzez zasłonę ulewnego deszczu potrafił rozróżnić niewyraźne zarysy łodzi i kutrów przycumowanych rufami do nabrzeża. Poza tym nie widział nic.

–Nie przypuszczam, żebyśmy mogli jeszcze bardziej przemoknąć – zauważył. Zwrócił się do Loukiego i przerwał mu coś, co tamten chciał powiedzieć na temat Andrei. – Jesteś pewny, że ją znajdziesz w ciemności? – Mallory miał na myśli motorówkę komendanta, dziesięcotonową długą na trzydzieści sześć stóp, zawsze przycumowaną do boi w odległości stu stóp od brzegu. Wedle informacji Loukiego pilnujący jej mechanik

sypiał na pokładzie.

–Już tam jestem – chwalił się Louki. – Nawet gdybyście mi zawiązali oczy...

–Dobrze, dobrze – przerwał szybko Mallory. – Wierzę ci na słowo. Pożycz mi swojego kapelusza, Casey. – Wcisnął pistolet w główkę kapelusza, który naciągnął mocno, ześlizgnął się cicho do wody i popłynął obok Loukiego.

–Myślę – szepnął Louki – że mechanik nie będzie spał, majorze.

–Ja też tak myślę. – Znowu rozległ się terkot kaemów i wystrzały z mauzera. – Nikt w Nawaronie nie śpi, poza głuchymi nieboszczykami. Cofnij się, gdy tylko zobaczymy łódź. Podpłyniesz, jak zawołam. Minęło piętnaście sekund i Louki dotknął Mallory.ego ramieniem.

–Widzę ją – szepnął Mallory. W odległości piętnastu jardów majaczyła niewyraźna sylwetka. Podpłynął cicho, nie uderzając rękami ani nogami o wodę, i dostrzegł postać mężczyzny na rufie, tuż za lukiem maszynowni. Stał nieruchomo, patrząc w kierunku fortecy i górnej części miasta. Mallory powoli opłynął rufę i wynurzył się z wody. Ostrożnie zdjął kapelusz, wziął pistolet i chwycił lewą ręką za niski reling. Z odległości siedmiu stóp na pewno by nie spudłował, ale nie mógł zabić tego człowieka. W każdym razie jeszcze nie teraz. Poręcze były bardzo niskie, miały najwyżej osiemnaście cali, a plusk ciała spadającego do wody prawdopodobnie zaalarmowałby portowe posterunki.

–Nie ruszaj się, bo strzelam!



–powiedział cicho po niemiecku. Człowiek na rufie osłupiał. Widać teraz było, że ma w ręku karabin.

–Połóż broń. Nie odwracaj się. – Mężczyzna znowu wykonał rozkaz, a Mallory podciągnął się na pokład, nie spuszczać oka ani pistoletu z karku Niemca. Podszedł cicho, odwrócił pistolet, uderzył kolbą, chwycił tamtego, zanim zdążył wypaść za burtę, i położył go ostrożnie na pokładzie. W trzy minuty cała grupa znalazła się bezpiecznie na statku. Mallory towarzyszył kulejącemu Brownowi do maszynowni. Obserwował go, gdy Casey zapalił swą ślepa latarkę i fachowym okiem patrzył na lśniący sześciocyndrowy silnik Diesla.

–To jest silnik – oświadczył Brown z szacunkiem. – Cudo! Można uruchamiać dowolną liczbę cylindrów wedle ochoty. Znam ten typ, kapitanie.

–Nigdy w to nie wątpiłem. Możesz go uruchomić, Casey?

–Chwileczkę, tylko się rozejrzę. – Brown odznaczał się cierpliwością urodzonego mechanika. Powoli, metodycznie oświetlał latarką wspaniałe wnętrza maszynowni, włączył dopływ paliwa i zwrócił się do Malloryego: – Muszę wszystko sprawdzić, sir. Zaczniemy od góry. Przeprowadził taką samą pedantyczną inspekcję sterówki, podczas gdy Mallory czekał niecierpliwie. Deszcz teraz osłabł, niewiele, ale wystarczająco, by można było dostrzec niewyraźne zarysy wejścia do portu. Po raz dziesiąty zastanawiał się, czy uprzedzono niemieckie posterunki o możliwości próby ucieczki statkiem. Wydawało się to nieprawdopodobne – wnosząc z hałasu, jaki robił Andrea. Niemcom z pewnością nie przyszło to do głowy. Pochylił się i dotknął ramienia Browna.

–Dwadzieścia po jedenastej, Casey – mruknął. – Jeśli te niszczyciele przyłyną o czasie, tysiące ton skały zleci nam na głowy.

–Jestem już gotów, sir – oznajmił Brown. – Wskazał na tablicę przyrządów pokładowych.

–Wszystko w porządku.

–Cieszę się, że tak uważasz

–mruknął Mallory z przekonaniem. – No, to odpływamy. Tylko na razie powoli i cicho. Brown chrząknął zakłopotany.

–Jesteśmy jeszcze przycumowani do boi. A ponadto, sir, byłoby dobrze sprawdzić, gdzie są stanowiska karabinów maszynowych, reflektory, lampy sygnalizacyjne, kamizelki ratownicze i boje. Dobrze byłoby wiedzieć, gdzie te rzeczy się znajdują – zakończył pokornie. Mallory zaśmiał się cicho i poklepał Browna po ramieniu.

–Jesteście wielkim dyplomata, sierżancie. Zrobimy to. – Będąc szcurem lądowym do szpiku kości, Mallory nie zapominał jednak o przepaści, jaka rozciągała się między nim a człowiekiem w rodzaju Browna, i nie wahał się przyznać do tego.

–Wyprowadzisz nas stąd, Casey?

–Oczywiście, sir. Niech pan powie Loukiemu, żeby tu przyszedł. Myślę, że port jest dość głęboki, ale zawsze można trafić na skały albo rafy. Nigdy nie wiadomo. W trzy minuty później motorówka znajdowała się w połowie drogi do wyjścia z portu,

pomrukując cicho na dwóch cylindrach. Mallory i Miller, nadal w niemieckich mundurach, stali na dziobie przed sterówką, w której wnętrzu kurczył się Louki. Niespodziewanie, w odległości sześćdziesięciu jardów, zaczęła mrugać do nich lampa sygnalizacyjna, a jej pośpieszne klekotanie było nieźle słyszalne w ciszy nocnej.

–Dan Boone Miller pokaże teraz, jak to się robi – mruknął Miller. Przysunął się bliżej do karabinu maszynowego na prawej burcie. – Tą pukawką załatwimy... Urwał, a jego głos zginął w dochodzącym ze sterówki staccato migacza, poruszanego doświadczonymi palcami. Brown przekazał ster Loukiemu i nadawał morsem do wieżyczki strażniczej u wyjścia z portu, deszcz połyskiwał blado w promieniu światła. Nieprzyjacielski migacz urwał, a potem zaczął błyskać na nowo.

–Ojej, ale mają sobie dużo do powiedzenia – powiedział Miller z podziwem. – Jak długo potrwa taka wymiana grzeczności?

–Myślę, że już kończą. – Mallory szybko pobiegł do sterówki. Znajdowali się o niecałe sto stóp od wyjścia z portu. Brown zmylił przeciwnika, zyskał cenne sekundy – więcej, niż się spodziewał Mallory. Ale to nie mogło trwać długo. Dotknął ramienia Browna.

–Jak się zacznie ta heca, wal naprzód pełnym gazem. – W chwilę później był już na stanowisku na dziobie, ze schmeisserem w pogotowiu. – Oto twoja wielka szansa, Dan Boone Miller. Nie dopuszczaj do tego, żeby skierowali na nas reflektory, bo cię oślepią. Jeszcze nie skończył mówić, gdy lampa sygnalizacyjna u wyjścia z portu zgasła nagle i dwa jasne snopy światła z obu stron przebiły ciemność, rozjaśniając całą zatokę przeraźliwym blaskiem – blaskiem, który na sekundę – po dwóch

krótkich seriach karabinu maszynowego – ustąpił zupełnej ciemności. Z tak bliska chybiecie było prawie niemożliwe.

–Padnij! – krzyknął Mallory.

–Wszyscy płasko na pokład! Echa wystrzałów zamierały w dali nad morzem, gdy Casey Brown włączył wszystkie sześć cylindrów i dał całą naprzód, a ogłuszający ryk wielkiego diesla zagłuszył wszystkie inne odgłosy. Uplęnęło pięć sekund, dziesięć – minęli wyjście z portu – piętnaście, dwadzieścia, nadal nie padł ani jeden strzał. Pół minuty... i już znaleźli się daleko, dziób unosił się wysoko nad wodą, głęboko zanurzona rufa zostawiała za sobą długą, spienioną wstęgę fosforyzującej bieli, a silnik z łoskotem zbliżał się do maksymalnych obrotów. Brown skręcił ostro ku brzegowi, szukając osłony pionowych skał.

–To była desperacka walka, komendancie, ale lepsi zwyciężyli. – Miller stał teraz trzymając się lawety cekaemu, żeby się nie przewrócić, bo pokład tańczył mu pod stopami. – Wnukom będę o tym opowiadał.

–Cała załoga prawdopodobnie przeszukuje miasto. A może i siedziało paru biednych półgłówków za tymi reflektorami. Albo po prostu ich zaskoczyliśmy

–powiedział Mallory. – W każdym razie możecie mi wierzyć, że mamy cholerne szczęście. Poszedł do sterówki. Brown stał przy sterze, a Louki wprost promieniał z zachwytu.

–To było wspaniałe, Casey – oświadczył szczerze Mallory. – Pierwszorzędna robota. Wyłącz maszynę, kiedy dopłyniemy do końca skał. Wykonaliśmy zadanie. Wychodzę na brzeg.

–Nie potrzebuje pan tego robić, majorze.

–A to co znowu? – Mallory odwrócił się.

–Nie potrzebuje pan. Próbowałem to panu powiedzieć po drodze, ale kazał mi pan być cicho. – W głosie Loukiego brzmiał wyrzut. Zwrócił się do Browna. – Zwolnij trochę. Na samym ostatku Andrea powiedział mi, majorze, że mamy wracać tą właśnie drogą. Dlaczego, jak pan myśli, pozwolił się wciągnąć między skały na północy, zamiast iść prosto w głąb wyspy, gdzie by się mógł łatwo ukryć?

–Czy to prawda, Casey? – zapytał Mallory.

–Niech się pan mnie nie pyta, sir. Ci dwaj zawsze rozmawiają po grecku.

–Oczywiście. – Mallory spojrzał na niskie skały tuż za burta, przesuwające się teraz bardzo wolno, odkąd silnik został wyłączony. Spojrzał na Loukiego. – Jesteś pewny?... Urwał w pół zdania i wyskoczył ze sterówki. Prawie dokładnie przed dziobem rozległ się jakiś plusk. Mallory i Miller wytrzeszczyli oczy i ujrzeli w odległości niecałych dwudziestu stóp ciemną głowę nad wodą. Mallory wychylił się i wyciągnął rękę. W chwilę później Andrea stał już na pokładzie, ociekając wodą i promieniejąc. Mallory zaprowadził go do sterówki i zapalił lampę z abażurem nad stołem z mapami.

–Boże, jakie to cudowne, Andrea! Nigdy nie myślałem, że cię znowu zobaczę. Jak ci poszło?

–Już ci opowiadam – zaśmiał się Andrea. – Zaraz potem...

–Jesteś ranny! – przerwał mu Miller. – Zupełnie jakbyś miał przedziurawioną rękę – wskazał na czerwoną plamę rozpływającą się po mokrej kurtce.

–Ojej, rzeczywiście – Andrea udał ogromnie zdumionego. – Ale to tylko draśnięcie, mój drogi.

–A tak, tylko draśnięcie! To samo byś powiedział, gdyby ci urwało rękę. Chodź do kabiny... Dla człowieka o moim doświadczeniu lekarskim to drobiazg.

–Ale kapitan...

–Może poczekać na ciebie i na twój meldunek. Stary doktor Miller nie pozwala przemęczać pacjentów. Idziemy!

–Znakomicie! – powiedział Andrea potulnie, pokiwał głową z udaną rezygnacją i poszedł za Millerem. Brown ruszył znowu całą naprzód, skierował motorówkę na północ, prawie na przylądek Demirci, by na wszelki wypadek uniknąć, mało zresztą prawdopodobnego, ognia baterii portowych. Zwrócił się prosto na wschód i płynął tak kilka mil, a potem wziął kurs na południe i cieśninę Maidos. Mallory stał obok niego w sterówce, patrząc na ciemne, spokojne wody. Raptem w pewnej odległości zauważył coś białego; dotknął ramienia Browna i wskazał przed siebie.

–Grzywacze przed nami, Casey. Czy to nie rafy? Casey długo patrzył w milczeniu i wreszcie pokręcił głową.

–To odkosy dziobowe – oznajmił spokojnie. – Nasze niszczyciele nadchodzą. Rozdział siedemnasty Środa w nocy Północ Komandor Vincent Ryan, oficer Marynarki Królewskiej i dowódca

niszczyciela najnowszej klasy „S”, H.M.S. „Sirdar”, rozglądał się po ciasnej kabinie nawigacyjnej i w zamyśleniu skręcał swą wspaniałą korsarską brodę. Nigdy nie widział równie podejrzanie wyglądającej bandy obszarpańców – może z wyjątkiem załogi pirackiego statku w Bias Bay, którą pomagał unieszkodliwić jako bardzo jeszcze młody oficer. Przyjrzał im się jeszcze uważniej, szarpnął brodę i doszedł do wniosku, że jest w nich nie tylko zawadiacka zuchwałość. Bodajby nigdy nie otrzymał rozkazu unieszkodliwienia takich ludzi. Niebezpieczni, bardzo niebezpieczni – rozmyślał leniwie, ale trudno powiedzieć dlaczego. Może właśnie ich spokój, ich niewymuszona czujność powodowały, że był w ich towarzystwie nieswój. Wiedział, że Jensen mówi o nich „moi bandyci”.

–Może któryś z panów ma ochotę zejść na dół – zaproponował.  
– mnóstwo ciepłej wody, suche ubranie i suche koje. Nie będziemy ich używać dzisiejszej nocy.

–Bardzo panu dziękujemy. – Mallory zawahał się. – Wolelibyśmy jednak zobaczyć, jak to się skończy.

–Więc dobrze, jeśli koniecznie chcecie – powiedział Ryan wesóło. „Sirdar” zaczął znowu nabierać prędkości, pokład pulsował pod ich stopami. – Oczywiście, na własne panów ryzyko.

–Jesteśmy pod opieką dobrej wróżki – odezwał się przeciągle Miller. – Nam nie może się stać nic złego. Deszcz przestał padać i pomiędzy rozszerzających się szczelin w chmurach wyjrzały mrugające gwiazdy. Mallory rozejrzał się dokoła; widział Maidos po lewej burcie i wielki masyw Nawarony przesuwający się po prawej. Z tyłu, w odległości około kabla, mógł rozróżnić dwa inne

okręty – wysokie odkosy odcinały się biało na tle ciemnych sylwetek. Mallory zwrócił się do dowódcy:

–Bez transportowców, sir?

–Bez transportowców. – Ryan poczuł coś w rodzaju przyjemności, a zarazem zakłopotania, że ten człowiek zwraca się do niego przez „sir”.

–Tylko niszczyciele. Zamierzamy dokonać błyskawicznej akcji. Nie ma czasu na transportowce, a i tak jesteśmy spóźnieni.

–Ile czasu potrwa ewakuacja?

–Pół godziny.

–Co?! Tysiąca dwustu ludzi? – Mallory nie mógł w to uwierzyć.

–Więcej – westchnął Ryan. – Połowa mieszkańców chce również odpłynąć z nami. Mimo wszystko moglibyśmy to załatwić w pół godziny, ale prawdopodobnie zabawimy trochę dłużej. Załadujemy tyle sprzętu, ile tylko się da. Mallory skinął głową, jego oczy badały smukłą sylwetkę „Sirdara”.

–A gdzie wy ich wszystkich zmieścicie?

–Słuszne pytanie – przyznał Ryan. – Londyńskie metro w godzinach szczytu będzie niczym w porównaniu z naszym okręcikiem. Ale jakoś ich zmieścimy. Mallory znowu przytaknął i nad ciemnymi wodami patrzył na Nawaronę. Za dwie minuty, najdalej za trzy forteca wyleci w powietrze. Poczuł, że ktoś go dotyka, odwrócił głowę i uśmiechnął się do małego Greka o smutnych oczach.



–Już niedługo, Louki – powiedział spokojnie.

–Ale ludzie, majorze – szepnął Louki. – Ludzie w mieście. Czy im się nic nie stanie?

–Nic im się nie stanie. Dusty powiada, że sklepienie jaskini polecą prosto w górę. Większość szczątków wpadnie do zatoki.

–Tak, ale kutry?...

–Przestań się martwić! Przecież nie ma nikogo na pokładach. Wiesz, że załogi muszą schodzić na ląd po godzinie policyjnej. Odwrócił się, bo znowu ktoś dotknął jego ramienia.

–Kapitanie Mallory, oto porucznik Beeston, mój dowódca artylerii.  
– W głosie Ryana wyczuwało się lekki chłód, który wskazywał, że Ryan nie przepada za swoim oficerem artylerii. – Porucznik Beeston jest oburzony.

–Jestem oburzony! – Ton głosu był zimny, wyniosły, z jakimś odcieniem wyższości. – O ile mi wiadomo, poradził pan komandorowi, żebyśmy nie otwierali ognia.

–Mówi pan jak BBC – powiedział krótko Mallory. – Ale ma pan rację. Rzeczywiście mu to poradziłem. Zlokalizować działa można tylko za pomocą reflektora, a to byłoby fatalne. Podobnie jak otworzenie ognia.

–Nie rozumiem. – Można było niemal dostrzec w ciemności, jak Beeston unosi brwi.

–Zdemaskowałby pan swoją pozycję – wyjaśnił Mallory cierpliwie.  
– Przygwoździłiby pana za pierwszym razem. Dajcie im dwie

minuty, a trafią was tak czy inaczej. Mam podstawy uważać, że celność ich artylerzystów jest wręcz fantastyczna.

–Marynarka Królewska też tak uważa – wtrącił spokojnie Ryan.

–Ich trzeci pocisk trafił w magazyn amunicyjny „Sibarisa”.

–Czy domyśla się pan, dlaczego by tak miało być, kapitanie Mallory? – Beeston nie wyglądał na przekonanego.

–Mają radar – stwierdził Mallory. – W fortecy są dwie olbrzymie anteny.

–Na „Sirdarze” również jest radar – powiedział Beeston sztywno.  
– Sądzę, że moglibyśmy zapisać kilka trafień na nasze konto, gdyby...

–Na pewno by pan nie spudłował... – Miller prowokacyjnie przeciągał słowa.

–To cholernie duża wyspa.

–Kto... Kto pan jest? – Beeston był wstrząśnięty. – I co, u diabła, chciał pan przez to powiedzieć?

–Kapral Miller. – Amerykanin wcale nie był speszony. – Musi pan mieć bardzo czuły instrument, poruczniku, jeśli potrafi pan znaleźć jaskinię w stu milach kwadratowych skały. Zapadła cisza, potem Beeston mruknął coś i odszedł.

–Zraniliście uczucia artylerii, kapralu – odezwał się Ryan. – On ma wielką ochotę sobie postrzelać, ale nie otworzymy ognia. A jak długo może potrwać, zanim się cała sprawa wyjaśni,

kapitanie?

–Nie jestem pewny. – Odwrócił się. – Jak sądzisz, Casey?

–Z minutę, sir. Nie dłużej. Ryan nie odezwał się. Na mostku panowała cisza, spotęgowana jeszcze szmerem wody i ostrym popiskiwaniami asdicu. Przejaśniało się coraz bardziej; błądy księżyc usiłował przebić się przez coraz cieńszą warstwę chmur. Nikt nic nie mówił, nikt się nie ruszał. Mallory uświadomił sobie, że obok stoi olbrzymi Andrea, a z tyłu Miller, Brown i Louki. Urodzony w sercu kraju, wychowany u podnóża Alp Południowych, Mallory uważał się przede wszystkim za człowieka lądu, obcego morzu i okrętom, ale nigdy w życiu nie czuł się tak dobrze i nigdy do tej pory nie wiedział, co znaczy uczucie przynależności. Był więcej niż szczęśliwy, był zadowolony z siebie. Miał przy sobie Andreę i swoich nowych przyjaciół, wszystko poszło doskonale, więc zadowolenie było uzasadnione.

Nie wszyscy wracali do domu, Andyego Stevensa nie było z nimi, ale jakoś dziwnie Mallory nie czuł smutku, tylko coś w rodzaju melancholii... Andrea, jakby czytał w jego myślach, pochylił się nad nim.

–Powinien tu być – mruknął. – Andy Stevens powinien tu być. O tym myślałeś, prawda? Mallory skinął głową, uśmiechnął się, ale nie powiedział nic.

–To nie jest najważniejsze. – W jego głosie nie było niepokoju ani wątpliwości, tylko stwierdzenie faktu. – To naprawdę nie jest takie ważne.

–W ogóle nie jest ważne. Jeszcze nie skończył mówić, gdy

jasnopomarańczowy płomień wytrysnął zza wału fortecy. Okrążyli przylądek, a Mallory nawet tego nie dostrzegł. Rozległo się wycie – Mallory.emu skojarzyło się to z pociągiem pospiesznym wylatującym z tunelu tuż nad ich głowami – i wielki pocisk trzasnął w wodę za nimi. Mallory zacisnął usta, podświadomie jeszcze bardziej zwarł pięści. Teraz już wiedzieli dokładnie, jak zginął „Sybaris”. Słyszał, że oficer artylerii mówi coś do komandora, ale nie pojął słów. Patrzyli na niego, a on patrzył na nich i nie widział ich wcale. Jego umysł był dziwnie wyłączony. Kolejny pocisk... Czy będzie następny? Czy to może huk tego pierwszego jeszcze rozchodzi się echem nad morzem? Czy też... Znowu znalazł się w ciemnym magazynie amunicyjnym, wykutym w skałach, tylko że teraz widział tam ludzi, skazanych, nieświadomych ludzi, widział, jak dźwigi podają wielkie pociski i ładunki ku szybowi windy, widział, jak pocisk podnosi się z wolna, widział nagie druty, odległe od siebie o pół cala, lśniące zębate koło, które biegnie gładko po połyskującej szynie, lekkie stuknięcie, gdy wjeżdża... Biały słup płomienia wytrysnął na setki stóp w nocne niebo, a straszliwy wybuch rozdarł serce wielkiej fortecy w Nawaronie. Nie było potem żadnych płomieni ani ciemnych, kłębiących się chmur dymu, tylko jedna oślepiająco biała kolumna, która rozświetliła całe miasto na krótką chwilę, podniosła się niewiarygodnie wysoko, dotykając chmur, i znikła, jakby jej nigdy nie było. A potem stopniowo nadeszły fale wybuchu: grom eksplozji, ogłuszający nawet z tej odległości, i łoskot tysięcy ton skały, walącej się majestatycznie w zatokę... Tysiące ton skały i dwa wielkie działa Nawarony. Mieli jeszcze ten huk w uszach, echa zamierały daleko nad Morzem Egajskim, gdy rozstały się chmury, ukazując księżyc w pełni, którego światło srebrzyło zmarszczoną ciemną wodę, załamując się tęczo w fosforyzującej, skłębionej fali kilwateru. Daleko przed

okrętem wyspa Cheros, tajemnicza i odległa, drzemała na powierzchni morza.

**This file was created with BookDesigner program**

**bookdesigner@the-ebook.org**

**2010-11-08**

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*